

PAMIĘTNIKI

IGNACY DASZYŃSKI

PAMIĘTNIKI

TOM I.

KRAKÓW 1925
NAKŁADEM Z. R. S. S. „PROLETARJAT“





CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE.



Ignacy Daszyński

[illegible]OTNIKOM POLSKIM

POŚWIĘCA

AUTOR



ROBOTNIKOM POLSKIM

POŚWIĘCA

AUTOR

PRZEDMOWA.

W jesieni 1924 roku zwrócił się do mnie Związek Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych „Proletarjat“ w Krakowie z propozycją wydania drukiem moich pamiętników. Zgodziłem się na dostarczenie pierwszego ich tomu, opisującego moje przeżycia do r. 1907. Drugi tom ma objąć następny okres, ale do jakiego czasu, tego sam jeszcze nie umiem oznaczyć. Wszak pamiętnik nie powinien traktować zbyt świeżych zdarzeń. Dopiero po śmierci autora wolno drukować jego opisy zdarzeń najświeższych współczesnego mu życia. Jest w tem wielka słuszność. Osobiste przeżycia muszą się „jak figa ucukrować, jak tytuń uleżeć“, aby człowiek mógł wydać o nich sąd jako tako sprawiedliwy i wartościowy. Pamiętniki to znakomite dokumenty dla historyka, ale trzeba ich bardzo krytycznie używać. Na szczęście nie zamierzam stwarzać dokumentu historycznego, a chcę raczej zadośćuczynić potrzebie serca, aby z tysiącami robotników polskich podzielić się wspomnieniami bojów nie tak dawnych, a jednak już dawnych, bojów toczonych z fanatyzmem pionierów, rąbiących drogę w skalistej opoce.

Wobec powodzi pamiętników, jaka zalała rynek książkowy po wojnie światowej, wspomnienia moje w pierwszym tomie opowiedziane, mogą się wydać echem spraw nieraz drobnych, rozgrywających się nie w największej

cząstce Polski. A jednak nigdzie na ziemi polskiej nie mogła w owym czasie ujawnić się z taką swobodą gra sił społecznych, jak w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim. Nigdzie socjalizm polski nie mógł stać się legalnym, nowoczesnym ruchem masowym, jak tylko w tych dwóch dzielnicach.

Napróżno czytelnik szukać będzie w tej książce wspomnień z mego prywatnego życia. Nie ukrywam ich, bo nie mam czego ukrywać, bo moje życie prywatne znikało poprostu wobec życia politycznego. Byłem cząstką — choć drobną — tej siły „fatalnej“, co ze zjadaczy chleba robiła nie aniołów wprawdzie, ale ożywionych, działających członków swej klasy i swego narodu. To cała treść mej pracy.

Warszawa, listopad 1924.

IGNACY DASZYŃSKI

ROZDZIAŁ I.

Dziecięce lata. — Przeciw Habsburgom. — Spiski studenckie.

Urodziłem się dnia 26 października 1866 r. w Zbarażu, małem mieście powiatowem na Podolu wołyńskiem, nad granicą rosyjską. Ojciec mój, Ferdynand, (urodzony w r. 1816 — umarł w r. 1875) był urzędnikiem w starostwie, matka, Kamila z Mierzeńskich, (urodz. w r. 1834 — umarła w r. 1895), pochodziła z jednowioskowej rodziny szlacheckiej.

Było nas czterech braci i jedna siostra. (Tomasz, Piotr, Feliks, ja, najmłodszy z nich i o pięć lat odemnie młodsza siostra Zofja). Byliśmy dziećmi z drugiego małżeństwa ojca. Dzieci z pierwszego małżeństwa były już dorosłe i nie mieszkały przy ojcu. Poza rzadkimi odwiedzinami synów i córek z pierwszego małżeństwa, pozostali oni dla mnie niemal zupełnie obcymi ludźmi w całem mojem życiu.

Mieszkaliśmy nad miasteczkiem na wzgórzu, spadającem ku rzece Gnieźnie, we własnym domu wśród kwiatów, ogrodu warzywnego i sadu dość dzikiego. Granice nasze przytykały do t. zw. „Lip“, t. j. przepięknej promenady wśród podwójnych rzędów starych drzew lipowych, należącej do zapadłego zameczku Wiśniowieckich. Tutaj miał się przechadzać niegdyś młody król polski, Michał Korybut Wiśniowiecki. Opodal od „Zamku“, budynku z XVII stulecia, otoczonego fosą i wałami, ciągnął się ogromny staw zbaraski z brzegami zarosłymi gęsto wysokim szuwarem. Tutaj starsi bracia uczyli mnie pływać w bardzo prosty sposób. Pokazano mi, jak się pływa i rzucono na głęboką wodę! Reszta należała już do mnie.

Na przedmieściu Zbaraża, w Starym Zbarażu, widne były na wyniosłem wzgórzu ruiny starego zamku. Niedaleko stąd był „Księży Lasek“, miejsce majówek i wycieczek ludności zbaraskiej.

Całą okolicę miasteczka zwiedziłem w nieustannych pochodach i wycieczkach, tłukąc się na cudzych koniach po pastwisku, piekąc w rowie ziemniaki w jesieni i doznając przeróżnych „przygód“.

W domu był nadzwyczaj surowy system wychowania dzieci. Kiedy ojciec wchodził do pokoju, wszyscyśmy wstawali i czekali aż siąść pozwoli. Ojciec był do czwartego lub piątego roku dziecka tkliwym i pieszczotliwym; skoro tylko chłopak zaczynał cokolwiek rozumieć, zaczynał się rygor prawdziwie żelazny. Absolutne milczenie w towarzystwie ojca było koniecznym obyczajem, o obcowaniu dzieci z ojcem nie było mowy. Ojciec sam był człowiekiem milczącym i był znany w całej okolicy z wielkiej prawości charakteru. Był on biczem bożym dla każdego blagiera w towarzystwie, bo nie lękał się powiedzieć prawdy w oczy najwpływowszym ludziom. Ze starostą Niemcem, biurokratą żył na bardzo złej stopie, zwłaszcza w czasach powstania 1863 r. i po powstaniu. Kiedy Niemiec starosta wysyłał ojca do okolicznych dworów dla odbywania rewizji i poszukiwania powstańców, musiała matka moja na kilka godzin przedtem jechać, co koń wyskoczy, dla ostrzeżenia we dworze przed rewizją. W ten sposób oczywiście służbistość mojego ojca okazywała się w bardzo niepewnem świetle w oczach przełożonego. Chłopi i Żydzi zachowali przez długie lata bardzo miłą pamięć o moim ojcu, jako urzędniku. Pamiętam niejedną burzliwą scenę w domu, kiedy próbowano ojca przekupywać podarunkami — wedle powszechnych praktyk ówczesnych. Ojciec wracał z urzędu i wówczas okazywało się, że przysłana dziczyzna, ryby i t. d. były łapówką. Kazał to bez litości wyrzucać i groził skargą biednym faktorom żydowskim, których użyto jako pośredników. Ale na Boże Narodzenie gmina żydowska przysyłała ojcu co roku ryby, co się zakorzeniło, jako zwyczaj odwieczny.

Ostatnich dziesięć lat życia był ojciec chorym człowiekiem. Uratował się wprawdzie po ataku apoplektycznym, ale musiał bardzo uważać na siebie. Żałowałem całe życie, że stary, niemądry sposób wychowywania dzieci nie dozwolił mi nigdy zbliżyć się serdecznie do ojca. Nauczyłem się dopiero później cenić jego czysty i piękny charakter.

W szóstym roku życia poszedłem do szkoły, do OO. Bernardynów w Zbarażu. Czytać i pisać nauczyłem się już przedtem, bawiąc się literami i otrzymując wskazówki od ojca. U Bernardynów byłem zawsze bardzo dobrym uczniem. Dwa typy księży pamiętam. Jeden, ks. Rzepka, był uosobioną dobrocią i słodyczą. Szeroki w plecach, blondyn, młody jeszcze, miał tak serdeczny i słodki uśmiech na ogolonej pełnej twarzy, że dotąd jeszcze odczuwam silną przyjemność, gdy o nim wspomnę. Drugi, ks. Dziurzyński, był postrachem całej szkoły. Nerwowy, chudy, groźny uczył w najwyższej klasie. Kiedym raz w sporze z uczniem wyższej klasy uderzył go w twarz, spotkała mnie po raz pierwszy w życiu kara chłosty w kancelarji ks. Dziurzyńskiego. Dostałem trzy plagi i wziąłem to sobie tak do serca, że nie wróciłem wcale do domu, lecz uciekłem na rzekę, gdzie z urwisami zbaraskimi pływałem na krach lodowych. Dopiero późnym wieczorem odnaleziono mnie nad rzeką i zaprowadzono do domu, zostawiając mnie zresztą w spokoju.

Dnia 6 grudnia 1875 r. byłem rano w szkole, kiedy mnie nagle zabrano do domu, gdzie zastałem wszystkich w przerażeniu i rozpaczy. Ojca przywieziono przed chwilą martwego z biura. Umarł był tam nagłą śmiercią podczas rozmowy z jednym z synów. Wszelkie wysiłki lekarzy okazały się bezskuteczne. Śmierć ta ogłuszyła mnie zupełnie, chociaż oprócz zamętu w głowie nie odczuwałem ani bólu, ani żalu i czyniłem już sobie wtenczas jako dziecko w skrytości duszy wyrzuty, że niebardzo płakałem.

Po śmierci ojca matka przeniosła się z młodszemi dziećmi t. j. z Feliksem, Zofją i ze mną do Stanisławowa, gdzie zapisałem się wkrótce do gimnazjum. Brat Feliks był w szkole realnej. Życie nasze stało się bardzo skromne i pracowite. Nie było środków dla wychowania dzieci, to też zacząłem już w pierwszej klasie dawać lekcje kolegom. Wraz z bratem byliśmy najlepszymi uczniami w szkole. Tylko temu zawdzię-

czałem, że profesorowie patrzyli przez palce na zupełny brak podręczników szkolnych u mnie. Przez pięć lat blisko owej nauki gimnazjalnej nie miałem żadnych podręczników i uczyłem się u moich uczniów, bo lekcji miewałem po trzy i cztery. Byłem dumny z tej pracy, bo odziewałem się zupełnie za własne pieniądze, a nawet czasem mogłem matce drobnostką dopomódz.

Już w pierwszych klasach gimnazjum stałem się pod wpływem mego brata gorącym patrjotą polskim. Umiałem z nim razem śpiewać wszystkie chyba piosenki powstańcze z r. 1831 i 1863, czytałem książki z dziejów Polski i wyrabiałem sobie nietyle sądy, ile sympatje i antypatje dla poszczególnych osób z tych dziejów.

Ale wkrótce miała nadejść chwila przełomowa, która pchnęła mnie i brata na tak odległe tory, o jakich nigdy dotąd nie marzyłem.

Przeciw Habsburgom.

Było to w klasie czwartej, kiedy zacząłem, w czternastym roku życia, pierwszą walkę o moje zasady.

W Stanisławowie był piękny zwyczaj, że na Zaduszki ozdabiała polska młodzież szkolna grób powstańca-poety, Maurycego Gosławskiego, który tu zmarł w więzieniu. Co roku zbierała się młodzież, śpiewała patrjotyczne pieśni: „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“ i t. p.

Zazwyczaj rozdawano na cmentarzu jakiś wiersz okolicznościowy, napisany przez ucznia gimnazjum, lub szkoły realnej.

W r. 1880 napisał taki wiersz nadgrobny mój brat Feliks. Był to czas, kiedy dynastja szukała zgody z galicyjską szlachtą i wogóle ówczesną „miarodajną“ opinją publiczną kraju. Cesarz obiecał odbudować Wawel i przygotowywał się do objazdu Galicji. Dla naszego kółka młodzieży było to wszystko ciosem bolesnym. Myśmy przecie byli najskrajniej nieprzejednani i marzyliśmy ustawicznie o walce z bronią w ręku przeciwko wszystkim najeźdźcom na polskiej ziemi.

Wiersz Feliksa był też płomiennym protestem przeciwko temu, by „Chrobrych korona“ spoczęła na skroni niemieckiej dynastji.

Ja podjąłem się wiersz odhektografować i rozrzucić wśród publiczności na cmentarzu. I rzeczywiście udało mi się kilkaset egzemplarzy rozdzielić między młodzieżą, śpiewającą przed grobowcem Gosławskiego w późny wieczór listopadowy, poczem, dumny ze spełnionego czynu, poszedłem do domu.

Na trzeci dzień padł popłoch na obie szkoły. Szukano autora i jego pomocników. Feliksa aresztowano pod zarzutem obrazy majestatu, mnie dyrektor kazał narazie szkołę opuścić. Zostałem jako współwinny wciągnięty do śledztwa sądowego.

W domu zapanowała straszna rozpacz. Matka zalewała się łzami na myśl, że jej obaj synowie, z których była tak dumną, nagle znaleźli się w śledztwie karnem. Tysiące wyrzutów spadały na mnie, podczas gdy Feliks siedział w więzieniu stanisławowskiem.

Ale obaj byliśmy od najwcześniejszej młodości tak hardymi i samodzielnymi chłopcami, że nie ugięliśmy się ani na chwilę. W niezliczonych sporach z matką mieliśmy sposobność jej oświadczyć, że nie uczymy się „dla chleba“ — jak biedna, kochająca nas ślepo matka chciała — lecz dla nauki i dlatego, żeby kiedyś módz walczyć o nasze ideały.

Że całe miasto, pełne urzędniczych familji, okrzyczało nas obu za najszkodliwszych ludzi pod słońcem, że stroniono od nas i pokazywano palcami dla odstraszającej przestrogi, to nas absolutnie nie wzruszało. Sędzią śledczym był młody urzędnik p. S., później wysoki dygnitarz w sądownictwie galicyjskiem. Pamiętam, że raz wieczorem mnie przesłuchiwał i poczęstował grzecznie papierosem.

Wreszcie stanęliśmy z bratem przed sądem przysięgłych. Prokurator na rozprawie odstąpił co do mnie od oskarżenia; może czuł całą jego śmieszność wobec mego wieku. Obrońca brata, p. Eminowicz, prowadził rozprawę bez poniżenia nas wobec trybunału. Uzbrojony w cały stos książek, dostarczonych mu przez Feliksa, zaczął cytować najsilniejsze miejsca przeciwko Austrji i dynastji z dzieł Mickiewicza, E. Chojec-

kiego i innych, dozwolonych w Austrji. Jeżeli to wszystko — mówił — wolno było młodym ludziom czytać swobodnie, nie można ich karać za to, że się tem gorąco przejęli i to samo publicznie wypowiedzieli.

Ława przysięgłych uwolniła też Feliksa jednogłośnym werdyktem, a potem wszyscy przysięgli zeszli do nas i bardzo serdecznie nas ściskali. W triumfie odprowadzili nas przyjaciele do domu, a mnie pozwolono uczęszczać do gimnazjum.

Ale ten pierwszy występ nie „ustatkował“ nas wcale. Było to raczej pierwsze prześladowanie, chrzest buntowników, wskazówka naszej drogi przez długie, długie lata...

Na nic się nie zdały łzy matczyne, na nic morały nauczycieli, na nic odosobnienie nasze wśród kolegów i wszystkich „spokojnych ludzi“. Kiedyśmy się dowiedzieli o tem, że urzędowy nasz opiekun, p. dr Z., poseł sejmowy z Podola, wyraził listownie matce swoje oburzenie na nas obu, postanowiliśmy nie kłaniać mu się, jeżeli go spotkamy. Wcześnie już zaczynaliśmy dookoła siebie odczuwać wrogie otoczenie, wcześnie musieliśmy się uczyć cierpieć i walczyć!

W mojej późniejszej walce politycznej z panującem w kraju stronnictwem, używano przeciw mnie często śmiesznego argumentu, że zwalczam szlachetczyznę, a sam jestem szlachcicem... Otóż co do tego szlachectwa mojego, rzecz jest dla mnie zupełnie niejasna. Matka była wprawdzie herbową szlachcianką (herbu Leliwa), ale ojcowskie szlachectwo było mocno niezdecydowane. Późniejszy mój kolega w krakowskiej radzie miejskiej, dr Ponikło, wyszperał w warszawskich aktach, że jakiś Tomasz Daszyński stał przed sądem królewskim w obozie pod Połockiem, w r. 1517 za zabicie „brata szlachcica“ i został grzywną ukarany, ale czy miał on jakikolwiek związek z moją rodziną, tego nie wiem. Ani w domu nikt nam szlachectwa w głowę nie wkładał, ani ja później nigdy za żadnego szlachcica nie uważałem się i dlatego nie traktowałem argumentu przeciwników politycznych inaczej jak humorystycznie.

Spiski studenckie.

W owym czasie mieliśmy już tajny związek patrjotyczny, w którym łączyło się kilkunastu młodych chłopców ze wszystkich szkół średnich Stanisławowa, a więc i seminarjum nauczycielskiego. Związek znajdował się pod silnym wpływem rodziny D., przyjaciół Towiańskiego i Mickiewicza. 1848 rok silniej na nas wówczas oddziaływał niż 1863, chociaż i tych bezpośrednich wpływów nie brakło. W Stanisławowie osiadło kilka inteligentnych rodzin „emigranckich“, które schroniły się po klęsce 1863 r. do Galicji. Przyjeżdżał tu i Agaton Giller, który jednak żadnego wpływu na naszą umysłowość nie wywarł.

Zbieraliśmy się za miastem w domu pp. D., albo na wycieczkach, nad rzeką Bystrzycą. Ukryci w łozach nadbrzeżnych, tworzyliśmy koło, w którem czytało się książki, często zakazane.

Fechtowaliśmy się zajadle pałaszami, karabinami, lancami, gimnastykowaliśmy się z zapałem, pływali, maszerowali, mając ciągle na myśli, że kiedyś to wszystko w powstaniu się przyda. Na wycieczkach robiliśmy znajomości, które miały kiedyś także się przydać... Atmosfera, w której wzrastaliśmy, była rycerska, przyczem nie zaniedbywaliśmy literatury polskiej i czytaliśmy wielkich poetów polskich z głębokiem nabożeństwem.

Na szkołę patrzyliśmy jako na instytucję, wychowującą marnych serwilistów. Przedmiotem naszej nienawiści byli obaj katecheci. Jeden — w gimnazjum — był to człowiek obłudny, o którym doszła nas wieść od starszych, że dawniej był donosicielem i autorem tajnych raportów do namiestnictwa. Tego nienawidziłem całą duszą i na nic się nie przydały pozory dobroduszności, które wobec uczniów przybierał. Drugi — w szkole realnej — był to zarozumiały, zmanierowany głupiec, który nas częściej rozśmieszał, niż do nienawiści pobudzał. Zdaje się, że obaj czuli pogardę naszą i nienawiść; odpłacali nam równą miarką.

Z góry też patrzyliśmy na „tromtadrację“ i kłamliwy patrjotyzm kołtunów, noszących podczas różnych występów konfederatki i kontusze.

Burmistrzem Stanisławowa był głośny swego czasu poseł Kamiński, który dopuścił się nieczystych sprawek przy budowie kolei „transwersalnej“ i musiał złożyć mandat. Chodził oczywiście w kontuszu przy każdej uroczystości. Do szału doprowadzały nas jego słowa, jak: „najjaśniejszy Pan pozwala nam mówić po polsku“, za co oczywiście winni mu Polacy wdzięczność i t. d.

W naszych oczach pojęcie Polaka było równoznacznem z człowiekiem szlachetnym, chętnym do największych ofiar dla ojczyzny i pracującym dla jej jak najrychlejszego oswobodzenia. Dlatego z nieufnością patrzyliśmy na tych, co swoją polskość głównie kontuszem okazywali. Mieliśmy przed sobą przykłady najmarniejszej hołoty ludzkiej, odziewającej się w czamary i szukającej tym sposobem szacunku ludzkiego; nic dziwnego, że nie sprzyjaliśmy „czapkom na zawiasach“.

Głębokie wrażenie wywarła na nasze kółko śmierć cara Aleksandra II w dniu 1 marca 1881. Skoro tylko wieść o tem doszła do Stanisławowa, brat narysował szybko kilka wielkich rysunków kredką, napisał odpowiedni radosny wierszyk pod spodem i w nocy ponaklejano te ryciny na głównych gmachach miasta, gdzie je rano ludność oglądała. Był to dla nas jeden z najradośniejszych dni; z naprężoną ciekawością czytaliśmy o wszelkich szczegółach zamachu, tak szczęśliwie wykonanego i to przez Polaka, Ignacego Hryniewieckiego!

Szczególną antypatją otaczaliśmy pomnik spiżowy Franciszka I, który stał przed gimnazjum. Uważaliśmy go za tyrana, a jego ministra Metternicha za wcielenie szatana na ziemi. To też jednej nocy ubraliśmy ten pomnik po swojemu... Rano zobaczył tłum młodzieży gimnazjalnej, spieszący do szkoły, dziwny pomnik; z głowy zwieszała się długa na metr szlafmyca, zrobiona z nogawki kalesonów jednego z kółka. Że wybrano nie najczystsze, można łatwo zrozumieć... Twarz i piersi zamazane były podejrzanie brunatno żółtą farbą, berło tak samo.

Nauczyciele odpędzili skwapliwie młodzież od tego dziwnego widoku, a stróż gimnazjalny z policjantami mieli na drabinach dość roboty przy zmywaniu gorącą wodą farby i zdejmowaniu z korony owej szlafmycy zakończonej sutym kwastem.

Sprawka ta nigdy się nie wykryła.

Wkrótce zaszła zadziwiająca zmiana w naszem kółku. Oto poznaliśmy się z Ukraińcami. Byli to młodzi studenci śpiewający cudownie rusińskie pieśni, pochodzący albo z chłopów, albo z rodzin księżowskich. Pewnego dnia nastąpiło uroczyste zbratanie się dwóch narodów. Jako najmłodszy zostałem wysłany do miasta po chleb. Ale nie na to, aby towarzystwo miało go jeść. Chleb ten służył do ceremonji braterskiej łamania się nim, jakby opłatkiem. Wszyscyśmy się chlebem łamali, ściskali i całowali, poczem Rusini zaśpiewali, ale tak, że „dusza rosła“...

Podstawę ideową tego związku stanowiła słowiańszczyzna, a raczej dziwne idee nasze o starosłowiańskiej wspólnocie gminnej. Rzuciliśmy się z namiętnością do studjowania słowiańszczyzny, do opisów narodów słowiańskich, przyczem Rosjan uważaliśmy za tak silnie zmieszanych z Mongołami, że właściwie do wielkiej przecudownej rodziny słowiańskiej nie mają prawa należeć...

Nie cierpieliśmy Niemców, natomiast sympatją naszą darzyliśmy Celtów. Mieliśmy cały system oceniania różnych narodów. Kochaliśmy Hindusów, mieszkańców Kaukazu, Albańczyków, Basków i południowych Słowian.

Gmina słowiańska miała odrodzić cały świat i dać mu prawdziwe braterstwo. O socjaliźmie mieliśmy całkiem niejasne, mętne i fałszywe pojęcia.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nasze marzenia „słowiańskie“ były głębokim protestem przeciwko niewoli rosyjsko-niemieckiej, w jakiej żyła Polska i zarazem jakgdyby surogatem socjalizmu. Nie mogliśmy znosić spokojnie nędzy galicyjskiej, która wytwarzała straszliwe zwyrodnienie moralne i fizyczne w dostępnem dla nas otoczeniu.

Uciekały nasze młode dusze od tej strasznej galicyjskiej rzeczywistości w krainę utopji i dopiero socjalizm dał nam potem sposoby konsekwentnej walki z tą rzeczywistością.

Ale wróćmy do naszych spisków.

Brat mój wypracował przepisy tajnego związku naszego z Rusinami. Wieczorem ciemnym poszliśmy wszyscy za miasto i ukryci w podziemiach starej cegielni, wysłuchaliśmy uroczystej roty przysięgi, oraz głównych przepisów, które miały nas odtąd obowiązywać.

Wynajęliśmy dla biedaków tajnego związku dwa pokoje na przedmieściu, a mnie obrano kasjerem. Schodziliśmy się często za miastem u pp. D., aby czytać, rozmawiać i śpiewać przy herbacie.

Najmilszym przedmiotem naszych marzeń była praca wśród chłopów; mieli nam w tem być pomocni wychowankowie seminarjum nauczycielskiego, skoro pójdą już na posady na wieś.

Związek liczył z górą 30 członków.

W tym czasie zacząłem w gimnazjum moją pierwszą działalność „agitacyjną“, która się bardzo smutnie miała skończyć. Byłem w piątej klasie i miałem lat piętnaście, ale czytałem już wówczas dość wiele. Podczas dziesięciominutowej pauzy wstępowałem na katedrę i opowiadałem kolegom o rewolucji r. 1848. Między innemi opowiadałem o ucieczce dworu austrjackiego z Wiednia, o legji studenckiej, o jenerale Bemie i t. d. Ani mi przez myśl nie przeszło, że tuż obok mnie siedzący kolega pilnie sobie te wszystkie moje wykłady w pamięci notował, aby je potem opowiedzieć w kancelarji dyrektora...

Były jeszcze wtedy w szkołach t. zw. „lokacje“ tj. szereg zaczynający się od pierwszego ucznia „celującego“, czyli „premianta“, a kończący się na ostatniej „oślej ławie“, gdzie często siadywały najsympatyczniejsze wisusy w szkole. Otóż ów kolega-denuncjant nazwiskiem Klapper, starszy odemnie i pilny nadzwyczajnie, nie mógł mnie „pobić“, nie mógł uzyskać „pierwszego“ miejsca. Ta konkurencja tak dalece go rozgoryczała, że miesiącami całymi nie mówił do mnie, choć tuż obok siedział. Aż wreszcie nie wytrzymał i poszedł do dyrektora... Na tym smutnym przykładzie poznałem, do czego doprowadził bezmyślny szkolny system „lokacji“, szczęśliwie potem zniesionych.

Zaczął się sądny dzień w biurze dyrektora, człowieka ponurego i rządowca. Protokóły szły jedne po drugich aż przyjechał szef biura szkolnego, p. Bodakowski i jeszcze raz wezwano mnie do protokółu. Nie zapomnę nigdy jednego zdania, które ten wysoki urzędnik wyrzekł do dyrektora. — W Tarnopolu — mówił — młodzież pije i gra w karty, ale wolę ją od stanisławowskiej, która politykuje...

Że niebardzo byłem zbudowany, usłyszawszy takie zdanie z ust starego człowieka, łatwo można zrozumieć. Nawiasem mówiąc, wkrótce i młodzież tarnopolska „zaraziła się“ rewolucyjnymi zasadami, co wywołało w swoim czasie w kołach rządowych senzację.

Cała ta historja skończyła się wydaleniem mnie z gimnazjum stanisławowskiego. Że mnie ze wszystkich szkół nie wydalono, miałem podobno do zawdzięczenia nader sympatycznemu wstawieniu się za mną całego grona nauczycielskiego. Zresztą wyszło to na jedno, bo nigdzie żaden dyrektor z obawy o spokój nie chciał mnie przyjąć do swego zakładu.

Na tem miejscu muszę austrjackim władzom szkolnym wyrazić za wyrzucenie mnie w roku 1882 z gimnazjum moje najszczersze podziękowanie. Uratowałem w ten sposób cztery lata życia, nauczyłem się bardzo dużo, przeczytałem dziesięć razy więcej dzieł naukowych, niżbym to mógł był w szkole uczynić.

Ale pora wrócić do naszego konspiracyjnego kółka.

I tutaj miał wkrótce paść cios ze strony władzy. Pewnego poranka aresztowano kilku członków kółka pod zarzutem należenia do tajnego stowarzyszenia. Paragraf ten miał potem przez długie lata odgrywać przeciwko nam ważną rolę, aż go około r. 1891 wyrzuciliśmy na śmiecie, po długim procesie w Krakowie. Zajechaliśmy go poprostu na śmierć przez to, żeśmy zaczęli prowadzić jawną robotę i nauczyliśmy się korzystać z prawa koalicji.

Ale nim do tego doszło, musieli nasi przyjaciele siedzieć w więzieniu. Najwięcej dostał mój brat — bo aż sześć tygodni. Oburzającem było, że naszych towarzyszy, nauczycieli wiejskich, dostawiono do Stanisławowa do sądu w kajdanach!

Z owych czasów datuje się moja nienawiść do wszelkich policyjnych i żandarmskich szykan i do owego tak niestety jeszcze łatwego pozbawiania biednych ludzi wolności osobistej o lada drobnostkę. Zanim opuściłem Stanisławów, zaszły w naszem kółku znamienne zmiany. Kiedy cały system pierwotnego komunizmu słowiańskiego był już w naszem kółku wypracowany, wysłaliśmy w świat naszych emisarjuszy, mających na celu spropagowanie najwybitniejszych socjalistów i nawrócenie ich na nasz program.

Brat mój pojechał do Krakowa, drugi zaś, D. do Lwowa.

Po kilku miesiącach zjechali obaj emisarjusze do Stanisławowa a ze sobą przywieźli kufer broszur i książek socjalistycznych!... Przywieźli też nutę i słowa nowej pieśni bojowej „Czerwonego Sztandaru, którąśmy wnet wystudjowali.

W dawnem miejscu zbornem za miastem zebrało się nasze kółko i rozdzielono książki do przestudjowania. Kiedy po pewnym czasie kółko się znowu zebrało, okazało się, że wszyscy godzili się na zasady socjalizmu, z wyjątkiem dwóch, którzy też ustąpili.

ROZDZIAŁ II.

Wyznawca socjalizmu. — Tułaczka. — Na uniwersytecie. Pierwsze więzienie. — Wyjazd za granicę.

W r. 1882 byłem już zatem socjalistą i odtąd zaczęła się praca i walka, trwająca aż po dzień dzisiejszy. Polem mojej publicznej pracy, — w której utonąłem bez reszty — miała być przez przeszło ćwierć wieku Galicja i Śląsk Cieszyński. Aż do r. 1893 pracowałem wyłącznie w Galicji. Co to znaczyło, tego już żaden człowiek z młodszego pokolenia nie zrozumie... Galicja ówczesna to był kraj nędzy i niedorozwoju społecznego olbrzymiej większości jej nieszczęśliwych mieszkańców. Traktowana przez rząd austrjacki jak kolonja, która dostarczała surowców i żywności, a kupować musiała wyroby przemysłowe zachodnich krajów austrjackich, była Galicja pod względem politycznym wydzierżawionym szlachcie polskiej folwarkiem. Powołam się na ogólną charakterystykę Galicji, zawartą w sławnej w swoim czasie książce Stanisława Szczepanowskiego „Nędza Galicji w cyfrach". (Lwów 1888). W przedmowie pisze on:

„w Galicji, przyłączonej do Austrji przed odrodzeniem się narodu polskiego za czasów 3 Maja, przechowały się częściowo przedpotopowe tradycje szlachty przedrozbiorowej, które przyprawiwszy o zgubę dawną Rzeczpospolitą w przeszłym wieku, jeszcze dzisiaj stanowią poważną przeszkodę w odrodzeniu się społecznem naszej prowincji".

U „góry" społeczeństwa stało niecałe dwa tysiące szlachty-obszarników, grupujących się koło „pierwszego obywatela kraju", koło cesarsko-królewskiego namiestnika, a bynajmniej nie koło osoby np. marszałka sejmowego, a więc naczelnika samorządu, jedynej polskiej władzy w kraju!

Parlamentarnymi przedstawicielami tej małej kasty obszarniczej, która z życiem, myślą, nadziejami, czy historją Polski

nie miała nic wspólnego, byli posłowie zjednoczeni w wiedeńskiem „Kole Polskiem“. Posłuchajmy co tenże sam Szczepanowski, wybrany do parlamentu i członek Koła polskiego, pisze jeszcze w r. 1887 o polityce Koła:

„ani obecnie na całej kuli ziemskiej, ani w historji przeszłych wieków niema najmniejszej analogji do polityki ekonomicznej obecnej większości Koła polskiego, dziwoląga składającego się w równej mierze z przedpotopowych tradycji szlachty przedrozbiorowej i z zardzewiałej rutyny austrjackiego biurokratyzmu. Największa osobista zacność i niepokalaność charakteru nie może wynagrodzić zupełnego zapoznania niezbędnych potrzeb ekonomicznych nowożytnego społeczeństwa“...

Cyfry ilustrujące nędzę niewypowiedzianą mieszkańców Galicji są wprost przerażające. Obliczone w zbożu środki żywności „galicjanina“ wynosiły w owym czasie 261 kilo, podczas gdy w Niemczech 507, a w Anglji 607 kilogramów rocznie. Głód, jako stałe zjawisko na wsi, zabierał rocznie 50 tysięcy ludzi, zwłaszcza „na przednówku“ na wiosnę... Podczas gdy w r. 1860 ludność Królestwa i Galicji była prawie zupełnie równa (około 4.840.000 głów) w dwadzieścia pięć lat później Królestwo liczyło 8,000.000 a Galicja 6,400.000 ludzi. Różnica na niekorzyść rozwoju Galicji półtora miljona ludzi! Analfabetyzm był tak wielki, że na wsi na sto ludzi zaledwie dziesięciu umiało czytać i pisać! Reszta to była ciemna glina społeczna, ugniatana bezkarnie przez rząd i kler. Gęste zaludnienie, brak ziemi jako warsztatu pracy, nędzna, bo nieraz dziesięć centów (8 kopiejek) dziennie wynosząca zapłata za całodzienną pracę dorosłego człowieka (!) „na pańskiem“, wszystko to musiało kiedyś wywołać ucieczkę chłopów z kraju nędzy, czyli masową emigrację. Ale aż do r. 1888 emigracja była nieznaczną. Dopiero od tego roku Zachodnia Galicja poczyna wysyłać w świat do Niemiec, na Śląsk i do Ameryki coraz to liczniejsze wychodźtwo. Za nią poszła później Galicja Wschodnia, przyczem Rusini jechali przeważnie do Kanady. Warto było słyszeć, co wobec tego koniecznego zjawiska wyprawiała klasa rządząca. Zatrwożeni o najtańszego na świecie robotnika-nędzarza (bo nawet kulis chiński nie mógłby wyżyć z tego „zarobku“) szlachcice pchnęli do powstrzymania emigracji przedewszystkiem księży, aby z ambon straszyli lud wiejski okropnościami, które oczekują emigrantów. Śmierć ciała i duszy miała na nich czyhać za granicami kraju. Potem starostowie i żandarmi utrudniali wydostanie paszportów. W starostwach objętych ruchem emigracyjnym urzędnicy robili majątki na łapówkach za paszporty, pobieranych od nędzarzy chłopskich. Na granicy niemieckiej, w przejeździe przez ocean, a potem już w Ameryce, wszędzie obdzierano tych „galicjan“ nielitościwie. Jak wilki i sępy za stadem bawołów, tak bandy łapichłopów i oszustów-gwałcicieli dążyły za zyskiem z kieszeni tych najbiedniejszych. A gdy potem, znacznie później, powstały różne towarzystwa niby ochronne (św. Rafała i inne), to zwłaszcza politykujący księża tłuste z nich mieli dochody, a emigranci tyle tylko zyskali, ile im okropne doświadczenia swych poprzedników, opowiadane jako tradycja ustna, pomódz mogły. A szlachta do ostatniej chwili głośno narzekała na najbłahszą opiekę, którą ktokolwiek ośmielił się otoczyć uciekających z kraju przed śmiercią głodową chłopów polskich i rusińskich!... Ta sama potężna kasta, licząca wraz z żydowskimi „dziedzicami“ zaledwie 20.000 głów (już z rodzinami) zwalczała zajadle wszelką inicjatywę stworzenia przemysłu w kraju. Dziki, ciemny egoizm reakcyjnej szlachty wołał tylko o jedno: o taniego, najtańszego na świecie robotnika rolnego i miał go dotąd, aż wreszcie na początku dwudziestego stulecia masy chłopskie zaczęły po raz pierwszy od stworzenia świata — strajkować!

Rząd austrjacki widział znów w emigrantach ubytek rekruta i dlatego zamiast opieki rzucał wychodźcom utrudnienia i szykany. To też dochodziły nas niezwykłe nieraz wieści o losie emigrantów na obczyźnie. W Honolulu, na plantacjach cukru trzymano Polaków jak bydło robocze w zamknięciu, stworzywszy z nich rodzaj białych niewolników; w Pensylwanji, w Hazelton strzelali „pinkertoni“ (najemnicy zbrojni w służbie kapitalistów) Carnegie'go do strajkujących robotników polskich w kopalniach jak do zajęcy. Nikt się o nich nie

upomniał, nikt nie wyzwolił. Koło Pitsburga widziałem w r. 1910 groby pozabijanych podczas strajku robotników polskich... Emigrant Polak otrzymywał też wszędzie najniższą zapłatę. A jednak emigracja chłopska stała się potężnym czynnikiem ekonomicznym w kraju. Ona to umożliwiła w Zachodniej Galicji wykupienie folwarków średniej szlachty przez chłopów, a nadto emigracja chłopsko-robotnicza przysyłała rocznie do kraju około 50 miljonów koron. Praca chłopa na obczyźnie ratowała kraj od skrajnej nędzy, a zabawa pańska za granicą rujnowała go i hańbiła. Oto bilans szlachecko chłopski z owych czasów.

W kraju jednak ta praca chłopska pod rządami szlachty była najmniej produkcyjną i tenże Szczepanowski z wielką słusznością mógł napisać znamienne słowa:

„Podczas kiedy na każdego Anglika lub Francuza wypada w ekwiwalencie zbożowym około 6 cetnarów rocznie, a na każdego Niemca około 5 cetnarów, to przeciętny galicjanin konsumuje tylko trochę więcej niż 2½ cetnara. Jak pierwej widzieliśmy, że praca rolnika galicyjskiego wydaje zaledwie czwartą część tego plonu, co praca rolnika w zachodniej Europie, tak teraz widzimy, że jego pożywienie nie dochodzi ani połowy tej ilości, co pożywienie w zachodniej Europie. Każdy galicjanin pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka.

Nieudolność w pracy bezwątpienia w znacznym stopniu zależy od niedostateczności pożywienia. Galicjanin kiepsko pracuje, bo się nędznie żywi, a nie może się żywić lepiej, bo za mało pracuje. Jest to zaklęte koło, z którego trzeba szukać wyjścia“.

To wyjście znalazł chłop, uciekając za granicę.

Rzuciłem tych kilka uwag o emigracji, aby pokazać w jakich warunkach żyła wieś galicyjska w owym okresie. Miasta nie lepiej się przedstawiały. Ale o nich, o walce robotniczej, dążącej do wyzwolenia się z nędzy ekonomicznej i z niewoli społecznej czy politycznej będę pisał obszernie, bo to wyzwolenie było treścią walki, którą miałem prowadzić.

Lata, w których zacząłem pracę całego mego życia, były w Galicji latami ciemnej popowstaniowej nocy, w której tonął kraj cały. Przeklinano powstanie i szukano spokojnego

życia pod rządami zaborców. W Krakowie ks. Goljan miewał kazania, wyklinające pamięć ruchu zbrojnego 1863 r. Młodzież akademicka protestowała przeciwko tym obelgom i bezczeszczeniom świętości, ale murarze krakowscy podburzeni stanęli po stronie księdza i obili studentów! Jakże się role zmieniły od tego czasu!...

Politycznie zdecydowało się rządzące stronnictwo konserwatywne na ugodę z cesarzem austrjackim przy równoczesnem wyparciu się powstania, tj. idei niepodległości. Rząd miał oddać władzę konserwatystom, a jeden z wpływowych członków tej partji, Ekscelencja Paweł Popiel, w liście do Jerzego Lubomirskiego pisze wyraźnie: „wyprzeć się ostatniego ruchu, uznać go i potępić jako zgubny, odtrącić ludzi, którzy mu przodkowali, albo potakiwali“...

Podstawą tej polityki miała być słynna rezolucja Sejmu galicyjskiego z 10 grudnia 1866 r., gdzie czytamy:

„Czerpiemy też, N. Panie, we własnem już, a głębokiem przekonaniu tę podnoszącą serca wiarę, że w moc opatrznego przeznaczenia i wiedziona dziejów koniecznością, Austrja — aby być i silniej niż kiedy zakwitnąć — będzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem poszanowania wolności, a na zewnątrz tarczą cywilizacji Zachodu, praw narodowości, ludzkości i sprawiedliwości. — Takie posłannictwo było udziałem naszym przez długie wieki. Bez obawy więc odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austrji i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“.

To była podstawa paktu szlachty polskiej z cesarzem. Na tej podstawie zbudowała ona system panowania nad krajem, przyczem oddano jej do dyspozycji wszystkie urzędy państwowe i autonomiczne, dochody z wszelkich możliwych źródeł, cały kler na usługi, zastój społeczny i ekonomiczny, wszystko jednem słowem czego potrzebowała. Wzamian za to kraj dawał rekruta, podatki i — wierność polityce dynastji. O Polsce i jej prawie do państwowej niepodległości, o potrzebach najważniejszych chłopa, robotnika, miast, przemysłu i rozwoju nie było mowy.

Kiedy w r. 1880 cesarz Franciszek Józef przyjeżdża do Galicji, szlachta przyjmuje go entuzjastycznie i szalenie wystawnie. Niektórzy utracjusze posprzedawali majątki, aby zabłysnąć luksusem w rozgwarze przyjęcia... Wówczas to pisał wpływowy p. A. Wrotnowski o tejże wizycie i o hołdach szlacheckich:

„uwydatniły one polityczną rozdzielność między trzema częściami dawnej Polski; dowiodły mianowicie, iż każda z nich, nabrawszy przeświadczenia o konieczności szanowania granic, jakie między niemi wytworzył fakt rozbioru, jest gotową stosunki swe z mocarstwem, do którego została przyłączona, porządkować sama, bez podnoszenia pytania, jaki wywrze wpływ to porządkowanie na dwa inne zabory“.

A jeden z wodzów „szkoły krakowskiej“ czyli „stańczyków“, p. Koźmian, pisze, że celem ich polityki jest „doprowadzenie do takiego stanu rzeczy, aby każde mocarstwo rozbiorowe z osobna poczytało za odpowiadające jego interesom zapewnienie Polakom, w granicach odpowiednich ustrojowi państwa i panującemu w nich systemowi, ich bytu narodowego“.

Takie wyrzeczenie się jawne i zupełne niepodległego bytu państwowego było też polityką klasy rządzącej we wszystkich trzech zaborach. Nie warto oczywiście przytaczać tutaj uniżonych, niemal skomlących głosów ugodowców konserwatywnych w Królestwie, błagających cara, aby „zapomniał i przebaczył rok 1863“. Ale nawet taki rzekomo „lewicowy“ człowiek jak Aleksander Świętochowski pisał w swojej „Prawdzie“ o niepodległości narodu: „Niezależność państwowa jest — że tak powiemy — tytułem, urzędem, który można postradać bez postradania właściwych cech swojej istoty“. Słowa tego radykalnego ugodowca przypominają znakomitą bajkę o lisie, który w żelazach stracił ogon i potem przekonywał inne lisy, że bez ogona właściwie żyje się doskonale...

A z zaboru pruskiego dochodziły nas słowa sławnego prałata, ks. Florjana Stablewskiego, późniejszego biskupa poznańskiego:

„Czujemy się pruskimi poddanymi, istniejący stan prawnopaństwowy uznaliśmy bez zastrzeżeń. Co będzie za jakichś 200 — 300 lat, tego nie wiemy i nikt nie może nam bronić odmalować sobie daleką tę przyszłość podług naszego upodobania. Senny (!) ten obraz przyszłości nie będzie nam przeszkadzał w radosnem i pełnem spełnianiu naszych obowiązków wobec państwa“.

Tak mówił wódz i „pasterz“ narodu.

Tak to wyglądała owa straszna noc duchów w Polsce, w tym czasie, kiedy my, młodzi Polacy, zaczynaliśmy naszą pracę społeczną. Przeciwko tym programom urządzania się na setki lat w niewoli występowały niedobitki demokracji niegdyś rewolucyjnej, a potem oportunistycznej, mieszczańskiej tj. wychodzącej z mieszczaństwa ubogiego, kołtuńskiego, patrzącego ze strachem na zbliżającą się konkurencję wyrobów fabrycznych, stanu średniego miast, w których od 20 do 50% wynosiła ludność żydowska, obojętna życiu polskiemu, sama pogrążona w mrokach przesądów wyznaniowych i społecznych. Klasa rządząca, ugodowcy z rozmysłu i z wygody klasowej, powoli przeciągała na swoją stronę tych nielicznych „demokratów“, dając im posadki, lub tumaniąc jakiemiś tajemniczymi wzmiankami, że uznaje ich patrjotyzm, ale że sama nie może go jeszcze ujawniać...

Prasa zaś galicyjska, to była rozpacz codzienna dla nas młodych. „Gazeta Narodowa“, organ szlachty podolskiej, „Dziennik Polski“, sprzedający się więcej dającemu, „Przegląd“ osławionego Masłowskiego, pobierający 40.000 guldenów rocznie od rządu za to że pisał, co rząd kazał, wreszcie urzędowa „Gazeta Lwowska“, to były organy reakcji we Lwowie, pod komendą duchową krakowskiego „Czasu“, organu stańczyków. Tylko „Kurjer Lwowski“ Henryka Rewakowicza i krakowska „Nowa Reforma“ Romanowicza służyły opozycji. Ale i te organy demokratyczne nie rozumiały absolutnie, co się w społeczeństwie dzieje i tworzy. Wobec nowego ruchu chłopskiego i robotniczego tylko jeden „Kurjer Lwowski“ zachowywał się przyzwoicie.

Te wszystkie tutaj zaledwie naszkicowane okoliczności z życia naszego otoczenia ułatwiają zrozumienie faktu, że my, młodzi, nie mieliśmy żadnego miejsca w tym procesie umierania myśli

narodowej, nie mieliśmy u starszych nie tylko zrozumienia głębszego dusz naszych, ale byliśmy przez nich wprost odpychani wstrętnymi nieraz morałami i stale gorszeni przez okazy życia publicznego ugodowców. Jeżeli nie chcieliśmy zostać jakimiś karjerowiczami, goniącymi za nędznym zresztą zarobkiem lub tytułem, musieliśmy odejść od tej panoszącej się ugody, odejść najpierw w krainę marzeń, a potem do walki twórczej i świętej, do socjalizmu, opartego o klasę pracującą narodu.

A jedno jeszcze zjawisko warto zanotować. Im bardziej wyrzekano się własnej niepodległości, im bardziej rezygnowano z własnego bytu państwowego, tem bardziej srożył się nacjonalizm i szowinizm. Borba z Rusinami, antysemityzm pojawiają się już w tym czasie na horyzoncie życia publicznego Galicji. Rozpoczyna się walka o miejsce w słońcu łaski cesarskiej między Polakami a Rusinami... Przypomina mi to epizod późniejszy trochę, kiedy za powozem cesarskim podczas jakiejś wizyty na Śląsku biegli na wyścigi Polacy i Czesi, aby być ciągle w pobliżu... Nie przypominam sobie kto też w tym wyścigu zwyciężył, ale wola służalcza była szczerą ze stron obu. Rezygnowano z własnego państwa, ale urządzano się w niewoli choćby kosztem współwięźnia, a Żydzi dawali zawsze „patrjotom" polskim pole do popisu w obronie religji, języka i innych skarbów, które zostały już choćby dlatego, że cesarz ani państwo nie mogły ich tak łatwo odebrać. Kościół zaś pospieszał z surowem napomnieniem. Papież Leon XIII w encyklice do biskupów polskich z 19 marca 1894 pisze, że ci, którzy pozostają pod władzą,

> „winni trwale uszanowanie i wierność chować władcom jako Bogu Królującemu przez ludzi, nie tylko dla gniewu, ale też dla sumienia, za nich czynić prośby, modlitwy, przyczynienia i dziękczynienia; winni przestrzegać świętych państwa przepisów, zdaleka się trzymać od knowań ludzi bezbożnych"...

Ciało trzymały mocno rządy, duszę do uległości nakłaniał kościół; krąg niewoli był zamknięty.

Z tego stanowiska program socjalistyczny Niepodległej

Polski był rewolucyjnym w najwyższym sensie tego słowa. Godził on w trzy najpotężniejsze trony, godził w autorytet kościoła rzymskiego w sprawach świeckich, a równocześnie zagrażał polskim klasom posiadającym, szlachcie obszarniczej, bogatemu mieszczaństwu, wyższej biurokracji, — którzy zawarli lub pragnęli zawrzeć ugodę z zaborcami i „urządzili się" na setki lat w niewoli ku swojej klasowej korzyści. Rewolucyjności tego niepodległościowego programu nie rozumieli esdecy i różni od obcych wpływów zależni socjaliści, którzy ukuli pogardliwe miano „socjalpatrjotyzmu", ale program ten działał rewolucyjnie z konieczności. Nie można było długo utrzymać tezy, że np. socjalista polski może walczyć o wszystkie wolności polityczne, ale nie śmie walczyć o niepodległość swego narodu. A nadto w codziennem życiu walka z klasą posiadającą zamieniała się natychmiast w walkę z rządem, bo ten rząd automatycznie pospieszał na pomoc klasie posiadającej i to we wszystkich trzech zaborach. Oczywiście, że ugodowcy wszelkiego rodzaju nie przyznawali się w pewnej fazie do swojego programu uwiecznienia niewoli. Jedni wysuwali autonomję galicyjską z r. 1861, drudzy obietnice autonomji, którą da wspaniałomyślnie Rosja, inni wreszcie zadawalniali się lichwą zbożową, darowaną Księstwu Poznańskiemu przez chciwych łupu agrarjuszy niemieckich, drogą żelazną, szosą, urzędem pocztowym. Przeciw pieśni naszej „Czerwony Sztandar" ugodowcy śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła"... Przeciw 1 majowi wysuwali 3 maja. Oni byli narodowymi, oni patrjotami, ale tylko — przeciw socjalistom. Byli równocześnie rządowcami, sługami dziwnie wiernymi obcego rządu. Nie był to przypadek, że galicyjscy biorokraci byli z początku stańczykami a potem narodowymi demokratami; ugodowość ich była nieskazitelną a patrjotyzm okazywał się w bezprawnem zamykaniu socjalistów do austrjackiej kozy!...

Nic dziwnego, że gorętsi ale nie najmądrzejsi socjaliści wściekali się na tę grę, że tracili cierpliwość, gdy im ugodowcy ciągle podsuwali Polskę jako główną przeszkodę socjalizmu, gdy ich nazywano „beznarodowymi", gdy ciskano na nich potwarz, że albo Prusacy albo Moskale ich popierają, że „Polak

nie może być socjalistą“, nic dziwnego, powtarzam, że zaczęli się wypierać Polski, że na bankiecie patrjotycznym w Genewie — urządzonym przez socjalistów — jeden z nich krzyknął: „Precz z Polską!“ Ugodowcy — najpierw stańczykowscy, potem narodowo-demokratyczni — mogli niejednemu „obrzydzić“ Polskę, na której czoło w służalczości wobec tronów się wysuwali. Ludzie przyzwoici musieli poprostu ratować się duchowo przed zgnilizną w myśl wskazań Mickiewicza, który każe „plwać na skorupę“ klas posiadających, a „zstępować do głębi“ narodu polskiego, do świata pracy i niedostatku, do chłopa i do robotnika. Droga do tych głębi jednak strzeżoną była czujnie przez żandarma, policjanta i księdza, kierowanego wprawną ręką jezuity...

Wracam po tych smutnych wywodach o stanie ówczesnym Galicji do moich losów osobistych. Były odtąd związane nierozdzielnie z losami — z początku niezmiernie słabego — ruchu socjalistycznego w kraju.

Matka przesiedliła się ze mną i siostrą Zosią do Lwowa. Tu spędzałem całe miesiące na czytaniu dzieł naukowych, a więc Darwina, Haeckla, Lewesa, Spencera, Ribota i wszystkiego, co pisał ówczesny pozywityzm polski.

Na zimę pojechaliśmy do Drohobycza, gdzie matka miała nadzieję — złudną — pomieszczenia mnie w gimnazjum.

Osiadłem zatem w ówczesnem piekle galicyjskiem i miałem sposobność bliżej poznać Borysław — „Kalifornję“ galicyjską, pełną jęków nędzarzy i raptownie powstających fortun kilkudziesięciu jednostek. Niektórzy z borysławsko-drohobyckich bogaczy woskowo-naftowych byli to łotrzy z pod ciemnej gwiazdy, mający niejedno życie ludzkie na sumieniu i idący po trupach coraz „wyżej“ — ku miljonom.

Drohobycka atmosfera wyzywała mnie do buntu. Brutalność złowrogich szubrawców, którzy robili wówczas karjerę w Drohobyczu była tak jawną i publiczną, że nie trzeba było zaiste być socjalistą, ażeby znienawidzieć tę zbrodniczą „produkcję“, ugruntowaną na naturalnych skarbach matki ziemi i na bezgranicznym wyzysku kilku tysięcy rusińskich chłopów, kopiących wosk ziemny w Borysławiu. O nafcie jeszcze wówczas Borysław niewiele wiedział.

Kiedym pierwszy raz pojechał do Borysławia, wzdrygnąłem się na widok tego piekła ludzkiego. Nędzne lepianki, tonące w błocie, nigdy nie wysychającem, gospody straszliwie brudne, pełne zdziczałych i zbydlęconych zupełnie chłopów, obdzieranych do krwi i wysysanych przez pośredników — „kasjerów; zaduch i swąd leżący nad całą rojną, brudną osadą; szeregi ludzi w żółtych, błotem i woskiem oblepionych kitlach, ludzi o żółtej cerze twarzy, o spojrzeniu pokornych żebraków, rój żydowskich „kuczynerów“, znanych z rozboju i najmujących się za parę guldenów do wszelkiej przysięgi w sądzie, — to wszystko było zaledwie cząstką obrazu nędzy, wyzysku i bezprawia, praktykowanego na pokornych grzbietach tej biednej masy ludzkiej. Borysław ówczesny pochłaniał co tygodnia kilka trupów i kilkanaście kalek ludzkich. Władze wiedziały o wszystkiem, a przynajmniej o większej części tych straszliwych wypadków, płynących wyłącznie z podłego, zbójeckiego niedbalstwa przedsiębiorców, z oszczędzania na narzędziach i inwestycjach. A jednak te krwawe raporty pozostawały dla świata zupełną tajemnicą.

Starosta pobierał okazałe łapówki, dyrektor podatkowy zarabiał do 40.000 złr. rocznie „z boku“; sędziów przekupionych pokazywano sobie bez żenady na ulicy, a o jednym z nich tylko mówiono z pewnym trwożliwym szacunkiem, że nie daje się w żaden sposób przekupić.

Władze górnicze były wprost na usługach przedsiębiorców, a robotnicy nie mieli najlżejszego pojęcia o swoich prawach ludzkich i obywatelskich.

Nie było mowy o najskromniejszej choćby organizacji; każdy niewygodny robotnik bywał natychmiast aresztowany, albo robiono z nim krótki proces: najęci „kuczynerzy“ rzucali go w nocy do pierwszej lepszej opuszczonej „jamy“, tj. do szybu zalanego wodą. Znikali też tutaj ludzie jak kamień w wodzie...

W Drohobyczu poznałem się z ówczesnym najgłośniejszym socjalistą rusińskim, Iwanem Franką. Mieszkał on u swojego

ojczyma, w pobliskich Nahujowicach, gdzie go też odwiedziłem. Spałem u niego w chłopskiej chacie, pracowałem przy żniwach lub chodziłem z nim na ryby. Wszystkie nasze wycieczki pełne były rozmów o socjaliźmie, przyczem zachwycałem się bystrością umysłu i dowcipem tego rudego syna chłopskiego, potomka niemieckich kolonistów.

Odsiedział on już swoich dziewięć miesięcy więzienia we Lwowie i był pod zabawnym nadzorem żandarmerji. Z całą powagą donosili żandarmi w raportach do starostwa: „Franko orze“, albo „Franko żnie zboże“, czy kopie studnię. O tem że Franko nocami pisze swoje satyry, poezje i powieści, żandarmi nie donosili. Ale nadzór był rozciągnięty i basta!

Pod wpływem posiewu Franki wyrosła w Drohobyczu garść socjalistów, młodych prawników, którzy oczywiście potem — z chwilą otwarcia kancelarji adwokackiej, — rzucali cały swój socjalizm w kąt, jako niewygodny ciężar.

Ale wówczas byli oni socjalistami i nawet utrzymywali pewne stosunki z rzemieślniczymi robotnikami w Drohobyczu. Wieczorem zbieraliśmy się w czytelni ludowej, na której czele stał miejscowy kanonik łaciński, obdarzony licznem potomstwem, które spłodził ze swoją gospodynią. Czytelnia miała być rozsadnikiem klerykalizmu w mieście, ale przy naszej pomocy zamieniła się w gniazdo socjalistycznej propagandy. Z początku zachodzili tam nawet klerykalni profesorowie gimnazjalni, aby „wpływać“ na młodzież rękodzielniczą. Ale po kilku tygodniach naszego pobytu w czytelni atmosfera stawała się dla tych panów coraz bardziej ciężka, aż wreszcie zawojowaliśmy czytelnię całkowicie, co doprowadziło do jej żałosnego rozwiązania przez samych założycieli.

Wówczas ja, jako pisarz u adwokata, pobierający 12 guldenów miesięcznej płacy, wynająłem na najnędzniejszem żydowskiem przedmieściu, na „Łanach“, pokoik na poddaszu i stworzyłem w ten sposób nowe centrum, gdzie schodziła się młodzież, Żydzi i chłopi z okolicznych wiosek.

Dwa typy ludzkie utkwiły mi z owych czasów w pamięci. Żyd Singer i chłop Melnyk. Jeden i drugi dążyli z całym zapałem, całą siłą ducha do wyzwolenia się z niewoli duchowej, w jakiej obaj pozostawali. Singer robił to w sposób liryczny, naiwny i rozśmieszający ludzi, Melnyk był naturą zdrowszą, potężniejszą i poważniejszą.

Singer opowiadał mi wieczorami niesłychane dzieje swoje wśród żydowskiego ghetta. Kiedy razu pewnego nie chciał wziąć dosłownie przypowieści z ksiąg pobożnych, jakoby w pewnem miejscu morza rzucona siekiera leciała na dno siedem lat, kiedy zaczął wogóle myśleć i mówić jak europejczyk, dostał się pod klątwę „chejrem“ w żydowskiej gminie małego miasta. Musiał się wówczas upokorzyć. Odbywało się to publicznie. Biedny chłopak szedł ulicami do domu modlitwy, obrzucany błotem i kamieniami przez podszczute dzieci żydowskie. Kiedy miał klęknąć na podłodze, aby odwołać swoje bluźnierstwa, jakiś fanatyk wylał konewkę wody na ziemię. W wodzie i błocie klęczał więc mój Singer i — odwoływał...

Ale myśl buntownicza w tym mózgu brzydkiego jak małpa żydziaka, nie dała za wygraną! Wyjechał z miasteczka, został „kasjerem“ w Borysławiu i obdzierał przez jakiś czas biednych chłopów, tak jak to robili inni „kasjerzy“. Poczem rzucił to podłe i brudne rzemiosło, nauczył się polskiego, niemieckiego, rachunków i innych przedmiotów nauki szkolnej i został prywatnym nauczycielem. Kiedy znalazł się wśród nas, szukał w naszem gronie nie tylko wiedzy, lecz także moralnej zachęty na swojej ciężkiej drodze życiowej. Jasne jego oczy, wyzierace z twarzy potwornie brzydkiej, patrzyły błagalnie na mnie, gdy prosił o informacje. Z jaką dumą zato odczytywał swoje niemieckie, dzielne korespondencje, które umieszczała wiedeńska socjalistyczna „Wahrheit“.

Z roku na rok nosił coraz to krótsze paltoty i surduty, aż doszedł wreszcie do stroju europejskiego, przyczem pejsy znikły pewnego dnia z nad uszów Singera...

Szedł on coraz to wyżej w oświacie, aż odważył się na zdanie egzaminu nauczycielskiego, aby dostać miejsce w szkole barona Hirscha w Borysławiu. Ale i na tem miejscu nie zaznał spokoju, aż wyjechał do Ameryki Północnej, skąd po piętnastu

latach otrzymałem od niego list bardzo serdeczny, kiedy tego roku (1908) rozeszła się w gazetach amerykańskich wieść, że wybieram się do Ameryki na szereg odczytów i zgromadzeń publicznych.

Naiwny egoizm tego biednego Żyda był okraszony żądzą wiedzy i odwagą, z jaką zwalczał ciemnotę i barbarzyństwo żydowskiego ghetta.

Innym typem był chłop Melnyk. Ten stał na czele parobków w swojej wiosce i wiódł zajadłą wojnę z popem tyranem i ze starszyzną, skupiającą się koło popa przeciwko „młodym“. Piękny, zdrowy, z płowym wąsikiem na młodej twarzy, był Melnyk nie na żarty wodzem swoich parobczaków. Kiedy inne argumenty nie pomagały, sprawiali parobcy niejednemu staremu „chruniowi“ we wsi porządne lanie, skąd bywał potem hałas wielki. („Chruń“, wzgardliwe słowo oznaczające świnię, używane dla scharakteryzowania rządowych, pańskich i popskich pochlebców wśród chłopów).

Melnyk przychodził do mnie ze swoimi chłopcami po broszury, gazety i po poradę prawną, której chłopi ciągle potrzebują. Nieraz nocowało to wiejskie bractwo w moim pokoiku, kiedy wieczorem było zapóźno do domu.

Później, kiedym wyjechał z Drohobycza, uwikłały władze Melnyka w szereg procesów „galicyjskiego typu“, polegających na denuncjacjach. Melnyk dostał się do więzienia, odsiedział je i potem w młodym wieku umarł. Zmarnowano tu przemocą i gwałtem piękny typ młodego chłopa-działacza.

W jesieni r. 1883 przyjechał nagle ze Lwowa do Drohobycza brat Feliks. Był chory i mocno przygnębiony. Wkrótce zwierzył mi się, dlaczego tak niespodzianie musiał Lwów opuścić. Była to interesująca historja.

W aresztach policyjnych we Lwowie siedział wówczas Zygmunt Balicki, znany we Lwowie pod nazwiskiem Sidorowicza. Balicki uciekł z Rosji — gdzie mu groziło więzienie, osiadł we Lwowie i został pomocnikiem u fotografa. Wkrótce został jednym z wodzów lwowskiego socjalizmu, co go zaprowadziło przed kratki sądowe. Kiedy odsiedział swoją karę,

oddano go do aresztów policyjnych. W owym czasie austrjacka policja była najwierniejszą służką caratu, kiedy chodziło o socjalistów. Rozeszły się nagle wieści, że rosyjscy agenci policyjni porównywują fotografje z twarzą Balickiego i że wkrótce mają go wydać Rosji.

W kółku socjalistycznem zakipiało. Za inicjatywą niejakiego Zawadzkiego, gadatliwego frazesowicza, postanowiono uwolnić Balickiego z aresztów. W tym celu uknuto cały spisek. Pewnego dnia miały przed aresztami czekać dwa osiodłane konie. Na dany znak miał Balicki — spacerujący o tej godzinie w ogródku — przesadzić wysoki parkan, siąść na jednego konia i polecieć za swym przewodnikiem za rogatki, gdzie czekać miała fura ze studentami akademji rolniczej w Dublanach. Tutaj miał Balicki dostać ubranie i pieniądze i ruszyć w świat, już wolny!

Podczas przesadzania parkanu miała partja robotników pod wodzą owego Z., przytrzymać furtę więzienną, aby uciekinier zyskał na czasie.

Przewodnikiem Balickiego miał być dobry jeździec p. D., syn emigranta z r. 1863. Ale w ostatniej chwili cofnął się od tej funkcji, którą objął oczywiście mój brat, chory wówczas i bardzo osłabiony.

W biały dzień, o godzinie 4 popołudniu wszystko było na umówionem miejscu. Brat siedział na koniu, przebrany za żokeja i trzymał drugiego konia, czekając pojawienia się Balickiego na ulicy. Balicki przesadził elegancko olbrzymi parkan, ale w tej samej niemal chwili wypadli na ulicę zaalarmowani policjanci, krzycząc: łapaj, trzymaj! Balicki dopadł konia, ale nie miał już czasu puścić się galopem za moim bratem. Policjanci rzucili się naprzełaj przez ogromną targowicę; brat umknął dość szybko, ale Balicki zmienił kierunek i poleciał, gdzie go koń zaniósł. Napróżno czekali dublańczycy wraz z bratem na pojawienie się Balickiego. Pojechał on w przeciwną stronę i dostał się do jednej z wiosek pod Lwowem, gdzie go policja ujęła. Brat przeczekał w lasku pod miastem i wrócił nocą do domu.

Pokazało się, że Z. z robotnikami nie spełnili swego obowiązku i drzwi nie przytrzymali! Ale Z. nie tracił kontenansu, perorował jeszcze więcej i wkońcu urządził deputację do namiestnika, marszałka i do starego ks. Adama Sapiehy, grożąc rewolucją młodzieży, jeżeli władze wydadzą Balickiego Rosji. To wywarło pewien skutek, bo Balickiego wywieziono do Rumunji, skąd uciekł do Szwajcarji, aby w niedługi czas potem zajadle zwalczać socjalistów. Został wodzem ND. i zaciętym wrogiem socjalistów aż do śmierci.

W Drohobyczu zacząłem po raz pierwszy pisywać do gazet. Nie były to oczywiście wielkie gazety, lecz bardzo mała, co dwa tygodnie wychodząca „Gazeta Naddniestrzańska“, nazwana tak, chociaż ani z Dniestrem, ani z jego okolicą nic nie miała wspólnego. Założycielem był drohobycki inżynier p. Solecki, człowiek dość oryginalny i wichrowaty. Osiadłszy w Drohobyczu, popadł po pewnym czasie w walkę z mafją drohobycko-borysławską. Miał więc przeciwko sobie przedewszystkiem bogatych Żydów, spekulantów woskowych i naftowych, trzęsących obu miastami. Za ich pieniądze kupione czynniki, jak przeróżni biurokraci rządowi i autonomiczni, dalej kler i wszystkie „oficjalne“ figury, zwalczały zajadle buntowniczego inżyniera, godząc w jego honor, a przedewszystkiem w jego — kieszeń. Spodziewano się mego inżyniera wygłodzić i znękać do tego stopnia, żeby się wyniósł lub poddał.

Narazie jednak nie było o tem mowy. Solecki założył swoją „Naddniestrzankę“, aby skuteczniej walkę prowadzić, a ja zgłosiłem się natychmiast na współpracownika. Umieszczałem też tam notatki, a nawet artykuły o położeniu robotników w Borysławiu. Największą usługę oddawała gazetka, umieszczając tajne wykazy zabitych i pokaleczonych robotników w borysławskiej mordowni. Wykazy te, tajne i pilnie strzeżone, znajdowały drogę do redakcji przy pomocy przekupstwa, którem musiano się posługiwać w dobrej sprawie.

Kiedy moja biedna matka przekonała się, że z mojej nauki gimnazjalnej nic nie będzie, postanowiła przynajmniej mojej

siostrze umożliwić wyższą nieco oświatę i przeniosła się z nią do Przemyśla. Ja zaś udałem się do brata Feliksa, do Lwowa.

Tułaczka.

Tutaj zacząłem szersze nieco i już zupełnie samodzielne życie.

Egzystencja moja opierała się na dwóch lekcjach, które miałem na jednem podwórku przy ulicy Sykstuskiej. Uczyłem dwoje dzieci u biednego majstra szewskiego, a troje u tak samo biednego majstra stolarskiego naprzeciwko. U szewców mieszkałem i miałem 6 guldenów, u stolarzy tyleż samo i kawę po południu! Sypiałem z czterema czeladnikami w jednej izbie, wysypanej białym piaskiem łyczakowskim, wedle mody ubogich ludzi we Lwowie i starałem się jedynie mieć łóżko koło okna... Ściany były mocno wilgotne, ale śpiąc przy oknie ratowałem przynajmniej trochę świeżego powietrza. Zacząłem moje samodzielne życie w nędzy i niedostatku, które mnie latami całemi nie opuszczały.

Swoją drogą nie zastanawiałem się nad tymi zewnętrznymi okolicznościami nigdy i wnet zacząłem pracować wśród młodzieży gimnazjalnej we Lwowie. Ogniskiem oświaty i propagandy była wówczas politechnika lwowska, zakład młody i zapełniony młodzieżą z Królestwa, Litwy i Ukrainy. Politechnika i Dublany były pod komendą moralną socjalistów, przyczem łamały się tu ze sobą prądy zachodnio-europejskie z wpływem Narodnej Woli, której ideologja i walka bohaterska urabiała dusze i młodych Polaków, zwłaszcza z kijowskiego i odeskiego.

Pełno tu było książek niemieckich i rosyjskich. Po niemiecku czytałem zupełnie łatwo, a po rosyjsku postanowiłem się nauczyć. Umiałem dobrze po ukraińsku i zacząłem sam czytać rosyjskie rzeczy. Nikt mi nie pomagał, ale jakoś pokonałem pierwsze trudności i odtąd rosyjska literatura była dla mnie otwartą.

Brat był jednym z działaczy na politechnice, ja wziąłem na siebie gimnazja, bo tu miałem kilku przyjaciół i kolegów. Założyłem tajne kółko, które wprawdzie nie opierało się na

żadnym statucie, ale złączone było wspólnymi wycieczkami w okolice Lwowa, nocnymi pochodami wśród nie kończących się nigdy dysput o socjaliźmie i wspólną lekturą.

Po dłuższym pobycie we Lwowie udało mi się dopiąć wreszcie szczęśliwie tego, żem zamieszkał razem z Feliksem. Ja miałem 12, on 15 złr. dochodu miesięcznie. Prowadziliśmy zatem życie godne stoików starożytnych. Tylko w sobotę wybieraliśmy się do kawiarni na czytanie gazet, a zwłaszcza tygodników. Bywaliśmy w t. zw. „Piekiełku“, przy ul. Krakowskiej, gdzie schodzili się wszyscy dziennikarze lwowscy pod wodzą Jana Lama, słynnego ze swoich pijatyk. Tu zachodzili także Bolesław Czerwieński, Bolesław Spausta i kilku innych młodszych dziennikarzy z talentem i dowcipem. Wciśnięci z bratem w kącik, obłożeni stosami pism, siedząc przy „melanżu“, chłonęliśmy wiadomości i obserwowaliśmy szalone pijatyki literackie... Myśmy pili tylko wodę. Potem, późną nocą trzeba było wracać. Nieraz nie było nawet 10 centów dla stróża, więc obmyślaliśmy cały skomplikowany system dostania się przez cudze ogrody i podwórza do domu na drodze bezpłatnej. Na drugi dzień stróż patrzył ze zdumieniem pełnem nieufności na swoich młodych lokatorów...

We Lwowie spotykałem różne typy polskiej „żywej tradycji“. Jedynym, który mi zaimponował, był p. Bednarczyk, pułkownik z r. 1848 w Poznańskiem, starzec biały jak gołąb, zagrożony ślepotą, a jednak gorący i dzielny, jak rzadko który z młodych. On nie prawił nam morałów, dla niego nie byliśmy zbyt „radykalni“.

Inni przeważnie z r. 1863 byli to ludzie mili, postacie piękne, ale mieli dla nas albo dziecinne, raczej starcze morały, albo byli nudziarzami, nie umiejącymi absolutnie zrozumieć nas młodych i oburzającymi się o cobądź. A myśmy chcieli, żeby nam bodaj charakterem wielkim imponowano...

Żywa tradycja urwała się tutaj. Starsi nie wiedzieli co mają nam właściwie powiedzieć... Kiedy lichsze jednostki z pośród nich zachwycały się łaskawością cesarza Franciszka Józefa, który nam „pozwolił“ być Polakami, nie mogliśmy przecież

dojść do zbyt wielkiego entuzjazmu. Nadto nie rozumieli ci ludzie tego wszystkiego, co od r. 1863 społeczeństwo polskie zdobyło i stworzyło. Wszystko było „nowinką“, rzeczą z góry niedobrą; nawet do rzeczy dobrych i pożytecznych nie umiano młodych inaczej nakłonić, jak morałami, nieraz już nadto banalnymi. W tych kołach żyła jednak tradycja walk przed kilkunastu laty toczonych, żyły wspomnienia ludzi wielkich ofiarnością i męstwem. Ze wspomnień o r. 1863 wstawała żywa idea walki z caratem, większa niż znękani, zrujnowani, walczący ciężko o byt „emigranci“, którzy też tylko we wspomnieniach czuli się bohaterami. W codziennem życiu wielu z nich dorobiwszy się fortunki, upodabniało się do społeczeństwa galicyjskiego.

Nędza wygnała mnie w r. 1886 na wieś, gdzie dostałem guwernerkę u dawnych znajomych mej rodziny. Zabrałem stos książek i pojechałem na Podole, gdzie przesiedziałem w wiejskim dworze cały rok. Pani domu, wdowa, była kobietą bardzo rozsądną, to też mogłem tu żyć spokojnie poza godzinami pracy i uczyć się znów dla siebie. Poznałem też dobrze wiejskie stosunki robotników i najmitów na Podolu, które potem doprowadziły do olbrzymiego strajku rolnego na początku XX wieku.

Feliks tymczasem wyjechał do Zurychu, gdzie zapisał się na uniwersytecie na przyrodę. Odtąd już nie widywaliśmy się, aż na parę tygodni przed jego zgonem odwiedziłem go w r. 1890 w Dàvos. Zostałem sam zupełnie, bez strachu wprawdzie o siebie, ale wiecznie stroskany o jego zdrowie i nie mogąc mu w niczem dopomódz, bo sam byłem ubogi jak mysz kościelna...

Tułaczka mója zaprowadziła mnie nad Dniestr, gdzie spędziłem wakacje z przyjacielem, włócząc się po mokrych pastwiskach nad rzeką i hasając po rzece. Potem pojechałem do Lwowa, a stąd w lasy nad Bugiem, gdzie wśród borów sosnowych żyłem u biednego nauczyciela wiejskiego z chłopami, z leśnymi i starym zdziecinniałym księdzem, który nie chciał uznać teorji Kopernika i martwił się, że kolej już o 40 kilometrów przesunęła się w bliskie sąsiedztwo!...

Bieda nauczyła mnie pieszych wędrówek i najtańszego sposobu podróżowania na wozach żydowskich „bałagułów“, którzy brali za całą wielomilową podróż guldena. Kawałkiem chleba, szklanką mleka opędzałem nieraz życie całego dnia.

W ten sposób zwiedziłem całą Huculszczyznę w romantycznych wycieczkach, docierałem na południe Podola, aż do progów dniestrowych, przechodziłem wzdłuż i wszerz Wschodnią Galicję. Znałem noclegi w karczmach przydrożnych, w chatach chłopskich lub w stogach siana, albo i pod gołem niebem. Wolny od praw i obowiązków, bez grosza przy duszy, obcowałem z przyrodą całkiem inaczej, niż to czyni np. turysta, który patrzy na przyrodę jako na rozrywkę po pracy, lub jako na środek leczniczy, zaordynowany przez lekarza. Mnie przyroda dawała się nieraz we znaki! Ileż to zim przechodziłem w dziurawych butach, w płaszczyku letnim, głodny, wiecznie zaziębiony i kaszlący! Pamiętam raz taki forsowny marsz od granicy rosyjskiej do Stanisławowa. Zrobiliśmy z bratem 120 kilometrów w dwóch dniach. Ale o świcie na rynku w Buczaczu zemdlałem z głodu. Po śniadaniu trzeba było wędrować dalej, aby dojść do celu. Albo w powrocie z długiej wycieczki w Karpaty leżałem w łozach nad Prutem długie godziny, nie śmiąc kupić nawet bułki przez cały dzień, bo w kieszeni pozostały tylko pieniądze, obliczone ściśle na zapłacenie biletu kolejowego.

Ale śmiało się do mnie wschodzące i zachodzące słońce, znajomym szeptem szemrały potoki, witało zboże falujące i mrugały gwiazdy do samotnego wędrowca-młodzika, przygarniała go nieraz przyroda jak syna, milej, rozkoszniej, niż to czyniło społeczeństwo. Bo też społeczeństwo traktowało mnie zaiste po macoszemu.

Nie zapomnę nigdy przykrej sceny, która mnie raz w zimie spotkała, kiedym na wózku przetłukł się przeszło 20 mil na mrozie. Dotarłem do Lwowa i miałem się zobaczyć z moim przyjacielem w gimnazjum. Ubogie, zniszczone ubranie moje dodało tercjanowi gimnazjalnemu odwagi, że mnie jak rzezimieszka z korytarza gimnazjalnego wypędził i drzwi przedemną zamknął. Rozumiałem te psie uczucia różnych służących i poznawałem świat z jego rzetelnej strony.

Bo też przyznać dziś muszę, że troska o garderobę mogła zajmować tylko bardzo ograniczone miejsce w moich myślach i — budżecie. Sprawy te odbywały się dość prosto. Z guldenem w ręku szedłem na żydowską tandetę do pierwszego lepszego sklepu ze starem ubraniem. Tu zostawiałem moje jeszcze starsze suknie, dodawałem guldena i wychodziłem całkiem „świeżo“ przyodziany, w dziwnym nieraz stroju, znoszonym może nie mniej od pierwotnego.

W okresie tym agitacja nasza działała jedynie wśród inteligencji i dość szczupłej garści robotników. Organizacji jawnych politycznych nie było wcale w kraju. Kółka młodzieży uniwersyteckiej, technicznej i dublańskiej szkoły koncentrowały w sobie jedynie życie socjalistyczne. Pisemko socjalistyczne „Praca“ było wyłączną własnością starego zecera Józefa Daniluka, a tylko redaktorowie — oczywiście tacy, którzy do pisma mogli dołożyć — zmieniali się wedle tego, kto właśnie miał ochotę do pisania i wolny czas po temu. Właściwego życia szerszego nie było wcale.

W owych lwowskich latach poznałem Jodkę-Narkiewicza, Krzywickiego, starszego Inländera, Czerwieńskiego i kilku robotników. Z p. Bolesławem Wysłouchem, wydawcą miesięcznika „Przegląd Społeczny“, rozeszliśmy się dość rychło. Z pośród Rusinów zaznajomiłem się z Iwanem Franką i Michałem Pawlikiem. Cały jednak socjalizm galicyjski był dość szczupłym konwentyklem raczej, niż partją klasową, polityczną. Była to pół-konspiracja, pół-studjum, nieszkodliwe dla nikogo, chociaż przez rząd i społeczeństwo srodze gnębione i prześladowane.

Przeciwnicy wykłówali nam oczy tem, że robotników przemysłowych jest w Galicji tylko 7%, sądząc, że odbiorą nam wszelką ochotę do pracy wśród klasy robotniczej. Nazywano wpływy, działające na nas, jednem określeniem: „z Genewy i z nad Newy“, co miało być szczytem przewrotności narodowej. Prasa pisała o socjaliźmie i socjalistach bajki jakby z „Tysiąca i jednej nocy“. Anarchizm, socjalizm, nihilizm, narodo-

wolstwo, radykalizm, mord polityczny, sztylety i bomby stanowiły na szpaltach prasy galicyjskiej rodzaj mgławicy, z której ma się wyłonić nie nowy świat, ale zupełne (!) zniszczenie wszystkiego. Była to istna powódź idjotycznego nieuctwa, na które wzruszaliśmy litościwie ramionami. Śmiało można powiedzieć, że tylko dwie grupy wiedziały wówczas w kraju coś niecoś o socjaliźmie i socjalistach: policja i jezuici. Tylko oni starali się bodaj broszurę socjalistyczną przeczytać, oni jedni pragnęli nas zwalczać, a więc musieli przedtem choć trochę poznać. Jak to poznanie jednak w praktyce wypadało, nie potrzeba tutaj chyba komentować.

Zgromadzeń publicznych nikt właściwie nie urządzał; wszystko było kliką, kasynem, „Strzelnicą“ lub klubem.

Z Austrją zawarto ostateczny pokój, Polacy stali się rządowcami z serca; Sejm już wtedy był niczem, namiestnik wszystkiem. Byliśmy w świecie dla nas zupełnie obcym i wrogim. Stąd też wynikało, że np. brat mój i ja zapragnęliśmy gwałtownie uczyć się i zyskać wiedzę ścisłą, ażeby potem, kiedyś za jej pomocą módz działać i walczyć, jeżeli zastaniemy kiedyś w przyszłości korzystniejsze warunki społeczne i polityczne. Brat pojechał do Szwajcarji, ja postanowiłem udać się do Krakowa.

Na uniwersytecie.

W r. 1887 w jesieni przeniosłem się do Krakowa z silnym zamiarem zdania matury i wstąpienia na uniwersytet. Zamieszkała tu matka z siostrą a ja przy nich, razem z trzema akademikami, u nas mieszkającymi. Na cały rok pogrążyłem się teraz w mądrości gimnazjalne, biorąc zresztą żywy udział w dyskusjach i „pochodach“ małego kółka młodzieży uniwersyteckiej, złożonego z „silnych duchów“ i miłych towarzyszy.

„Politykę“ zawiesiłem na kołku na lata. Dawni moi przyjaciele z czasów lwowskich i stanisławowskich rozproszyli się po świecie, nowi zaś oddawali się wraz ze mną wyłącznie nauce uniwersyteckiej.

Ale najpierw trzeba było zdać ową maturę. Na kilka dni

przed terminem wezwał mnie do siebie dyrektor jednego z gimnazjów krakowskich, gdzie miałem siadać do egzaminu i oświadczył, że przez zapomnienie zatrzymał moje podanie w swojem biurku, zamiast je posłać do Rady Szkolnej do Lwowa! Polecił mi więc stawić się osobiście w Radzie Szkolnej natychmiast a on pomyłkę listownie wyjaśni. Kiedym pojechał do Lwowa i stanął przed inspektorem p. Cz., ten poddał mnie najpierw szyderczym pytaniom, czy „wyrzekłem się uszczęśliwiać ludzkość“ (dlaczego takie idee były w oczach tego biurokraty zbrodnią, do dziś dnia nie mogę sobie tego wytłómaczyć!), czy zamierzam i w przyszłości zajmować się „polityką“ i t. p. W przemowie namaszczonej oświadczył mi, że „społeczeństwo“ i rząd nie mają w tem żadnego interesu, żeby tacy ludzie jak ja mogli zdobywać oświatę i naukę uniwersytecką, ale w końcu kazał mi jechać do Krakowa z powrotem i zgłosić się do matury. Kiedy dzisiaj uprzytomnię sobie, jak mało prawdziwej nauki uprawia się na uniwersytetach, jak mały procent studentów poświęca się rzeczywistej i poważnej pracy naukowej, a ilu znów spycha tę naukę do rzędu środków osiągnięcia „kawałka chleba“, gorzki śmiech mnie ogarnia na wspomnienie pychy owego srogiego biurokraty.

Szkoła średnia była w owym czasie najbardziej skostniałą instytucją naukową i nie wiem, niestety, czy odtąd duże uczyniła postępy. Był to przedewszystkiem zamknięty w sobie system wiedzy szczególnego rodzaju, zupełnie dalekiej od życia i świata otaczającego.

Tutaj nie trzeba było niemal wcale myśleć, a tylko dobrą mieć pamięć. Uczono ośm lat łaciny a sześć lat greki, ale w rok po maturze nie zdołałby żaden przeciętny uczeń — nie filolog specjalista — przetłómaczyć żadnego ustępu łacińskiego, podczas gdy z całej greki zostawała tylko umiejętność czytania! Później zlitowano się w Wiedniu nad biednymi mózgami młodzieży gimnazjalnej i wprowadzono t. zw. „realja“ t. j. opisy bodaj pobieżne kultury greckiej i rzymskiej, opisy domu i świątyni, odzieży i obrzędów z przed dwóch tysięcy lat. Poza łaciną i greką nie nauczano porządnie właściwie

żadnego nowoczesnego języka. Przeciętny maturzysta nie umiał poprawnie pisać po polsku, ani mówić po niemiecku. Nauki przyrodnicze były jakby podrzędną zabawką w gimnazjum i opierały się zupełnie na systematyce bez cienia biologji. Historja było to czupiradło najeżone datami urodzeń i śmierci królów, bitew i traktatów pokojowych. Skończony osioł, który miał dobrą pamięć i siedział spokojnie w klasie, albo w dodatku znał ludzkie słabostki nauczycieli i umiał patrzeć obleśnie w oczy, bywał doskonałym uczniem; natomiast w „oślej ławie“ siedzieli bardzo często chłopcy inteilgentni, ale żywego temperamentu i nie pochlebcy.

System ten dziki i nierozumny wychowywał też troskliwie i nauczycieli. W połowie byli to dziwacy albo karjerowicze. Wszystko opierało się na notach w katalogu przez nauczyciela zapisanych. W przepełnionych klasach nie było wcale mowy o zbliżeniu się nauczyciela do ucznia, o jakiembądź bliższem poznaniu i indywidualizowaniu młodzieży. Dziwaczny, śmieszny gest, co chwila powtarzane, bezmyślne słowo, maniera zdziecinniałego mózgu, brak wychowania — oto były cechy bardzo wielu nauczycieli gimnazjalnych. Każdy z podobnych nauczycieli miał jakiegoś „bzika“ w sobie, co oczywiście młodzież w lot chwytała, a nie doznając żadnego sympatycznego obchodzenia się ze strony nauczycieli, mściła się z zimną krwią, szydząc ze słabości swoich wodzów naukowych. Wiem, że z moralnym strachem i obrzydzeniem patrzyłem na profesora historji, dla którego najwyższą rozkoszą było wyłapać nieprzygotowanego ucznia. Podobny do wysokiego orangutanga, podskakiwał w katedrze, kołysząc się na prawo i lewo i zapisując w swojej notatce złą notę, a każdy jego ruch entuzjastyczny sprawiał na mnie wrażenie głębokiego wstrętu.

Zszematyzowana biurokratycznie prowadzona, sucha nauka, skłaniała aż nazbyt łatwo nauczyciela do trzymania się zupełnie niewolniczo podręczników szkolnych. Co było w podręczniku, to było świętem, poza podręcznikiem nie było naukowych książek. Jak dla biurokracji świętą była zasada „quod non in actis, non est in mundo“ („czego niema w aktach, niema i na świecie“), tak dla tych biednych biurokratów gimnazjalnych nie było nauki poza podręcznikiem, a podręczniki były dość liche; zresztą i najlepszy podręcznik jest tylko pomocą i wskazówką, ale nauki całej nie zawiera. Który z uczniów czytał inne naukowe książki, wywoływał dwojakie uczucia w nauczycielach: zdumienie, albo zgorszenie. To ostatnie zwłaszcza w nauce historji... Rzadko się jednak który ze swoją wiedzą wyrywał wobec nieufności i obcości nauczycieli.

Szkoła, która nie uczy myśleć, fabrykuje uczonych głupców. Nic dziwnego też, że biurokracja galicyjska wyszła ze szkoły średniej taką, że nikomu inteligencją zaimponować nie mogła.

Każdy krok na polu reform szkolnych był z powodu specjalnie austrjackich stosunków nader trudnym. Klerykali czyhali tu na szkołę, rozumiejąc jej ogromne znaczenie w życiu społecznem, liberali zaś bronili ustaw szkolnych dość wolnomyślnych, ale nie mieli żadnej siły reformatorskiej. W praktyce więc litera ustawy zostawała całą, ale duch w szkołach stawał się coraz to bardziej klerykalnym i zacofańczym.

To też nic dziwnego, że opuszczałem progi szkolne po maturze z rozkoszą, podobną do uczucia wypuszczonego na wolność więźnia!

Zapisałem się na wydział filozoficzny w Krakowie i postanowiłem sobie uczyć się i nic więcej, jak tylko uczyć się. Fizyka, chemja, anatomja porównawcza, botanika i pracownia fizykalna, zapełniały też cały dzień, jeden po drugim.

Żyłem przez cały tydzień w poważnej pracy aż do późnych wieczorów a dopiero w sobotę wieczór zaczynał się dla mnie czas spoczynku.

Powoli utworzyliśmy u siebie w dwóch pokoikach rodzaj zbornej kwatery towarzyskiej dla kilkunastu studentów, gdzie schodzono się w sobotę wieczorem i w niedzielę popołudniu. Piliśmy masami herbatę i śpiewali chórem, ale najważniejszą częścią owych wieczorów były dyskusje naukowe, prowadzone w tonie namiętnym i szczerym.

Kółko to nie było bez wpływu na życie uniwersyteckie,

chociaż staliśmy umyślnie zdala od wszelkich spraw publicznych. Przypadek dość zabawny zrządził jednak, że wywołaliśmy całą burzę wśród studenterji, zorganizowanej w zapomogowej instytucji „Bratniej Pomocy“. Kasjerem jej był student medycyny M., który miał to nieszczęście, że był kilka razy w naszem towarzystwie. Był to skończony nieuk, który jednak był ulubieńcem niektórych profesorów. Miał śliczny mikroskop, doskonałe preparaty, ofiarowywał profesorom różne ciekawe okazy, jak minerały, żółwie i t. p. Przy tem wszystkiem był zdumiewająco głupi, ale umiał zdobyć sobie mir u kolegów i został kasjerem Bratniej Pomocy.

Wkrótce nasze bardzo krytyczne kółko miało jak najgorszą opinję o M., co wyszło na jaw w formie zarzutów przeciw gospodarce finansowej Bratniej Pomocy. Ale na najskromniejszą krytykę z naszych szeregów zerwała się burza wśród lojalnej części młodzieży, a kurator prof. Zoll rzucił cały swój autorytet na szalę, aby tylko obronić nędzną gospodarkę studenckim groszem.

Wobec namiętnego wystąpienia starego profesora opuściła opozycja ręce i jeszcze musiała bronić się przed zarzutami większości! Wówczas zebrano się u nas i na mój wniosek chwycono się następującego środka obrony. Za kilka guldenów nakłoniono pedela, żeby wystawił za kratkami pismo dziekanatu, wzywające M., aby przyniósł do dziekana świadectwo maturalne. Cały ten środek opierał się na przypuszczeniu, że M. nie mógł zdać żadnej matury, istnieje zatem dalsze uzasadnione przypuszczenie, że sfałszował poprostu świadectwo.

Cios wymierzony nie zawiódł nas wcale. Na drugi dzień rozeszła się w Czytelni Akademickiej alarmująca wieść, że M. się zastrzelił! Mnóstwo kolegów patrzyło na nas tego dnia wieczorem jako na pośrednich sprawców tego samobójstwa, co mnie zresztą niewiele wzruszało, bo wietrzyłem komedję...

Wkrótce zjawiła się też ona w pysznej formie. M. wypalił w swojem mieszkaniu kilka razy z rewolweru w ściany, poczem bardzo ostrożnie zranił się w skórę na brzuchu. Profesor Obaliński i medycy rychło też donieśli nam o nieszkodliwości tego „samobójstwa“, poczem zaczęła się wreszcie kontrola kasy Bratniej Pomocy. M. okazał się teraz złodziejem, jak przedtem zaprezentował się nam jako fałszerz świadectw szkolnych. Ale potężna opieka profesorska przydała mu się w niedoli; za kilka dni wyjechał sobie zdrów i swobodny do Szwajcarji. W Genewie znalazł się rychło w orszaku sędziwego pułk. Miłkowskiego, jako nieskazitelny młodzieniec patrjota zyskał wielkie sympatje i obtańcowywał wszystkie panny na patrjotycznych wieczorkach. Dowiedziawszy się o tem, posłaliśmy ostrzeżenie do Genewy, ale co się z tym frantem później stało, nigdym się nie dowiedział.

Bratnia Pomoc uległa gruntownej reformie wbrew p. Zollowi, wbrew 150 alumnom, których biskup wpisał dla obrony dawnej gospodarki i wbrew niezliczonym intrygom zmierzającym do obrony złodziei a spotwarzenia tych, co ich za ręce złapali.

Cała ta historja nie zabrała nam wcale czasu i nie odwiodła nas od usilnej nauki, która wypełniała całe dnie. Nie zepsuła nam też humoru w sobotnie wieczory, kiedyśmy robili wyprawy w okolice Krakowa do lichych restauracji, gdzie piliśmy wódkę w ogromnych nieraz ilościach.

Klasa robotnicza Krakowa tonęła w ciemności. Pijaństwo było przerażające, a najliczniejszy zawód, murarze, pędzili żywot bujny i zupełnie bezmyślny. Niskie płace robocze, brak organizacji i oświaty, czyniły lud roboczy Krakowa gwardją klerykalną, która kiedyś biła do krwi studentów za to, że chcieli urządzić wrogą demonstrację jezuicie zohydzającemu z ambony powstanie 63 r.! Aż do roku 1890 klasa robotnicza Krakowa była wrogą wobec postępowej inteligencji, oddaną bigoterji i ciemną do rozpaczy. Studenci patrzyli na robotników podejrzliwie i wrogo, co w naszem kółku było srodze wyśmiewanem.

Chociaż nie brałem wówczas żadnego udziału w ruchu socjalistycznym, ani nie zajmowałem się polityką, to jednak stykałem się z politykującą młodzieżą uniwersytecką. Tylko

że nie patrzyłem już na nią temi oczyma, co kiedyś, przed laty i nie uważałem jej ruchów za nader ważne społecznie czy politycznie. Przeszedłem to wszystko już we Lwowie i widziałem, że wszystkie gorące wystąpienia studentów przemieniały się dość rychło w najzupełniejszą obojętność. Zbyt wielu młodych ludzi przesunęło się koło mnie ze słowami „Ody do młodości“ na ustach, słowami, które tak szybko zamarły; zbyt słomiany był ten ogień, aby mi na dalszą metę wystarczył... Witałem każdy piękniejszy objaw życia studentów z radością, gotów nawet byłem do współdziałania w dobrej sprawie, ale zapału wielkiego już dla ruchów studenckich nie odczuwałem. Wiedziałem już wtedy doskonale, że tylko proletarjat może być podstawą i siłą socjalizmu. Niejasne i mętne chłopomaństwo, a także przecenianie „inteligencji“ było mi całkiem obcem. Na studenckie ruchy patrzyłem oczyma organizatora; jeżeli ze setki „działających“ studentów uda się wyłowić jednego lub dwu takich, co przez całe życie gotowi będą dla socjalizmu pracować, wówczas skłonny byłem uważać to za rezultat bardzo w Galicji korzystny.

Może był to pogląd zbyt jednostronny, ale trzeba zważyć jakim był wówczas ten kraj ubogi, jak nędzną była jego struktura ekonomiczna. Inteligent socjalista był kandydatem na głodomora i to bez frazesu. Opuszczając uniwersytet zostawał albo urzędnikiem, albo szedł do t. zw. „wolnych“ zawodów, na adwokata lub lekarza. Jako urzędnik musiał nie tylko milczeć, ale razem z otoczeniem kląć i ścigać socjalizm, jako zbiór zbrodni wobec Boga, ojczyzny, cnoty i t. d. „Wolny“ zaś zawodowiec musiał uprawiać pogoń za groszem, co również zupełnie leczyło z „mrzonek młodości“.

Myśl zaś, że miałbym być rodzajem guwernera przyszłych wrogów klasy robotniczej, lub w najlepszym razie obojętnych groszorobów, była dla mnie wprost nieznośną. Wolałem uczyć się i siedzieć całkiem spokojnie, aż do czasu, gdy przecież i w tym nieszczęsnym kraju będę mógł pracować wśród robotników.

Opodal nas grupowało się w Krakowie kółko młodzieży

„Patrjotów-socjalistów“, do którego należeli Franciszek Nowicki, prezes Czytelni Akademickiej, już wówczas pochlebnie znany poeta, Ludwik Janikowski, Gabrjel Górski, Jan Homolicki, Szukiewicz i wielu innych. Łączyła nas przyjaźń lub bliska znajomość studencka. W r. 1888 zaczął też bywać Wilhelm Feldman, który przybył ze Wschodniej Galicji. Kółko prowadziło pewnego rodzaju studencką politykę, a poszczególni jego członkowie stali pod wpływem tajnej organizacji młodzieży, kierowanej z zagranicy przez Zygmunta Balickiego.

Byli to socjaliści szczególnego rodzaju. Nie godzili się na naukę Marksa, nie uznawali walki klasowej, nigdy nie doszli ani na krok jeden ku klasie robotniczej, a jako „młodzi“ przeciwstawiali się namiętnie „starym“. Ale w imię czego ten rozdział na „starych“ i „młodych“ się odbywał, co „młodzi“ nowego, lub innego niż starzy w życie wnosili, tego niełatwo było odgadnąć. Było to jakieś rewolucyjne chłopomaństwo, zaprawione gorącą miłością do Polski i do polskiego ludu, znanego tu raczej jako materjał do folkloru, niż jako klasa niosąca sobie i narodowi wyzwolenie. Konspiracyjność kółka była dość słabą i nie pociągała mnie ani trochę, zwłaszcza, że brat Feliks informował mnie z Szwajcarji o robocie Balickiego i o swej pracy w redagowaniu pism socjalistycznych i w zagranicznej robocie polskich socjalistów.

Kiedym się zjawiał jako gość w kółku, rozpoczynały się nieskończone, namiętne, późno w noc ciągnące się debaty. Stałem tam sam jeden jako przeklęty „marksista“, patrzący sceptycznie i bardzo krytycznie na całe zbiory przedziwnych argumentów wytaczanych przeciwko moim zasadom. Nie mąciło to w niczem uczuć przyjacielskich między mną a kółkiem, ale nie zbliżyło mnie ani na krok do moich młodych przyjaciół.

Swoją drogą śmiech serdeczny zbiera mnie dzisiaj, gdy sobie przypomnę scenę, która rozegrała się raz między mną a Feldmanem i Nowickim w mojem mieszkaniu. Obaj przyszli robić mi poważne zarzuty, czemu nie pracuję z nimi i czemu wogóle usuwam się od pracy politycznej. Nie upłynęły dwa lata od tego czasu, gdy obaj moi mentorowie usunęli się jak

najgruntowniej od pracy politycznej — nie mówiąc już o socjalizmie nawet w ich pojęciu — a ja, biedny człowiek, podjąłem na nowo robotę i to na całe lat dziesiątki. Ale wówczas odpowiedziałem krótko i węzłowato, że do roboty w stylu organizacji Balickiego nie mam zamiaru się mieszać.

Jedyną pomocą, jakiej mogłem w owym czasie udzielić socjalistom, ale bynajmniej nie z kółka krakowskiego, była pomoc w przemycaniu książek do Królestwa. Przemycał młodziutki wówczas Ludwik Kulczycki, który powracał z Genewy. Pamiętam, pojechałem raz w tej sprawie do Zabierzowa do znanych tam przemytników. Było jakieś święto i urodziny najpoważniejszego przemytnika. Znalazłem się zatem w bardzo wesołej kompanji i musiałem posyłać kilka razy po litrowe flaszki wódki do gospody. Pod wieczór, gdy już kilku z towarzystwa leżało pod stołem, drapnąłem na moich sankach do Krakowa. Wspomnienie jednak pozostało dobre i sympatyczne, jak się później miałem sposobność przekonać. Paki z książkami szły na Ojców, a potem koleją do Warszawy. Z tej mojej skromnej pomocy miało wkrótce wyniknąć uwięzienie mnie w Królestwie w r. 1889.

U schyłku r. 1888 brat mój stanął w najostrzejszej sprzeczności z tajną organizacją młodzieży polskiej pod wodzą Balickiego, a patronowaną przez pułkownika Miłkowskiego. Że po tej stronie stanął także i tow. Bolesław Limanowski, bolało nas nieco, chociaż nie należał on do ludzi zaostrzających spory. Organizacja ta była kolebką, z której wylęgli się późniejsi narodowi demokraci, a ideologja jej nadawała się do wszelkiej zmiany kierunku. Była to „demokracja“ — jeszcze bez przymiotnika! — zwalczająca socjalizm międzynarodowy, uważająca „walkę klas“ za zgubę narodu, jeżeli nie wprost za wymysł Niemców czy Moskali.

Nie mający na celu walki powstańczej, ci epigonowie r. 1863, zarażeni socjalizmem, a w gruncie rzeczy o czysto burżuazyjnym sposobie myślenia, kręcili się w kole niejasnej frazeologji o postępie, demokracji, chłopomaństwie, przyczem stali pod wpływem narodników rosyjskich. Emigracja mieszała ich niejednokrotnie

raz z socjalistami polskimi, ale nie było nigdy zgody między jedną a drugą stroną i waśnie zatruwały ludziom życie. Z jednej i drugiej strony było tu ogromnie wiele zacietrzewienia bezpłodnego, zwłaszcza, że kraj nie miał sposobności do interesowania się tymi sporami. W kraju walka ta byłaby przyjęła normalny wyraz walk o interesy danych organizacji klasowych, na emigracji walczono na pióra i słowa bez podkładu szerszych interesów grup społecznych.

Na zjeździe młodzieży w Zurychu podczas świąt Bożego Narodzenia 1888 r. doszło do namiętnego starcia między socjalistami a „patrjotami“. Z jednej strony stali Miłkowski, Limanowski i Balicki, z drugiej Aleksander Dębski i brat Feliks. Dla odparcia kolportowanych plotek i dla zaznaczenia swego stanowiska wydał brat broszurę „Pod pręgierz“ pod pseudonimem „Ślaza“. Broszura ta narobiła wiele wrzawy zagranicą i w kraju, zwłaszcza w Galicji. Tutaj bowiem zanosiło się na wojnę z Rosją, przyczem rząd austrjacki wszedł w tajne stosunki z grupami różnych postępowców polskich, chcąc Polaków wygrać przeciwko Rosji. Socjaliści uderzyli na ten sojusz ostro, wychodząc z założenia, że lud polski będzie tylko ślepem narzędziem w ręku dynastycznej polityki austrjackiej, która dotąd wydawała ten lud na pastwę ucisku szlacheckiego i urzędniczego.

Limanowski zaś posunął się w owym czasie tak daleko, że w odczycie o Galicji oświadczył w Zurychu: „byłoby już nie przestępstwem, ale zbrodnią, gdybyśmy z rządem, z cesarzem nie poszli ręka w rękę“. Limanowski był od 1879 r. z Galicji wydalony i nie znał dobrze polityki rządu austrjackiego. Jego zapał patrjotyczny dyktował mu więc słowa, których socjaliści nie mogli nigdy akceptować w danych warunkach.

W prasie lwowskiej rzucono się na broszurę brata, odsądzając go od czci i wiary, a broniąc „powszechnie czczonego“ pułkownika Jeża, ci zaś, co z rządem byli w tajnych stosunkach, nie mogli przyjść do siebie z oburzenia. Stałem oczywiście po stronie brata, chociaż jakoś nie mogłem się wów-

czas zdobyć na przejęcie się zagranicznymi sporami, które były tak bardzo odległe od życia masy ludowej w kraju.

Że jednak patrzyłem z najwyższą nieufnością na konspiracyjne koła p. Balickiego. to jest zupełnie zrozumiałe.

W r. 1889 odbył się we Lwowie wiec studentów politechniki, który wpuścił nieco świeżego powietrza w światek młodzieży. Opozycyjne stanowisko techników ożywiło i mnie, chociaż żadnego udziału w wiecu nie brałem.

Siedziałem nad książką i nie odrywałem się od niej i narazie było mi całkiem dobrze. — W ciągłych dyskusjach w naszem kółku przykładaliśmy inne miary do zjawisk społecznych, niż te, które nam dać mógł ówczesny w kraju ruch socjalistyczny. Robotników w ruchu prawie że nie było w Krakowie, a studenckich historji miałem dość i nie ruszałem się ani na krok z domu i z uniwersytetu.

Miało się to zrządzeniem losu zmienić rychło a bardzo gruntownie...

Pierwsze więzienie.

Na wiosnę r. 1889, zmuszony brakiem wszelkich środków do życia, zgodziłem się przyjąć guwernerkę u pp. G. na wsi w gubernii Łomżyńskiej. Za obcym paszportem Franciszka Eljasza pojechałem na wieś i zabrałem ze sobą mnóstwo naukowych książek, aby nie tracić czasu. Zatrzymałem się parę dni w Warszawie i w końcu wyruszyłem na wieś do ludzi dość sympatycznych, gdzie miałem pracować. Mieszkałem tam w starym domu, w parku i nie traciłem czasu, lecz uczyłem się dość pilnie.

Nagle przy końcu kwietnia otrzymuję telegram z Krakowa: „Żegota chory“. Żegota był to mój pseudonim, zrobiony z łacińskiego imienia „Ignacy“ i pod tym pseudonimem znało mnie kółko bliskich przyjaciół. Nie mogłem narazie wywnioskować, coby to miało znaczyć, bom w Krakowie niczego wobec żadnej władzy nie zawinił, i dlatego czekałem, co dalej z tego będzie. W dwa dni potem otrzymałem depeszę, że list idzie. Pojechałem sam po ten list do bliskiego Pułtuska i dowiedziałem się wreszcie o co idzie. W jednym transporcie książek w grotach Ojcowskich, który wpadł w ręce policji rosyjskiej, znaleziono książkę z podpisem Romana Baranieckiego, mego kolegi, a późniejszego szwagra. Policja rosyjska skomunikowała się z krakowską, Baraniecki został aresztowany a mnie zaczęto poszukiwać. Jestem niemal pewny, że któryś z komisarzy policji krakowskiej, jeżeli nie sam osławiony Kostrzewski, podszepnął rosyjskim urzędnikom, gdzie mnie znaleźć można. W ten sposób zdarzała się miła dla austrjackiej policji gratka, że skręcą mi kark w Królestwie...

Dodać muszę, że krakowski sędzia śledczy p. Sz. zachował się wobec rosyjskiego prokuratora bardzo poprawnie i nie chciał mu udzielić żadnych co do mnie wyjaśnień. Że Baranieckiego za rzekome przemycanie książek do Rosji, można było wogóle trzymać w więzieniu dwa miesiące (!), aby go potem uniewinnić, to już należało do ówczesnego martyrjum socjalistycznego w Galicji.

List wzywał mnie, abym bez najmniejszej zwłoki uciekał, bo grozi mi natychmiastowe aresztowanie. Ale trudno mi było zastosować się do tej przyjacielskiej rady z Krakowa przysłanej. Rozumowałem w ten sposób, że ucieczka moja skompromituje rodzinę G. — i na wózku w drodze powrotnej zdecydowałem, że zostanę, cokolwiekby mnie czekać miało. Podarłem list w drobniutkie kawałeczki, zrobiłem skrupulatny porządek w moich papierach i udałem się do dworu na lekcje.

Zapadał zmrok majowego wieczora, gdy do pokoju wpadła blada jak płótno p. G., szepcząc, że żandarmi otaczają cały park i za kilka minut wpadną do dworu. Wkrótce wpadł za nią gospodarz domu zalecając mi, żebym obstawał przy mojem przybranem nazwisku. Poczem wybiegli do frontowych pokojów, gdzie już wchodził w otoczeniu żandarmów rotmistrz Śmiałowski, dopytując się o mnie.

Pan G. drżący i blady wprowadził go do mnie i przedstawił mię jako Franciszka Eljasza. Ale żandarm był pewny swego, bo z brzegu zapytał, czy nie nazywam się Daszyński. Spojrzałem na gospodarza i odrzekłem, że nazwisko moje jest właściwie

Eljasz. Ale od pierwszej chwili trzymałem się taktyki, że nie rozumiem ani słowa po rosyjsku i kazałem sobie wszystko najmozolniej tłómaczyć, aby mieć zawsze czas do spokojnego namysłu.

Rotmistrz kazał mi po polsku wytłómaczyć, że mam iść za nim i za najskromniejszą próbę ucieczki zostanę związany. Czterech żandarmów wzięło mnie w środek i poszliśmy do starego domu wśród parku, gdzte mieszkałem. Tu odbyła się najściślejsza rewizja całego pokoju i całego domu, obstawiowionego chmarą żandarmów. Przyjechało tego bractwa sztuk z piętnaście. Nie znaleziono nic, a tylko książka o grzybach jadowitych (!) została na bok odłożona wśród wątpiących spojrzeń z mojej strony. Zapadł wieczór. Rotmistrz poszedł na kolację do dworu, ale mnie nie pozwolił pokoju opuszczać i zostawił pod silną strażą. Jakiś brodacz żandarm uwziął się pocieszać mnie, że to pewnie nieporozumienie i że mnie w mieście wkrótce wypuszczą. Nie robiłem sobie nic z jego gadania i miałem doskonały humor, że niczego absolutnie nie znaleźli. Zacząłem gruntownie pakować walizki i zaprzągłem żandarmów do robienia mi papierosów, co też z chęcią czynili, zwłaszcza że odstąpiłem im wszystkie napitki, jakie mi bardzo obficie przysłano razem z kolacją.

W nocy z 2 na 3 maja śpiewały cudownie w parku słowiki, gdym siadał do bryczki z panem rotmistrzem Śmiałowskim. Na koźle siedział żandarm z rewolwerem w ręku, a za nami jechała druga bryczka z 4 żandarmami. Inni pod komendą porucznika znikli gdzieś w nocy. Podczas jazdy usiłował rotmistrz wmówić we mnie, że byłem w Paryżu, co mnie z początku trochę dziwiło, ale wkrótce zrozumiałem jego uporczywe zapytania i uśmiechałem się pełen zadowolenia.

Żandarmi sądzili mianowicie, że wpadł im w ręce nie Ignacy ale Feliks Daszyński, podobny do mnie. Ten zaś przeszedł niedawno całą historję w Zurychu, niemiłą mocno rządowi rosyjskiemu.

Rzecz się pokrótce tak miała. Dwaj towarzysze, Dębski i Brinsztejn próbowali w zimie, w lesie nad Zurychem bomby,

przeznaczone na cara, czy na innego dygnitarza. Próby się nie udawały, bomby nie chciały eksplodować, co wreszcie rozzuchwaliło rewolucjonistów i uśpiło ich ostrożność. Wtem jedna bomba upadła przed nimi i wybuchła, zabiła Brinsztejna i poraniła ciężko Dębskiego. Na pogrzebie zabitego urządziła cała kolonja socjalistyczna demonstrację, przemawiał między innymi mój brat, przyjaciel osobisty Dębskiego. Mówił nie tylko po polsku, lecz i po niemiecku dla Szwajcarów obecnych na pogrzebie i mówił tak, że poseł rosyjski zażądał od rządu ścigania brata. Zamknięto go z kilku towarzyszami, poczem puszczono i wydalono z granic Szwajcarji. Brat pojechał do Paryża, gdzie wówczas była wystawa międzynarodowa. Jakaś fanatyczka uciekła z częścią gotowych już bomb z Zurychu i rozpoczęła się podwójna pogoń za tymi śmiercionośnymi instrumentami: szukali ich socjaliści, aby je odebrać, a jeszcze namiętniej szukała rosyjska policja zagraniczna. O bracie wiedziała ona, że siedzi w Paryżu; teraz gdy fotografja okazała takie między nami oboma podobieństwo, rotmistrz Śmiałowski upajał się rozkoszną myślą, że w jego ręce wpadł Feliks Daszyński. Stąd też odwrotnym torem płynęło moje zadowolenie, że nie Feliks, lecz ja jadę z nim na bryczce.

Późną nocą dojechaliśmy do Pułtuska i zajechaliśmy wprost do prywatnego mieszkania pułkownika żandarmerji, starca dosługującego tutaj swojej emerytury. Umieszczono mnie pod silną strażą w pokoiku, dokąd wkrótce przyniósł mi staruszek herbaty, przyczem ubolewał nad mojem położeniem. Aby mi się nie nudziło, położył przedemną kilka albumów Karlsbadu, Gasteinu i innych miejsc, dokąd zapewne jeździł się leczyć i cofnął się na konferencję z Śmiałowskim do dalszych pokojów.

Zostałem więc z „fiołami“ sam, lecz nie miałem żadnej ochoty zapoznawać się bliżej z widokami Karlsbadu. Chciało mi się przedewszystkiem spać. Wśród drzemki na krześle zauważyłem jakąś głowę kobiecą obserwującą mnie z za kotary z drugiego, ciemnego pokoju. Była to, jak się potem dowiedziałem, przyjaciółka starego pułkownika. Dzięki jej późniejszemu wstawiennictwu otrzymałem od staruszka wiele ulg, a nawet przywilejów w kozie.

Tak dodrzemałem do świtu, poczem wezwano mnie do saloniku, gdzie odczytano mi rozkaz uwięzienia mnie i pod eskortą odprowadzono do pułtuskiej turmy. Tutaj sami żandarmi wybrali dla mnie najwilgotniejszą celkę, dlatego że stąd niczego widzieć nie było można, z wyjątkiem kawałka podwórza więziennego. Naczelnik więzienia chciał mi dać miłą i jasną celkę, gdzie siedział jakiś żyd, wielokrotny morderca, ale żandarmi zadecydowali inaczej.

W kozie usnąłem przedewszystkiem snem sprawiedliwych. Potem dowiedziałem się na przechadzce, że rotmistrz Śmiałowski pojechał napowrót do Ostrołęki, a sprawę moją może prowadzić będzie staruszek pułkownik. Jakoż przyjechał on z swoją przyjaciółką do kozy, i podczas kiedy ona siedziała w altance ogródka więziennego, oświadczyłem pułkownikowi, że gotów jestem zeznać kto jestem. Uradował się bardzo, spisał protokół, ale oświadczył mi, że sprawę moją będzie prowadził Śmiałowski z Ostrołęki. Na własną rękę jednak pozwolił mi na wikt prywatny, książki itd., co wszystko jak najpośpieszniej wprowadziłem w życie. Odtąd już bardzo rzadko widywałem owego pułkownika.

Urządziłem się w mojej celce z wielką roztropnością. Przedewszystkiem zasypałem ją obficie perskim proszkiem i nie zamykałem okna nigdy, a miałem szczęście, że lato 1889 było nadzwyczajnie suche. Wytępiłem wszelkie małe i wielkie owady, kazałem ją starannie wymyć i uzyskałem półtajemnie pozwolenie na światło, bylem okno kocem zasłaniał. Bano się bowiem żandarmów... Zwolna doszedłem do prawa brania swoich książek z magazynu i do używania papieru i ołówka. Na trzech czy czterech metrach kwadratowych podłogi nie mogłem wprawdzie wcale chodzić, zwłaszcza, że celka była podzielona w połowie na pryczę, ale miałem stołek i gimnastykowałem się nim systematycznie.

Po pewnym czasie rozejrzałem się w personelu straży więziennej. Oprócz „starszego“, typowego kacapa, którego chłopczyk, Wania, mówił już po polsku, strażnicy byli to Polacy, wysłużeni wojskowi i ludzie stosunkowo młodzi. Ponieważ

byłem jedynym politycznym więźniem i miałem własny wikt, więc stosunek mój do nich ułożył się dość korzystnie. Około 6 godziny wieczorem, gdy już wszystkie korytarze tj. wszyscy więźniowie (było ich około 250) odbyli swój spacer, wypuszczano mnie na przechadzkę. Na pustem podwórzu dokoła więzienia zostawałem więc sam z czterema strażnikami, stojącymi na swoich posterunkach. Powoli, nie narzucając się, wszedłem z nimi w dość przyjazne stosunki. Jednego zacząłem uczyć po niemiecku, bo marzył o tem, drugiego uczyłem czytać i pisać, trzeciemu, byłemu mechanikowi, opowiedziałem, jak się robi tanie baterje elektryczne i inne pożyteczne rzeczy. Doszło do tego, że naczelnik więzienia, Polak, wysłużony oficer, który przyjął protestantyzm, aby uzyskać posadę, rozpoczął walkę z tą moją „popularnością“. Podczas wieczornych raportów straszył on strażników, żeby mi nie ufali, bo ja jestem niby bardzo grzeczny, ale przy pierwszej okazji ucieknę, i „unieszczęśliwię“ takiego dozorcę!... Zabawne było, że strażnicy w największej tajemnicy, pojedyńczo cały ów raport mi powtórzyli.

Na podwórzu więziennem utworzyłem wówczas rodzaj uniwersytetu ludowego dla strażników. Kiedy naczelnik wyszedł do miasta na karty, wówczas ze wszystkich posterunków zbiegali się do centralnego punktu strażnicy, ścielili na ziemi przed budą strażniczą swoje ciężkie płaszcze, a ja zasiadałem na tej zaimprowizowanej katedrze i albo sam wybierałem temat wykładu, albo poddawał mi pytanie który z „ciekawszych“. Więc np. podczas pełni księżyca pytał który z nich, jak też to tam na księżycu być może...

Albo o Ameryce, o wielkich miastach, o Krakowie, o historji polskiej, szły pytania i wykłady, słuchane w wielkiem skupieniu, wśród nadsłuchiwań jednak, czy strażnik przy bramie nie da sygnału o powrocie naczelnika lub innem niebezpieczeństwie.

Nieraz przeciągnął się taki wykład poza godzinę spaceru, co dało nawet powód owemu mordercy z pod jasnego numeru do zadenuncjowania mnie przed żandarmerją! Jako jedyny oprócz mnie siedzący w samotnej celce, czuł się mojem stanowiskiem dotknięty i pokrzywdzony!...

4

Poufałość straży doszła do tego stopnia, że jeden z młodszych strażników zachodził do mnie podczas swego dyżuru na pogawędkę o najmilszym dlań temacie: „czy będzie jeszcze kiedyś wojsko polskie?“ Był to artylerzysta, który kiedyś służył w okręgu petersburskim. Dwóch tylko było zawsze podejrzliwymi: jeden chłop z Kurpiów, klerykał z pod ciemnej gwiazdy i służbista nadzwyczajny, choć w gruncie rzeczy człowiek dobry i delikatny, a drugi ów „starszy“ kacap. Ale jego ulubieniec Wania tyle cukierków odemnie dostawał, że przez to „oczko w głowie“ ojcowskiej paraliżowałem służbistość byłego feldfebla.

W ciągu śledztwa nic się nie zmieniało. Zasiadałem zazwyczaj wobec dwóch jegomościów: rotmistrza Śmiałowskiego, ponurego żandarma o długiej kruczej brodzie, noszonej na sposób Aleksandra III i wobec jeszcze wstrętniejszej figury „towarzysza prokuratora“, biurokraty z twarzą i manierami popowicza.

Pisali oni dla t. zw. „państwowej ochrony“ w Petersburgu, która miała o mnie zadecydować, olbrzymie protokóły, gdzie była nagromadzona nicość formalistyki urzędniczej, przestrzeganej z jakimś niezrozumiałym dla mnie fetyszyzmem; było stale też moje zdumienie z powodu aresztowania zupełnie niewinnego obywatela państwa austrjackiego i szczegóły z mojego życia, które jednakowoż żadnemu prokuratorowi na nicby się nie przydały.

Czasem wprawiałem obu moich protokólantów w czarną rozpacz z powodu obstawania przy swojem zdaniu.

Przytoczę jedną taką zabawną scenkę.

Kiedym na telegramy i listy nie odpowiadał Krakowowi i nie uciekał ze wsi, wówczas wybrał się na mój bezpośredni ratunek Franek Nowicki, jeden z członków kółka, o którem wspominałem. Zadepeszował do mnie z Warszawy, żebym go czekał na jednej ze stacji kolejowych, bliskich mojej wioski. Telegram był podpisany „Franek“ a zaadresowany „Eljasz G.“, przyczem drugie nazwisko oznaczało właściciela. Nowicki przyjechał na stację, nie wiedząc nic o mojem aresztowaniu, po-

wałęsał się koło budynku i nie doczekawszy się mnie, drapnął napowrót do Warszawy. Na tym wypadku mogłem z najwyższem zdumieniem obserwować sprawność ówczesnej żandarmerji rosyjskiej. Oto depeszę przyłapano w Pułtusku, ale odesłano ją do Ostrołęki, bo tam urzędował prowadzący śledztwo rotmistrz Śmiałowski. Zanim Śmiałowski mógł dać znać do Pułtuska, aby wysłano pogoń za moim przyjacielem, ten był już za górami, za rzekami...

Ale w ręku Śmiałowskiego pozostał blankiet telegraficzny jako wymowny dowód moich konspiracyjnych stosunków z jakimś „Frankiem“. Z triumfem pokazano mi blankiet i żądano wyjaśnień. Ale ja żadnego „Franka“ nie znałem w życiu, a nadto postanowiłem zgasić triumf obu moich ciekawych biurokratów. Prosiłem więc, aby zapisali w protokóle, że dziwię się dlaczego mnie okazują depeszę, adresowaną do kogo innego, mianowicie do jakiegoś pana „Ilija G.“, za którego korespondencję ja nie odpowiadam. Eljasz znaczy bowiem po rosyjsku imię chrzestne „Ilija“.

Ponieważ przeczyście i z nabożeństwem napisany protokół brzmiał już z góry, jakoby depesza była do mnie wystosowana, więc obaj urzędnicy zapienili się z gniewu na moją zuchwałość. Towarzysz prokuratora zapomniał się do tego stopnia, że nazwał mnie „zjadaczem liter“, („gospodin bukwojed“), drugi zaś oświadczył, że nie potrzebuje wogóle mojego podpisu na protokóle i pośle go do Petersburga z odpowiednim komentarzem o moim uporze.

— W takim razie proszę mnie wogóle nie wywoływać z mojej celi i pisać, co się panom podoba — odrzekłem.

To rozwściekliło rotmistrza do tego stopnia, że zawołał z korytarza żandarma i gromkim głosem kazał mnie odprowadzić do celi. Poszedłem więc na obiad, ucieszony, żem ich tak bardzo zmartwił. Ale po dwóch godzinach wezwano mnie ponownie do kancelarji i teraz już w bardzo słodkim tonie odczytano cały protokół wedle mego tłómaczenia. Obaj inkwizytorowie żalili się, że przezemnie obiadu jeszcze nie jedli, na co ja nie miałem nic do powiedzenia.

W środku śledztwa zjawił się u mnie podpułkownik żandarmerji Białanowskij, który mnie zasypał troskliwemi pytaniami o moje zdrowie (!), spisał jakiś pusty protokół i pojechał. Wkrótce potem wszedł do mojej celi, w otoczeniu całej świty, okazały prokurator Izby sądowej warszawskiej Turau. Gdym go zapytał, co słychać po 5 miesiącach z moją sprawą, odpowiedział po rosyjsku:

— Pański los prawdopodobnie Sybir.

Życzyłem mu w duszy, żeby go djabli wzięli i nie powiedziałem już ani słowa. Ale od tej chwili zacząłem coraz częściej myśleć o planie ucieczki. Na spacerach oglądałem z szczególnem zainteresowaniem teren podwórza, mierzyłem wysokość murów i gotów byłem każdej chwili skorzystać z dogodniejszych warunków, aby nie tracić czasu na zwiedzanie Sybiru.

W kozie pułtuskiej zetknąłem się po raz pierwszy z gromadą więźniów pospolitych. Porównując tutejsze stosunki z austrjackimi, które później miałem sposobność poznać dość dokładnie, przychodzę do przekonania, że rygor więzienny w Austrji był ostrzejszy, ale obelg znacznie mniej, a kary cielesnej na szczęście nie było. Wikt też w Austrji był o wiele lepszy i obfitszy. Ale też na tem wyczerpują się różnice, jeżeli oczywiście pominiemy specjalnie rosyjski rodzaj kary, jak posielenie, katorga, aresztanckie roty i t. d.

W Królestwie i w Galicji dość podobne to dno nędzy i ludzkiego spodlenia. I tu i tam spotykałem szalone, nerońskie wyroki na „nałogowych“ złodziei, wydane za kradzież przedmiotu minimalnej nieraz wartości. Widziałem „nałogowych“, którzy otrzymali półtora roku więzienia za kradzież parasolki, ocenionej na 17 (siedemnaście) kopiejek!

Srogość ustaw w obronie prywatnej własności i tępość praktyki stosowania tych ustaw po obu stronach kordonu jednakowa... W Królestwie złodzieje byli zuchwalsi i dowcipniejsi. Kiedy kobiety aresztantki przychodziły ze swego podwórza prać bieliznę więzienną w łaźni, wówczas można się było nasłuchać flirtu, prowadzonego niekiedy z prawdziwym warszawskim polorem... Praczki były to niemal bez wyjątku dzieciobójczynie, młode, ładne i zdrowe niegdyś służące, które hieni charakter dzisiejszej moralności płciowej popchnął do mordu dziecka.

Patrząc na ich ciężką pracę z mojego okienka, miałem zawsze jedno życzenie, aby wszystkie moralistki świata, wszystkie jędze, które pracują najgorliwiej nad zgotowaniem hańby takiej biednej dziewusze, zostały skazane na pranie aresztanckiej bielizny. Nie ulega dla mnie do dziś dnia żadnej wątpliwości, że trzy czwarte tych nieszczęsnych dziewcząt popełnia zbrodnię w warunkach, wykluczających odpowiedzialność prawną, przy tajnym zazwyczaj połogu, w gorączce i w strachu okropnym przed tem, co jutro powiedzą t. zw. „moralne“ kobiety, które pierwsze ciskają kamieniem potępienia na dziewczynę-matkę...

W kozie obserwowałem też nadzwyczaj tkliwą miłość między aresztantami a aresztantkami. Kobiety odstępowały złodziejom wszystko co miały, jedzenie i pieniądze a mężczyźni pisali do swoich bogdanek czułe listy lub przez okna przesyłali pozdrowienia i całusy.

Z bogatej kroniki więziennej utkwiło mi w pamięci kilka wypadków ciężkich i przykrych. Jednego więźnia, złodzieja końskiego, chłopa krępego, olbrzymiej siły posadzono do ciemnicy. W ciemnej norze i w samotności czuł się tak przygnębionym, że prosił się raczej o 20 kijów. Wymierzono mu je sowicie.

Największym szacunkiem, pełnym uznania i trwogi zarazem, cieszył się w więzieniu pewien koniokrad, którego twarz wysoce inteligentna i potwornie zniekształcona postać zwróciły moją uwagę. Był to sławny złodziej koni w nadnarewskich okolicach. Doprowadzał do rozpaczy chłopów, którzy się nie umieli upilnować przed spryciarzem złodziejem. Pewnego razu zrobił podkop pod podłogą stajni i wsuwał się z mozołem w wąski otwór, gdy czyhający na niego chłop wbił mu w bok żelazne widły i przygwoździł w ten sposób człowieka jak chrabąszcza do ziemi! Uwięziono go i wylizał się w aresztanckim szpitalu, ale cała postać była wygięta ku prawemu bokowi, a prawe ramię było znacznie niższe od lewego. Mrowie

złodziejskie patrzyło nań jak na mistrza a żaden strażnik nie śmiał mu złego słowa powiedzieć.

Wzruszającą scenę przeżyłem z biednym żydkiem, nazwiskiem Jojna Berliner. Przez złych towarzyszy dopuścił się jakiejś drobnej kradzieży i oberwał 6 miesięcy. Naczelnik obiecał go wcześnie wypuścić, żeby go w miasteczku nikt nie widział; pierwszym pociągiem miał pojechać do Warszawy, tam pracować i dorabiać się, a potem dopiero wrócić do domu.

Siostra przyniosła mu nowe ubranie, popołudniu wziął łaźnię i cały wieczór wyśpiewywał, tłumiąc wzruszenie na myśl o tem, że jutro już będzie wolny! Wszyscy mu dobrze życzyli, wszyscy z wesołym 17 letnim ładnym żydkiem żartowali, a on umiał na żart żartem odpowiedzieć.

Wtem o północy usłyszałem straszny, żałosny jęk w pobliskiej celi na korytarzu. Jojna Berliner konał jęcząc, a wkrótce wyłowiłem odgłos kroków czterech ludzi, niosących coś ciężkiego. Wynoszono biednego Jojnę, a na drugi dzień rano leżał już w trupiarni, której drzwi otwarte były niemal tuż pod mojem oknem. Pękła w biednej głowie tętnica mózgowa...

Po pewnym czasie usłyszałem za murem więziennym przejmujące jęki całej rodziny Berlinerów, którzy napróżno chcieli ubłagać władze, aby nie robiono sekcji zwłok Jojny. Biurokracja ciągnęła tę okropną historję przez całe trzy dni, a przez ten czas słychać było co chwila jęki, łkania i zawodzenia rodziny pod bezlitosnym murem turmy.

Byłem przygnębiony i wstrząśnięty do głębi tym bólem ludzkim.

Wreszcie w pierwszych dniach grudnia przyszedł do więzienia rozkaz „państwowej ochrony“, żeby mnie pod eskortą odstawić do granicy austrjackiej. Po siedmiu miesiącach nie wiedziano, co ze mną właściwie należy zrobić, bo w protokółach niczego absolutnie nie powiedziałem, świadków żadnych przeciwko mnie nie znaleziono i nawet nie wiadomo było, o co też mnie mogą obwinić.

Wyrzucono mnie zatem i zakazano powracać do granic państwa rosyjskiego. Około 10 grudnia 1889 r. byłem napół wolny; pod eskortą dwóch strażników ziemskich wyjechałem na całą noc do Warszawy, a stamtąd do granicy, gdzie mnie odstawiono najpierw do aresztów w Będzinie.

Tu siedziałem krótko w towarzystwie obłąkanego księdza, który wracał — jak mówił — od papieża i mimo papieskiego błogosławieństwa został wtrącony do strasznej nory, zwanej więzieniem w Będzinie.

Na trzeci dzień zajechały sanie przed kozę i z dwoma opiekunami — żandarmami pojechałem do Granicy, gdzie mnie oddano austrjackiemu komisarzowi.

Z początku zdawało mi się, że jestem wolny. Ale w wagonie przypił się do mnie ajent austrjacki, który mnie aresztował i zaprowadził do więzienia u św. Michała. Tu jednak mnie nie przyjęto, bo policja zapomniała się postarać o sądowy nakaz aresztowania. Zdawało mi się, jakoby szpicel był mocno zawstydzony tą odmową, która trąciła „konstytucyjnością“ dotąd w Krakowie nieznaną... Biedak zaprowadził mnie w nocy do dyrekcji policji, gdzie komisarze wyrażali mi tak długo swoje współczucie, aż nie przybył wreszcie rozkaz aresztowania mnie.

Napowrót więc do św. Michała! Dano mi celę piekielnie zimną, ale mimo to zasnąłem bez ceregieli. Kiedym rano oczy otworzył, zobaczyłem nad sobą dziwną postać. Mały, zielony, drżący z zimna żydek, otulony twardym szarym kocem więziennym, dygotał nademną i obserwował mnie ciekawie.

— Pan za co? — pyta żydowina.

— Za morderstwo.

— Kogo pan zabił?

— Siedm kobiet.

Nagłym ruchem cofnął się przerażony chłopak, siadł na swoim barłogu i drżał z zimna jeszcze bardziej.

— Jak zimno, — oni tu oszczędzają na nas.

— Zaraz będzie ciepło. Weź ten stołek i wal w drzwi — rozkazałem stanowczym głosem.

Żydek w towarzystwie tak „poważnego“ zbrodniarza ośmielił się i zaczął serdecznie walić w drzwi. Za chwilę wpadł wśród przekleństw klucznik, któremu w ostrych słowach kazałem

napalić w piecu. Nie wiedząc, kto to taki być może, który rozkazuje bez ceremonji, klucznik ustąpił i za pół godziny przylepiał się biedny żydek do rozgrzewającego się pieca, patrząc na mnie z ogromnym respektem.

Sędzia śledczy, stary powstaniec, poinformował mnie z całym spokojem, że prokurator nie ma właściwie żadnych materjałów, aby mnie oskarżyć. Za mnie sam spisał protokół, żądający natychmiastowego puszczenia mnie na wolność i już popołudniu leciałem do mieszkania matki i siostry, które się tyle mojem więzieniem były namartwiły.

Wyjazd zagranicę.

Znaleźli się wnet przyjaciele i pierwszy tydzień upłynął rozkosznie.

Ale rychło przypomnieć mi się miała ciężka atmosfera Galicji ówczesnej. Kółko nasze znalazło się nagle wśród wirów uniwersyteckich, które narobiły wiele szumu w spokojnym Krakowie. Ówczesny rektor, prof. Korczyński, człowiek bez taktu i rodzaj kacyka uniwersyteckiego, obraził całą Czytelnię Akademicką, na której czele stał prezes Franciszek Nowicki i jego sekretarz Ludwik Janikowski. Byli to reprezentanci „rewolucyjnej“ fali, wobec której ja zachowałem zupełny krytycyzm, ale w stosunkach ówczesnej Galicji młodzież ta była najbardziej postępową i najpiękniejsze miała ideały. Rektor zarzucił reprezentantom Czytelni kłamstwo i sprowokował zajadłą wojnę całej młodzieży akademickiej przeciwko sobie.

Stanąłem odrazu po stronie studenckiej i należałem do głównego kółka buntowników, które trzęsło przez cały tydzień Krakowem. Policja i wojsko wtargnęły do uniwersytetu, bagnetami rozpędzano studenckie komersy, aż doprowadzono do tego, że przyjechał namiestnik Badeni „robić porządek“. Ogólny wiec akademicki 600 głosami przeciwko 17 zażądał ustąpienia Korczyńskiego. W końcu młodzież zdecydowała się na demonstrację najostrzejszą. Przed kilku laty darowała Korczyńskiemu popiersie i czyniła mu głośne owacje za to, że nie

poszedł do Lwowa na protomedyka, lecz został w Krakowie. Teraz postanowiono dar honorowy cofnąć...

Około 9 godziny rano zgromadzili się medycy przed kliniką prof. Korczyńskiego. Byłem tam z moimi przyjaciółmi i kiedy tłum wtargnął do sali wykładowej, asystowałem przy zdjęciu biustu. Długim korowodem, w zupełnej ciszy — aby nie niepokoić chorych na klinice — sunęli studenci przez ulicę na podwórze Collegium anatomicum leżącego tuż naprzeciwko. Biust był w naszych rękach. Wtem kilku zauszników Korczyńskiego wszczęło tumult i rzuciło się ku biustowi, aby go uratować. Wówczas skoczyłem, wyrwałem biust i wzniósłszy go w górę, cisnąłem nim z całej siły o bruk podwórza. Mieszany wrzask wściekłości i triumfu powitał skorupy profesorskiej wielkości w rynsztoku. Jeden z przyjaciół wziął mię pod ramię i wyprowadził na przechadzkę.

W domu siedząc, walczyłem z myślami, co też poczę w tej nieszczęsnej Galicji. Nie miałem znowu żadnych środków do życia i nie wiedziałem, gdzie też zarobić choćby na najskromniejsze utrzymanie. Nędza straszliwa wyszczerzyła do mnie zęby i obezwładniała mnie coraz bardziej.

Po długich szarpaniach się zdecydowałem wreszcie, że jadę do Ameryki. Obrzydło mi strasznie życie w Galicji. Chciałem pracować, ale wszędzie zastawałem drzwi zamknięte; bojkot był dokoła mnie zupełny, tak że mogłem najspokojniej w świecie umrzeć z głodu dla chwały systemu galicyjskiego. Wtem pewnego dnia, w styczniu 1890 roku przyszedł list od brata Feliksa. Był on chory na suchoty, a teraz dowiadywałem się, że choroba jego jest bardzo groźną. Postanowiłem go odwiedzić w drodze za Ocean i wkrótce po stłuczeniu biustu ruszyłem do Szwajcarji, gdzie w Dàvos leżał mój biedny Feliks.

Przed odjazdem zostawiłem w ręku przyjaciół staranny opis mojej winy i przyznanie się zupełne, co się okazało niepotrzebnem, pomimo że jakiegoś nieszczęśliwca nękano protokółami jako winowajcę !...

W Dàvos zastałem brata w strasznym stanie. Gruźlica żarła go bez litości. Leżał w łóżku całymi tygodniami, gorączkując

i opadając z sił coraz bardziej. Serce moje krajało się z boleści, ale kiedyśmy znaleźli się sam na sam i zaczęli przypominać dawne czasy, nasze pochody, nasze szaleństwa i naszą nędzę, wówczas obu nam strasznie dobrze się zrobiło, a Feliks rozgrzeszył się i zapalił papierosa wraz ze mną, jak za dobrych czasów...

Ale po kilku dniach pora mi była ruszać w daleki świat za chlebem i opuściliśmy razem Dàvos. Feliks pojechał z żoną, dr. Zofją Daszyńską, do Meranu, ja do Paryża.

W Paryżu zamieszkałem z Dębskim, który chwycił się zecerstwa, aby z głodu nie zginąć. Co wieczora szedłem do śródmieścia po mojego towarzysza, który wtedy opuszczał drukarnię. Kupowaliśmy po kawałku mięsa, chleba, margaryny i szliśmy zazwyczaj do znajomej studentki, odgrywającej rolę gospodyni. „Gospodarstwo“ polegało na tem, że zapalano w kominku maszynkę spirytusową, na patelnię rzucano kawał margaryny, na to owe kawałki mięsa i po pewnym czasie powstawał idealny befsztyk. Że pito przytem herbatę bez granic, to zrozumiałe.

W Paryżu, równie jak w Zurychu i Genewie, gdzie po kilka tygodni zabawiłem, poznałem ówczesną emigrację polską i rosyjską. Polacy dzielili się na socjalistów, którychby należało nazwać marksistami, albo „walkoklasowcami“ i na socjalistów-patrjotów, będących w gruncie rzeczy demokracją drobnomieszczańską i inteligencką. Całe „życie“ emigracyjne koncentrowało się w zajadłych walkach między tymi dwoma odcieniami, a celem tych walk było pozyskanie garści młodzieży, która zaludniała uniwersytety zagraniczne! Zawiść, oszczerstwo, plotki, to był chleb codzienny w tych marnych warunkach. Jedni i drudzy marzyli o kraju, ale w gruncie rzeczy ani jedni ani drudzy nie mieli w kraju żadnego wpływu.

Rosjanie rozpadali się także na narodowolców i socjaldemokratów i tak samo się żarli ze sobą, urozmaicając sobie życie odkrywaniem wiecznem szpiegów i prowokatorów. Zupełne niewyrobienie życiowe wśród młodzieży rosyjskiej, nieskończona jej naiwność i absolutny brak zrozumienia polityki zachodnio-europejskiej charakteryzowały życie Rosjan.

Jedynem zjawiskiem pięknem w ówczesnej kolonji polskiej była nauka kobieca na uniwersytetach. W owym czasie pojawiły się pierwsze polskie studentki i traktowały naukę z prawdziwem nabożeństwem. Wiele wśród nich odznaczało się zdolnościami, niemal wszystkie imponowały pilnością i gorliwością w nauce.

Warto wymienić kilka nazwisk owych pionierek kobiecych nauki, jak np. p. Krzyżanowska - Kodisowa, Poznańska później dr. Daszyńska a potem Golińska, Billewiczówna-Narutowiczowa, Burbianka, Okuniewska-Moraczewska i inne.

Dnia 9 kwietnia r. 1890 otrzymałem w Paryżu depeszę z Meranu o śmierci Feliksa. Straszliwy ból szarpał mną w moich pochodach po olbrzymiem mieście, wpadałem chwilami w zupełną rozpacz, bo czułem, że straciłem jedynego prawdziwego przyjaciela i towarzysza, że zostałem odtąd sierotą, jak dzieci po śmierci rodziców. Marzenia moje, że kiedyś razem zaczniemy pracę w kraju, runęły wniwecz. Nie śmiałem teraz nawet pomyśleć o powrocie do kraju bez niego. Zostałem sam jak palec, nie wiedząc co począć.

Zacząłem się szykować do drogi. Miałem pojechać do południowej Ameryki, gdzie jeden z przyjaciół zajęty był przy budowie kolei żelaznej.

Pewnego dnia obliczyłem pieniądze i poszedłem do biura „Compagnie Maritime“, aby kupić bilet na statek. Wieczorem miałem odjechać do Havru.

Na wielkich bulwarach spotkali mnie Dębski i Stanisław Mendelson. Zaczęli mnie usilnie odwodzić od mego planu, obiecując stypendjum dla umożliwienia mi dalszych studjów uniwersyteckich.

Zaproponowali wyjazd do Zurychu na uniwersytet, gdzie miałem otrzymywać 60 franków miesięcznie. Nauka uśmiechała się do mnie znowu i zgodziłem się na pozostanie w Europie.

1 maja 1890.

Dnia 1 maja 1890 r. byłem w Paryżu i widziałem szalony popłoch bogatej burżuazji wobec pierwszy raz święconej uroczystości robotniczej, uchwalonej przed rokiem na paryskim Międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym. Minister spraw wewnętrznych Constans powiększył garnizon o 15.000 wojska, ulice wysypano piaskiem, aby umożliwić szarże kawalerji, policja i gwardja municypalna były w całości skonsygnowane.

Dzień był przecudny. Na „placu Zgody“ szumiały fale zgromadzenia najmniej 50.000 ludzi, przeważnie robotników. Olbrzymie konie wspaniałej gwardji municypalnej pławiły się zwolna w tem ludzkiem mrowisku, torując drogę deputacji robotniczej, udającej się do gmachu parlamentu z żądaniami klasy pracującej.

Na głównych ulicach miasta wojsko i policja, sklepy pozamykane, burżuazja uciekła do wszystkich możliwych miejsc kąpielowych i willegiatur na prowincji.

Popołudniu tłumy spacerują w Tuillerjach. Idziemy na gazety do wielkiej kawiarni na bulwarach i czytamy pod wieczór depesze z Polski!...

W dwóch punktach święcono dzień ten w Polsce: we Lwowie i w robotniczej Białej. We Lwowie 4.000 ludzi obradowało na dziedzińcu ratuszowym. W Białej strzelało wojsko do ludu i zabiło kilku robotników. Po raz pierwszy wojsko austrjackie próbowało na robotnikach nowe karabiny systemu „Mannlicher“. Karabiny okazały się doskonałe...

Króciutkie te depesze w pismach francuskich zelektryzowały mnie i jakby rozdarły zasłonę leżącą nad krajem przygnębionym i gnuśnym. Więc 1 maja święcą i w Polsce, więc możliwe było zgromadzenie ludowe i to w ratuszu lwowskim! Więc ludzie dają się zabijać za wykonywanie uchwały Międzynarodowego Zjazdu!

Byłem świadkiem zjawiska społecznie nie dającego się przewidzieć, że uchwała pewna wchodzi w życie z żywiołową siłą i nikt nie zdaje sobie na razie sprawy z tej siły.

Międzynarodowy Kongres w Paryżu — pierwsza próba wskrzeszenia drugiej z rzędu „Międzynarodówki“ — zwołany na 14 lipca r. 1889, uchwalił na wniosek francuskiego syndykalisty Lavigne'a, że w dniu 1 maja mają zorganizowani robotnicy całego świata obchodzić uroczystość poświęconą manifestowaniu konieczności 8-godzinnego dnia pracy, solidarności międzynarodowej ludu pracującego, zniesieniu militaryzmu i pokojowi powszechnemu. Jak poważnie wzięła klasa robotnicza tę uchwałę, przyjętą na kongresie bez dyskusji, dowodzą długie lata późniejsze, w których dzień 1 maja stał się naprawdę świętem robotniczem wszędzie, gdzie tylko istnieje socjalizm. W takiej Australji dzień 1 maja jest początkiem chłodnej i smutnej pory roku, a jednak robotnicy australijscy, wierni wykonaniu uchwały Kongresu paryskiego, święcą ten dzień bardzo uroczyście. Najrychlej przyjęła się uroczystość majowa w Austrji, gdzie rozwój socjalizmu wyprzedził znacznie przestarzałe formy życia publicznego (ustawy o zgromadzeniach, stowarzyszeniach, prasie i t. d.) i dlatego szukał dla siebie sposobności okazania się nazewnątrz. I w Galicji znalazła uchwała paryska posłuch zgoła niespodziewany. Już w r. 1890 święcono 1 maja we Lwowie i w Białej.

Na dwa dni przed 1 maja wybuchł we Lwowie pożar w wielkich warsztatach kolei Karola Ludwika (wówczas prywatnej). Pożar ten, powstały z przypadku, wzbudził wielką panikę w całem mieście. Dworzec, magazyny i warsztaty otoczono wojskiem, a bogatsi ludzie zaopatrzyli się w — rewolwery, na czem zarobiły handle broni.

W podwórzu ratuszowem zgromadziło się 1 maja rano około 4.000 ludzi na zgromadzeniu publicznem. Na porządku dziennym było: 1) Wniosek wysłania wieńca na grób Lassalla, 2) 8-godzinny dzień roboczy, 3) powszechne głosowanie, 4) zniesienie armji stałych, 5) sprawa szkół wyznaniowych, 6) założenie robotniczego towarzystwa zapomogowego (późniejsza „Siła“).

Odtąd już dzień 1 maja ma się stać na długie, długie lata wielką doroczną manifestacją robotniczą w całym kraju. Zaraz

na drugi rok wypadła w niedzielę 3 maja stuletnia rocznica Konstytucji Wielkiego Sejmu, podczas gdy 1 maja wypadał w piątek... Umyślnie podnoszę to kalendarzowe sąsiedztwo, bo zresztą między obiema temi uroczystościami niema absolutnie żadnego związku. Wbrew jednak zdrowemu rozsądkowi postanowili krzykacze „patrjotyczni“ uczynić z konstytucji 3 maja środek dla złamania robotniczego święta. W tym celu założono we Lwowie pisemko p. t. „Robotnik polski“, gdzie dały sobie rendez-vous częścią bardzo ograniczone głowy, częścią zaś ludzie wprost inspirowani przez takich jak Masłowski „polityków“. Partja tymczasem rozwinęła bardzo energiczną agitację; wyświetlono w szeregu artykułów, w „Pracy“ umieszczonych, znaczenie konstytucji 3 maja, a w broszurze drukowanej zagranicą wyłożono obszernie, dlaczego żaden z robotników „nie zechce zrywać solidarności z robotnikami całego świata i nie zechce przenosić święta 1 maja na 3 maj“. (Święta majowe a partja robotnicza — głos z Galicji“ 1891 r. str. 20). Żądaniu krzykaczy, aby przy sposobności 3 maja robotnicy odstąpili swej uroczystości, odpowiada autor broszury: „Nie żądajcie, ażebyśmy dla dodatnich nawet cieniów przeszłości poświęcali w czemkolwiek nasze obecne stanowisko, stanowisko teraźniejszości!... i nie łudźcie się, jakobyście zdołali odwieść nas od niego dlatego, że sami nie tylko święcicie, ale co najgorsza, przeciwstawiacie nam pamiątkowe święto kapitalistycznego mieszczaństwa“ (l. c. str. 24). Broszura rozeszła się w prawie półtora tysiąca egzemplarzy po kraju.

1 maja, mimo tego że wypadł w dzień piątkowy, odbył się przy współudziale blisko 2.000 ludzi na zgromadzeniu w ratuszu. W dwa dni potem wzięli udział robotnicy w pochodzie 3 maja z odznakami socjalistycznymi przy boku i zaimponowali swoją liczbą. Wkrótce też upadł „Robotnik polski“ z powodu anemji, t. j. braku czytelników.

Pomimo logicznego nawet życzliwego dla 3 maja stanowiska zorganizowanych robotników, nie ustała do dziś dnia śmieszna wprost agitacja różnych galopenów endeckich za tem, żeby robotnicy odstąpili od swej uroczystości, mającej

ważny charakter międzynarodowy — na rzecz konstytucji, która miała już w XVIII wieku bardzo słabe, ideologiczne tylko znaczenie, a z życiem nowoczesnem nie tylko robotników, ale całego narodu związana jest tylko wspomnieniem dość mętnem, nie wywierającem żadnego wpływu na myśl czy uczucie współczesnych Polaków.

W parę lat później już cały kraj w setkach miejscowości święcił 1 maja uroczyście. Cała partja od marca każdego roku przechodziła okres gorączkowej agitacji za święceniem 1 maja. Zawód po zawodzie, miejscowość po miejscowości urządzały dziesiątki poufnych i publicznych zgromadzeń i narad, jak święcić 1 maja, aby bezrobocie było kompletne, zgromadzenie i pochód prawdziwie uroczyste, zabawa majowa piękną i powszechną. Muzyki, chóry ćwiczyły się gorliwie, referaty przygotowywano, rezolucję majową rozsyłano wszędzie, barwne jednodniówki majowe drukowano, jednem słowem uchwała paryska weszła u nas w życie wspaniale! Nieraz błogosławiłem ten znakomity pomysł d n i a r o b o t n i c z e g o, bo wprowadzony odpowiednio w życie dawał niezliczone sposobności agitacji i propagandowej pracy, owianej duchem socjalistycznym. Że policja i jezuici starali się wedle sił przeciwstawiać, to było rzeczą zrozumiałą. Na innem miejscu opisuję próbę jezuitów, ks. Stysińskiego i ks. hr. Jana Badeniego, w Krakowie, aby unicestwić 1 maja. W tymże samym Krakowie w r. 1891 dyrektor policji Englisch (nic wspólnego nie mający z tow. Janem Englischem, senatorem) skonsygnował całą ogromną załogę twierdzy w strachu przed 1 majową uroczystością. Gdy żadnego zgromadzenia robotniczego nie było, wojskowość dręczona rozkazami pogotowia zbrojnego i wielce rozsierdzona, doprowadziła do napędzenia zbyt gorliwego policjanta. Na Cieszyńskim Śląsku i w wielu miejscach Zachodniej Galicji rozszerzyło się święto majowe i n a w i e ś. Czarownie też wyglądały takie pochody robotnicze z muzyką i czerwonymi sztandarami na tle zielonych pól i lasów. W wielu miejscowościach święcono 1 maja zaczynając od mszy, specjalnie na intencję robotników zamawianej. Opowiadano mi też o prze-

ślicznem kazaniu, wygłoszonem z tej okazji od ołtarza przez staruszka księdza w przedmiejskim kościołku we Lwowie. Widać ten starzec nie zapoznał się jeszcze z drapieżnym duchem nowoczesnych obrońców kapitalizmu w sutannach. Jeszcze w robotnikach widział braci, szanownych ludzi pracy, których intencje szanował i podzielał. Młodsze pokolenie księży inaczej reagowało na święto robotnicze; najohydniejsze wyzwiska, obelgi, groźby odmowy sakramentów, intrygi do spółki z policją, to był „nowszy“ kierunek...

Taka była żywiołowa siła w tem święcie, że nawet podczas wojny w twierdzy krakowskiej potrafiłem przeprzeć u austrjackich wielmożów wojskowych pozwolenie na uroczyste święcenie 1 maja. Obstawiono nas oczywiście całymi pułkami, uzbrojonymi jak do wojny, ale pozwolono!

W Królestwie 1 maj stał się również potężnym bodźcem ruchu robotniczego, a krwawe rzezie, urządzane przez rząd rosyjski w Łodzi i Warszawie, nadawały temu cudnemu świętu robotniczemu tragiczne piętno, jak i każdemu innemu objawowi życia robotniczego w tej części Polski.

W życiu międzynarodowem próbowali Niemcy osłabić ścisłe wykonanie uchwały paryskiej, ale wszędzie sprzeciwialiśmy się dość ostro temu oportunizmowi i w rezultacie dzień 1 maja stał się rzeczywistem świętem wszędzie. Co do porządku dziennego zgromadzeń uroczystych można powiedzieć, że każdy naród oprócz tematu międzynarodowego braterstwa wstawiał swoje najbardziej piekące potrzeby polityczne i społeczne jako temat aktualny. U nas polityka społeczna i powszechne głosowanie były zawsze na czasie, bo nie mieliśmy ani jednego ani drugiego przez długie lata.

Wróćmy jednak do Paryża. Depesze o 1 maja w Galicji zdecydowały nie tylko ostatecznie mój wyjazd na uniwersytet do Zurychu, lecz natchnęły mnie myślą o powrocie do kraju, aby tam zacząć pracę wśród robotników, pracę obliczoną może na lat dziesiątki, ale poważną i urzeczywistniającą to, o czem z bratem marzyłem, do czego z nim razem tęskniłem.

Z Paryża wyjechałem bez zwłoki do Zurychu, zapisałem się na przyrodę i przemieszkałem tam aż do września 1890. Oprócz wykładów, których słuchałem z wielkiem skupieniem, miałem dwie sprawy, które mnie mocno interesowały. Pierwszą było stowarzyszenie robotników polskich, „Zgoda“, założone przezemnie w r. 1890 na spółkę z tow. Wincentym Sikorskim, krawcem warszawskim, moim wielkim przyjacielem jeszcze z Krakowa.

Drugą zaś była walka z narodowo-demokratycznem stowarzyszeniem „Młodzieży Polskiej“. Studenci narodowo-demokratyczni opanowali „Oberstrasse“, studencką dzielnicę Zurychu, tak dalece, że uważali mnie za intruza. W przeciągu kilku miesięcy oderwałem im coś szesnaście członków, co ich napełniło takim gniewem, że obiecali mnie obić. Po staropolsku!

Szał ich nienawiści młodzieńczej do mnie, jako do socjalisty, doszedł do szczytu z okazji przewożenia zwłok Adama Mickiewicza do kraju. W deputacji uroczystej po zwłoki wieszcza był Asnyk i dwóch socjalistycznych studentów, śp. Miśko i Franciszek Siedlecki, późniejszy oryginalny malarz. Ale w Zurychu młodzież „narodowa“ poprzysięgła wziąć cały obchód na stacji w swoje ręce i nie dopuścić robotników socjalistów, a tem mniej socjalistów Rosjan, których myśmy znów na obchód zaprosili. Przygotowałem walkę. Z naszej strony miał mówić robotnik farbiarz, Juljan Marchlewski, późniejszy wódz esdecji. Jakiś Petroff miał przemawiać od Rosjan, ktoś jeszcze imieniem południowych Słowian.

Nadto przygotowano transport socjalistycznych broszur, które miały razem z trumną Mickiewicza przebyć granicę...

Ale na dzień przedtem nie wiedzieliśmy jeszcze nawet, czy nas wogóle dopuszczą do trumny, a młodzież narodowo-demokratyczna odgrażała się, że nie dopuszczą!...

Zamówiłem wówczas gromadę polskich metalowców z Winterthur, i po raz nie wiem który wezwałem mówców, aby byli gotowi na dany znak.

Tymczasem zaprosił mnie do siebie p. Władysław Mickiewicz, przybyły z Paryża z trumną i deputacją. Rozmowa między nami była ostra.

— Nie każę otworzyć wagonu z trumną! — wołał p. Władysław.

— Może Pan to zrobić — odrzekłem, wiedząc, że reprezentant rządu szwajcarskiego, p. Droz, ma oficjalnie przemawiać.

Rozstaliśmy się bardzo niedobrze na kilka godzin przed uroczystością.

Wieczorkiem letnim zebrała się Polonia przy bocznym torze, gdzie stał wagon z trumną. Moi metalowcy, chłopcy jak dęby, trzymali się wagonu, nie odstępując. Po uroczystem przemówieniu ministra, pana Droz, przemówił pięknie Marchlewski, a w dalszym ciągu i Petroff i południowy Słowianin.

Młodzież endecka szalała z bezsilnego gniewu. Lepszym dyplomatą okazał się p. Władysław, bo po uroczystości przyszedł do mnie, aby mi podziękować za wzorowy porządek podczas aktu uroczystego...

Kiedy ciemnym już wieczorem wracałem do domu koło „Café du Nord“, słyszałem, jak komersująca młodzież endecka wymawiała z gniewem moje nazwisko. Śmiałem się tylko z tych gniewów, bo dopiąłem swego: socjaliści polscy złożyli hołd zwłokom i genjuszowi Mickiewicza!

Czy tow. Marchlewskiemu tak samo miłe wspomnienie tego „polskiego“ wieczoru, kiedy gromadka polskich robotników skupiła się koło trumny największego polskiego patrjoty, a on mówił jej imieniem — tego oczywiście dziś powiedzieć nie umiem. Dziś p. Marchlewski, jeden z wodzów bolszewickich, uważa „socjalpatrjotyzm“ za najohydniejszą obelgę.

W Zurychu zdecydowałem się ostatecznie na powrót do Galicji. Z końcem września byłem już u matki w Krakowie, a po kilku dniach osiedliłem się we Lwowie, mając narazie całego dochodu 15 złr. miesięcznie.

ROZDZIAŁ III.

Założenie partji robotniczej. — Redagowanie „Naprzodu“ w Krakowie.

Ruch robotniczy we Lwowie w r. 1890 był kierowany przez kilku dzielnych i rozumnych ludzi, między którymi wybijali się na pierwsze miejsce Kassjusz i Górzycki z pośród „inteligentów“, a Józef Hudec i Józef Obirek — obaj zecerzy — wśród klasy robotniczej. Były wtedy dwa pisma socjalistyczne we Lwowie: „Praca“ Józefa Daniluka i „Robotnik“, w którym pracowali Obirek i Górzycki. Pisma te były jednak sztandarami dwóch wrogich sobie obozów klasy pracującej, bo Daniluk ani myślał o poddaniu „Pracy“ jakiemukolwiek wpływowi partji. Zresztą i partji we właściwem tego słowa znaczeniu nie było! Grupy te intrygowały przeciw sobie, a choć jeszcze na zewnątrz nie wyszła hańba tej nienawiści, to jednak paraliżowała ona każdy krok naprzód.

Zadanie było dane: zjednoczyć obie grupy. Wziąłem się do tego metodą spisku niewinnego, aby najpierw zjednoczyć potajemnie wszystko co ważniejsze w obu grupach, a potem jawne zjednoczenie grup całych uczynić możliwem i koniecznem. Zeszło się nas dziesięciu: Janikowski i Nowicki (obaj wydaleni z krakowskiego uniwersytetu), Kasparek, Dzwonkowski, Diamand, Górzycki, Hudec, Joachim Fraenkel, Podkowicz i ja, wybrany przez spisek przewodniczącym. Na moje ręce ślubowali wszyscy milczenie na zewnątrz o naszych naradach, które zmierzały do urządzenia poufnego zgromadzenia robotniczego. Mieliśmy je tak przygotować, aby nastąpiła zgoda powszechna, poczem mieliśmy założyć „Robotniczą partję socjalno-demokratyczną“.

Wśród naszych tajnych robót założyli Rusini „Rusko-ukraińską partję radykalną“ na zjeździe z 4 października 1890 r.,

co było i dla mnie pewną zachętą. Oczywiście nie myślałem wcale o naśladowaniu metod rusko-radykalnych, które nie wytrzymały żadnej próby i doprowadziły partję radykalną do zupełnego upadku.

Zwołaliśmy zgromadzenie poufne, które stało się punktem wyjścia pierwszej organizacji partyjnej. Polegała ona na dwóch komitetach redakcyjnych „Pracy“ i „Robotnika“, tworzących razem zarząd partji. W „Pracy“ byli: Daniluk, Hudec, Eljasiewicz, ja i stolarz Neubauer; w „Robotniku“ był Mańkowski Antoni, Obirek, Górzycki, Diamand i jeszcze jeden. Te komitety stanowiły centr organizacyjny partji. Postanowiono teraz zwołać pierwszy wielki wiec partyjny na dzień 14 grudnia 1890 r. Na porządku dziennym było żądanie powszechnego głosowania, referaty o ludzie rolnym, o równouprawnieniu kobiet itp. Referowali obok mnie i towarzyszy także p. Iwan Franko i Ernest Breiter (o kobietach!). Zgromadzenie powiodło się i może być uważane za punkt wyjścia życia publicznego nowej partji, „partji robotniczej“, która będzie przez dziesiątki lat jedyną organizacją socjalistyczną proletarjatu polskiego w Austrji.

Naturalnie, że partja stworzyła statut stowarzyszenia kształcąco-zapomogowego „Siła“, które miało przez lat dziesięć być jedyną rozpowszechnioną formą organizacji politycznej w kraju. Pierwsza „Siła“ powstała we Lwowie już 15 lutego 1891 r.

Znaczenie robotników przemysłowych w życiu ówczesnej Galicji było niesłychanie małe. Liczba ich wynosiła zaledwie 8% ludności. Nie byli zorganizowanymi w jakichś nowoczesnych związkach, lecz w średniowiecznych cechach majsterskich, w których także nie mieli żadnego wpływu. Tradycji walk narodowych czy społecznych nie było. Jednem słowem, była to klasa wyzyskiwana nielitościwie, pracująca w niektórych zawodach po 16 i 18 godzin dziennie, bez żadnej ochrony swoich sił i zdrowia i bez jakiegokolwiek wpływu.

Ludowcy ówcześni (można ich było na palcach policzyć) wskazywali w rozmowie ze mną na tę nicość klasy robotniczej i wyśmiewali moją pracę wśród tej warstwy. A jednak robotnicy byli klasą, której liczba i znaczenie musiały wzrastać z każdym krokiem naprzód, wraz z rozwojem ekonomicznym kraju. Każda fabryka, kopalnia, linja kolejowa były pionierami socjalizmu. Kto chciał mieć w Polsce Europę bez socjalizmu, był nierozumnym człowiekiem. Im większemi stawały się miasta polskie, im liczniejszemi były osady fabryczne czy kopalnie, tem większy wpływ miał socjalizm. Do niego należy przyszłość społeczeństwa.

Ci, którzy nas zwalczali liczbą chłopów, podobni byli do gospodarza, który mając ograniczone siły i środki, zacząłby uprawiać ogromne, puste stepy, zamiast ograniczyć się narazie do uprawy mniejszej lecz żyznej przestrzeni. Nigdyśmy zresztą nie myśleli zapoznawać faktu, że robotnicy to jeszcze nie cały naród, i że socjalizm musi pójść na wieś, aby zorganizować proletarjat wiejski.

Zresztą wieś i miasto nie są w ludzie tak bardzo rozdzielone, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Emigracja ze wsi do miasta odbywa się nieustannie, a agitacja z miasta na wieś idzie coraz żywsza. Nie ulega również wątpliwości, że znaczenie sił społecznych w stolicy i głównych miastach przez długie lata będzie większe niż równolicznej ludności wsi, ponieważ w miastach gromadzi się praca najwyżej kwalifikowana, tu wychodzą dzienniki, tu koncentrują się wiadomości, tu tworzy się kultura i cywilizacja.

Pierwsze jawne stowarzyszenie mieliśmy w zimie 1891 r. we Lwowie. Członków wpisało się odrazu przeszło dwustu, najęto lokal i rozpoczęto odczyty i wieczornice. Pierwszym prezesem obrany został Józef Hudec, człowiek kochany i szanowany dla swej pracy i pojednawczego charakteru. Było to pierwsze własne robotnicze gniazdo. Przedtem bowiem inteligencja socjalistyczna musiała się gromadzić w mieszanych towarzystwach, z których najważniejszem była „Czytelnia naukowa“. Socjaliści owładnęli nią byli prawie zupełnie i wytworzyli tu rodzaj organu pomocniczego, chroniąc atoli partję nader troskliwie od obcych wpływów, mogących działać zapomocą tego mieszanego klubu.

„Czytelnia“ pracowała dla partji przez dwa lata, aż ją w r. 1892 na wiosnę policja z powodu jakiegoś błędu formalistycznego rozwiązała.

Rok 1891 był dla mnie bogatym w zdarzenia. W zimie pracowałem gorączkowo wśród robotników we Lwowie i brałem udział w walce wyborczej, na wiosnę przebyłem blisko trzytygodniowy proces karny w Krakowie, w lecie byłem na międzynarodowym kongresie w Brukseli, a w jesieni objąłem miejsce redaktora świeżo założonej „Gazety Robotniczej“ w Berlinie.

W zimie r. 1891 rozwiązał hr. Taaffe niespodziewanie Radę Państwa i równocześnie z uplanowanym pośpiechem rozpisał nowe wybory. Miało to służyć do nowego ukształtowania zawikłanej i zajątrzonej sprawy czeskiej, której nie zdołały załatwić osławione „punktacje“ wiedeńskie, podpisane przez szlachtę czeską i staroczechów. Młodziutka partja socjalistyczna w Galicji miała tylko we Lwowie punkt oparcia i tutaj też tylko wzięła udział w walce wyborczej nie dla postawienia kandydata nawet, ale dla manifestacji.

Był to czas, kiedy t. zw. „demokratyczna lewica sejmowa“ występowała zupełnie na podobieństwo rządowej partji. We Lwowie takim „demokratycznym“ kandydatem był znany nafciarz i koncesjonarjusz, Stanisław Szczepanowski. Zdumiewającą jest rzeczą, jak człowiek ten, po napisaniu bardzo głośnej książki p. t. „Nędza Galicji“, chciał się wybić na stanowisko jakiegoś odrodziciela narodu zapomocą niczego innego, jak tylko niesłychanych, nieraz absurdalnych frazesów. Umiał wszystkie sprzeczności pogodzić w swoich kilkugodzinnych mowach. Demokrata, był posłem szlachty stryjskiej, patrjota, agitował w Kołomyji za Blochem, za tym rabinem z Floridsdorfu, którego kredyt polityczny u żydostwa opierał się niemal wyłącznie na karczemnych burdach, z antysemitami w parlamencie staczanych, wreszcie poseł na sejm z łona drohobyckich Żydów, nafciarzy i kapitalistów, którzy, nim postawili jego kandydaturę, zapytali najpierw miarodajne rządowe osobistości, czy na takiego kandydata się zgodzą (!). Szczepanowski miał na zawołanie najbardziej ryzykowne frazesy, kiedy go przyparto do muru w jakiejkolwiek sprawie żądań ludowych. W roku 1891 stał on jeszcze na piedestale narodowego proroka; dopiero szarża socjalistów, którzy go interpelowali na zgromadzeniach wyborczych, zaznacza chwilę rozpędzenia mglistych pojęć, osłaniających osobę Szczepanowskiego. Zapytany, jak się zapatruje na powszechne głosowanie, odpowiedział, że Galicja jest właściwie najbardziej demokratycznym krajem w Europie, że szlachta nie ma w niej wpływu, że na uleczenie społeczeństwa właściwie nie trzeba żadnych ustaw, tylko ducha „obywatelskiego“, i wychwalaniem czarodziejskiego słowa „obywatel“ (które jego zdaniem tylko Polacy posiadają!), usiłował, jak to mówią, zasypać piaskiem oczy wyborcom. Stanowiskiem, jakie zajął w sprawie wydalań młodzieży radykalnej w Dublanach, oburzył nawet najspokojniejszych. Nic nie pomogły frazesy o tem, że istnieje specjalna pedagogja matek polskich, lepsza jakoby od wszelkiej innej, a dalej, że naród, to armja złożona z piechoty, kawalerji, artylerji, które mają razem współdziałać, — mowy te nikomu nie zaimponowały, i połączonym usiłowaniom opozycyjnego drobnomieszczaństwa i robotników socjalistycznych udało się Szczepanowskiego obalić. Wybrany został posłem Lewakowski, starej daty demokrata z r. 1863.

Stanisław Szczepanowski, obalony przez nas przy wyborach, mógł był odegrać wielką rolę w ówczesnej Galicji, gdyby był wogóle człowiekiem politycznych zdolności i gdyby był zrozumiał, że przeciw zorganizowanej ściśle szlachcie galicyjskiej należy zorganizować inną jakąś siłę społeczną, że ta siła wymaga programu szerszego niż zachwalanie owoców „pracy organicznej“. Karjera też Szczepanowskiego jest odstraszającym przykładem, jak nie należało wówczas postępować w życiu publicznem. On, rzekomo niepolityczny człowiek, dał się w r. 1893 nadużyć do referowania w parlamencie ustawy o stanie wyjątkowym przeciwko ruchowi młodoczeskiemu. W licznych wypadkach stawał po stronie szlachty, zacierając wszelki rys demokratyczny swej działalności. Pracując począt-

kowo z powodzeniem w kopalnictwie naftowem skończył straszliwym upadkiem finansowym i — moralnym. Po procesie o nadużycie w Galicyjskiej Kasie Oszczędności, popełnione z dyrektorem Zimą na kilkanaście miljonów guldenów, umarł w straszliwem przygnębieniu duchowem. Jego wspólnik w przemyśle naftowym, szlachetny młody człowiek, Odrzywolski i dyrektor Zima także wkrótce pomarli. Pozostał trzeci wspólnik p. Wolski, właściciel „Słowa Polskiego“, który je oddał narodowym demokratom. Pan Wolski pozostał też nieprzejednanym wrogiem późniejszej organizacji robotników naftowych. Sprawa Szczepanowskiego wstrząsnęła głęboko życiem publicznem kraju; Sejm uchwalić musiał gwarancję kraju dla powetowania szkód malwersacją wyrządzonych, a pamięć Szczepanowskiego, człowieka, który mógł być wodzem miast i przemysłu polskiego, zgasła w dobroczynnem zapomnieniu. Po nim już żaden pionier „pracy organicznej“ nie wybił się w Galicji na wybitne stanowisko.

Szczepanowski był jednym z wodzów demokracji galicyjskiej, która nie uzyskała żadnego znaczenia politycznego z powodu swej nicości w ludziach i programie. Założyli ci demokraci na wiosnę 1894 r. „Towarzystwo demokratyczne“, liczące w całym kraju 180 członków i 241 złr. obrotu pieniężnego rocznie. Wybitnymi członkami byli pp. Rutowski, Sokołowski i Witold Lewicki, zawdzięczający swój wybór na posła Badeniemu. P. Rutowski w Tarnowie pod opieką biskupa Łobosa, a p. Sokołowski pod ochroną policji uratowali się od gniewu ludzkiego, gdy hr. Taaffe ogłosił swój projekt reformy wyborczej, przeciwko czemu występowali ci szczególnego rodzaju demokraci, Byli oni w wiecznym strachu przed stańczykami i przed socjalistami. W polityce parlamentarnej chodzili pod komendą stańczyków, wśród wyborców gotowi byli prawić miłe rzeczy socjalistom, byle się od ich krytyki obronić.

Proces krakowski (od 18 czerwca do 5 lipca 1891) był to jeden z najzabawniejszych procesów, jaki pamiętam w życiu. Siedziało na ławie oskarżonych dziesięciu ludzi, niektórzy z nich pierwszy raz w życiu się widzieli! (Byli to: Feldman Wilhelm, Breiter Ernest, Janikowski Ludwik, Górski Gabrjel, Górski Artur, Kłuszyński Henryk, Nowicki Franciszek, Baraniecki Roman, Szukiewicz Maciej i ja). Oskarżono tych ludzi o tajne stowarzyszenie — jak zwykle, — ale po odczytaniu aktu oskarżenia wszyscy, — sąd, prokurator i podsądni — załamywali ręce z rozpaczy nad absolutnym brakiem jakiegokolwiek materjału dowodowego. Przewodniczący, służalczy biurokrata Łoziński, obczytał się do tej rozprawy książek socjalistycznych, aż dostał niestrawności mózgowej i plótł jak na mękach. Wywoływały jego idjotyzmy uroczystą radość wśród oskarżonych, szturchających się w boki... Wreszcie prokurator wpadł na pomysł i przyniósł jakąś broszurę socjalistyczną, czy anarchistyczną. Zaproponował sądowi jej głośne przeczytanie. Uchwalono. Czytano więc broszurę całe popołudnie. Na drugi dzień Gabrjel Górski (u którego był z dawnych czasów skład książek socjalistycznych), przyniósł drugą broszurę i zaproponował jej odczytanie, co trybunał znowu łaskawie uchwalił. I tak zmieniła się sala sądowa w jakieś repetytorjum nauki socjalizmu. Aby z nas samych jakiś przecie materjał dowodowy wydobyć, pytano nas, czy jesteśmy zwolennikami „krwawej rewolucji“, czy wolimy spokojny rozwój. Prawie wszyscy wybraliśmy oczywiście najspokojniejszy rozwój bez żadnych wstrząśnień, ale kilku z nas wskazywało, że jednak dzieje ludzkości uczą, i t. d., co bywało skwapliwie notowane przez przewodniczącego i prokuratora.

W ciągu procesu wziąłem urlop i pojechałem na kongres do Wiednia, namówiwszy przedtem tow. Jana Englischa z Krakowa, aby się ze mną tam wybrał.

Wesoły zaś proces skończył się zupełnem uwolnieniem wszystkich podsądnych.

Stałym od dziesięciu lat paragrafem na socjalistów, był paragraf o tajnych stowarzyszeniach. Wielki proces krakowski, proces Balickiego i towarzyszy we Lwowie (1882), proces stanisławowski (Dzwonkowski, Szczęsny Daszyński i tow.), wydalania studentów krakowskich (1884, 1885), poprzednie procesy Rusinów, Franka L., Pawlika i tow., proces lwowski Wysloucha, Klimaszewskiego. Homolickiego, Jelskiego, Wilczewskiego, Sta-

nisława Kozłowskiego i innych (1889), Baranieckiego i Ignacego Daszyńskiego (1889), proces Kłuszyńskiego, Czemeryńskiego i tow. (1892), proces stanisławowski (Szeps, Weidler, Lauruk, Kajetanowicz, Kullmann i tow.) z roku 1894... — te wszystkie procesy poświadczą prawdziwość tego, że na socjalistów używano narazie prawie wyłącznie zarzutu o tajne stowarzyszenia.

Ciekawem w tych procesach jest to, że policja, a za nią prokuratorja, wybrały się z nimi trochę za późno... Od r. 1889 sądy uwalniały stale socjalistów w przytoczonych procesach, ponieważ, mimo najskrupulatniejszych dochodzeń, nie zdołano nigdy odkryć owego zwierza apokaliptycznego: „tajnego stowarzyszenia“! Rzecz prosta: skoro nie było żadnych tajnych związków w latach ostatnich, daremnymi też były wszelkie wysiłki w celu ich wykrycia. To też od r. 1889 aż do stanisławowskiego procesu (maj 1894) przesiedziało przeszło 50 ludzi około 7 lat śledczego więzienia pod zarzutem o tajne związki, a z tych wszystkich ludzi jeden tylko śp. Stanisław Kozłowski został wyrokiem sądowym zasądzonym na 14 dni aresztu!

W lecie wydelegowano mnie na międzynarodowy kongres światowy do Brukseli. Zeszła się tu po raz drugi (po r. 1889) polska delegacja ze wszystkich trzech zaborów, przyczem Królestwo reprezentowali emigranci, a Poznańskie jakiś niepewnej barwy jegomość, którego wkrótce trzeba było z partji wyrzucić. Najważniejszymi epizodami kongresu była walka z anarchistami i spór z Domelą Nievenhuisem o strajk wojskowy.

Kongres wyparł się anarchistów, wysłuchawszy przedtem ich dzikiej, obłąkanej przemowy, z giestami południowych Włochów i Hiszpanów. Tak samo chciał kongres pozbyć się jakiejś burżujki, Holenderki, która jednak dała sobie radę i usiadła wpośród delegacji francuskiej... Francuzi, rycerscy wobec każdej spódnicy, ujęli się tak energicznie za babą, że dla świętego spokoju musiano ją zostawić na zjeździe.

Przeciwko Domeli Nievenhuisowi wystąpiła polska delegacja. Domela proponował w razie wojny strajk żołnierzy. Gdyby coś podobnego można było wogóle przeprowadzić, przegrałoby to państwo, gdzie socjalizm byłby najsilniejszym, zdolnym do urzeczywistnienia takiego strajku. Wystąpiłem w imieniu polskiej delegacji z przemową, w której wskazałem na niebezpieczeństwo takich wniosków wobec tego, że w wojsku rosyjskiem długo jeszcze o socjalistycznym strajku nie może być mowy, podczas gdy w krajach republikańskich strajk taki byłby łatwiejszym. Wykazałem, że wniosek Domeli osłabia Zachodnią Europę wobec Rosji i dla Polaków jest nie do przyjęcia.

Trzy zabory przedkładały tu rezultaty pracy socjalistycznej w Polsce i oświadczyły całemu światu swoją wolę zjednoczenia się, aby w tej zjednoczonej Polsce prowadzić olbrzymią pracę nad urzeczywistnieniem socjalizmu.

Delegacja polska złożyła w tym duchu deklarację kongresowi:

„Obecna na zjeździe brukselskim delegacja polska, składająca się z przedstawicieli wszystkich trzech zaborów, uważa za nieodzowne w interesie rozwoju socjalizmu w Polsce i w interesie międzynarodowej polityki socjalistycznej występować zawsze jednolicie jako jedna organizacja polska, zarówno w celu łatwiejszego prowadzenia jednolitej walki klasowej z jednolitym wrogiem: szlachtą i burżuazją polską, — jak i dla łacniejszego objęcia przewodniej roli politycznej w społeczeństwie polskiem“.

W Belgji pokazywano nam przepiękne kooperatywy w Gandawie, domy ludowe i mnóstwo innych instytucji robotniczych, będących coprawda wówczas dopiero w skromnych zaczątkach. W Ostendzie poznałem po raz pierwszy — morze, ale już trzeba było śpieszyć, aby objąć redakcję „Gazety Robotniczej“ w Berlinie. Tygodnik ten założyła niemiecka partja socjalno-demokratyczna i to było jego nieszczęściem. Gdyby takie samo pismo założyli byli sami Polacy, musiałoby albo upaść z braku pieniędzy, albo rozrosłoby się silnie i miało licznych odbiorców. W niemieckich zaś rękach ani żyć, ani umrzeć nie mogło; miało zawsze za mało abonentów (za mojej redakcji 1300), ale Niemcy pokrywali deficyty i — żyło.

W końcu stycznia 1892 r. udałem się na zapowiedziany

p i e r w s z y z j a z d „Partji Robotniczej“ we Lwowie. Ruch zaczęty w jesieni 1890 r. rozwijał się tymczasem po całym kraju i w główniejszych miastach, i wymagał zespolenia szeregów oraz haseł do dalszej pracy. W tym celu zwołano zjazd na 31 stycznia 1892 r.

Wielkie były obawy, czy wogóle kongres się uda, ba, nawet czy dojdzie do skutku. Nie było jeszcze żadnych precedensów w tym względzie... Ale rzeczywistość zadała kłam obawom. Przybyło 48 delegatów z Krakowa, Tarnowa, N. Sącza, Przemyśla, Borysławia, Stryja, Stanisławowa i Kołomyi, co wskazywało, że robotnicy nie wahają się ponieść kosztów podróży, aby tylko zamanifestować swą klasową świadomość i solidarność. Dla ludzi bogatych argument taki byłby drobnostką, ale kto zna lichą płacę robotnika naszego i dalsze skutki, na jakie narażał się taki uczestnik publicznego zjazdu, ten pojmie, że liczba delegatów i miejscowości zadawalniała zupełnie komitet urządzający zjazd krajowy.

Zajmowano się tylko sprawami bezpośrednio partji dotyczącemi. Organizacja, prasa, taktyka i ustawodawstwo ochronne dla robotników, oto był porządek dzienny zjazdu. Powaga jego obrad uderzała nawet niechętnych ludzi, którzy spodziewali się jakichś dzikich wybryków na socjalistycznym zjeździe. Wogóle robotnicze zebrania są bardzo poważne, bo choćby nawet który z mówców raził formą rubaszną, lub nawet brutalną, to główny ton, niejako tło zgromadzenia, pozostaje zawsze smutnym, a nieraz tragicznym: jest to nędza ludowa i brak równouprawnienia politycznego. Zjazd polecił usilnie towarzyszom, aby się łączyli w stowarzyszenia kształcące i fachowe. To było pierwszym krokiem!

Zaznaczono wyraźnie stanowisko partji socjalno-demokratycznej (bo taką nazwę urzędową przyjęto zamiast nieokreślonej „partji robotniczej“), wobec chłopów i w sprawie żydowskiej i ruskiej. Wszędzie zajęto stanowisko walki klas, w której proletarjat ma prowadzić samodzielną politykę. Poddano następnie surowej krytyce zupełnie niewystarczające pozorne ustawy ochronne, które np. wcale nie zajmują się drobnym przemysłem i ludnością rolniczą. Zapropononowano utworzenie instytucji mężów zaufania, jako podstawy organizacji, mającej być uchwaloną na ogólnym kongresie austrjackim.

Ale główną zdobyczą kongresu lwowskiego było nawiązanie ścisłych stosunków między towarzyszami z najróżniejszych miejscowości kraju i wytworzenie poczucia koleżeństwa partyjnego. Przytem, uczyniwszy pisma: „Naprzód“ (założony 1-go stycznia 1892) w Krakowie, „Robotnika“ zaś i „Pracę“ we Lwowie własnością partji, stał się zjazd niejako moralną osobą, najwyższą instancją ruchu robotniczego. Uchwał zjazdu dotrzymano dość ściśle. I tak np. gdy Daniluk sprzeniewierzył się postanowieniom kongresu i nie chciał oddać „Pracy“ partji, komitet lwowski natychmiast, bo już 1 marca 1892 r., założył drugie pismo partyjne p. t. „Siła“ i własnym kosztem oba pisma partyjne utrzymywał. Gdy potem świeżo powstali „niezawiśli“ wysilali się na oszczercze, niesłychane ataki na partję, cała prowincja pozostała wierną uchwałom zjazdu i odsyłała napowrót numery „Pracy“. Zaraz po zjeździe założono „Siłę“ w Krakowie, w N. Sączu, w Mielcu, Zagórzu, Białej, Tarnowie, Przemyślu, Stryju, Stanisławowie i „Pracę“ w Kołomyi. Wzięto się także do tworzenia towarzystw fachowych i wogóle zwrócono uwagę na ruch zawodowy.

Po zjeździe lwowskim wracałem do Berlina z otuchą w sercu, że w Galicji ruch idzie dobrze. Ale na dworcu w Krakowie czekała mnie niespodzianka: zaaresztował mnie 2 lutego komisarz Kostrzewski (brat osławionego starszego komisarza) i ulokowano mnie w więzieniu u „św. Michała“. Wyszukano przeciwko mnie mnóstwo rzekomych zbrodni, a wszystkie miałem popełnić w artykułach „Gazety Robotniczej“ która rozchodziła się i w Krakowie. Obraza majestatu, zdrada stanu, podburzanie i t. d., wszystkie te okropności wyrecytował mi sędzia śledczy p. G., człowiek mocno tchórzliwy, choć w gruncie rzeczy dobry. Los mój zależał od odpowiedzialnego redaktora „Gazety“, tow. K u r o w s k i e g o, który był zarazem jej zecerem. Poleciał więc znowu Franek Nowicki do Berlina, aby go uprzedzić o mojem aresztowaniu. Zastał go chorego na rozmiękczenie

mózgu i niezdolnego już do składania zeznań sądowych. Doniesiono mi o tem poufnie i teraz ja sam już decydowałem o całej sprawie. Przedkładano mi po kolei najbardziej „zbrodnicze“ moje artykuły, na co ja wzruszałem ramionami i prosiłem o udowodnienie, że je pisałem... Przesiedziałem dziesięć tygodni w śledztwie, ale prokurator musiał odstąpić od oskarżenia i wypuścić mnie na wolność.

Jak straszną była nienawiść do socjalizmu wśród starszych sędziów, o tem niechaj zaświadczy fakt, że radca sądowy Łoziński — ten sam, który przewodniczył w „wesołym procesie“, — teraz ręce załamywał z rozpaczy, że spalił notatki swoje z tego procesu. A mogły się przydać jeszcze przeciwko mnie, świeżo uwięzionemu...

W areszcie bawił mnie przepysznie niejaki Friedmann, słynny złodziej i handlarz dziewczętami. Kiedy mnie uwięziono, zapałał takim gniewem przeciwko prokuratorowi Tarłowskiemu, że ofiarował się sprzedać jego córkę do domu publicznego w Buenos Ayres! Uspokajałem go jak mogłem, nie wiedząc nawet, czy p. Tarłowski ma jaką córkę.

Z tym Friedmannem widziałem się jeszcze raz w kilka lat później, już jako poseł do Rady Państwa. A było to tak. Pani baronowa Langenau, wdowa po ambasadorze austrjackim w Anglji, zwróciła się do mnie z gorącą prośbą o memorjał w sprawie galicyjskiego handlu dziewczętami na „kongres przeciw handlowi białymi“ w Manchester. Była to święta staruszeczka, słynna ze swej dobroci i gołębiej duszy, a zajmowała się walką z handlarzami dziewcząt, jak wiele pań angielskich. Podjąłem się tej roboty z bardzo wielką niewiarą w jej efekt, bo o handlu dziewczętami nie miałem żadnych danych. Wtem wpadło mi na myśl nazwisko Friedmanna i jego zawód. Napisałem więc doń do Podgórza, z prośbą, aby zebrał swoich kolegów i raczył mnie odwiedzić.

I rzeczywiście zjawiło się u mnie pewnego popołudnia czterech „gentlemenów“, w czarnych tużurkach, w śnieżnych gorsach koszuli, a z twarzami szubieniczników. Wyłożyli mi całą teorję, etykę i praktykę handlu dziewczętami, który w ich oczach był funkcją prawdziwych dobrodziejów ludzkości.

— Panie pośle — mówił Friedman — niech pan sam rozważy: taka dziewka głupia nie ma u nas nieraz kawałka czarnego chleba i chodzi w brudnych łachmanach. A jak ja ją umyję, wykąpię i ubiorę w brylanty i jedwabie i zawiozę do Buenos Ayres, to ona — szelma — upija się tam nie żeby szampanem, a parą z szampana...

— Jakto parą? — zapytałem.

— A tak, bo jak przyjadą Angliki, co budują w górach koleje, to oni każą lać szampana do wanny i chcą widzieć, jak ta dziewka się kąpie. W szampanie!...

Drudzy szubienicznicy potakiwali uroczyście głowami. W każdym razie notaty moje w połączeniu ze statystyką, której mi udzieliła chętnie policja krakowska (co za czasy!) złożyły się na memorjał, który wedle relacji pani Langenau zrobił dobre wrażenie na światowym kongresie.

Na drugi dzień jednak po wizycie u mnie umarł Friedmann apopleksją rażony, umarł jeden z najzręczniejszych w młodości złodziei kieszonkowych, później wybitny handlarz „białym towarem“... Siedzieliśmy obaj na IV korytarzu, znanym jeszcze towarzyszom z czasów Waryńskiego, aż do najnowszych dziejów siedzenia w kozie socjalistów polskich w Galicji.

Uwolniony z kozy, wyjechałem do Lwowa, skąd mnie wysłano na ogólno-austrjacki kongres do Wiednia w r. 1892.

Na kongresie tym chodziło o pierwsze zagadnienia wspólnej organizacji partji socjalistycznych w Austrji, przyczem delegacja polska stanęła na stanowisku, że nie może się tak ściśle złączyć z ogólnoaustrjacką organizacją, bo ma obowiązki wobec swoich braci z obu innych zaborów.

„Delegaci polscy — oświadczyłem w imieniu mych towarzyszy — uznają potrzebę organizacji austrjackiej socjalnej demokracji w myśl wniosków towarzyszy wiedeńskich i uważają ją za niezbędną dla dalszego rozwoju partji; wobec jednak szczególnego położenia naszego kraju, którego granice polityczne nie odpowiadają sto-

sunkom faktycznym i językowym, dalej ze względu na rodaków żyjących po za granicami państwa a oczekujących naszej pomocy, oświadczają, iż pomimo obustronnych życzeń, nie mogą tak ściśle związać się z organizacją austrjacką, jak to uczynić mogą i powinny inne narodowości. O ile jednakże stosunki nasze na to pozwalają, walczyć będziemy w ramach programu i organizacji austrjackiej socjalnej demokracji w interesie międzynarodowej socjalnej demokracji". Kiedym w imieniu delegacji motywował nasze stanowisko, powstał namiętny spór między mną, a tow. Auerem, gościem z Niemiec. Padły ostre słowa jego o tem, że Polacy wiecznie się separują, moje zaś o jego prokuratorskich talentach, ale Adler załagodził sprawę zręcznie i rezolucję naszą przyjęto do wiadomości.

W tym czasie złączyliśmy we Lwowie dwa dwutygodniki, „Siłę" i „Robotnika", w jeden tygodnik, aby obejść ustawę i ominąć potrzebę płacenia stempla dziennikarskiego i składania kaucji w wysokości 3.000 guldenów, bo stare prawo prasowe tego wymagało. Obchodziliśmy to przykre prawo tak długo, aż „żelazna ręka" hr. Badeniego, ówczesnego namiestnika zdusiła oba pisma! Redagowałem te pisemka ostro, ale wpływu na szerszą opinję publiczną one nie miały. Czytali je tylko robotnicy. A jednak prokuratorja potrafiła mnie, jako redaktora, zawlec aż przed sąd przysięgłych, za artykuł przeciwko zarządowi Politechniki, skąd wyrzucono za agitację socjalistyczną tow. Kazimierza Mokłowskiego.

Przysięgli mnie uwolnili, gdy obrońca mój, słynny adwokat lwowski dr. Grek, im wytłómaczył, że mnie żadne więzienie nie poprawi, ani nie zmieni... Że zatem lepiej już uwolnić, zwłaszcza, że Mokłowskiego niewinnie z techniki wyrzucono.

Przez cały rok 1892 i 1893 żyliśmy w srogiej wojnie z t. zw. „niezawisłymi" czyli anarchistami we Lwowie. Była to dziwna grupa polityczna. Na czele stał Ernest Breiter, warchoł, „antykorupcjonista", człowiek politycznie niezdolny. Obok niego wił się malutki, czarny, nerwowy Skajewski, o którym do dziś dnia nie wiem, czy był warjatem czy prowokatorem. A w drugiej linji stali: szewc Eljasiewicz, zionący nienawiścią do wszystkiego, co było inteligentne, konfident policyjny pół idjota Popiel, Żyd z pejsami i wreszcie złodziej bankowy, później anarchista londyński, niejaki I.

Akta policyjne z tych czasów pokazałyby niewątpliwie, że cała ta robota przeciwko partji stała pod opieką policji. Ale jak wszystkie podobne odruchy w Zachodniej Europie, tak i u nas nie osiągnęły one żadnego rezultatu i rozpłynęły się po kilku latach w nicość, Było z tego dużo krzyku, ogromnie dużo oszczerstw, była stała protekcja burżuazyjnej prasy, roztaczana nad naszymi przeciwnikami, ale rzecz sama zapadła się w sobie po aresztowaniu jakichś uwiedzionych biedaków i po porzuceniu tej brudnej roboty przez prowodyrów.

Dwóch z pośród oszczerców, Daniluka i Landmanna, zaskarżyłem do sądu; obaj opierali się na Breiterze i obaj przed rozprawą oszczerstwa swoje odwołali. Ale biednego Kozakiewicza, który w r. 1893 składał w sali ratuszowej we Lwowie sprawozdanie z międzynarodowego kongresu w Zurychu, pobili „niezawiśli" do krwi. Co prawda i sami porządnie dostali.

Chcieli i mnie podobne lanie urządzić i przyjechali hurmem do Przemyśla, gdzie miałem takie same sprawozdawcze zgromadzenie. Ale mówiłem — ich zdaniem — za długo i doprowadziłem do tego, że komisarz mi głos odebrał, a zgromadzenie rozwiązał. Mowy „niezawisłych" skonały w łonie ojców i odjechali z niczem do Lwowa, oskarżając mnie o najczarniejszą chytrość pod słońcem...

Skajewski zagroził mi raz rewolwerem, kiedym mu zabronił przemawiać na publicznych zgromadzeniach. Prosiłem go, żeby dobrze celował, bo drugi strzał będę miał ja. Skończyło się na tem, że na publicznych zgromadzeniach nie mówił.

Redagowanie „Naprzodu" w Krakowie.

W styczniu 1893 r. zostałem przez krakowską organizację wezwany do objęcia redakcji „Naprzodu". Wyleczywszy się z mojego kaszlu w ciągu grudnia i stycznia, wśród sybirskich mrozów w Karpatach, przyjąłem to zaszczytne dla mnie wezwanie

i już w lutym byłem w Krakowie. Wkrótce też ludem krakowskim byłem wprost zachwycony. Spokój, godność, pewność siebie i kulturalne obyczaje, to wszystko ułatwiło nam robotę zorganizowania klasy pracującej Krakowa.

Praca Waryńskiego, Mendelsona i innych z przed dziesięciu lat nie stała się organizacją jawną. „Bomba“, rzucona przez Malankiewicza w r. 1884, był to garnek napełniony prochem, który przy wybuchu niemal pozbawił M. wzroku na całe życie. Malankiewicza nie znałem; po odbyciu więzienia miał się był zdemoralizować. Ale jego towarzysza Franciszka Sułczewskiego, zastałem już przy dalszej pracy partyjnej, po kilkuletnim pobycie w Wiśniczu.

Te żywioły robotnicze, które piły i awanturowały się, usunięto w cień, a naprzód wysunęli się dzielni ludzie, rozumni idealiści, którzy wraz ze mną przez dwa dziesiątki lat dokonali rzeczy poważnych wśród robotników.

W r. 1893 konał już „stary“ Kraków, miasto księży, żołnierzy i prostytutek. Ruch socjalistyczny przeobrażał to miasto od dołu, powoli ale statecznie, aż padły w gruzy dawne urządzenia i obyczaje wśród ludu.

Ale jeszcze miastem trząsł policjant, starszy komisarz policyjny, Jan Kostrzewski. Rodzina to policjantów już w drugiem pokoleniu. Ojciec w r. 1863 robił swoje rzemiosło, a synowie po ojcu się udali, bo aż trzech ich było przy policji, a najstarszy, Jan dostał dwa ordery od cara rosyjskiego, za pośrednictwem Plehwego, za swoją podłą służbę przeciwko socjalistom. Pisał on memorjały uczone dla rządu carskiego o zwalczaniu socjalistów, a Kraków stał się za jego czasów istną pułapką dla każdego patrjoty i socjalisty. Wydawano ludzi „zaprzyjaźnionej“ Rosji na więzienie, katorgę, śmierć samobójczą.

Dopiero socjaliści dali mu radę. Podczas jednej demonstracji, spoliczkowany przez śp. tow. Łojasiewicza, dostał się Kostrzewski na pole walki parlamentarnej. Wreszcie Badeni, jako minister, usunął go z Krakowa na Podgórze, gdzie mógł robić służbę tylko na małą skalę i wreszcie się spensjonował.

Ale kiedym przybył do Krakowa, „talent“ policyjny był jeszcze w pełni władzy. Nic dziwnego, że w pierwszych kilku miesiącach miałem już pięć procesów i karę policyjną!

Zwołany do Krakowa w marcu 1893 r. II zjazd partyjny został przez policję rozpędzony, a pięciu zwołujących skazano na 5 dni aresztu, albo 25 guldenów grzywny. Kara ta doprowadziła mnie do poznania się z ks. Stojałowskim. Ale o tem później.

W Krakowie zostałem odrazu zmuszony do zajadłej walki. Musiałem walczyć, aby zrobić krok naprzód. To też słowa moje na zgromadzeniach, w sali sądowej, w „Naprzodzie“ stały się biczami, którymi siekłem gwardję policyjną starego typu bez żadnej litości... Prokuratorja rzuciła się do konfiskowania „Naprzodu“ z dziką furją, radcy sądowi schodzili się w biurach swoich, a każdy z nich chwalił się, że to on mi łeb skręci. Aresztowano towarzyszy za co bądź, a wojsko było zawsze pod ręką. Ale robotnicy krakowscy rozumieli mnie doskonale i odstraszyć się nie dali niczem! Ośm numerów „Naprzodu“ z rzędu konfiskowała mi prokuratorja, a w końcu wpadła na dziki pomysł opieczętowania całego układu zecerskiego pisma aż do rozstrzygnięcia sądowego!

Zacząłem drukować „Kto się w opiekę odda Panu swemu“ jako wstępny artykuł, a w drugim numerze konstytucję austrjacką!... Czekałem, czy i to skonfiskują. Tymczasem zaś robotnicy nauczyli się pomagać redakcji. Każdy skonfiskowany nakład bywał masowo sprzedawany po potrójnej cenie. Towarzysze tak się rozwydrzyli, że gdy potem prokurator już nie każdy numer konfiskował, szemrali, mówiąc, że widać „za blado“ pisany!...

W tym czasie zaczęto z Krakowa po raz pierwszy zapuszczać czerwone zagony na Śląsk, aż pod Morawską Ostrawę. Rzucano tam pełnemi garściami posiew socjalistyczny, który wnet poczynał pięknie wschodzić. Bielsko, Cieszyn, Trzyniec, Ustroń, Wisła, Morawska Ostrawa, Witkowice — to były pierwsze placówki nasze w tym czasie. Później poszedł tam na stałe tow. Tadeusz Reger, osiedlił się znacznie później tow. dr. Ryszard Kunicki i Śląsk ludowy, polski był nasz.

Żyłem w biedzie, choć już nie w takiej strasznej nędzy jak poprzednio. Zarabiałem bowiem 35 guldenów miesięcznie, miałem własny pokoik i nie miałem wiecznie dziurawych butów. Obiady jadałem teraz niemal codzień, a resztę „kuchni“ stanowiła nierozłączna maszynka do gotowania herbaty.

Tymczasem ze Lwowa dopominano się gwałtownie, abym wrócił i ratował organizację partyjną, mocno zaniedbaną. Postanowiłem więc przenieść się na jakiś czas do Lwowa i pojechałem tam w październiku 1893 r. Zaledwiem tam przybył, gdy w Wiedniu, w parlamencie padły jak grom słowa premjera hr. Taaffego, który przedłożył Izbie projekt nowego prawa wyborczego. Hr. Taaffe nie miał po trzynastu latach innego wyjścia, jak dość radykalną reformę wyborczą, dającą każdemu kto w wojsku wysłużył, albo kto umiał czytać i pisać, prawo głosowania w obrębie istniejących kurji. W ten sposób ratowano nietkniętą kurję szlachecką, a kurję miejską i wiejską otwierano dla szerokich mas ludu! Koło Polskie, Niemcy i klerykali w parlamencie zaczęli zwalczać teraz hr. Taaffego z dziką zaciekłością. Godził on bowiem w ich przywileje, w ich władzę na tych przywilejach opartą. Zato musiał upaść i upadł. Czekał, czy z naszych szeregów nie zjawi się pomoc, ale trzynastoletnie jego rządy, odznaczające się prześladowaniem socjalistów, a nawet zawieszeniem stanu wyjątkowego w Wiedniu, odebrały socjalistom wszelką ochotę do stawania w jego orszaku!... Namiętnym jednak zwolennikiem tej myśli odsieczy Taaffemu był tow. dr. Diamand i ten na zjeździe austrjackim w r. 1894 zwalczał Adlera za jego odmienne stanowisko. Ale rzecz już była przesądzona. Taaffe poszedł, a na jego miejsce przyszedł niedołęga i reakcjonista ks. Windischgraetz, stojący na czele polsko-niemiecko klerykalnej „koalicji“, która miała na celu wyłącznie: udaremnić wszelką reformę wyborczą.

Od r. 1893 datuje się walka zajadła klasy robotniczej o reformę wyborczą, tj. o p o w s z e c h n e g ł o s o w a n i e. Odtąd przez całych lat trzynaście nie dawaliśmy Austrji przyjść do spokoju, aż wywalczyliśmy powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo głosowania do parlamentu. Śmiało rzec mogę, że w Galicji i w Wiedniu byłem tej walki chorążym, żem nie poskąpił ani zdrowia, ani wolności, aby tylko cel osiągnąć. Śmiano się ze mnie głośno i po kątach, a pierwszy Szczepanowski Stanisław nazwał żądanie nasze „katarynkową ideą“.

Ale i inni demokraci galicyjscy patrzyli na mnie i na moich towarzyszy, jak na głupich manjaków. Kiedyśmy obchodzili place i ulice miast ze sztandarami i ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru“, burżuazja szemrała, a gazety jej drwiły na równi z „Czasem“ z naszych zgromadzeń. N i e c h c i a n o widzieć tysięcy robotników na zgromadzeniach i demonstracjach naszych, lecz zawsze kpiono na drugi dzień w gazetach, że „gromada niedorostków i panienek z Kazimierza“ otaczała trybunę i skąpo wypełniała salę...

Burżuazja polska nie miała nawet tej odrobiny zmysłu politycznego, żeby zrozumieć, iż to ona, nikt na razie inny jak ona, zyska na powszechnem głosowaniu. Musiałem tę grupę polityczną przemocą niemal sadzać w siodło, bo sama się bała jechać! Śmiała się tylko głupio ze strachu przed szlachtą i przed nami. O ileż rozumniejsi byli chłopi! Ci byli wrażliwi na naszą propagandę i agitację i szli z nami, skoro tylko zrozumieli o co idzie. Najgłupszą zaś okazywała się „inteligencja“. Ta wyśmiewała nas ze stanowiska wszystkich górnych haseł patrjotyzmu, a głównie z powodu nudy, jaką odczuwała wobec naszej — napozór — beznadziejnej walki: „Wiecznie ta reforma wyborcza i jeszcze raz reforma wyborcza!“ to była dla „inteligencji“ rzecz niepojęta i odpychająca. Nie mieliśmy zatem znikąd pomocy. Podjąłem walkę z szlachetczyzną na noże i nie ustałem w niej, aż do złamania jej przywilejów politycznych w parlamencie. Mówię o sobie, wiedząc dobrze, że ani jednego dnia nie mógłbym był tej walki prowadzić, gdyby nie klasa robotnicza i nie chłopi, wysyłający mnie do parlamentu i zabezpieczający mi przez to nietykalność. Ale w prasie, na zgromadzeniach, kongresach, demonstracjach i w tymże parlamencie musiałem nieraz osamotniony walczyć.

Punktem wyjścia tej walki był październik 1893 r. i upadek Taaffego. Najpierw zaczęliśmy polowanie na tych członków

Koła polskiego, którzy grali rolę radykałów. Dopadłem jednego takiego posła, dr. Witolda Lewickiego (z grupy Szczepanowski-Rutowski), na zgromadzeniu jego wyborców w Przemyślu i rozgromiłem go zupełnie. Musiał p. radykał uciekać ze zgromadzenia, gdy się dowiedziano, że przewracał kartki mowy słynnemu reakcjoniście hr. Stadnickiemu, który nazwał w parlamencie klasę robotniczą „wałęsającym się żywiołem“ („vagierende Elemente“) i zwalczał prawo wyborcze robotników. Potem poczęła się ogromna ilość zgromadzeń i demonstracji na wsi i w miastach, oraz wydawanie odezw i pism ulotnych. Reforma wyborcza, a raczej walka o nią była znakomitym środkiem uświadomienia klasowego robotników; ruch robotniczy przestał być wreszcie tajemną sektą, a stał się potężnym czynnikiem politycznym. To było zawsze mojem marzeniem.

We Lwowie zabawiłem do wiosny, usiłując skoordynować siły robotnicze, których jedność ucierpiała w owym czasie pod wpływem dziwactw pewnego starszego towarzysza. Głosił on hasła dziwaczne, wywołując u jednych śmiech serdeczny, a zawracając głowy słabszym żywiołom. Ruchu masowego, ani np. walki zawodowej robotników nie rozumiał i takim zdaje się pozostał do końca życia. Wogóle „starzy“ sarkali mocno na moją robotę partyjną na oczach policji i całego społeczeństwa. Ale ruch się zmienił i „starzy“ musieli się usunąć, albo pracować razem.

W tem miejscu chciałbym poświęcić kilka serdecznych słów wspomnienia towarzyszowi Antoniemu Mańkowskiemu, dziś już nieżyjącemu, zecerowi. Starzec ten, powstaniec 1863 roku, był pięknym jak marzenie. Na silnym korpusie spoczywała głowa potężna, o dużych błyszczących oczach, otoczona bujną grzywą. Serce tego ciężko na życie pracującego człowieka było dobre, kochające dzieci i sieroty i gotowe do wszelkich szlachetnych wzruszeń. Mańkowski przewodniczył we Lwowie na publicznych zgromadzeniach naszych z godnością i szlachetnym gestem; był też stałym przewodniczącym komitetu partyjnego. Ten „stary“ trzymał się nas młodych całą siłą żywotności swej duszy; rozumiał rozwój i szedł na jego spotkanie. I niejednemu słuchaczowi łzy zakręciły się w oczach, gdy Mańkowski zagajał zgromadzenie, mówiąc o „sługach Bożych“ opływających w dostatki, podczas gdy dla dzieci robotniczych niema często chleba i mleka. Był to już jego temat...

Kiedy w roku 1891 wahali się niektórzy, czy święcić 1 maja z powodu przypadającej właśnie rocznicy 100 letniej 3 mają, którą to rocznicą „mądra“ burżuazja chciała nas zdławić, wówczas Mańkowski przemówił tak potężnie do całego komitetu, że obalił wszelkie wahania. Święciliśmy więc 1 maja, a nie daliśmy się wpędzić żadną siłą do antagonizmu przeciwko 3 maja. Dziesięć tys. robotników uszykowało się podczas demonstracji 3 maja w ulicy Kraszewskiego, a przemówił do nich tow. Diamand, którego głos nadludzkiej siły mógł tu jedynie poradzić... Mańkowski cieszył się szacunkiem i miłością robotników aż do śmierci, która go w r. 1899 dosięgła.

Takie typy wśród robotników ceniłem zawsze najwyżej, bo stanowią one najpiękniejszy wyraz moralności klasy pracującej, a wpływ ich jest większy, niż wpływ nie wiedzieć jakiej teorji w ustach człowieka o zimnem sercu.

Podczas Wystawy Krajowej, urządzonej we Lwowie przez Badeniego w r. 1894, mieliśmy nieco swobody w tem mieście. Urządziliśmy III zjazd partyjny, na którym była wentylowana kwestja rolna i 10-cio godzinny normalny dzień roboczy, jako przedmiot bezpośredniej walki robotników. Takie to były wówczas nasze żądania! Nadto podczas kongresu odsłonięto skromny pomnik na grobie śp. Bolesława Czerwieńskiego, autora „Czerwonego Sztandaru“. Ta bojowa nasza pieśń — dziecko Komuny paryskiej — rozszerzyła się niezmiernie na wschodzie Europy i na Syberji. Towarzyszy ona ruchowi robotniczemu nie tylko w całej Polsce lecz i w Czechach i w przedrewolucyjnej Rosji. Uroczystość odsłonięcia pomnika wypadła imponująco.

Na wiosnę 1894 r., po kongresie wiedeńskim, gdzie debatowano nad rozszerzeniem walki o reformę wyborczą i starano

się ostatecznie pozbyć garści anarchistów, czyli „niezawisłych“, wróciłem do Krakowa, skąd nie ruszałem się już lat dziesiątki.

Nie znaczyło to, żebym ciągle przebywał w Krakowie, bo spędzałem zawsze znaczną część roku w wagonie kolejowym, ale tutaj miałem „stałe“ mieszkanie.

„Koalicja“ wiedeńska rządziła obrzydliwie. Nie chciała niczego zrobić, a tylko broniła się przed ludem za pomocą konfiskat, aresztów i zakazów zgromadzeń. I w Krakowie aresztów — jak zwykle — nie brakło. Ale były to ukłócia szpilkami, a nie ciosy, od których się nie wstaje. Po każdem aresztowaniu zjawiali się w redakcji robotnicy krakowscy i defilując przed stołem, składali grosze na utrzymanie więźniów, a raczej ich rodzin na wolności.

Wzmagający się ruch skłonił nas do zamienienia „Naprzodu“ na tygodnik, zwłaszcza że kaucja została przez parlament zniesiona.

Świeżo upieczony tygodnik pisał nadzwyczaj ostro, co w kołach „inteligencji“ nazywano z przekąsem „stylem naprzodowym“, to znaczy brutalnym, przyczem ta „inteligencja“ uważała styl burżuazyjnych gazet galicyjskich, odbijanych żywcem z „Neue freie Presse“ wiedeńskiej, pełen obcych wyrazów i traktujący z drwinami wszystko, co dotyczyło ludzi ubogich, za wykwintny i godny czytania. Jako długoletni redaktor „Naprzodu“ nie myślę oczywiście chwalić sposobu pisania w tym tygodniku, a potem dzienniku. Wypada jednak podnieść dwie rzeczy dla zrozumienia tego stylu. Pierwsza rzecz to właściwość pisma, jako organu bojowego rewolucyjnej klasy robotniczej. Wszystkie rewolucje na świecie pisały ostro, nie obwijając zarzutów w bawełnę mdłych frazesów. Oczywiście, że pismo utrzymywane przez spółkę magnatów, lub żyjące z subwencji gadzinowej, nie może tak pisać jak „Naprzód“. Tak samo inaczej będzie pisała gazeta przeznaczona np. dla c. k. urzędników (oczywiście dawniej, bo dzisiaj urzędnicze pisma piszą ostrzej niż to kiedyś bywało !...).

Drugą rzeczą, to była gruboskórność warstw rządzących wobec zarzutów ze strony robotników.

Wykryliśmy np. złodzieja grosza publicznego, jakiegoś patentowanego „patrjotnika“; głuche milczenie publiczne i bezkarność złodzieja były odpowiedzią na nasz artykuł. Połamał np. majster laskę na głowie terminatora i kazał sobie jeszcze laskę odkupić, odciągając mu po kilka centów ze śniadania. Podałem fakt w gazecie; milczenie. Nazwałem majstra w gazecie bydlęciem, wreszcie raczył do sądu zaskarżyć. Zapłaciłem karę 6 złr., ale przed sądem głośno zapowiedziałem, że tak samo go nazwę, jeżeli jeszcze raz zrobi coś podobnego...

Udawano, że nas nie widzą, ani nie słyszą; krzyczeliśmy więc mocniej. I wreszcie prasa porzuciła swoją komedjancką pozę nieliczenia się z nami, a publiczność czytała nas, choćby nieraz nie chciała...

Że w tym krzyku naszym czasem było więcej ostrych słów niż potrzeba, że padały czasem sądy niesprawiedliwe, nie myślę przeczyć, ale „dziecko było żywe i zdrowe !...“ W chwili kiedy te wiersze piszę, ma ono już lat trzydzieści dwa skończonych...

Żeby zresztą zrozumieć, jak nas traktowano ze strony przeciwnej, pozwolę sobie przytoczyć kilka faktów, brzmiących jak ustępy z kiepskiego romansu.

ROZDZIAŁ IV.

Pięć opowieści wziętych z życia: Uwodziciel dzieci. — Bluźnierca. — Dramat na usługach rządu. — Paragraf ma dwa końce. — Męczeński lichwiarz, hrabia i starosta.

Będę się trzymał faktów, dających się każdej chwili przez świadków i dokumenty udowodnić i będę raczej unikał przesady, niż jej szukał, bo jest ona tutaj zupełnie niepotrzebną.

I. Uwodziciel dzieci.

Pewnego dnia przyszedł do mnie, do redakcji, praktykant sądowy w Krakowie, później adwokat lwowski dr. L. i doniósł mi, że w prokuratorji państwa panuje wielka radość: odkomenderowany tam komisarz policji Wolaniecki opowiada, że można mnie wreszcie oskarżyć o zbrodnię ohydną, o uwodzenie dzieci! Z początku nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, ale gdym sobie uprzytomnił, że mieszkanie moje było stale „szpiclowane“, wpadłem na pewien śmiały domysł. Przypomniałem sobie, że niedawno przysłała do mnie rodzina pp. G. trzynastoletnią córeczkę Stachę, aby mnie koniecznie wyciągnęła z nimi na Bielany. Bolała mnie głowa, i chociaż obiecałem, nie poszedłem. Dziewczynka lubiła mnie bardzo i płakała rzewnie ze zmartwienia nad moją odmową. Z płaczem też zapewne schodziła ze schodów, gdzie ją ujrzał ajent policyjny i panu komisarzowi zameldował! Skonstruowawszy w ten sposób mój domysł, ruszyłem prosto do dyrektora policji, radcy dworu Korotkiewicza. Opowiedziałem mu o zachowaniu się Wolanieckiego i zapowiedziałem, że jeżeli nie dostanę satysfakcji, chwycę się dwojakiej obrony. Po pierwsze napiszę wszystko to ministrowi spraw wewnętrznych, a powtóre na pierwszem zgromadzeniu publicznem, na którem zjawi się jako reprezentant władzy komisarz Wolaniecki, dam

mu w twarz przed zgromadzonym ludem i opowiem, za co go spoliczkowałem.

Dyrektor policji wił się jak w ukropie, przeczył wszystkiemu a wreszcie obiecał wezwać do siebie Wolanieckiego. Na drugi dzień rano zaprosił mnie do siebie i uroczyście wszystkiemu zaprzeczył, na co ja dałem mu do zrozumienia, że jednak informacje moje o przechwałkach Wolanieckiego polegały na prawdzie. Odtąd takich środków nie próbowano!...

II. Bluźnierca.

Na kilka tygodni przed wyborami z piątej kurji, w zimie 1897 r. czyjaś ręka szarpała mną śpiącym wczesną porą. Przetarłem oczy i zobaczyłem nad sobą młodego robotnika, który coś do mnie mówił. Kiedym się wreszcie ze snu ocucił, usłyszałem dziwne rzeczy. Oto jakiś jezuita w redakcji klerykalnego pisemka najął za czterdzieści kilka guldenów donosiciela na mnie. Gdyby sprawa się powiodła, miał donosiciel dostać drugie tyle pieniędzy. A „sprawa“ polegała na tem, iż ów najmita miał donieść na mnie, że podczas jednego odczytu w stowarzyszeniu robotników krawieckich miałem obrazić Matkę Boską!... Denuncjacja już jest w policji u komisarza Banacha i już „świadków“ policja przesłuchuje... Opowiedziawszy mi to, chłopiec zniknął i nie wiem dotąd co to był za jeden.

Zrozumiałem w lot szlachetne intencje jezuity. Chodziło mu tylko o to, abym się znalazł w śledztwie o obrazę Matki Boskiej. Na 30.000 chłopów wyborców, o których głosy się ubiegałem, miało to już zrobić odpowiednie wrażenie! Rzecz była pomyślana wcale sprytnie. W skupieniu pomaszerowałem do dyrektora policji, pytając go, co to za doniesienie na mnie wpłynęło? Radca dworu próbował z początku kłamać, że żadnego doniesienia niema, ale gdym go coraz bardziej w zdumienie wprawiał, opowiadając szczegóły, przed kilku godzinami słyszane, przyznał wreszcie prawdę i dodał, że w tych warunkach z doniesienia użytku nie zrobi, ale jeżeli prokurator dostał równocześnie także doniesienie, za nic nie ręczy.

Powędrowałem więc do prokuratora, p. Wędkiewicza i opowiedziałem mu całą awanturę. Oświadczył, że doniesienia niema, ale skoro wpłynie, wystąpi przeciwko mnie ze skargą. Ale jakoś nie śpieszno było klerykałom z obrazą Matki Boskiej, bo „sprawy“ nie było i w kilka tygodni później zostałem wybrany posłem.

III. Dramat w usługach rządu.

W marcu 1897 zostałem wybrany posłem „Ziemi Krakowskiej“ 22.000 głosów przeciwko ks. Ponińskiemu (3.000 głosów) i ludowcowi antysemicie, drowi Mikołajskiemu (3.000 głosów). Byłem posłem Krakowa, Podgórza i powiatów krakowskiego i podgórskiego, A w trzy miesiące później prokurator, p. Kalitowski wystawił w Krakowie dramat p. t. „Kusiciele ludu“ w teatrzyku letnim w Parku krakowskim. Dramat był wystawiony pod patronatem p. Laskowskiego, c. k. starosty krakowskiego i radcy dworu. Pan Laskowski rozdał między biurokrację bilety wstępu, a miłą dla pp. rządowców niespodzianką wieczoru było to, że aktor, grający „czarny charakter“ w sztuczydle prokuratorskiem, miał moją maskę!

Pierwszy wieczór minął rozkosznie. Ale na drugi wieczór zjawiło się ze mną około 200 robotników na stojących miejscach w parterze...

Aktor ucharakteryzowany na moje podobieństwo grał w pierwszym akcie rolę jakiegoś łotra, który organizuje chłopów do różnych złodziejstw i podpalań. Wytrzymano w spokoju. Ale kiedy w drugim akcie „agitator“ posyła chłopów na kradzież i podpalanie, aby zasilić kasę partyjną (!), ryk gniewu buchnął z szeregów robotniczych. Wpadła policja — znowu z Wolanieckim na czele — ale żadna siła nie była w stanie poskromić rozjuszonych towarzyszy. Przerażona burżuazja poczęła uciekać z lóż ze swoimi kobietami, kurtyna spadła i przedstawienie przerwano. Wynikł stąd proces, w którym towarzysze oberwali po kilka miesięcy; ja sam zasądzony w październiku 1900 r., przesiedziałem za tę historję coś cztery tygodnie! (W przerwie między jednem a drugiem posłowaniem...).

„Hofrat“ Laskowski pienił się z bezsilnej wściekłości. Chciał na drugi dzień „sztukę“ powtórzyć, ale komendant korpusu, taktowny jenerał Albori, odmówił muzyki wojskowej, a i publiczność miała z poprzedniego wieczoru strachu aż nadto. Od tego czasu nigdy w Krakowie tej prokuratorskiej „sztuki“ nie grano. Tułała się ona gdzieś po dziurach prowincjonalnych na służbie endeckiej i skonała dość wcześnie. Tak to i dramat obok denuncjacji nie pomógł, chyba tylko tyle, że p. Kalitowski awansował...

Uderzającą rzeczą było w tej całej mocno zabawnej historji wielkie zbiegowisko pseudonimów. Dyrektor nazywał się Windig-Recki, aktorzy Szczurek — Szczurkowski i Boraczek — Borowski. Autor zaś Smolarz — Kalitowski!

IV. Paragraf ma dwa końce!

Po raz pierwszy, odkąd w Austrji istniały konstytucja i parlamentaryzm, postanowiono w Krakowie odebrać mi mandat za pomocą sztuczki sądowej, której ocenę pozostawiam czytelnikowi.

Podczas ruchu wyborczego miałem w którejś wiosce mowę, niewiele odbiegającą od mów w innych miejscowościach. Pomimo że tymczasem zostałem posłem, a więc nietykalnym, sąd karny wezwał mnie, abym się stawił! Nie poszedłem i trzeba było dopiero surowego napomnienia ministra sprawiedliwości, aby krakowski sąd przyszedł do przytomności. W pierwszej jednak pauzie, wynikającej z zamknięcia sesji — środek przez ministra Badeniego ulubiony! — wezwał mnie w lecie 1897 r. sędzia śledczy p. Czyszczan, jako oskarżonego o zbrodnię z § 58 i 65 ustawy karnej. Wszystko na podstawie niejasnej relacji o mowie. Pp. sędziowie zmierzali do zasądzenia mnie za zbrodnię i unicestwienie przez to mojego parlamentarnego mandatu. Kiedy znowu taka przerwa po napędzeniu Badeniego nastąpiła, poradził mi mój adwokat, późniejszy kolega parlamentarny, dr. Adolf Gross, abym wyjechał do Szwajcarji. Wyjechałem i siedziałem tam przez całą pauzę t. j. przez trzy miesiące, pisząc jedną z broszur politycznych.

Tymczasem sąd chwycił się jeszcze pewniejszego środka, nigdy dotąd wobec posła nie praktykowanego. Wystosował do mnie t. zw. „pozew publiczny“, ogłoszony w gazetach, przybity gwoździami do drzwi mego mieszkania i doręczony żonie. Kto na taki „pozew publiczny“ do dni 30 nie stanie przed sądem, traci obywatelskie prawa, a więc i mandat! Wzięto się zatem do mnie z obu stron i to gruntownie. Naznaczono w Krakowie rozprawę zaoczną, a ja siedziałem sobie wciąż w Zurychu i tylko na wezwanie dra Grossa przysłałem świadectwo lekarskie, że z powodu choroby na rozprawę przybyć nie mogę. Zebrał się sąd, prokurator i mój obrońca. Już miano przystąpić do rozprawy, naturalnie zaocznej, gdy mój obrońca zapytał trybunału, czy próbowano mi doręczyć w Zurychu wezwanie na rozprawę? Stwierdzono, że nie próbowano. Wówczas dr. Gross postawił wniosek, aby rozprawę odroczono, a wezwanie mi doręczono, bo wedle traktatu austrjacko-szwajcarskiego można obywatela austrjackiego, mieszkającego w Szwajcarji wschodniej, wzywać na rozprawę, tak jak gdyby mieszkał w Austrji. Uczyniła się wielka konsternacja między politykującymi sędziami, bo żaden z nich o podobnym traktacie nie słyszał. Udano się na naradę i traktat taki znaleziono. Z nosami spuszczonymi na kwintę rozprawę odroczono, a tymczasem zaczęła się sesja parlamentarna i za tydzień chodziłem już po Krakowie, kłaniając się uprzejmie radcy Morelowskiemu, który się z góry cieszył, że pod jego przewodnictwem będę sądzony i mandat stracę. Sprawa ta w gruncie rzeczy była tak bezpodstawną i tak błahą, że same władze potem akt oskarżenia wrzuciły do kosza!

Takie to sądy i taką to sprawiedliwość miałem w Krakowie.

Męczeński lichwiarz, hrabia i ck. starosta.

Był w Podgórzu pod Krakowem pod koniec XIX stulecia starosta hrabia Starzeński, trudniący się równocześnie spekulacjami, dostawą siana dla wojska i lichwą na wysoki procent.

Ponieważ był to przytem człowiek bez żadnej godności i prześladowca ruchu robotniczego, więc wziąłem się ostro do hrabiego starosty i w obszernej interpelacji wskazałem rządowi na jego lichwę. Wyszła z tego komedja administracyjnego śledztwa przeciwko hrabiemu, która musiała się na niczem skończyć, bo przezorny hrabia nie zaskarżył „Naprzodu“ przed przysięgłymi, choć ten powtórzył fakty bez osłony nietykalności. (Dodam, że ojciec hrabiego wystawił w r. 1866 oddział jazdy po stronie Austrji przeciw Prusom).

Pewnego ranka, w okresie wyborczym w r. 1900 rozeszła się po Krakowie wieść, że na hr. Starzeńskim popełniono wieczorem zamach morderczy. Zbrodniarz uderzył go sztyletem w pierś, ale ostrze zsunęło się po srebrnej papierośnicy i hrabia ocalał. Morderca uciekł przez parkan, zostawiając sztylet i to owinięty w numer „Naprzodu“! Tego samego dnia aresztowano na wsi „mordercę“, robotnika Szczypkę, u którego znaleziono numery „Naprzodu“ i naszego drugiego pisma, „Prawa Ludu“. Ale po pięciu dniach puszczono niewinnego robotnika, a wówczas my rozpisaliśmy 1000 koron nagrody temu, kto wykryje sprawcę zamachu. Już tutaj nadmienię, że policja krakowska nie wykryła go nigdy, a zapytywani o niego fachowcy policyjni uśmiechali się mocno dwuznacznie i wzruszali ramionami...

Tymczasem musiałem odbyć zgromadzenie wyborców w Podgórzu. Pod oknem zgromadzenia podsłuchiwał wysłany przez Starzeńskiego brat jego przyrodni, dr. S. i ten złożył relację o mojej mowie, tak pełną arabskich kłamstw i bezczelnych przekręcań, że śmiech pusty mnie zbierał, gdy mi ją już na drugi czy trzeci dzień sędzia śledczy odczytywał, jako materjał oskarżenia. Śledztwo tak rychło ukończono, że zanim zostałem wybrany posłem, już akt oskarżenia był przez prokuratorję wygotowany!

Dnia 18 grudnia 1900 r. zostałem powtórnie wybrany posłem i musiałem przed zebraniem się parlamentu iść do kozy na miesiąc, za ów dramat prokuratorski z r. 1897. Siedziałem więc u św. Michała i nawet zostałem w spisie ludności — u progu

XX stulecia — wpisany jako aresztant. Żona moja, odwiedziwszy mnie raz w więzieniu, przyniosła mi dziwną wiadomość. Oto spotkała się na obiedzie u swego wuja z hr. Starzeńskim. Ten był bardzo grzeczny, całował ją po rękach, a w końcu oświadczył, że zaraz wniesie pismo do prokuratorji, ażeby obalić cały akt oskarżenia! Byłem zdumiony, a nawet przyznam się, zacząłem wierzyć, że Starzeński przecież winnym wobec mnie się czuje.

Po wyjściu z więzienia dostałem się przez życzliwą mi osobę do aktów prokuratorji państwa i oczom swoim wierzyć nie chciałem na widok tego, com w tych tajnych aktach znalazł. Oto hr. Starzeński, ck. starosta, napisał rzeczywiście pismo do prokuratorji, ale pismo, które musiało doprowadzić do procesu. Ponieważ każdy akt oskarżenia przeciw posłowi ma być najpierw przedłożony ministrowi sprawiedliwości, więc prokurator i Starzeński szukali sposobu, jakby też ministra zmusić do utrzymania oskarżenia, zwłaszcza, że staruszek, ówczesny minister sprawiedliwości, hr. Spens-Boden, lubił mnie osobiście, bośmy razem interwenjowali w sławnym strajku węglowym.

I wymyślił prokurator wraz ze starostą cudny środek. Oto hr. Starzeński prosi urzędownie o zaniechanie przeciw mnie kroków sądowych, bo w razie gdybym został zasądzony, on — starosta, życia swego w Podgórzu pewnym nie będzie! Zostałem przedstawiony w roli niebezpiecznego bandyty, który ma zabić ck. starostę w razie zasądzenia!

Ogłosiłem tę nikczemną sztuczkę w parlamencie i w prasie, a minister kazał i to oskarżenie wrzucić do kosza. Ale stało się to tylko dzięki temu, żem mógł przedtem wejrzeć w tajne akta prokuratorji. Inaczej miałbym był hr. Starzeńskiego za nawróconego grzesznika!... Hr. Starzeński nie zginął ani z ręki mordercy, ani zgładzony przez krwiożerczych socjalistów; ukąsiła go zwykła, mała mucha, co spowodowało zakażenie krwi i śmierć rychłą.

Przytoczyłem tych kilka epizodów z wielkiej liczby innych, aby pokazać, jak „stary“ Kraków bronił się przeciwko mnie, jak ludzie, którzy mnie nie znali, nie widzieli może nigdy przedtem, popełniali szeregi nikczemności, aby raz na zawsze zdeptać i zgładzić z oblicza świata „socjalistę“, który ten stary Kraków 50-ciu kościołów i zakonów, Kraków-twierdzę, Kraków dewotek i biurokratów rewoltował i burzył. A cóż dopiero wyprawiał biskup książę Puzyna i gwardja jego księży! O tem także napiszę.

ROZDZIAŁ V.

Piąta Kurja. Wybory w r. 1897. Posiewy nienawiści.

Rok 1894 był dla ówczesnego namiestnika Galicji, hr. Kazimierza Badeniego szczytem powodzenia. Doprowadzona przezeń do skutku wystawa krajowa we Lwowie miała być w oczach dworu austrjackiego najlepszem świadectwem dobrych rządów jego w kraju. Bo szerokie masy biednego ludu nie odczuwały żadnej innej administracji na swoim grzbiecie, jak tylko bezprawie urzędników i samowolę szlachty. Despotyczny hrabia Kazimierz nie troszczył się o ustawę i rządził krajem, jak swoim folwarkiem, tylko znacznie gorzej. Nie rozumiał właściwie ani jednej większej sprawy, obchodzącej Galicję. Rządził z ramienia Wiednia i szlachty. Ugodę z Rusinami zrobił na podstawie tak kruchej, że rozpadła się z chwilą jej ogłoszenia. Chłopów i mieszczan dusił i korumpował, a przeciw socjalistom miał kułak policyjny i nic więcej. Dyletant, zakochany w swojej władzy, przybierał groźną pozę i robił błąd za błędem, co go w rezultacie pogrzebało za życia jeszcze. A nadewszystko „robił“ wybory, sławne, ohydne, zbrodnicze wybory „galicyjskie“, z trupami, rannymi, masowym gwałtem i oszustwem. Bezczelnie, zuchwale bo bezkarnie, kazał strzelać, rąbać, gwałcić lud wiejski i drobnomiejski, a i w Krakowie pozostawił po sobie jako starosta tamtejszy obrzydliwe wspomnienie. Urobił więc sobie sławę męża „żelaznej ręki“ i ta sława zrobiła go austrjackim prezydentem ministrów po upadku „koalicji“.

Przyjechał do Wiednia, witany kadzidłami pochwał liberalnej prasy niemieckiej i zaczyna tutaj robić błąd po błędzie, strzelać jednego bąka po drugim, z odwagą nic nie znającego a zakochanego w sobie zuchwalca.

Zakłada najpierw wielki dziennik „Reichswehr“, zrobiwszy formalną ugodę z jakimś oczajduszą Davisem, który go skarży

potem do sądu i wymusza krocie! Brudne te machinacje odsłoniły Badeniego szerszej publiczności. Potem robi dyrektora banku, Marchwickiego, członkiem Izby Panów, lecz wnet pokazuje się, że Marchwicki niedługo w tej Izbie może gościć, bo jako oszust uciekać musi zagranicę, a bank jego (Sapiehy) robi plajtę!

Nicość polityczną zaczyna Badeni okazywać na wielką skalę w walce z drem Luegerem, którego nie chciał zatwierdzić na burmistrzostwie Wiednia. W walce tej, bardzo dramatycznie prowadzonej ze strony znakomitego trybuna antysemickiego, Badeni zostaje pokonany i musi cesarzowi w końcu poradzić, aby przyjął Luegera na audjencji i — zatwierdził go na urzędzie burmistrza!

Badeni przyszedł, aby przeprowadzić dzieło reformy wyborczej, bo zdawało mu się, że taki człowiek jak on wszystko umie i wszystko może. Przy pomocy zręcznego neofity dra Rittnera, ministra dla Galicji, wymyślił Badeni nowy system wyborczy. Zatrzymywał wszystkie cztery istniejące kurje (szlachecką, miejską, chłopską i Izb handlowych), a doczepił do nich piątą kurję z powszechnem głosowaniem! Do 353 mandatów klasy posiadającej dodał 72 mandaty dla sześciu blisko miljonów wyborców. Cała Galicja dostała aż 15 mandatów na 6½ miljona ludzi. Rezultatem tej V kurji były olbrzymie okręgi wyborcze, liczące po 500 i 600 wsi, np. w Galicji. Ale jeszcze ważniejszym rezultatem była demagogja, którą V kurja wprowadzała niejako przymusowo. Poseł nie mógł widzieć swoich wyborców, wyborcy nie widzieli posła! Okręgi były za duże. Dalej poseł musiał bronić interesów miast i wsi, chłopów, Żydów i urzędników, bo miał ich wszystkich w swoim olbrzymim okręgu. A wreszcie, jak mógł poseł, mający 20, 30 i więcej tysięcy głosów, znosić spokojnie w debacie przeciwnika politycznego z innej kurji, za którym stało np. 50 wyborców! Piąta kurja stała się dynamitem dla parlamentu i rozsadziła go w lat równo dziesięć po jej wprowadzeniu. Ale Badeni umiał wszystko i przeprowadził w parlamencie ustawę w jesieni r. 1896, poczem rozpisano nowe wybory.

Wybory w r. 1897.

Wybory te prowadził sam Badeni; można więc wyobrazić sobie, jak one, zwłaszcza w Galicji, wypadły: 8 trupów, 29 ciężko rannych, tysiące aresztowanych — oto była „robota“ polityczna Badeniego w samej tylko Galicji. Z wyborów tych wyszło dwóch socjalistów polskich (tow. Jan Kozakiewicz i ja), oraz jeden rusiński, dr. Jarosiewicz.

Uwaga Zachodniej Galicji koncentrowała się na Krakowie i na wyborach, przy których kandydowałem. I nic dziwnego. Wszak wszystko inne należało do Koła Polskiego, a tylko ja ośmielałem się tej potędze politycznej stawić czoło.

W Krakowskiem wieś złączono z miastem. Okręg liczył 45.000 wyborców zamieszkałych w Krakowie, Podgórzu i 157 gminach wiejskich. Miałem więc trzy wielkie grupy przed sobą: robotników, chłopów i Żydów. Robotnicy szli już za mną całą gromadą. Chodziło o chłopów, bo Żydzi sami oświadczyli się w znacznej części za mną, zwłaszcza postępowi.

Ale na tychże samych chłopów liczyli konserwatyści, którzy wystawili księcia Ponińskiego, i ludowcy ze swoim drem Mikołajskim, niegdyś „czerwonym“ i byłym socjalistą. Kontrkandydatem moim był nadto z ręki jezuitów przez pewien czas niejaki Feliks Gawłowicz, ale gdy nasi wykryli, że był karany za kradzież desek, dali Ojcowie spokój i wycofali biedaka z interesu.

Na moich współzawodników nie mogłem narzekać: były to wcale niewybitne osobistości. Natomiast nie chciał stanąć hr. Andrzej Potocki, pan na Krzeszowicach i właściciel pałacu pod „Baranami“, chociaż go o to deputacja z biskupem Puzyną na czele molestowała. Hr. Andrzej możeby się i zgodził, ale gdy zażądano odeń, aby sam poniósł koszta 50.000 złr., wzdrygnął się i odmówił stanowczo. Znane jego skąpstwo uratowało go tym razem od klęski i wstydu.

Wybrałem się zatem — wedle planu — na zdobywanie chłopów. Zabrawszy do sani kowala wiejskiego z Modlnicy, tow. Radwanka, ruszyłem na wieś. Pojechaliśmy w ostry, styczniowy mróz do Kobylan. Ale już z brzegu nam się nie wiodło, bo kiedy Radwanek poszedł zwoływać lud do jakiejś chaty, ujrzałem go wkrótce w towarzystwie żandarmów! Napróżno im tłómaczyłem, że wybory wczoraj rozpisano w gazetach urzędowych, że od dziś dnia jest zupełna wolność zgromadzeń. Żandarmi ze szkoły Badeniego byli nieubłagani. Zakuli ręce biednego Radwanka w kajdany i pognali go po mrozie ze dwie mile do miasta. Wróciłem sam smutny i przygnębiony. Ale Radwanka w sądzie puszczono, a i ja nie miałem czasu na smutne myśli, bo odtąd trzeba było dzień w dzień jeździć na wieś w oba powiaty: krakowski i podgórski.

Trudno mi było z początku znaleźć drogę do duszy chłopskiej. Znałem teoretycznie dolę chłopską, a nawet dużo rzeczy wiedziałem z praktyki życia chłopskiego, ale nie znałem miejscowych spraw różnych gmin, a to wzbudzało zawsze największe zainteresowanie. Nie mogłem i nie chciałem uprawiać żadnej demagogji, a z drugiej strony krytyka socjalistyczna była jeszcze od tych chłopów tak daleką, że pozostawała tylko polityka aktualna i o tej mówiłem najwięcej.

Chłopskie zgromadzenia moje miały dużo prostoty. Lampka kuchenna na stole, lub na oknie za mną, a przedemną tłum chłopów w kożuchach, lub opończach tłum cichy, niedowierzający i nieznanego człowieka mierzący z pod oka... Mówiłem nieraz kwadrans i więcej, zanim czyjąś pierś podniosło żywsze westchnienie, zanim czyjeś oko jaśniej zabłysło... O oklaskach nie było tu mowy. I tylko potem, po zgromadzeniu, wyciągały się ręce ze wszystkich stron po broszury i odezwy!... Odprowadzano mój wóz daleko poza wieś, gwarząc po nocy, a na pożegnanie wyciągała się co śmielsza dłoń spracowana ku mojej dłoni. Tak jeździłem po licznych wsiach, niemal nie spotykając wrogów.

Ale w dwóch punktach starłem się z nimi. Miałem wrogów w „ludowcowej“ wsi Cholerzynie. Znałem cholerzyniaków jeszcze z r. 1895, gdy podczas wyborów sejmowych baba rozbroiła żandarma i karabin jego do starostwa odniosła... Potem się żandarmi mścili, zakuwszy masę biednych ludzi w kajdany,



a prokuratorja wytoczyła im proces. Dałem im zadarmo obrońców i pisałem do gazet, broniąc ich niezmordowanie. Za to mię teraz ścigali zajadle po całym okręgu, aby wybronić swego kandydata, Mikołajskiego.

Sąsiednia Cholerzynowi, prześliczna wioska Mników zaprosiła mnie na zgromadzenie wyborcze. Przyjechałem z towarzyszem przed południem w mróz siarczysty. Ale do Mnikowa nie mogłem się dostać, bo wąwóz prowadzący do wsi obsadzili mnikowianie, a zdobyć ten wąwóz usiłowali cholerzyniacy pod przewodnictwem Ożądały, chłopa, który już za zabójstwo siedział kilka lat w więzieniu. Żandarmi stali zdaleka na szosie, ciesząc się z kłopotu socjalisty i dalecy od mieszania się w te sprawy.

Pomówiłem z wójtem mnikowskim, który mnie przepraszał za to, co zastałem i ostrzegał przed zemstą cholerzyniaków, z pośród których padały obelgi pod moim adresem. Zachowałem zupełny spokój, poszedłem do mojego furmana i powiedziałem mu, że skoro wsiądę do sań, niech rusza piorunem z kopyta. Tymczasem zaś wszedłem do chaty z boku wąwozu i zacząłem się grzać przy piecu. Czterech parobków cholerzyńskich siedziało na łóżku tuż koło pieca i czytało jakieś bezeceństwa na socjalistów, drukowane w „Przyjacielu ludu". Każde obelżywe słowo akcentowali pod moim adresem, ale ja nie dałem się sprowokować i zażądałem od gospodyni szklanki mleka. Wypiłem, zapłaciłem, pożegnałem się grzecznie ze strapioną gosposią i wyszedłem przed wąwóz. Sytuacja ta sama. Więc pożegnałem się serdecznie z wójtem, który mnie odprowadził aż do sani, gdzie siedział już towarzysz. Tylkom nogę w saniach postawił, a para tęgich koni ruszyła kłusem i odsadziła nas odrazu o kilkanaście kroków od cholerzyńskich ludzi. Rozległ się ryk wściekłości, posypały się kamienie, ale jakoś żaden nie trafił. Cholerzyńscy ruszyli ławą za mną. Ale furman, znający okolicę, skierował sanie na boczne drogi przez zamarznięte łąki, i za kilkanaście minut byliśmy bezpieczni w Liszkach. Mników głosował jak jeden mąż za mną, a później odbyłem tam zgromadzenie.

Najdziwniejsze to, że Cholerzyn w cztery lata potem nietylko głosował, ale agitował za mną bardzo gorliwie!

Gorzej nieco mogło być ze mną w Skawinie. Miałem tu zgromadzenie u sympatyka i właśnie, stojąc na stole, przemawiałem otoczony ludem, gdy nagle pijana tłuszcza pod wodzą p. L., późniejszego burmistrza, wtargnęła klinem do izby i ruszyła ku stołowi. Ale w tejże chwili jakiś olbrzym wziął mnie w pas, jak dziecko, zaniósł do drugiej izby, zasłaniając sobą, a postawiwszy mnie tu na nogi, wrócił, aby prać łyków skawińskich, co uczynił podobno bardzo gruntownie. Żandarmi wpadli natychmiast i zgromadzenie rozpędzili, a ja pojechałem do Krakowa. I Skawina bardzo ładnie głosowała za mną.

W prasie rozpuszczano niebywałe pogłoski o moich klęskach na wsi. Tam duszono mnie dymem, ówdzie pokrajano nożami tak, że już leżę na klinice, jeszcze indziej wypędzano mnie ze wsi itd. Były te bajki dla mnie dość korzystne, bo dodawały otuchy przeciwnikom, że ja na wsi bardzo źle stoję, a rzeczywistość okazała potem całkiem inne rezultaty.

Prawda, że w nielicznych wsiach dobierano się do skóry kilku moich przyjaciół do tego stopnia, że musieli uciekać z duszą tylko, ale nie był to odruch ludności, lecz szczucie księdza lub dworu. Jak dziwnie nieraz zachowywali się chłopi w innych powiatach, o tem możnaby wiele interesujących faktów opowiedzieć.

Wybiorę tylko jeden charakterystyczny. Kandydat nasz w tarnowskiem, tow. Franciszek Sułczewski wybrał się na wieś z jednym inteligentem, obładowany broszurami. Trafili na wpływy przeciwne, zostali poturbowani i wtrąceni w końcu do ogromnej gnojówki, gdzie stali, mając swoich prześladowców dokoła na brzegu... Ale chłopi, zobaczywszy broszurki u socjalistów, zaczęli o nie prosić. I tak po pas w gnojówce, rozdzielali nasi broszury tym, co ich tam wrzucili...

Ludność wiejska ziemi krakowskiej dała mi przy tych wyborach około 13.000 głosów. Przeciwnicy sądzili, że to była pomyłka chłopów, albo nadmiar mojej demagogji. Ale chłopi odtąd przez dziesiątki lat byli mi wierni, bo kiedym tylko

wśród nich kandydował, obdarzali mnie masowo zaufaniem, i gęsto padały głosy ich na mnie przy urnach wyborczych. W r. 1900 i w r. 1911 miałem na wsi samej ogromną większość, czy przeciwko mnie kandydował książę, czy chłop, czy inteligent, czy jezuicki wywłoka. Przez setki zgromadzeń chłopskich przechodziłem wśród objawów życzliwości, a tylko w jednej wsi, Czyżynach, potrafił ksiądz poszczuć na mnie chłopów tak, że musiałem wieś — bez odbycia zgromadzenia — opuścić. Chłopi dawali nam znać o każdym ważniejszym ruchu przeciwników. Pamiętam jedną zabawną historję z tych czasów. Na kilka dni przed wyborami rozesłał ks. Poniński olbrzymią „obławę" złożoną z urzędników państwowych, woźnych, straży skarbowej, aby poszli po wsiach i na wszystkich kartach do głosowania napisali jego imię i nazwisko. Obława zrobiła swoje i wedle jej relacji byłby Poniński napewno wybrany. Tymczasem chłopi dali o tem znać, a wówczas my urządziliśmy obławę, która szła o dwa dni później i wykreśliła wszystkie karty, a wpisała moje nazwisko. I to już dotrzymano aż do urny.

Dziwny ruch wyborczy ogarnął w r. 1897 Żydów krakowskich i podgórskich. Po raz pierwszy od początku ery konstytucyjnej wydano tu hasło: nie kupować, nie sprzedawać głosów! Propagatorem tego hasła namiętnym i nieugiętym stał się dr. Adolf Gross, zdolny adwokat krakowski, dla mnie życzliwy.

Dotychczas bowiem było inaczej... Na wybory krakowskie przyjeżdżali handlarze głosów aż z Ameryki, aby zarobić! Pieniądze grały najważniejszą rolę, a handel głosami kwitł na dobre.

Ale ja ani pieniędzy nie miałem, ani, choćbym był miał — głosów kupować nie myślałem. Imię moje stało się zatem sztandarem nowej ery, nowej moralności wyborczej. Pamiętam, przyszło do mnie trzech Żydów, znanych „hien" wyborczych. Zaproponowali mi, że wszystkie odezwy, które w ich rękach zostawił jeden z moich — przejściowych — kontrkandydatów, p. Alfred Szczepański, że wszystkie te papiery sprzedadzą na masło, oczywiście jeżeli im dobrze za to zapłacę. Odpowiedziałem im, że pieniędzy nie mam, że kandydatury p. Szczepańskiego poważnie nie biorę i nakoniec dałem im jedną życzliwą radę: aby głosami nie handlowali, bo wydano rozkaz, żeby wrzucać do Wisły każdego handlarza głosami, schwytanego na gorącym uczynku.

Wywołała ta moja rada wielkie oburzenie i zgorszenie, wśród czego moi goście wyszli za drzwi. Ale wnet wrócił jeden z nich i rzekł z całą uprzejmością:

— Pan mi się bardzo spodobał, ja pieniędzy od pana nie chcę, ale wiem, że na wybory pieniądze są konieczne; dlatego proponuję panu pożyczkę 1000 guldenów. Na ośm procent tylko!...

Kiedym pożyczki nie przyjął, wyszedł, uważając mnie za skończonego osła.

Wszyscy Żydzi krakowscy, z wyjątkiem małej grupki kahalników, rzucili się do roboty z zapałem, którego wprost nie można było nieraz zrozumieć. Zgromadzenia wyborcze kipiały tłumem robotniczym i żydowskim. Ogromna budowla drewniana cyrku przy ulicy Dietlowskiej nie mogła pomieścić słuchaczów. Tłumy zalegały cyrk na kilka godzin przed zgromadzeniem, aby tylko dostać miejsce. Przed cyrkiem zaś stały w błocie jeszcze większe tłumy tak, że musieliśmy przemawiać wewnątrz cyrku i przed bramą. Entuzjazm wyborców żydowskich nie znał granic. Aby pokazać, jaki nastrój był wówczas wśród Żydów, przytoczę dwa charakterystyczne wypadki.

W dniu wyborów zgłosili się nasi towarzysze do rabina „cadyka", aby podpisał odezwę za mną. Rabin się wymówił, tłómacząc, że stanowisko jego nie pozwala na czynne mieszanie się do polityki. Ale obiecał, że pójdzie pod lokal wyborczy i jeżeli go który Żyd zapyta, na kogo ma głosować, poradzi, żeby na Daszyńskiego... I rzeczywiście przez cały dzień stał rabin w bobrowem futrze w błocie na Małym Rynku i udzielał rad.

Drugi wypadek jest wzruszającym. Dwaj młodzi Żydzi przywieźli w dorożce do lokalu wyborczego na Kleparzu starca

Żyda, który liczył lat 94. Oślepły, nie mogący utrzymać się na nogach starzec poszedł do urny, oparty na dwóch młodzieńcach i oddał kartę wyborczą.

— Po raz ostatni już w życiu głosuję, ale po raz pierwszy dobrze głosuję — wyszeptał starzec i chwiejnym krokiem opuścił lokal wyborczy.

Samo dojście do piętnastu miejsc głosowania w Krakowie przedstawiało dla tchórzliwych ludzi pewne ryzyko. Trzeba było iść pod bagnetami, bo wszędzie było wojsko przed drzwiami lokalów. Burżuazja się bała mocno, ale ja już wczesnym rankiem objechałem lokale i wytworzyłem taki dobry humor wśród naszych, że po pewnym czasie fraternizowali (bratali się) z wojskiem, wsuwali żołnierzom papierosy i zawierali bliższe znajomości...

Wieczorem 11 marca 1897 r. tłum olbrzymi zaległ rynek krakowski. Czekano na rezultat wyborów pod pałacem Spiskim, gdzie było wtedy starostwo. Ale hofrat Laskowski uparł się i rezultatów nie chciał ogłosić, choć wszyscy wiedzieli, że jestem wybrany. Dopiero dyrektor policji, p. Korotkiewicz, zobaczywszy groźną postawę tłumu, wcisnął towarzyszowi Regerowi kartkę z cyframi, które naturalnie natychmiast ogłoszono. Chwycono mnie na ramiona i zaniesiono przez ulicę Bracką pod Magistrat, gdzie z okna przemawiałem. Poczem chwycono mnie znowu i zaniesiono na plac Dominikański, wywracając po drodze słupy latarń, jak zapałki.

Tutaj wreszcie schroniłem się do jakiegoś lokalu i późną nocą doczekałem się rozejścia tłumów.

Zdobyliśmy krakowską ziemię wstępnym bojem, a Kraków miał odtąd być naszą twierdzą. Ale ja byłem tak zmęczony, że na nogach utrzymać się nie mogłem. Rzuciłem więc wszystko i pojechałem do brata, do Korczyny pod Krosnem. Tu jednak doszły mnie dziwne z Krakowa wieści. Oto dowiedziałem się telegraficznie, że ktoś rozpuścił bajkę wśród chłopów, że mnie jezuici otruli! Całe wsie poczęły się wybierać na Kraków, groźne i wzburzone!... Dyrektor policji telegrafował, prosząc o przybycie. Nie było co robić, musiałem wracać.

Przyjechałem więc, aby się przygotować do najbliższej sesji parlamentu.

Posiewy nienawiści.

Zaatakowana przez nas klasa rządząca broniła się z początku bardzo energicznie i na różne sposoby. Prasa codzienna, literatura polityczna, ambona i konfesjonał, ba, nawet chrzcielnica kościelna i modły nadgrobne, wreszcie wpływy towarzyskie, wszystko to miało, obok żandarmów, policji i sędziów karnych, przyczynić się do zdławienia ruchu ludowego w mieście i na wsi.

Interesującą rzeczą będzie stwierdzenie, że konserwatyści rozpoczęli zaraz po wyborach w r. 1897 kampanję antysemicką z tą świadomością, że na „trutkę“ socjalistyczną wynaleźli „odtrutkę“ antysemityzmu. Wprawdzie dotąd cała ich siła w miastach polegała na „kahałach“ (po kilku też latach na wniosek hr. Antoniego Wodzickiego do nich powrócili!), ale ów antysemityzm oddał przeciw nam ogromne usługi. Oczywiście nie w rękach niedołężnych konserwatystów, ale — po latach — w ręku spryciarzy, którzy zrozumieli, że w nienawiść do Żydów można włożyć surogat socjalny, to, co nazywano wówczas „socjalizmem głupców“. Na tym antysemityzmie próbowali róść endecy, a po nich „chrześcijańsko-socjalni“. Ale o tem będę pisał w dalszych częściach mojej pracy.

Otoczono mnie po wyborach atmosferą szalonej nienawiści. Książę biskup krakowski, Jan, tak mnie znienawidził, że gdy zostałem wybrany do parlamentu, dostał żółtaczki i kilka tygodni w łóżku przeleżał. Ale ja nie robiłem sobie wiele z tych uczuć księcia kardynała, znienawidzonego zresztą w całej Polsce tak strasznie, jak dawno już u nas nie nienawidzono dostojnika kościoła. Żył on w wiecznej walce z fakultetem teologicznym w Krakowie. On to odmówił udziału duchowieństwa w pogrzebie Michała Bałuckiego, „dziecka Krakowa“. On to stanął wpoprzek zamiarowi przeniesienia zwłok Juljusza Słowackiego na Wawel. On wreszcie zasłynął jako

sługa cesarza Franciszka Józefa na konklawe w Rzymie przy wyborze papieża, po śmierci Leona XIII w roku 1903. Oparty na średniowiecznym przywileju Habsburgów, na prawie veta przeciw wyborowi danego kandydata, wystąpił Puzyna na rozkaz cesarza przeciw wyborowi kardynała Rampolli, wskutek czego wybór Rampolli musiano unieważnić. Czyn Puzyny obraził katolików całego świata i ściągnął nań nienawiść w najszerszych sferach katolickich. Wogóle był to ponury typ histeryka, typ urzędniczy raczej niż duchowny, bo do 35 roku życia służył jako urzędnik skarbowy...

Za przykładem Puzyny szli księża, pędzeni przezeń do procesów prasowych z „Naprzodem“, przyczem kardynał korumpował przez swoje wpływy ławę przysięgłych, skłaniając ją do niesłychanych wprost werdyktów. Pamiętam proces taki z ks. Chudybą z Kossocic. Chudyba bił i krwawił chłopów i ich żony w kościele, a kiedyśmy o tem napisali, zaskarżył przed przysięgłych. Świadkowie, jego parafjanie, zeznali pod przysięgą, że co „Naprzód“ napisał, jest prawdą. Byliśmy pewni zwycięstwa, gdy późną nocą udali się przysięgli na naradę. Ale gdy wrócili z werdyktem zasądzającym naszego redaktora 11 głosami, publiczność skamieniała ze zgrozy. Trybunał pod przewodnictwem radcy p. Stebelskiego udał się na naradę, skąd po kilku minutach powrócił i zawiesił werdykt przysięgłych jako nieważny i oczywiście niesprawiedliwy. Szał ogarnął publiczność, chciano zlynczować przysięgłych, ale ci zawczasu uciekli pod osłoną policji.

Wedle przepisu ustawy miano tę sprawę sądzić w drugiej kadencji przed inną ławą przysięgłych. Ale ks. Chudyba już drugi raz szczęścia nie próbował. Odstąpił od skargi i zapłacił nam koszty.

Ów sędzia, p. Stebelski, był to ten sam, który mnie jako malca czternastoletniego w Stanisławowie przesłuchiwał.

Ks. Schwarz, kanonik na Zwierzyńcu, nie wahał się zhańbić swych siwych włosów obelgami, rzucanemi na mnie z ambony w kościele. Groził mi, że po śmierci będę pochowany w gnoju!... Nie skarżyłem staruszka, tylkom się nad nim litował. Ks. jezuita Załęski Stanisław napisał o mnie całą broszurę, udowadniając, że należy mnie wykluczyć z Kościoła, ponieważ nie wierzę w dogmaty, zwłaszcza o piekle!...

Miałem nawet z tego powodu zabawną historję. W r. 1900, gdym po raz drugi został wybrany posłem, uparł się jakiś biedny węglarz, żebym mu syna trzymał do chrztu. Nie pomogły żadne błagania z mojej strony; robotnik się uparł i zmusił mnie do roli ojca chrzestnego! W grudniowe popołudnie, w deszcz i zimno, zajechałem dorożką przed dom mego węglarza. Pokojówka od jakiejś hrabiny zajechała prawie równocześnie, jako matka chrzestna, hrabskim powozem i tak pojechaliśmy do kościoła św. Florjana na Kleparzu.

W kościele nawpół ciemnym nazłaziło się różnych żebraków, bab pobożnych i t. d. co niemiara, a wszystko to obserwowało mnie z podełba. Akuszerka trzymała tęgiego dzieciaka i czekaliśmy dość znudzeni i zziębnięci na księdza. Aliści ksiądz nie przychodził! Mija kwadrans, drugi, księdza niema. Ojciec dziecka, podpiwszy porządnie, ruszył z fantazją na probostwo. Dowiedziałem się, że działy się tam rzeczy dziwne... Ksiądz nie chciał wyjść do kościoła, a robotnik krzyczał na całe gardło i groził. Dopiero gdy zagroził, że dziecko do rabina zaniesie i obrzezać każe, ksiądz Mińkiński zmiękł, wziął stułę na siebie i chyłkiem przemknął przez kościół do zakrystji w asystencji motłochu kościelnego, wietrzącego skandal.

Ja za nim. Przedstawiłem się księdzu i poprosiłem go, aby najpierw oddalił motłoch, bo mam z nim w cztery oczy pomówić. Kiedy zakrystja opróżniła się, zapytałem go, czemu stawia biedakowi takie przeszkody. Odpowiedział mi, że dziecka nie ochrzci, bo ja nie mogę być ojcem chrzestnym.

— Dlaczegóż to?

— Bo pan poseł nie jest dobrym katolikiem.

— Oho — a toż dlaczego?

— Bo ksiądz Załęski napisał o panu pośle, że pan nie wierzy np. w piekło i w inne dogmaty kościoła.

— Ksiądz Załęski nie jest soborem. Jeżelibym ja o nim

broszurę napisał, miałaby ona tę samą siłę w Kościele, co i jego broszura o mnie.

— Ale i ze względów kanonicznych nie może być pan poseł ojcem chrzestnym.

— Proszę mi pokazać przepis prawa kanonicznego. — Ksiądz Mińkiński począł szperać w grubej księdze, aż pot kroplami spływał mu z czoła. Wreszcie znalazł:

— Oto jest: „Sit catholicus bonisque moribus imbutus" (Niech będzie katolik i człowiek dobrych obyczajów).

— Księże — odrzekłem — właśnie obie te cechy mam w doskonałym gatunku. Jestem katolikiem, a że jestem też człowiekiem dobrych obyczajów, tego dowodem, że mnie przed tygodniem ogromna większość obywateli tego miasta wybrała swoim posłem do parlamentu.

Wreszcie księżyna się zgodził. Przywołał zakrystjana, ubrał się w szaty kościelne i ruszył do ołtarza. Ja za nim, z grubą, olbrzymią świecą w ręku (dałem guldena zakrystjanowi...), triumfujący wobec motłochu kościelnego... Ksiądz chrzcił nerwowo, soli wsypał dziecku za dużo, dzieciak wył w niebogłosy, ale węglarz był rozpromieniony! Chrzest mu się udał. Ten ksiądz Mińkiński uciekł w r. 1912 do Ameryki, gdy założony przezeń „chrześcijański konsum" zbankrutował na 220.000 koron.

Pióro wzdryga się przy opisach niezliczonych, złośliwych szykan, jakich dopuszczali się księża na socjalistach, zwłaszcza po wsiach lub małych miasteczkach. Szafarze sakramentów zachowywali się często niemożliwie brutalnie wobec bezbronnych, wierzących ludzi. A najszaleniej gniewały ich targi biedaków przy zdzieraniu z nich skóry za śluby i pogrzeby. Na tym punkcie miało się najczęściej do czynienia z gwałtownymi handlarzami świętości, których piętnowaliśmy bezustanku.

Najboleśniej ugodziliśmy w chciwych księży wydaniem pożytecznej książeczki: „Jura stolae", w której umieszczono urzędowe opłaty za pogrzeby, śluby i t. d.

Towarzysz Zygmunt Klemensiewicz, znakomity w swoim oryginalnym rodzaju redaktor naszego pisma chłopskiego „Prawo Ludu", przyczynił się wydaniem tej książeczki do znacznego obniżenia opłat za posługi religijne.

A jednak nie bawiłem się nigdy w zwalczanie religji, jako potrzeby umysłu ludzkiego. Hamowałem z całych sił rozpęd pewnych osób w partji, płonących żądzą walki religijnej z kościołem katolickim. I szczerze mogę zapewnić, że prawdziwie religijne uczucia traktowałem u ludzi z wielkim szacunkiem. Śmiano się np. ze mnie, że wchodząc do chaty chłopskiej, witałem gospodarzy słowami „Pochwalony Jezus Chrystus"! Wiem jednak dobrze, że takie właśnie słowa są u chłopów wierzących jedyną poważną formułą grzecznego powitania i wcale nie byłem obłudnym, wymawiając tę formułę, zwłaszcza, że ideał Chrystusa uważam za skarb niezmierny w duszach chłopów, który może wystarczyć na długie lata epoki rozwoju przyszłego.

Wyznawałem filozofję, wyznaczającą granice ludzkiego poznania, ale uważałem doktrynę „ateizmu" za to samo co i religje pozytywne z tą różnicą, że w religjach złożona skarbnica wieków, że tam historja umysłowego i moralnego rozwoju da się studjować i że wreszcie stanowią one potężną siłę motoryczną czynów ludzkich we wszystkich wiekach i narodach. Nigdy też religji mas ludzkich nie lekceważyłem, a nie mając żadnych talentów na reformatora religijnego, robiłem swoją rzecz, zachowując ścisłą rezerwę wobec Kościoła. Dopiero kiedy nas biskupi i księża zaczęli zwalczać w dziki sposób, broniliśmy się, jakeśmy umieli. Ale i dzisiaj jeszcze, kiedy to piszę, nie mogę się pozbyć nadziei, że kiedyś wśród uboższych księży katolickich utworzy się poważne stronnictwo, które pójdzie ręka w rękę z socjalistami wbrew bogatemu klerowi, wbrew całemu kapitalizmowi, który przeżarł hierarchję kościelną, tak jak przeżarł szlachtę, królów i wszystko na świecie.

Dziś religja katolicka jest szczerą właściwie tylko u chłopów i u najbiedniejszej warstwy robotniczej. To co po za tymi warstwami mieni się być religijnem, jest nieraz zbiorem pustych obrządków, albo często bardzo kabotynizmem szczególnego ro-

dzaju, jeżeli nie głupotą graniczącą z idjotyzmem. Dlatego uwagi moje o poszanowaniu uczuć religijnych odnoszą się prawie w zupełności do chłopów, do biedaków miejskich i do tych nielicznych znanych mi ludzi inteligentnych, których uczucia są rzeczywistą religją, a nie kłamstwem konwencjonalnem.

W ludzie wyrabiały się w tych czasach trafne krytyki, jakby toporem chłopskim wyrąbywane. „Ksiądz do kościoła! — wołali chłopi — tam on święta osoba! Ale nie tu w karczmie, czy w chałupie na zgromadzeniu! Do polityki niech się ta jegomość nie mieszają!" To było można słyszeć najczęściej. A reszta już zależała od osobistych sympatji lub antypatji, a zwłaszcza od tego, czy ksiądz bardzo zdzierał za sakramenty, czy nie...

Z początku dziwne rzeczy działy się w pojęciach chłopskich, dla „inteligenta" zgoła niezrozumiałe. Podam jaskrawy przykład: chłopskie zgromadzenie w bialskim powiecie ma się ku końcowi. Miejscowy mówca, chłop, wznosi okrzyk:

— „Niech żyje Ojciec Święty!

— Niech żyje!" — huczą setki głosów chłopskich.

— Niech żyje Najjaśniejszy Pan!

— Niech żyje!

— Niech żyje ksiądz Stojałowski!

— Niech żyje!

— Niech żyje Ignac Daszyński!

— Niech żyje!

Wszystko to spotykało się na jednem zgromadzeniu chłopskiem.

W miarę postępów pracy naszej w mieście i na wsi chłopi oczywiście uświadamiali się w duchu postępowym. Robota nasza na wsi była wówczas czysto wychowawczą. Zwalczaliśmy „kiełbasę i wódkę" przy wyborach, zwalczaliśmy nadużycia sakramentów, popieraliśmy czytelnictwo, udzielaliśmy porady prawnej, dopomagaliśmy do budowy szkół, studzien, przystanków kolejowych i urzędów pocztowych, ratowali w razie zaraz bydlęcych i t. d. Wszystko to jeszcze ani trochę nie było

„socjalizmem", ale podnosiło chłopa choć trochę materjalnie i moralnie, robiło go wolniejszym człowiekiem, tłumiło w nim pokorę pańszczyźnianą, która, wedle przyznania się szczerszych posłów chłopów, tkwiła jeszcze wtedy głęboko w sercu chłopa polskiego. Nie zapomnę nigdy opowiadania posła p. Jakóba Bojki, jakiem słyszał odeń o jego wyborze. Kandydował przeciw Bojce szlachcic Męciński. Bojko wygrał i szedł właśnie z radosnym tłumem chłopskim do kościoła, podziękować Bogu za zwycięstwo, gdy na drodze spotkał Męcińskiego! Szlachcic zrobił dobrą minę do złej gry i wyciągnął do chłopa rękę na powitanie. Bojko opowiadał, że całej siły woli musiał wtedy użyć, aby nie schylić się do pańskiej ręki i nie ucałować jej w pokorze!... I na innych przyzwoitych posłach chłopskich obserwowałem nieraz niewolniczość, pozostałą w nich z dawnych, ciężkich dla chłopa czasów.

Rozpocząwszy nieubłaganą walkę z szlachetczyzną, wiedziałem, że nie rzuci ona łatwo swoich posterunków władzy, wpływów i zysków materjalnych. Wiedziałem również, że przepłacę to moim osobistym spokojem i stanę się celem pocisków. Ale musiałem zdecydować się na znoszenie następstw tej walki. Jednym z jej środków i to najmniej mądrych były listy anonimowe. Kiedym się raz od dyrektora krakowskiej policji dowiedział, że odbiera przeszło cztery tysiące anonimów rocznie (w starym, spokojnym Krakowie!), zrozumiałem, że jest to oryginalny „objaw społeczny"... Najczęściej zaszczycali mnie listami bezimiennymi ludzie pobożni, mający wiele wolnego czasu. Grozili mi sądem boskim i ogniem piekielnym, wzywali do ratowania mej grzesznej duszy itd. Endecy lżyli i wydawali na mnie w tych listach wyroki śmierci. Raz tylko pewna arystokratka z życzliwości ostrzegła mnie anonimem o pogłoskach nikczemnych, szerzonych przez jednego z kolegów parlamentarnych. Listów bezimiennych pod moim adresem mógłbym naliczyć na tysiące. Świadczą one o podłości serc ludzkich i na więcej uwag nie zasługują. Co nie było robotnikiem, to klęło mnie i zohydzało. Konserwatyści bronili się rozpaczliwie!...

Czasami nienawiść przyjmowała formy komicznych zdarzeń.

Opowiem jedną z takich przygód. Jadąc raz do parlamentu, wsiadłem do przedziału, gdzie już zajęła miejsce młoda para „obszarników“ gdzieś z pod Bóbrki. Pan czytał gazetę, pani nudziła się i nawiązała ze mną rozmowę. Była to córka jakiegoś szlachcica z Poznańskiego. Kładła wielki nacisk na to, że dba o swoją służbę folwarczną, że daje im poduszki do spania itp. i świadczy wielkie dobrodziejstwa. Skacząc z przedmiotu na przedmiot, przeszła rozmowa na Sejm galicyjski. Wykazałem szlachciance konieczność reformy wyborczej do Sejmu, nieodzowną, narodową konieczność wpuszczenia tam porezentantów chłopskich i robotniczych. Musiałem mówić przekonywująco, bo pani się na wszystkie moje argumenty zgodziła.

— Podpisuję pańskie słowa — mówiła — ale przecież nie zażąda pan, abyśmy wpuścili do Sejmu Daszyńskiego!

— Dlaczegożby nie?

— Ależ to okropny człowiek!

— Przeciwnie, o ile o nim słyszałem, jest to młody człowiek pełen zapału, pracowity...

— Panie, co pan mówi! — wykrzyknęła moja sąsiadka — to nikczemny, podły człowiek, to djabeł wcielony. Takiego wpuszczać do Sejmu?!

— Ha, musi go pani znać lepiej odemnie...

Tak dojechaliśmy do Bogumina, gdzie moja para miała się przesiąść na pruską kolej. Nie przedstawiałem się, bo byłbym chyba moją znawczynię wprawił w wielki kłopot, ale miałem doskonałą próbkę, jak mnie lubi klasa rządząca Galicją...

Prywatne konwentykle konserwatystów radziły z całą powagą nad tem, jakby wynaleźć jakąś „słabą stronę“ moją, aby mnie unicestwić, albo przynajmniej pohamować w moim rozpędzie przeciwko szlachcie.

Chodząc w cieniu tej nienawiści, nie dałem sobie ani na chwilę „zatruć serca“. Trzymałem się ludzkiej zasady: dać się bitemu wykrzyczeć. Krzyki warstwy rządzącej, jako reakcję na ciosy zadawane jej przez budzący się ruch ludowy, uważałem za rzecz naturalną i dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Interesów osobistych nie miałem, majątku żadnego nie posiadałem, towarzystwa klasy rządzącej nie pożądałem, więc dlaczegóżbym miał zbytnio się martwić tem, że mnie okrzyczano za złego ducha? Nie było to przyjemnością żadną, ale wszak atmosfery społecznej nie można wybierać, tak jak nie można sobie wybierać rodziców!... Przyjmowałem więc atmosferę, jaka była w Galicji i starałem się nie udusić w tem miłem otoczeniu. Panu Wilhelmowi Feldmanowi, który mi raz zapowiedział, że zrobi mnie bohaterem romansu, postawiłem jeden jedyny warunek, żebym — broń Boże! — nie kradł w powieści łyżek stołowych. Zresztą może ze mną robić, co mu się podoba. Zemścił się i zrobił ze mnie sentymentalnego bohatera rewolucyjnego, postać w nieszczególnym guście... Całe szczęście, że szersza publiczność powieści p. F. nie czytała. Zato miałem na innem polu pociechę. Młody ruch robotniczy rozszerzał się pomimo prześladowań. Coraz to nowe miejscowości w Galicji i Śląsku przyłączały się do partji. Pokonaliśmy wszelkie próby rozłamu wewnątrz partji, pokryliśmy kraj siecią stowarzyszeń kształcących i zapomogowych, podnieśliśmy płacę robotnika i skróciliśmy czas jego pracy w wielu zawodach do 10 godzin na dobę. A dawniej pracowano po dwanaście, czternaście godzin i dłużej! Ale najważniejszą zdobyczą było obudzenie świadomości klasowej w proletarjacie polskim, wzmożenie uczuć godności ludzkiej i szacunku dla siebie i swej pracy.

Klasa robotnicza, będąca dotąd niczem, zapragnęła stać się czynnikiem polityki i życia całego kraju.

ROZDZIAŁ IV.

Ksiądz Stanisław Stojałowski.

Poznaliśmy się w więzieniu krakowskiem u „Św. Michała“. Poszedłem tam na wiosnę r. 1893 wbrew przepisom prawa, aby zobaczyć się z zamkniętymi tam ludźmi. Była to cała historja. Oto „Naprzód“ napisał wstrząsającą notatkę o „mordzie policyjnym“, dokonanym na niejakim Rotterze w aresztach policyjnych „pod telegrafem“ w Krakowie. Prokuratorja wytoczyła tow. Janowi Englischowi (dzisiejszemu senatorowi) proces o oszczerstwo, a świadków dowodowych oskarżonego zamknięto pod zarzutem krzywoprzysięstwa do więzienia. Był to jeden ze znanych sposobów zwalczania socjalizmu w Krakowie. Ponieważ nie myślę szczegółowo zajmować się tą sprawą, dodam, że proces skończył się zupełnem uwolnieniem towarzysza redaktora. Ale na razie świadkowie przerażeni siedzieli w śledztwie. Tak się złożyło, że za to, iż byłem jednym ze zwołujących narady II kongresu partyjnego w sali Rady miejskiej w Krakowie, dostałem 25 guldenów kary zamienialnej na 5 dni kozy. Postanowiłem tedy skłonić sędziego do zamknięcia mnie i to rychło, aby się widzieć ze świadkami i dowiedzieć od nich prawdy w swobodnej rozmowie. Sędzia miał obowiązek najpierw zarządzić ściągnięcie grzywny, ale gdym mu stanowczo wytłómaczył, że moje sprzęty nie warte i piątej części kary pieniężnej, wydał wreszcie polecenie zamknięcia mnie w kozie. Wówczas siedział tam także i ks. Stojałowski, otoczony czcią strażników więziennych. Oni to zaprowadzili mnie do księdza. Wyściskał mnie, wycałował, poczęstował doskonałym konjakiem i zaczął opowiadać „wycinki“ ze swego bogatego już w przygody życia politycznego. Silnie zbudowany, z twarzą bladą o orlim nosie i wysokiem czole, miał w rozmowie dwa główne tony, jeden szyderczy, prawie

błazeński, drugi potężny, patetyczny. Kiedy opowiadał o tem, jak go Badeni nikczemnie prześladował, jak mu bogate probostwo w Kulikowie pod Lwowem odebrał, jak go uwikłał w proces o to, że sprzeniewierzył składki przez siebie (księdza) rozpisane na ufundowanie lampy przed grobem Chrystusa w Jerozolimie, jak go sąd w r. 1888 zasądził także na utratę praw obywatelskich, aby nie mógł zdobyć mandatu poselskiego, kiedy odsłaniał przedemną ten ponury obraz łamania ludzkiej egzystencji zato, że ujmował się w swoich pisemkach „Wieniec“ i „Pszczółka“ za chłopami, wówczas przerywał to ostrym, szyderczym śmiechem, błaznował, lżył, a nagle zbladłszy z gniewu, wybuchał potężnym, patetycznym protestem. W celi więziennej nawiązaliśmy stosunek życzliwości, do którego miał się wkrótce ks. Stojałowski odwołać w ciężkiej potrzebie.

Na czele walki przeciw chłopom i robotnikom stali obaj biskupi zachodniej Galicji: książe biskup krakowski, kniaź Puzyna i ks. Ignacy Łobos w Tarnowie. Na wiosnę 1895 roku kazali oni wykląć ze wszystkich ambon kościelnych pisma socjalistyczne, ludowe i ks. Stojałowskiego. Dla pamięci potomnych przytoczę tu końcowy ustęp takiej klątwy:

> „Zaklinamy was przez wnętrzności Miłosierdzia Bożego, abyście pisemek tych, które noszą tytuł: „Nowa Pszczółka“, „Nowy Wieniec“, „Nowy Dzwon“, „Przyjaciel Ludu“ i „Naprzód“ nie czytali ani popierali słowem ani pieniądzmi pod grzechem i to nietylko tych, ale i innych — gdyby w przyszłości na ich miejsce ze zmienionym tytułem i w podobnym duchu wychodzić miały. Gdyby zaś nadsyłano wam uparcie te pisemka, nie przyjmujcie ich albo oddawajcie je waszym Pasterzom.
>
> Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z wami. Amen.
>
> Dan w marcu 1895 r.
>
> † *Seweryn*
> Arcybiskup lwowski
>
> † *Łukasz* Biskup przemyski — † *Ignacy* Biskup tarnowski — † *Jan* Książe biskup krakowski.

Klątwy te znosiliśmy z humorem; kazałem posyłać „Naprzód“ ks. Puzynie przez cały rok „gratis“ zato, że urządził pismu

doskonałą reklamę. Coprawda mieliśmy wyborną podstawę dla pisma w ośrodkach robotniczych miejskich. Ale ks. Stojałowski — siedzący często w kozie — rozsyłał swoje „Pszczółki“ i „Wieńce“ na wieś, do poszczególnych odbiorców i tu go dosięgnął hr. Badeni, każąc na pocztach poprostu kraść egzemplarze! Zrozumiały więc jest liścik ks. Stojałowskiego do „Naprzodu“: „Szanowna Redakcjo! Badeni każe kraść numery na pocztach, dlatego nie dochodzą — posyłam w kopercie i proszę napiszcie w swem piśmie o tym nowym sposobie rozbijania. Życzę świąt wesołych, sługa X. Stojałowski“.

Pod wpływem walki ksiądz się rozwijał myślowo i w liście do socjalisty, adwokata dra L. pisze już 26 sierpnia 1895 r.:

„włościanie nasi są bardzo poczciwi i pojmują już swoją sprawę, o ile ona jest wyzwoleniem się z pod przewagi panów i ciężarów fiskalnych, ale nie rozumieją jeszcze, że w gruncie rzeczy jest to walka pracy przeciw kapitałowi, a stąd boją się socjalistów, zwłaszcza gdy ich samych ciągle socjalistami nazywają i tem straszą“.

A dalej w tym liście donosi:

„Teraz przez czas więzienia poświęcam studja kwestji socjalnej i nabyłem wielkiego respektu dla Marksa i Lassalla. Napisałem też o nich cały rozdział w dziele, które przygotowuję do druku“. (Dalej następują sprawy dotyczące podania o wypuszczenie z więzienia).

Oczywiście, że ksiądz, a przytem starszy już człowiek, pojmował po swojemu np. działalność Marksa i Lassalla. To też w jego „Kalendarzu wiecznym“ na rok 1896 czytamy ustępy interesujące, napisane nie bez wdzięku:

„Wprawdzie od wieków Kościół zabraniał lichwy i wyzysku robotnika, ale powstało tyle nowych wynalazków i tak się zmieniły ekonomiczne stosunki, że księża już przestali mówić o zakazach lichwy i brania procentów, o sprawiedliwej zapłacie i do dzisiaj o tem nie mówią, a nawet sami procenta biorą, choć prawo kościelne, zakazujące brania procentu nie zostało odwołane“. „Wtedy Bóg, przedziwny w sprawach swoich, użył ludzi, wrogich religji, aby obronili zapomniane prawdy i przykazania Boże. Ludźmi tymi byli sławni ekonomiści Marks i Lassalle, którzy badając naukowo nowe sposoby produkcji, nowe wynalazki, wykazali, że „kapitaliści czyli ludzie, którzy posiadając pieniądze, biorą lichwę w jakikolwiek sposób, wyzyskują pracę swoich bliźnich, a ci, którzy robotnikowi za jego pracę nie dają należytej — wartości pracy odpowiadającej zapłaty, są wprost złodziejami“.

W ten sposób ludzie, którzy religji nie uznawali, obronili zasady religji, przywrócili pracy jej cześć i wartość, wykazali niegodziwość lichwy i zbrodnię wyzyskiwania biedy i pracy robotnika.

Zrozumiałem, że bieda „polskiego chłopa-rolnika“ jest tylko cząstką i skutkiem tej wielkiej rany, która żre całe społeczeństwo ludzkie; poznałem i to, że „ryba od głowy śmierdzi“ — i, gdyby nie wiem co zrobić dla chłopa, nic to nie pomoże, póki się całej podstawy społeczeństwa nie zmieni, a zwłaszcza póki się Kościół z kajdan państwowych nie wyzwoli, aby mógł swobodnie głosić prawdziwą naukę Chrystusowej Ewangelji.

Wszystko bowiem, co pisali uczeni Marks i Lassalle, nie zawiera nic nowego, jest to tylko obrona, apologja, jak mówią, Chrystusowych prostych, jasnych, w Ewangelji zapisanych zasad.

Jak Tertuljan czy Origenes powiedzieli, że: „dusza ludzka z przyrody jest chrześcijańską“, tak ja powiem: „chrześcijanin z przyrody i z istoty swej jest socjalistą“.

Im bardziej jasno stawiał sprawę społecznego wyzwolenia chłopów, tem srożej mścił się na nim szlachecki rząd hr. Badeniego. Ks. Stojałowski, chociaż uwięziony w Cieszynie, nie przebiera w wyrazach, pisząc o hrabiowskim już wówczas prezydencie ministrów. W liście z 14/X 1895 r. do Żyda socjalisty, dra Lesera, czytamy takie stylowe kwiatki o Badenim:

„kaucję żądaną 300 zlr. też składam, więc jak nowego łajdactwa nie wymyślą, wyjdę 20 bm. a najpóźniej 22 bm. będę w Wiedniu, gdzie się spotkać możemy na otwarciu parlamentu. Ciekawym osobiście słyszeć i zobaczyć, co powie i jak się zaprezentuje łotr Badeni! Nic tak nie dowodzi łajdactwa państwowego jak to, że taki koronny łotr jak Badeni, za zbrodnie i gwałty popełniane, może właśnie pozyskać zaufanie i dojść do najwyższej władzy. Ks. Stojałowski“.

Na agitacyjne pismo biskupie odpowiada w odezwie p. t. „Odpowiedź wiernych katolików na list pasterski“:

„Czyż chcecie abyśmy uwierzyli, że Sakramenta i funkcje kościelne mogą być zamieniane w polityczne środki dokuczania i prywatnej mściwości, albo, że to, co już nieraz niektórzy du-

chowni błądząc mówili: „Kiedyś nie głosował na pana — nie dostaniesz rozgrzeszenia!“ — Wy to samo teraz chcecie zastosować w sposób daleko bardziej szeroki?....

Dość już zgorszenia, że kapłanowi godnemu i prawowiernemu, biskup, z mściwości i dlatego, że na wiec przyjeżdża, — broni ołtarza, lub pełnienia innych czynności kapłańskich — czyż chcecie, — najprzewielebniejsi pasterze, jak kraj długi i szeroki, zaprowadzić policję nową, najstraszniejszą na świecie, bo policję duchowną — i Boskie Sakramenta ze środków łaski i zbawienia, zamienić w środki politycznej agitacji?...

Jeżeli więc Boga i Kościół i dusz zbawienie i własną godność miłujecie, to przestańcie tej strasznej i zgubnej roboty“.

Dopóki trwała ta „normalna“ walka Stojałowskiego z Badenim, ze szlachtą i biskupami, ratowaliśmy rewolucyjnego księdza w więzieniu i poza więzieniem, ale też często polemizowaliśmy z nim ostro i otwarcie. Tymczasem nadciągała ciężka burza z Rzymu od stóp Stolicy Apostolskiej. W lecie 1896 r. doniosła prasa szlachecka, że papież rzucił na Stojałowskiego klątwę, a dnia 30 sierpnia 1896 r., w dzień św. Bartłomieja, ogłoszono tę klątwę ze wszystkich ambon w kraju. Dzień przedtem żandarmerja aresztowała księdza w Cieszynie i pod zarzutem § 24 ustawy prasowej (rozszerzanie zabronionych druków) powlokła do więzienia w Jaśle. Zarzut opierał się na tem, że ks. Stojałowski miał podobno posyłać chłopom swoje skonfiskowane pisemka. Sprawa ta była robotą słynnego starosty jasielskiego, późniejszego posła, księcia P a w ł a S a p i e h y. Ten potomek wielkiego rodu, człowiek bez zdolności, miał dziwne maniery politykującego urzędnika w najgorszym stylu. Pisał broszury marne, w których napadał na mnie i na całą opozycję ludową, ale brak zdolności nie pozwolił mu wybić się w polityce. Ożeniony z księżniczką Windischgraetz i przez to zdaleka spowinowacony z Habsburgami, skończył swoją karjerę na jakimś „Czerwonym Krzyżu“ podczas wojny, ale pycha rozpierała go, jakby Bóg wie jakich dzieł w życiu dokonał. On to kazał żandarmom przetrząsać chaty chłopskie w Jasielskiem, aby zebrać bodaj ślad jakiegoś przestępstwa ks. Stojałowskiego. On to był narzędziem owego „ramienia świeckiego“ (brachium saeculare), które miało pastwić się nad wyklętym księdzem.

Z dworca krakowskiego konwojowany ks. Stojałowski napisał kartkę z prośbą, abym doń przyszedł. Pojechałem z nim do Tarnowa i dodawałem mu otuchy, obiecując nim się opiekować. Na dworcu tarnowskim zgromadzenie księży obserwowało „buntownika“ bez cienia współczucia lub litości. W więzieniu jasielskiem odwiedzały księdza istne pielgrzymki chłopów i bab wiejskich, aż strach zaczął padać na „sfery rządzące“, bo przypomniano sobie nagle, że Jasielskie to ojczyzna S z e l i... A Stojałowski obrał znakomity sposób obrony. Oto ogłosił po kilku dniach, ż e r o z p o c z y n a g ł o d ó w k ę i że albo go rychło wypuszczą, albo wyniosą z więzienia trupem!... „Stoję przy swojem: śmierć albo wolność!“ — pisał z Jasła w liście do redaktora „Dziennika Krakowskiego“, Wilhelma Feldmana. Ks. Stojałowski, głodząc się przez sześć dni w więzieniu, liczył świadomie na strach władz przed chłopstwem jasielskiem. Pisze on wyraźnie (zamiast Nru 16 „Pszczółki“ r. 1896): „Widząc to (przywiązanie chłopów do księdza) sędziowie mówili do siebie: — puśćcie go czemprędzej, bo jakby on tu nam umarł, to nas chłopi pozabijają...“

Wysiłki księcia starosty wydobyły dwa egzemplarze skonfiskowanych broszurek, a ponieważ do popełnienia przestępstwa potrzeba wedle ustawy trzech egzemplarzy, więc Stojałowskiego sąd musiał wypuścić.

Stojałowski dodaje: „S z e l a jasielski byłby żadnego pana palcem nie dotknął za taki uczynek. Któż lepszy, Szela czy Szaweł?“ Nazywa więc ks. Pawła Sapiehę gorszym od rezuna Szeli...

Na klątwę papieską odpowiada Stojałowski obszernem pismem: „N i e p ó j d z i e m y d o K a n o s s y!“ Wychodzi ze słusznego założenia, że grom klątwy miał uderzyć w „jedynych katolików w kraju“, w chłopów polskich. Potem zwraca uwagę, że nie papież, ale „prosty pisarzyna w rewerendzie, Mancini (widocznie kuzyn Badeniego), podpisany jest na tej bałamutnej paplaninie, pełnej, jak list Puzyny, nieprawd, przekręcań i grubych prawnych bezmyślności czyli nonsensów...“

„Zresztą ta klątwa, jeżeliby miała znaczenie, dla mnie osobiście jest zupełnie obojętną. Hak pastorału ks. Puzyny i Morawskiego już mnie bardziej nie zrani. Wszak oni i część bezmyślnego a ambitnego duchowieństwa, już od lat ośmiu niemal ogłaszają mnie za wyklętego, zamykają przedemną kościoły, ołtarze i pałace a domy swoje, (bojąc się ekskomuniki stańczykowskiego wielkiego inkwizytora, — i swego złego sumienia!).

Dla mnie więc ta klątwa w praktyce nie doda zgoła nic: dowodzi jeno niezbicie, że tyle lat — boli powiedzieć — głoszono z ambon i w listach pasterskich nieprawdę i oszczerstwa!

Grom ten głównie wymierzony przeciw ludowi! Bezsumienny ucisk ludu za „czytanie gazetek“ teraz się może rozbestwić i zapewne się rozbestwi. Mam nadzieję, że prosta wiara i granitowa stałość polskiego ludu przetrwa i ten atak. Ale komu droga wolność obywatelska i rozbicie małżeństwa inkwizycji z władzą świecką, niech dziś przedewszystkiem pomoże bronić lud polski przed tymi, którzyby się poważyli przyjąć rolę czarnej policji lub siepaków inkwizycji...“

Przysłowie mówi: „młyny Pana Boga mielą wolno, — ale mielą“... Klątwa dawała się księdzu coraz bardziej we znaki. Kiedy miał odbyć wiec w Rzeszowie, ubłagał mnie, żebym przybył na pomoc, bo czekał go tam p. Stapiński i szlachecka młodzież okoliczna... Przyjechałem i z podziwem patrzyłem na entuzjazm chłopów wobec Stojałowskiego. Całowali kraj jego brudnej, zniszczonej sutanny, a on ich wszystkich wycałowywał. Obroniłem księdza na zgromadzeniu przeciw Stapińskiemu i przeciw paniczykom, ale komisarz rozwiązał je w końcu. Wówczas Stojałowski zaprowadził parę tysięcy chłopów za miasto, gdzie pod krzyżem na wzgórzu odbywał dalej zgromadzenie. Wkrótce potem prosi mnie o jakiegoś dzielnego człowieka na redaktora swoich pisemek, bo chciał wyjechać do swojego biskupa w Antivari (Czarnogóra). Ale najlepiej zacytuję jego list własnoręczny z 31 listopada 1896 r.:

„Redakcja „Dzwonu“, „Wieńca Polskiego“ i „Pszczółki“. N. b. pochwalony Jezus Chr. W Cieszynie 31/XI 1896 r. Kochany Panie Ignacy! Wyrwałem się w niedzielę z Sanoka po 5 dniach więzienia — i postu. Smarkaty koncepista Łępkowski doniósł po wiecu w Sanoku, że „znakami“ wzywałem lud, aby go wypchał ze zgromadzenia i dusił, ergo zbrodnia § 81 — i że wołałem: Gdyby u was była krew, nie zostałby proch z żandarmów i komisarza — ecce § 279 uk. Gdy żaden z świadków nie potwierdził donosu, puścili mnie (10 rano w niedzielę). Mimo mej wolności pożądany „dzielny człowiek“, abym się wyrwał do Antivari. W czwartek rano będę w Krakowie, a o 11 jadę na wiec do Jarosławia, który się odbędzie w piątek. Przyjedź Pan tam także, będzie Lewakowski, Bojko, Stapiński. Pójdzie im tam tak, jak w Rzeszowie i Rymanowie, jak Pan z załączonego listu poznasz; a trzeba raz tę bezpłciową, czy eunuchowatą grupkę gruntownie zdemaskować. W Krakowie dobrzeby było, gdybyśmy się zobaczyli i ułożyli miejsce spotkania i czas w Jarosławiu, a pomówili też o „dzielnym człowieku“. Trzeba też przeciw czeladnikowi demokratycznemu (mowa o pośle Wójciku) urządzić wiec chłopski w Krakowie. Łączę braterskie pozdrowienie. X. Stojałowski“.

Warto tu dodać, że Stojałowski później na wiecu w Bochni znieważył czynnie p. Stapińskiego, ufny w swoją potęgę u ludu...

Dla scharakteryzowania dziwnych metod wyklętego księdza wobec robotników, przytoczę interesujące zdarzenie z tego okresu. Pewnego dnia miałem w Krakowie dwa zgromadzenia: jedno popołudniu u strajkujących murarzy, drugie publiczne wieczorem „Pod Plewną“. Jakże się zdziwiłem, gdym wśród murarzy zobaczył ks. Stojałowskiego! Zabrał głos i szczuł robotników wyłącznie przeciw biskupowi Puzynie!... Ale jeszcze otwarciej agitował na zgromadzeniu publicznem, zalecając urządzić kocią muzykę przed pałacem biskupim! Zapadał ciemny wieczór, Stojałowski znikł ze zgromadzenia jak kamfora. Wezwałem szybko młodego towarzysza i poleciłem mu pojechać na dworzec kolejowy. Tam miał przy kasie pilnować Stojałowskiego i bez zwłoki donieść mi o nim. Zacząłem przemawiać po raz drugi i przewlokłem zgromadzenie tak długo, aż młody człowiek zziajany wrócił, donosząc, że ksiądz kupił bilet do Cieszyna... Wówczas oświadczyłem publicznie, że żaden z nas nie pójdzie pod pałac Puzyny. Ksiądz urządził sobie alibi i był tak naiwnym, że chciał naszym kosztem przeprowadzać demonstracje. Później dowiedziałem się, że sam zachodził nieraz do Puzyny, co mu nie przeszkadzało namawiać do urządzania biskupowi kociej muzyki...

Ale wróćmy do dalszych losów Stojałowskiego, bo zawierają one w sobie znakomitą charakterystykę tego, jak nami wszystkimi szlachta galicyjska rządziła.

Gdy atak jasielski się nie udał, spróbowano uderzyć z Wadowic. Wielkich miast i robotników lękano się i słusznie. Dn. 9 listopada 1896 r. wyszedł z sądu wadowickiego nakaz uwięzienia księdza z powodu zbrodni zaburzenia religji z § 122 lit. b. u. k. popełnionej przez to, że będąc obłożony klątwą, w Kaniowie dankowskim odprawiał msze w karczmie Wojciecha Fajfera w dniach 6, 7 i 8 września i okazywał przez to religji katolickiej publicznie wzgardę...

Rozpoczęto pogoń za księdzem. Schwytano go w środkowej Galicji, ale gdy go żandarmi przywieźli do Nowego Sącza, dzielni kolejarze go odbili i dopomogli do ucieczki najpierw do Cieszyna, a stamtąd na Słowaczyznę, do górskiego miasteczka Czacy.

Czterech towarzyszy dostało się zato do więzienia, ale Stojałowski był na razie wolny na węgierskiej ziemi, skąd pisał do mnie błagalne listy o redaktora i o pieniądze, uzbierane ze składek robotniczych. Z Czacy uciekł do Budapesztu, bojąc się pościgu badeniowskiego. Z Budapesztu przysłali mi towarzysze djalog Stojałowskiego z pewnym socjalistą, towarzyszem P.

Przytoczę tę rozmowę: P. przedstawia się jako „poganin".

Ks. Stoj. — To nic nie stanowi.

P. — Zaczął o nauce Marksa i Lassalla.

Ks. Stoj. — Stoi na gruncie ewangelji, gdzie jest już wszystko co Marks i Engels głosili.

P. — Komunizm ewangelji jest bardzo pierwotnym, podczas gdy socjalizm jest wpływem nowszych czasów i stosunków. Zresztą z ewangelji można wywnioskować, co kto zechce.

Ks. Stoj. — Sens ewangelji zależy od tłomaczenia; trzeba w to być wtajemniczonym...

P. — Ależ wyście zostali przez kler wyklęci!

Ks. Stoj. — Klątwa jest nieważną. W „Nie pójdziemy do Kanossy" udowodniłem, że papież nie wyklął mnie wcale.

P. — A jeżeli się papież na nią zgodzi?

Ks. Stoj. — Wtedy papież w moich oczach jest tak samo omylnym człowiekiem, jak inni. Zresztą gdyby nie władza świecka i nie jej prześladowania, wówczas nie zważałbym na klątwę i odprawiałbym mszę dalej.

Przez zdradę jakiegoś redaktora, dostał się ks. Stojałowski w Budapeszcie do więzienia na dwa dni przed Bożem Narodzeniem 1896 r. W tej obieży pisze do mnie przemyconą stalówką i kroplą atramentu uratowaną na stole, na etykietach od papieru cygaretowego:

„P. Ignacy Daszyński — Kraków, Gołębia! — Łaskawy Panie i Towarzyszu! Pisma moje: „Wieniec" i „Pszczółkę" oraz drukarnię w Czacy oddaję niniejszem partji socjalno-demokratycznej z tym jednym warunkiem, aby pisano tak, jak Pan wyraziłeś w „Pogadance o religji" w kalendarzu na rok 1897 i tak jak „Prawo ludu" redagowano w pierwszych trzech numerach. Od partji socjalno-demokratycznej dzieli mnie tylko Ewangelja — bo spólności ziemi i środków produkcji żądam a na „Pogadankę o religji" zgoda. Weźcie wszystko i użyjcie na dobro ludu. Czy będę członkiem partji nie wiem, socjalnym demokratą jestem. Budapeszt 5 I 1897. Ks. Stojałowski".

Wówczas wysłaliśmy do Cieszyna tow. Tadeusza Regera jako redaktora pisemek, nie biorąc ich wcale na własność partji i czekając uwolnienia ks. Stojałowskiego. Wkrótce też pod wpływem wzburzonej opinji robotników i demokratów węgierskich wypuszczono go z więzienia. Wolny już przemawiał na publicznem zgromadzeniu demokratów, ale na robotniczem bał się przemawiać, a kiedy go wreszcie uproszono, powiedział parę słów, trzęsąc się jak w febrze. Wrócił do swojej Czacy, gdzie miał drukarnię.

Wybory do parlamentu były w styczniu rozpisane, ale ks. Stojałowski nie śmiał się w Galicji pokazać, bo sąd wadowicki czyhał nań nieustannie. Badeni pozbył się swego zajadłego wroga w walce wyborczej! Ksiądz zwrócił się znowu do mnie o ratunek i prosił, żebym 1 lutego przybył do Czacy, gdzie mieli się zjechać delegaci chłopscy z Zachodniej Galicji. Przyjechałem z tłumem chłopskim o świcie do Czacy, gdzie

za miastem na wzgórzu mieszkał w dużym parterowym domu ks. Stojałowski. Chłopi roztasowali się przed domem, a ja wszedłem do pokoju księdza, zamienionego na kapliczkę z ołtarzem w głębi. Dziwna to była kapliczka, gdzie stały dwa łóżka... Ksiądz był jeszcze w łóżku. Podczas rozmowy mignął przez zamarznięte szyby jakiś cień i w tej samej chwili znikł z pokoju Stojałowski. Wkrótce wszedł do pokoju pandur węgierski, pytając o księdza. Nie umiałem mu nic powiedzieć, ale gdy wyszedł, poszedłem za nim do ogromnej sieni, z której prowadziły schody na strych. W powietrzu unosił się drobniutki pył śnieżny, pokrywający wszystko cienką białą warstewką. Pandur obejrzał schody i ruszył nimi na górę. Poszedłem za nim i znalazłem się na strychu, przedzielonym w połowie ścianą z desek. Pandur zaczął badać deski jedną po drugiej, aż trafił na deskę ruchomą, dającą się usuwać. Wówczas z poprzecznej belki wspiął się w górę i zniknął. Poszedłem za nim i znalazłem się nagle w olbrzymim składzie siana, wysokim na dwa metry. Cała połowa strychu była zawalona sianem. W półmroku zobaczyłem dziwne zjawisko. Pandur stał na sianie jak wyżeł, pochylony w dół i szeptał coś do siana. Pośpieszyłem do niego i zobaczyłem w ogromnym, wydrążonym w sianie lejku na spodzie księdza Stojałowskiego w bieliźnie, szczękającego zębami z zimna. Odezwałem się do niego i prosiłem, żeby się niczego nie lękał a ja mu wnet futro przyniosę. Gdym go drżącego przyodział i na dół sprowadził, uspokoił się nieco i zaczął się ubierać, równocześnie oddając mi znowu swoją sprawę, jako jedynemu obrońcy. Wkrótce utworzył się oryginalny pochód ku miasteczku. Na przedzie ksiądz ze mną i z pandurem, a za nami delegaci z Galicji w przeróżnych ludowych strojach. Ksiądz wskazał mi na dole duży dom pokryty słomą — więzienie. Powiedział mi, że gdyby go sędzia śledczy nie zwolnił, wówczas w nocy wydostanie się przez strzechę. Ja zaś miałem o północy zajechać dobrymi końmi i wywieźć go na pobliski Śląsk Cieszyński, skąd ucieknie na razie do Niemiec. Dałem mu na przekupienie strażnika 100 guldenów i obiecałem, że odbędę naradę w sprawie wyborów z jego delegatami.

Rozstałem się z nim i zgromadziłem kilkudziesięciu chłopów w kawiarni, gdzie jedliśmy śniadanie. Wtem wpada miejscowy „notar“ — rodzaj burmistrza i starosty równocześnie — i podniesionym głosem wzywa nas do natychmiastowego opuszczenia państwa węgierskiego. Zacząłem z nim pertraktować i wyjednałem, że miał nam dać dwie pary sań, abyśmy mogli opuścić granice państwa, wożąc chłopów po kolei do najbliższej miejscowości na Śląsku. Notar uszczęśliwiony, że się nas tak rychło pozbędzie, przysłał sanie z doskonałymi końmi. Zaczęło się wśród wściekłego mrozu wożenie delegatów, trwające do popołudnia. Tymczasem Stojałowski wyszedł wolny i dał znać, że boi się jechać na Śląsk, żebym zatem znowu w tajemnicy chłopów przywiózł na Węgry na przedwyborczą naradę. Lałem więc wódkę w zmarzniętych furmanów i późnym wieczorem zgromadziłem wreszcie chłopów w jakiejś chałupie na uboczu pod Czacą.

Podczas narady raziła mnie służalczość różnych delegatów chłopskich, którzy chcieli zdobyć względy Stojałowskiego, aby tylko postawił ich na kandydatów. W takiej atmosferze nie miałem nic więcej do roboty i skoro tylko odtajałem z mrozu, pożegnałem się z księdzem wśród niekończących się podziękowań z jego strony i dotarłem do dworca kolei, aby wyjechać do Krakowa. Ksiądz Stojałowski obiecał mnie na wsi krakowskiej popierać, ale skończyło się na odezwie, którą przysłał na dzień przed wyborami. Zresztą niewiele miał do mówienia w moim okręgu.

W marcu 1897 r. przeszło do parlamentu s z e ś c i u stojałowczyków z p. drem Michałem Danielakiem na czele, pięciu ludowców z panem Bojką i dwóch socjalistów polskich; razem ze stojałowczykami trzynastu polskich posłów nie wstąpiło do Koła polskiego. Obręcz bezwzględnej solidarności posłów polskich pod komendą stańczyków pękła po raz pierwszy; dzień ten zadecydował o niepowodzeniu polityki szlachty polskiej w Galicji. Objektywnie biorąc, osiągnąłem cel polityczny w popieraniu ks. Stojałowskiego, aby przy jego pomocy wyrwać chłopskich posłów z zależności od zupełnie szlacheckiego

Koła polskiego w Wiedniu. Ale ludzie tacy jak Stojałowski, niedługo nadają się do konsekwentnej walki. Był to człowiek w owym czasie już moralnie zrujnowany. Dziesięcioletnia wojna z Badenim, niedostatek i prześladowania złamały go fizycznie i duchowo. Jego absolutna, dyktatorska władza polityczna nad swoimi zwolennikami, zupełny brak odpowiedzialności za swoje postępki przed swoimi „ludźmi" — wada ciągle spotykana wśród wodzów chłopskich aż do dnia dzisiejszego — to wszystko razem uczyniło go wreszcie skłonnym do zgody z tymże Badenim, w chwili, gdy miał w ręku przedmiot handlu, t. j. sześciu posłów „swoich"...

Już w lutym 1897 r. prowadzą ze Stojałowskim perehowory poseł Sokołowski i hrabina Anna Potocka z Rymanowa (miła i zacna staruszka, która doznała podobno ataku litości, zobaczywszy podartą bieliznę Stojałowskiego), a po wyborach zjeżdżał do Czacy słynny antysemita dr. Gessmann, jedna z najniesympatyczniejszych postaci w obozie dra Luegera, sławnego burmistrza wiedeńskiego. Ale targu jeszcze nie dobito, więc Stojałowski pisze do mnie wylany list pod datą 22 kwietnia 1897 r. List mówi sam za siebie:

„Łaskawy i szanowny Panie Pośle! Dawno zbierałem się pisać, ale jak mówi psalm: „multiplicasti gentem, multiplicasti laborem", to znaczy, że mi teraz w dwójnasób pracy przybyło i nim się trochę zorganizujemy, potrwa to jeszcze czas jakiś, nim będę mógł odetchnąć. Nie gratulowałem sukcesów w Radzie Państwa, bo mam przekonanie, że Pan bez tego wiesz dobrze, jak jestem dla Pana życzliwy i jak jedynie dla spodziewanego Pańskiego działania w parlamencie szczerze i bez rachuby na własne korzyści Pańską kandydaturę w miarę sił popierałem. Nie wiem, skąd F. przyszło do głowy w sylwetce mojej w „Kraju" pisać, że Pan wyzyskał uwięzienie i okucie moje, aby mnie pozyskać dla popierania Waszej sprawy. Świadkiem jest dr. Adler, że tuż po uchwaleniu reformy wyborczej powiedziałem mu: Wsystkie siły trzeba wytężyć, aby przeszedł Daszyński, bo to będzie młot na stańczyków. Jeszcze o tem, że w czasie wyborów będę na wygnaniu, nie wiedziałem. Ale mniejsza o to, zresztą takie tłómaczenie mojej akcji politycznej byłoby jeszcze najmniejszem; podłe ze strony F., który zawsze z jakąś niby życzliwością się oświadczał, jest, gdy pisze, że biskup zaczął szperać w prywatnem życiu — i na podstawie tego usunął mię z probostwa! Lecz nie o tem właściwie chciałem pisać. Mam inną ważniejszą prośbę: Czybyś Pan nie mógł jadąc do Wiednia, wstąpić do mnie? Potrzeba koniecznie wytoczyć w Izbie wściekłe prześladowania czytelników ze strony księży i te oburzające nadużycia spowiedzi — i co do tego podzielić role. A także chcę Pana wziąć za słowo: Powiedziałeś na jednem zgromadzeniu: „Jak dobrze pójdzie, to Mojżesza sprowadzimy". Miarkuję, że złodziej Badeni knuje podstępne plany i mam powody przypuszczać, że z Rzymem się porozumiał, a mnie przez księży chce wyprawić do Rzymu po to, aby mi tam może postawili warunek usunięcia się z politycznego widowiska — czegobym oczywiście nie przyjął. Stoję przy tem, że „do Kanossy nie pójdę!", a więc do Rzymu bym tylko w tym razie jechał, gdybym dostał rękojmię, że tam uznano krok fałszywy. Dlatego też chciałbym, aby w parlamencie Wy i nasi podnieśli tę sprawę i napiętnowali inkwizycyjne zachcianki. Ciekawość, jakby z tej sprawy młodoczesi wybrnęli? Owóż proszę, bądź Pan tak dobry i znajdź sobie chwilę czasu, a napisz mi, nie telegrafuj, bo tutejszy „służny" (urzędnik) kogo jak kogo, ale Pana boi się jak ognia! Łączę serdeczne pozdrowienia brat i sługa X. Stojałowski".

Już po wydaniu przez Badeniego rozporządzeń językowych, rzekomo na korzyść młodoczechów, nazywa ksiądz Badeniego złodziejem, chociaż po kilku miesiącach znajdzie się w gronie jego wielbicieli na tle platformy „słowiańskiej"...

Na początku maja minister sprawiedliwości w gabinecie hr. Badeniego, hr. Gleispach wydał Stojałowskiemu „list żelazny", aby się mógł udać do nuncjusza papieskiego, arcybiskupa de Sebaste w Wiedniu! Stąd już go wyekspedjowano do Rzymu, gdzie dokonano nad nim przeróżnych operacji urzędowych aż do zasadzenia go w klasztorze na pokucie... Nadarmo przed wyjazdem odcinał się klerykalnemu „Głosowi Narodu": „To jedno oświadczę wobec tego co napisał „Głos Narodu": „do Kanossy musi pójść ks. Stojałowski, choćby się na głowie postawił". „Pójść do Kanossy znaczy pójść na pokutę i zaprzestać tego, co się robiło". Owóż może „Głos Narodu" być pewnym, że w tem znaczeniu do Kanossy nie pójdę, bo ja nie pisałem „żadnych wierszy bezwstydnych", ani „wychwalania

7 grzechów głównych", jak to uczynił redaktor „Głosu Narodu", Ehrenberg". Nadarmo! Musiał odbyć pokutę i zaprzestać roboty!...

Ale djabeł buntu siedział Stojałowskiemu za skórą, bo wprost z klasztoru włoskiego jeszcze raz wyrwał się do mnie. W końcowych dniach sierpnia byłem członkiem oryginalnego „Kongresu dla ochrony robotniczej" w Zurychu. Był to zjazd najbardziej firmowych socjalistów z najbardziej wybitnymi klerykałami dla walki o ośmiogodzinny dzień pracy, święcenie niedzieli (spoczynek niedzielny) i t. d. Próba ta wypadła dość blado i nie była potem powtórzoną. Otóż jeden z klerykałów, p. Decurtins, mąż zaufania Kurji papieskiej w Szwajcarji, zwrócił się do mnie z propozycją porozumienia się ze Stojałowskim, oczywiście za jego inicjatywą. I rzeczywiście na trzeci dzień zjawił się w Zurychu u mnie Stojałowski, który się wyrwał z klasztoru, aby ze mną konferować. Wydobył z kieszeni arkusz papieru i odczytał mi 14 punktów radykalnego politycznie i społecznie programu, w którym na czoło wybijał się szturm na Sejm galicyjski o wprowadzenie powszechnego głosowania i t. p. Ale po tych punktach postawił dwa dalsze: po pierwsze, żeby usunąć tow. Regera ze Śląska, a po drugie, aby się pozornie zwalczać publicznie, a potajemnie się popierać. Oświadczyłem, że ani pierwszego ani drugiego punktu nie uznaję i że komedji politycznej grać nie myślę. Stojałowski wrócił z niczem do swego klasztoru i w parę dni później, 5 września 1897 r. podpisał dokument skruchy i zdrady sprawy chłopów polskich, który w całości przytaczam, aby zakończyć jego charakterystykę najbardziej wyrazistym rysem. Dokument brzmi:

„Nr. 1358 Nuncjatura apostolska, Wiedeń 9 listopada 1897 r.

Podpisany poleca szanownej redakcji „Vaterland" ogłosić następujące oświadczenie ks. St. Stojałowskiego z tą uwagą, że to ogłoszenie należy uważać za urzędowe i że wspomniany ksiądz zrehabilitował się zupełnie wskutek tego odwołania. E. Arcybiskup de Sebaste, nuncjusz apostolski".

„Ja, podpisany z zupełnie wolnej woli i z całą szczerością:

1. Przyjmuję szczerze, z całem poddaniem się i bez zastrzeżeń wszystkie co do mnie ze strony prawowitych zwierzchników kościelnych wydane rozporządzenia, wyroki i cenzury, a zwłaszcza wydane mi przez św. Kongregację officium.

2. Potępiam i odwołuję wszystko, com publicznie czy prywatnie mówił, pisał lub czynił, a coby było nieuszanowaniem lub obrazą biskupów i innych zwierzchników kościelnych;

oraz potępiam i odwołuję wszystko, cokolwiek powiedziałem lub napisałem nieprawdziwego lub fałszywego o prawie, które ma św. Kościół w nauczaniu, kierowaniu i ganieniu swoich dzieci we wszystkich sprawach, które odnoszą się wprost lub pośrednio do dogmatów chrześcijańskich, do chrześcijańskiej moralności i dobra ludów.

3. Reguły, ogłoszone przez I. S. Papieża Leona XIII w jego Konstytucji Officium z stycznia co do różnych publikacji i ich lektury przyjmuję i zobowiązuję się na przyszłość wiernie je wykonywać.

Będę czynił, co w moich siłach, aby naprawić zgorszenie, które sprawiłem zwłaszcza przez celebrowanie św. Ofiary (mszy) w domach prywatnych, wbrew interdyktowi.

Rzym, dnia 5 września 1897 r.

Ks. Stanisław Stojałowski".

Jest to przestroga, żeby nie bardzo ufać księdzu rzymsko-katolickiemu, kiedy się prowadzi walkę opozycyjną na wielką skalę. Ja przynajmniej tę naukę wyciągnąłem z rozważania sprawy ks. Stojałowskiego.

Dla rozrywki historycznej przytoczę jeszcze zachowanie się Stojałowskiego w listopadowych dniach 1897 roku, kiedy to obalaliśmy tyrana galicyjskiego, premjera austrjackiego hr. Kazimierza Badeniego.

Hr. Badeni posiadł zaufanie cesarza w takim stopniu, jakim chyba nie mógł się szczycić osobisty przyjaciel cesarza hr. Taaffe. Pełnomocnictwa jakiemi rozporządzał, były bardzo wielkie. Cesarz wierzył, że hr. Badeni przeprowadzi prowizorjum ugodowe z Węgrami i podtrzymywał go wobec podwójnego naporu ze strony opozycji austrjackiej i prezydenta ministrów, barona Banffyego. Ten ostatni, wódz madjarskiego liberalizmu śpieszył się jednak bardzo z ugodą, przeczuwając straszne burze w razie niedojścia jej do skutku. Sprawa ugody

była bowiem dla węgierskich liberałów kwestją życia lub śmierci. Oparci o Austrję, nie lękali się słowiańskich uciskanych przez się ludów, bo dwór nie podburzał tych ludów przeciw zaborczym Madjarom. Z chwilą, kiedyby jednak w Węgrzech rozbujała zanadto partja niepodległości, dwór mógł odrazu pobudzić wielki narodowościowy ruch Słowian, Rumunów i saskich Niemców przeciwko kapitalistom madjarskim. Nic też dziwnego, że br. Banffy gorączkowo nalegał na cesarza, aby raz już skończył z hr. Badenim i spróbował zastąpić go kim innym. Te nacierania Banffyego zaczynały po pewnym przeciągu czasu odnosić skutek, ponieważ coraz bardziej jawnem się stawało, że hr. Badeni nie ma właściwie większości w parlamencie. Wtedy to pojawił się znany komunikat w jednem z pism wiedeńskich, donoszący o zachwianiu się stanowiska hr. Badeniego. Było to dnia 12 listopada rano. Hr. Badeni zażądał głosu i wypowiedział mowę pełną komplementów dla Niemców; odstąpił od swoich własnych rozporządzeń językowych, obiecał zadowolnić życzenia opozycji i przedłożyć parlamentowi ustawę językową. Posunął się nawet tak daleko, że nie niemieckim narodom obiecywał równouprawnienie tylko „nach Möglichkeit“ a nie — bez zastrzeżeń.

Ale już było zapóźno, już mu właściwie nikt nie wierzył, z wyjątkiem ks. Stojałowskiego, potrzebującego za wszelką cenę unicestwienia dwóch procesów: wadowickiego i sanockiego, które mu uniemożliwiały powrót do kraju.

W krytycznej chwili zeszły się ich drogi: jeden potrzebował większości, drugi nie chciał siedzieć w kozie. Zawarto więc sojusz za cenę głosów „stojałowczyków“. Wieczorem dnia 12 listopada odbywało się rozstrzygające głosowanie nad wnioskiem Pacaka, aby przejść do porządku dziennego nad żądaniem opozycji w sprawie oskarżenia ministra. Konserwatywni Niemcy, szlachta konstytucyjna, Włosi stawiali także przejście do porządku dziennego, ale z dodatkiem, żeby tę najważniejszą sprawę przedłożyć parlamentowi do rozstrzygnięcia na drodze ustawodawczej. Czesi jednak nie chcieli od Badeniego ani na jotę odstąpić. Za ministrem głosowało 177 posłów, przeciwko 171. Sześć głosów większości zawdzięczał hr. Badeni ks. Stojałowskiemu!

Na drugi dzień, 13 listopada wysłuchał hr. Gleispach życzliwie prośbę obrońcy Stojałowskiego, aby stłumiono przeciwko Stojałowskiemu prowadzone procesy, pozbawione już teraz wszelkiej istoty czynu. Oświadczył, że z powodów prawnych rehabilitacja nie może być bardzo wątpliwą, ale rozstrzygnięcie tego jest kompetencją najwyższej władzy. Marna pomoc ks. Stojałowskiego nie uratowała oczywiście hr. Badeniego od upadku w dniu 27 listopada. Wśród szału „słowiańskiego“, który ogarnął teraz klasy rządzące w Galicji, urządzono w dniu 12 grudnia wielką demonstrację polsko-czeską w Krakowie. Ale myśmy przygotowali zawczasu kontrdemonstrację polsko-czeską, zaprosiwszy na ten dzień socjalistycznych posłów czeskich na zgromadzenie pod gołem niebem! Wieczorem odbył się bankiet „Słowian“ pod prezydencją księcia Pawła Sapiehy — owego jasielskiego Szawła! — a jednym z gości bankietowych był ks. Stanisław Stojałowski... Ściskał swoim wrogom ręce i wygłosił namiętną mowę w duchu panslawistycznym. Dnia 3 lutego 1898 został wybrany posłem w kurji wiejskiej okręgu Łańcut-Nisko. „Centralny Komitet Wyborczy“ nie przeciwstawił mu żadnego kontrkandydata, a hrabina Resseguier oddała swój dwór na zgromadzenie przedwyborcze dla Stojałowskiego...

Wślad za nim szedł groźny głos robotników polskich, pracujących w cegielniach budapeszteńskich. Ogłosili oni „list otwarty do księdza redaktora“. Mocne słowa usłyszał tu ks. Stojałowski:

„Nigdybyśmy tego nie przypuszczali, abyście od tego odstąpili, coście w odezwie „Nie pójdziemy do Kanossy“! po całym świecie we wszystkich językach głosili...“

„A wyście przecież poszli do Kanossy! Z bohatera chrześcijańsko-socjalnego, który miał przed papieżem wystąpić jako obrońca ludu uciemiężonego i jako nieustraszony oskarżyciel nieuczciwych pasterzy i biskupów stańczykowsko-badeniow-

skich, stał się skruszony grzesznik, odwołujący wszystko, co dotychczas za boską i ludzką prawdę głosił, stał się zdrajcą siebie i całego ludu roboczego. I to wszystko w tym celu się stało, aby zaufanie WW. XX. biskupów napowrót odzyskać. Waszą osobę chcieliście ratować i zdradziliście lud cały. Czyż na to tyle ofiar, tyle więzienia, tyle ranionych, tyle prześladowań, rozpaczy i krwawych łez?! Na to, abyście wy swoją skórę zabezpieczyli?“

„Dwom bogom służyć nie można. Kto się ukorzy przed stańczykiem, Badenim i złotym cielcem, ten nie może zwalczać tego trójprzymierza, które krew ludowi wypija; kto przyrzeka tylko tyle mówić i pisać, ile biskupi i hierarchja kościelna pozwolą i dopuszczą, ten jest podobny do psa pańskiego, trzymanego na łańcuchu, tego można szarpnięciem łańcucha każdej chwili uciszyć“...

W r. 1897 przesiadł się ks. Stojałowski na konika panslawizmu, co w praktyce znaczyło: moskalofilizmu. W toku opisanych przezemnie okrutnych prześladowań zwrócił się do Petersburga z prośbą, żeby mu dano jaką parafję „aby nie umrzeć z głodu“, jak zeznał w sądzie krakowskim. W pierwszych latach dwudziestego wieku szereg pism galicyjskich oskarżył go o konszachty z generałem żandarmów Brockiem. Procesy, które Stojałowski przed przysięgłymi wytoczył, poprzegrywał. „Słowo Polskie“, organ narodowo-demokratyczny, samo zarzut odwołało, chociaż była to jeszcze antyrosyjska faza endecji. Prawdziwe oblicze swoje pod tym względem okazał Stojałowski w artykule p. t. „Rosja i Polska“ w 63 numerze „Wieku Słowiańskiego“, wydawanego przez ajenta rządu carskiego, dra Werguna:

„Mogę was zapewnić — pisze do redakcji „Wieku Słowiańskiego ks. prałat — iż przemiana nastrojów i uczuć Polaków wobec Rosji jest ogromna i obecnie ogarnia ona niewątpliwie większość ludności nietylko w Prusiech, lecz i w Austrji... Nie ulega wątpliwości, że i Polacy zaboru rosyjskiego stanęliby jednomyślnie w każdej potrzebie po stronie Rosji“...

„Rozchodzi się tylko o Galicję... Otóż twierdzę: włościaństwo w Galicji całe, znaczna część właścicieli ziemskich i większa część inteligencji obecnie są już w zupełności słowiańskimi (nynie uże w połni słowianskija) i zwracają swe serca i nadzieje ku Rosji“...

„Drobnomieszczaństwo, zwłaszcza w małych miasteczkach, wprost wzdycha do Rosji dlatego, iż tylko od niej spodziewa się wyswobodzenia z żydowskiej niewoli, w której obecnie pozostaje“...

...„I część właścicieli ziemskich, tj. szlachty, zmieniła swe usposobienie i ciąży ku Rosji; ma ona polityczną szkołę, posiada poczucie solidarności i po długich latach wykonywania programu „Przy Tobie stoimy i stać chcemy“, zobaczyła, że „Niczego nie wystała“, lecz przeciwnie, radykalne prądy coraz bardziej osłabiają jej wpływy i znaczenie... Do tego przybywa jeszcze ekonomiczny upadek szlachty w przeciwieństwie do jej dobrobytu w Rosji, co zwróciło jej oczy tam, gdzie przywileje szlacheckie znaczą więcej, aniżeli gdzieindziej, i skąd spodziewać się może silniejszego tłumienia prądów idących z dołu“...

„Księża boją się sekularyzacji dóbr kościelnych i ostrego traktowania ich ze strony Rosji, nie bacząc na to, iż rosyjskie ustawodawstwo bardziej jest chrześcijańskie, aniżeli liberalne“...

„Inteligencja“ z obawy straty sytego i lekkiego kawałka chleba jest antyruską“.

„O socjaldemokratach i Żydach, nieprzejednanych wrogach Rosji, zbytecznie mówić, ponieważ wiadomo, iż Żydzi i ich najemnicy, t. zw. socjaldemokraci, nie przebaczą nigdy Rosji tego, iż ona jedyna w Europie nie pozwala im na grabienie chrześcijan i prowadzenie propagandy, zdążającej do społecznego przewrotu“.

Tego rodzaju artykuły zaostrzały nienawiść socjalistów do Stojałowskiego, który zresztą ze swemi uczuciami wobec nas także się nie taił. Na tem tle przyszło między nim a naszym towarzyszem Regerem w Żywcu do wprost homeryckich bojów.

Dnia 11 października 1903 roku urządził Stojałowski brutalny atak na tow. Regera. Przedtem wysłał depeszę do mnie: „Daszyński przyjechać do Żywca Komitet“, ale z powodu posiedzenia Komisji dla dróg wodnych nie mogłem przybyć. Regera pokrwawiono, gdy znalazł się na sali zgromadzenia. Zato pod wieczór zbito i spoliczkowano księdza Stojałowskiego tak strasznie, że pełzał na czworakach po błocie, a oprzytomniawszy,

uciekł w pola przed ostatecznym pogromem. Regera zaś odprowadzili żywczanie w triumfie na kolej.

Nie brakło i humoru w wystąpieniach księdza. Gdy go raz jakiś młodzieniec przed Sejmem we Lwowie spoliczkował, a jeden z moich znajomych radził mu pójść na policję, odpowiedział z pasją: „Poco? Aby pozostało w urzędowym protokole, żem dostał w papę!?“

Albo artykuł jego o tem, „które rocznice obchodzić w Polsce“? Radzi obchodzić rocznice Wandy, Krakusa, Łokietka itd., a kończy na Sobieskim. W czasie zaś rozbiorów i niewoli „niema już rocznic podnoszących ducha“...

Błaznowanie w Sejmie i w parlamencie odebrało mu powagę, zwłaszcza, odkąd zawarł z namiestnikiem Pinińskim umowę, mocą której dostał od rządu tysiąc koron za marki pocztowe owych gazetek, które rząd kazał konfiskować na pocztach galicyjskich... Wypominano mu to publicznie dość często.

Dalsze losy ks. posła nie są już interesujące. Zależał od rządu, a gdy rząd zadecydował, że mu ksiądz i jego pionki są niepotrzebni, zachwiał się cały byt polityczny „stronnictwa“... Podczas wyborów w r. 1911 Stojałowski został wzięty we dwa ognie. Namiestnik dr. Bobrzyński wraz z konserwatystami z jednej, a socjaliści z drugiej strony zabrali się do niego i ani jeden poseł Stojałowskiego nie został wybrany do parlamentu. Klęski tej Stojałowski nie przeżył. Umarł w kilka miesięcy po wyborach w Krakowie. Przed śmiercią cieszył się, że jego wróg, kardynał książę Puzyna o kilka tygodni wcześniej „stanął przed sądem boskim“. Spadek po ks. Stojałowskim wzięli w całości narodowi demokraci, do których się zbliżył na tle moskalofilstwa.

ROZDZIAŁ VII.

W parlamencie.

Podczas gdy w Krakowie wybory były potężnem wstrząśnieniem społecznem, w którem pęd wyzwoleńczy wszystkich pokrzywdzonych, — robotników, chłopów, Żydów — szukał zwycięstwa nad klasą panującą, całkiem inaczej przedstawiały się szanse socjalistów w Wiedniu. Nie zdążyli opanować masy wyborców, a demagogja chrześcijańsko-społeczna, kierowana genjalnie przez dra Karola Luegera, wzięła górę nad ruchem socjalistycznym. Rezultatem była klęska straszliwa robotników. Padli dr. Wiktor Adler, Pernerstorfer, ba, padł słynny Schuhmeier, dziecko ulicy, potężny działacz ludowy, pobity przez nędznego kelnerzynę Mittermajera. Tylko niemieckie, czysto proletarjackie części Czech dały kilka mandatów. Utworzyliśmy „Związek posłów socjalistycznych“ w parlamencie, złożony z dwóch Polaków (Kozakiewicz ze Lwowa i ja), sześciu Czechów i siedmiu Niemców. To był w r. 1897 cały wpływ parlamentarny socjalizmu w Austrji. Hospitantem klubu był jeszcze Rusin, dr. Roman Jarosiewicz. Siłą faktów wybrano mnie przewodniczącym Związku, jako właściwie jedynego politycznego człowieka w Związku. Przytem należało już wtedy liczyć się z antagonizmem między Czechami a Niemcami, co wysuwało Polaka na pierwsze miejsce... Przez lat z górą dwadzieścia nieraz jeszcze musiałem odgrywać między Niemcami a Czechami rolę pojednawczą, co czasem obdarzało mnie obustronnem zaufaniem, a czasem obustronną nieufnością.

Jakkolwiek małą była nasza liczba w parlamencie, to jednak wnosiliśmy czynnik dotąd zupełnie nieznany i nadzwyczaj oryginalny. Występowaliśmy śmiało nie tylko przeciw rządowi, lecz i przeciw szowinistom wszystkich narodów. Odosabniało to nas wśród przewagi tych właśnie szowinistów

w parlamencie. Austrja była zlepkiem narodów, związanych z nią zupełnie nielogicznie. Tylko geograficzne położenie krajów nad Dunajem dawało Austrji pewną rację bytu, ale cóż, kiedy względy państwowo-narodowe musiały to geograficzne terytorjum rozbić na dwa zwalczające się zajadle kompleksy: Węgry i Austrję! Całkiem inną drogę ciążenia miały kraje sudeckie (Czechy), a już zupełnie odległe były kraje karpackie (Galicja i Śląsk). Trzymała te wszystkie rozbieżne kraje w związku państwowym dynastja. Ale ta dynastja prowadzić musiała coraz to inną politykę od centralizmu do federalizmu, od autokracji do wolnościowej polityki!

W tych warunkach polityka socjalistyczna powinna była oprzeć się na zasadzie niepodległości narodów. Ale zarówno Niemcy jak Czesi nie chcieli całkowicie rozbijać Austrji. Niemcy dlatego, że mieli w niej panujące stanowisko (stolica, armja, centralne urzędy i t. d.), a Czesi dlatego, że olbrzymi przemysł Czech liczyć się musiał ze zbytem w Austro-Węgrzech. Czesi mieli nadto trzymiljonową mniejszość niemiecką w kraju. Polacy prowadzili politykę ugodową, a Rusini centralistyczno-austrjacką. Włosi i Rumuni byli liczebnie słabi, Słoweńcy uginali się pod kierunkiem rzymsko-klerykalnym. Stąd polityka socjalistów dążyć mogła wówczas tylko do autonomji narodowej i w tym kierunku się posuwała. My, Polacy socjaliści, głosiliśmy — jedyni w Austrji — niepodległość Polski jako nasz cel polityczny. W ówczesnej Austrji nikt też nas nie rozumiał...

Ale na razie trzeba było usunąć rumowisko „historyczne", nagromadzone w tem państwie Habsburgów.

Zadanie socjalistów było określone jasno położeniem społecznem i politycznem mas ludowych w Austrji. Konstytucja austrjacka z roku 1867 była zbiorem nieraz bardzo pięknych wolnościowych postanowień. Z wyjątkiem praw narodu jako takiego, jako podmiotu prawnego, była w niej wolność sumienia, prasy, zgromadzania się, stowarzyszania, koalicji, nietykalność osoby, domu, tajemnica listowa, prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce i t. d.

Ale trzydzieści lat rządów szlachty i kleru, zasiadających w parlamencie centralnym i w sejmach „krajowych" (nie narodowych), wykonywujących absolutną kontrolę nad życiem publicznem, popieranych przez dynastję, która żądała od „ludów" posłuszeństwa, podatków i rekruta, tych trzydzieści lat zdołało niemal zupełnie unicestwić różne piękne przepisy konstytucyjne, obrócić je w szeregu ustaw w szyderstwo i pośmiewisko postanowień konstytucji.

Posłowie socjalistyczni rozpoczęli więc walkę na śmierć i życie z administracją rządową w państwie. Tysiące interpelacji piętnowały nadużycia namiestników, prokuratorów, starostów i policjantów. Tysiące zgromadzeń poselskich poruszały dzikie zarządzenia administracji w sprawach, gdzie krzywda ludowa była już zbyt jaskrawą i bolesną.

A oto przedemną siedział na ławie ministrów b. namiestnik galicyjski hr. Kazimierz Badeni, prototyp urzędnika, łamiącego bezczelnie prawo, z którego mógłby skorzystać przeciwnik jego klasy i rządu! Przyszedł do rządów jako człowiek, który miał zaprowadzić wreszcie „porządek" po chwiejnych rządach „koalicji", usiłującej wstrzymać reformę skandalicznego dotychczas prawa wyborczego. Obleśna liberalna prasa wiedeńska, której był z początku ulubieńcem, nazywała go „mężem żelaznej ręki", oczywiście „żelaznej" przeciw powstającemu ruchowi antysemickiemu, kierowanemu przez adwokata dra Luegera...

Rząd hr. Badeniego miał w swojem łonie czterech ministrów-Polaków: premjera dra Bilińskiego (skarb), Gołuchowskiego (sprawy zagraniczne) i dra Rittnera (ministra rodaka).

Przyszedł, dał 28 miljonom ludzi 72 mandaty, zachowując 353 mandaty dla garści klas posiadających! Stworzył t. zw. V kurję, próbując nadarmo oszukać miljony pracujących ludzi. Poruszył ocean, ale też sam padł jego pierwszą ofiarą.

Jak V kurja była nieudolną próbą zażegnania powszechnego głosowania, tak słynne rozporządzenia językowe na korzyść ciężko pokrzywdzonych Czechów nie wstrzymały wcale walk narodowych, lecz rozpętały je do najszaleńszego szaleń-

stwa, a w rezultacie musiały rozbić Austrję. Rozporządzenia były aktem rządu i mogły być łatwo drugim podobnym aktem cofnięte. Było to rozjemstwo rządu „ponad narodami“ i nie mogło inaczej się skończyć, jak tylko dążeniem do uznania narodów w Austrji drogą ustawy konstytucyjnej. Ustawa taka była aż do wojny światowej rzeczą niemożliwą i narody poszły drogą swojego fundamentalnego prawa: Niepodległości. To rozbiło Austrję.

Ani Czechom, ani Polakom, ani Austrji nic nie mogły pomódz metody rządzenia, mocą których np. cesarz „pozwalał“ temu lub owemu narodowi w pewnych wypadkach mówić własnym, narodowym językiem... To było może dobre w wiekach średnich, ale nie w epoce budzenia się do życia miljonowych mas w każdym narodzie. Usiłowano walkę moją z hr. Badenim surowo potępiać ze względów patrjotycznych i życzliwości dla walczących Czechów. Ale łaska rządu austrjackiego w dziedzinie rozporządzenia językowego nigdy w moich oczach nie odgrywała tej roli, która innych mogła życzliwie dla rządu nastrajać. Próbę tę uczyniono tak niezdarnymi i małymi środkami, że rząd austrjacki mógł już po kilku miesiącach rozporządzenia Badeniego cofnąć, i przez to zrobić z nich wierutny nonsens.

Ba, co więcej sam hr. Badeni, przyciśnięty przez opozycję do muru, w listopadzie zmienił kierunek i zapowiedział uprzywilejowanie języka niemieckiego, a „w miarę możności“ (ulubione słowo w systemie rządzenia austrjackiego) uwzględnienie praw innych języków. Dlatego nie potrzebowałem mojej taktyki w walce z Badenim poddawać rewizji.

Na pierwszem miejscu stała wojna z niewolą, z bezprawiem, wojna o swobodę ruchów dla proletarjatu miejskiego i wiejskiego. Nadużycia rządu za Badeniego w dziedzinie administracji musiały ustąpić miejsca zupełnie innym stosunkom, jeżeli wogóle o polityce ludowej czy narodowej miała być mowa.

Pierwszego dnia, kiedy się nowy parlament zgromadził, rozpocząłem walkę. Obrano przewodniczącym „ze starszeństwa“ niemieckiego fabrykanta, staruszka Proskoveca. Zażądałem głosu i postawiłem wniosek na wypuszczenie z więzienia posła Tomasza Szajera z Rzeszowa, uwięzionego zaraz po wyborze. Wezwałem Koło Polskie do głosowania za moim wnioskiem, powołując się na czas powstania 1863 r., kiedy Koło postawiło podobny wniosek o wypuszczenie na wolność dwóch posłów-powstańców.

Kiedym motywował swój wniosek, zaczął mi głośno przerywać hr. Wojciech Dzieduszycki, prezes osławionego „Centralnego Komitetu Wyborczego“, kryjącego względami „narodowymi“ zbrodnie wyborcze rządu.

— Panie hrabio! — zawołałem — umyj pan sobie najpierw ręce z krwi — tak jak panu to publicznie powiedział stary szef sekcji Gniewosz! — Hr. Wojciech uciekł z Izby jak oparzony...

Przedemną stał drugi hrabia galicyjski, Leon Piniński — późniejszy namiestnik — i rzekł do posła dra Lewickiego: „Zły nam był Lewakowski! A teraz kogośmy dostali“... Była to aluzja do występu p. dra Lewakowskiego, który zaprotestował przeciw uczczeniu w parlamencie pamięci cara Aleksandra III i za to musiał z Koła Polskiego ustąpić.

Nad wnioskiem moim o uwolnienie posła Szajera rozpoczęła się ogromna dyskusja. Imieniem Koła Polskiego przemawiał Apolinary Jaworski, prezes, o czerwonej nieruchomej twarzy starego szlachcica. Ten wystąpił z namaszczeniem przeciw wnioskowi. Potem już poszła długa debata, podsycana przez dwa dni, aż wreszcie Badeni przyszedł do mnie i zapytał, czego właściwie żądam. Odpowiedziałem, że żądam, aby przy mnie minister sprawiedliwości hr. Gleispach wystosował depeszę do sądu w Rzeszowie z nakazem natychmiastowego wypuszczenia na wolność posła Szajera. I rzeczywiście hrabia Gleispach przy mnie depeszę napisał, poczem Szajer za dwa dni zjawił się w Izbie, a parlament mógł wybrać swoje prezydjum.

Pojawienie się Szajera w Izbie wywołało szaloną wesołość i salwy śmiechu. W debacie nad moim wnioskiem przemawiał

imieniem stojałowczyków poseł dr. Danielak. Przedstawił swego kolegę partyjnego jako suchotnika, któremu więzienie może niesłychanie zaszkodzić. Tymczasem do Izby wchodzi wspaniały chłop, w czamarze, o łydach potężnych, zamkniętych z trudem w cholewach butów, czerwony jak burak na opasłej twarzy!...

Izba ryczała oczywiście ze śmiechu.

Przypominam ten wesoły epizod dlatego, ponieważ po latach wielu czcigodny mój przeciwnik polityczny, ormianin, Dawid Abrahamowicz, chciał za pomocą przypisania mi słów p. dra Danielaka scharakteryzować moją krasomówczą „fantazję“, która z Szajera miała zrobić — suchotnika.

Po tym epizodzie postawiłem wniosek na wybranie Komisji parlamentarnej, celem zbadania nadużyć, popełnionych przez rząd przy ostatnich wyborach. Z olbrzymim materjałem w ręku motywowałem wniosek, który zabrał kilka dni debat parlamentarnych. Waliłem w Badeniego, w jego starostów i policjantów faktami i ich objaśnieniami i zakończyłem moje przemówienie następującemi słowy: „Jeszcze częściej, moi panowie, staniemy przed wami. Krwawe upiory pomordowanych galicyjskich chłopów tak długo będą się w tej Izbie błąkały, aż się jakiś rząd na to zdecyduje, ażeby lud uwierzył w te „baśnie“, o których tu wczoraj mówił hr. Dzieduszycki, że na braci, na synów, na ojców nie wolno nacierać gołą bronią, nie wolno ich kłóć bagnetami, nie wolno do nich strzelać; ta bajka musi się stać kiedyś w Austrji rzeczywistością i wtedy dopiero zamilkną nasze skargi“. (Brawa i oklaski).

Walkę o czyste wybory w Galicji prowadziłem przez całych lat dwadzieścia. Zaraza gwałtów, przekupstw i oszustw wyborczych była w Austrji — można bez przesady powiedzieć — czysto galicyjskiem zjawiskiem. Przed wyborami wzywał namiestnik do siebie wszystkich starostów i dawał wskazówki. Biada staroście, w którego powiecie upadł rządowy kandydat! To też od pierwszego do ostatniego dnia akcji wyborczej Galicja była widownią haniebnych, dzikich, azjatyckich sztuczek i gwałtów starościńskich. Wybory na wsi były dwustopniowe. Już przy wyborze właściwych wyborców działy się cuda. Komisarz wyborczy stawał się zwykłym oszustem, który np. przyjeżdżał przed naznaczoną godziną do wsi i wraz z wójtem, księdzem i kilku drabami przeprowadzał „wybory“, poczem uciekał jak złodziej, lub wyborcom oświadczał, że godzina minęła a ich zegarki chodzą fałszywie. W miastach trzymano w ręku urzędników, kupców (groźbą wyższych podatków, odebrania koncesji i t. p.) rzemieślników, (groźbą zamknięcia warsztatów jako niehygienicznych); fałszowano bezczelnie listy wyborcze, handlowano legitymacjami wyborczemi, głosowano za nieboszczyków, kradziono przy skrutynjum karty z głosami, wszczynano sztuczne pożary, aby tymczasem zamknąć głosowanie i t. d. i t. d. A kiedy już nic nie pomagało, prowokowano zaburzenia, posyłano wojsko i mordowano, szerząc grozę wśród opozycji.

To znęcanie się nad prawem było istną gangreną polityczną. Byle tylko szlachta miała w Kole Polskiem większość, a przez to rządy w kraju! Zmowa dynastji ze szlachtą i magnaterją wydawała na łup garści panów miljony ludzi. Tę gangrenę trzeba było wyciąć bezwzględnie! To też nie zawahałem się w tej pracy ani na chwilę.

Przez dziesięć lat (1897—1907) byłem właściwie sam jeden polskim posłem socjalistycznym w wiedeńskim parlamencie. Tow. poseł Jan Kozakiewicz był wprawdzie przez pierwsze cztery lata moim kolegą, ale nie znając dostatecznie języka niemieckiego, niewiele mi mógł dopomódz. Na moich tedy barkach leżał obowiązek walki. Prowadziłem ten dziesięcioletni pojedynek ze stronnictwem, rządzącem przy pomocy dynastji w kraju, i po dziesięciu latach nie miałem poczucia jakobym walkę przegrał. Albowiem w r. 1907 odbyć się mogły wybory na podstawie równego, tajnego, bezpośredniego i powszechnego prawa głosowania wszystkich dorosłych mężczyzn, a liczba zrównanych w prawach wyborców wynosiła miljony i uniemożliwiała dawne typy brutalnych oszustw. Powstawały wprawdzie nowe sposoby fałszowania woli ludzkiej, ale mogliśmy je łatwiej zwalczać. Torowaliśmy mozolnie drogę takim

stosunkom, jakie panowały w Zachodniej Europie. Przed nami żadna partja tego zadania nie spełniła, więc musieliśmy sami tej pracy oczyszczającej dokonać. Mówiono nam wskutek tego, że nie jesteśmy prawdziwymi socjalistami, bo nie walczymy o bezpośrednie urzeczywistnienie socjalistycznego społeczeństwa... Ale czyż można w chlewie wprowadzać w życie socjalizm? Widzimy jak ten proceder wygląda w dzisiejszej Rosji...

W tych dziesięciu latach walki jako poseł prowadziłem robotników polskich, postawionych na najcięższej placówce, bo przeciw Kołu Polskiemu w kraju przemysłowo nierozwiniętym. Nie chcę tutaj uprzedzać wypadków, ale dla demokracji społecznej nie było innej drogi, jak walka o reformę wyborczą. W niej bowiem kryje się w Austrji druga walka: o narodową niepodległość. Gdyby wojny światowej nie było, można sobie Austrję z trudem i wysiłkiem fantazji wyobrażać tylko jako związek równouprawnionych narodów. Narody te czerpały siłę do walki o swe prawo w demokracji. Austrja tego ruchu nie uznała i dlatego upaść musiała w wojnie światowej. Na jej miejsce powstały państwa — narody, wzmocnione walką o demokrację.

Już w kwietniu 1897 r., kiedym zaczynał tę wojnę „domową“, prowadzoną prawnymi środkami, miałem za sobą część zwycięstwa. Bo poza Kołem Polskiem znalazły się dwa polskie kluby chłopskie, ludowcy z pod komendy p. Jana Stapińskiego i stojałowczycy. Dwóch polskich socjalistów uzupełniało tę liczbę do 13, nie licząc posła Ernesta Breitera, bo ten nie deklarował swojej narodowości. Koło Polskie liczące blisko 60 posłów, było zawsze jeszcze ogromną potęgą, ale sam fakt, że trzy stronnictwa ludowe musiały, aby się rozwinąć, zwalczać zajadle Koło Polskie i obłudną jego zasadę „solidarności narodowej“, sam ten fakt już był początkiem przegranej polityki szlacheckiej.

„Solidarność narodowa“ była hasłem nader pięknem, nastręczało się jednak ustawicznie pytanie: w czem Polacy mieli być solidarnymi?

Czy w ugodowej i dynastycznej polityce?

Czy w wyrzeczeniu się niepodległości?

Czy w spokojnem znoszeniu nadużyć władz?

Solidarność w oczach robotnika i chłopa stawała się przeszkodą do rozwoju, niemal przeszkodą do życia, i dlatego lud pracujący mógł się rozwijać tylko kosztem obalenia tej zasady w ówczesnych warunkach. Szlachta próbowała przez szereg lat pozyskać ludowców i stojałowczyków i wciągnąć ich do Koła, ale wytwarzało to tak niemożliwe stosunki wewnątrz Koła, że stało się ono bezprzykładnem zbiorowiskiem intryg, awantur, nienawiści politycznej i osobistej. Przed krajem a i przed dynastją kompromitowało się Koło wskutek tego coraz bardziej. Dopiero w dwadzieścia lat później, wstąpili socjaliści polscy do Koła Polskiego, a krok ten podyktowała im podczas wojny światowej konieczność zamanifestowania przed światem, że cały naród pragnie niepodległości. To Koło późniejsze na politykę niepodległościową się zgodziło i dlatego mogliśmy do niego wstąpić. Zastrzeżenia nasze jednak były i wówczas tak wielkie, że głosowaliśmy w Izbie np. przeciw budżetowi, a więc przeciw większości Koła Polskiego. Zresztą i z tego Koła wystąpiliśmy z chwilą, gdy większość jego wybrała przynależność do Austrji, zamiast niepodległej Polski.

Ale wróćmy do sytuacji z r. 1897. Badeni miał przeciw sobie obstrukcję lewych Niemców i naszą walkę opozycyjną. Po raz pierwszy użył też wraz ze swoim ministrem skarbu Bilińskim osławionego § 14 konstytucji do zawotowania sobie samemu budżetu. Ten § 14 opiewał, że w razie nieobecności parlamentu rząd mógł sam pewne sumy wydawać. Był to paragraf od powodzi, pożarów i t. d., wymagających zarządzeń dorywczych w razie nieobecności parlamentu. Z biegiem czasu w rękach zuchwałych rządów zastąpił on cały parlamentaryzm i ustrój konstytucyjny Austrji. Minister, nie mający większości za sobą, posyłał parlament do domu i zarządzał co chciał za pomocą § 14. Był to zaiste wspaniały gwóźdź do trumny państwa Habsburgów, ale na razie oddawał rządowi doskonałe usługi. Badeni wogóle nie rozumiał większej sztuki rządzenia,

niż tej, jaką mógł bezkarnie uprawiać w Galicji, gdzie z nikim nie potrzebował się liczyć. Ani jego reforma wyborcza, ani rozporządzenia językowe, ani wreszcie ostatni jego czyn: wprowadzenie policji do sali obrad parlamentu nie mogły skończyć się inaczej, jak nową straszliwą burzą. Pod koniec listopada 1897 r. potrzebował hr. Badeni gwałtownie odnowienia ugody austro-węgierskiej ze względu na silne stanowisko Węgrów. Właśnie na r. 1897 przypadał termin dziesięciolecia, odnowienia ugody. Ale opozycja nie ustępowała i prowadziła obstrukcję. Słynny dr. Lecher wygłosił dwunastogodzinną mowę o ugodzie! Wstrzymał przez to o cały dzień możliwość zakończenia debaty. Hr. Badeni przewidywał teraz, że odnowienia ugody na termin nie otrzyma. Wówczas stworzono spisek przeciw parlamentowi. Cesarz Franciszek Józef, hr. Badeni, prezydjum Izby poselskiej: pp. Fuchs, dr. Kramarz i Dawid Abrahamowicz, postanowili zmienić gwałtem — wbrew wyraźnym przepisom prawa — regulamin Izby.

Byli to trzej wiceprezydenci Izby: Niemiec (Fuchs), Czech (Kramarz) i Polak-ormianin (Abrahamowicz). Prezydent Izby Tyrolczyk, dr. Kathrein, dowiedziawszy się o spisku, wyjechał z Wiednia i złożył prezydenturę, nie chcąc asystować przy nagiem bezprawiu!... Wniosek zmiany regulaminu miał postawić stary reakcjonista hr. Falkenhayn, klerykał niemiecki. Przewodnictwo objął naturalnie Dawid Abrahamowicz (zwany popularnie „Dudio" — Dawidek). Wśród piekielnego zaiste wrzasku nikt nie słyszał ani jednego słowa z mowy Falkenhayna, ale za Abrahamowiczem na trybunie prezydjalnej dawał znaki poseł Dulemba — najwyższy wzrostem w Izbie — i zrobiono w ten sposób rodzaj głosowania. Abrahamowicz ogłosił wniosek Falkenhayna za przyjęty i zamknął posiedzenie. Poszedłem do jego kancelarji parlamentarnej, aby zaprotestować przeciw temu gwałtowi. Abrahamowicz wzburzony oświadczył, że na rewolucyjny sposób opozycyjnej walki użył rewolucyjnego środka i że on się wcale nie cofnie, ani prawu zadość nie uczyni. Stanowisko Abrahamowicza było punktem wyjścia dla dwóch decyzji. Niemieckie stronnictwa postanowiły na najbliższem posiedzeniu odczytać szereg uroczystych protestów; początek miał uczynić hr. Stuergkh, wódz liberałów niemieckich, późniejszy — za czasów wojny — prezydent ministrów, zabity przez towarzysza Fryderyka Adlera. Związek zaś socjalistów postanowił do posiedzenia z bezprawnie uchwalonym regulaminem nie dopuścić!

Teraz chodziło o wykonanie uchwały. Jeżeli bowiem socjaliści posiedzenie Izby rozbiją, to protesty Niemców staną się odrazu bezprzedmiotowe. Na drugi dzień wprowadził hr. Badeni 80 policjantów do parteru gmachu parlamentarnego. Wprost z narady Związku idzie nas piętnastu na salę obrad. Rada ministrów w pełni obsadzona. Za nią prezydjum Izby wzniesione na trybunie. Lokaje parlamentarni strzegą boków prezydjum. Piętnastu socjalistów staje przed ławą ministrów i głośno żąda zaniechania posiedzenia. Galerje pękają od natłoku ludzkiego. Abrahamowicz najspokojniej otwiera posiedzenie i odprawia zwykłe formalności...

Wtem dwóch posłów socjalistycznych — Berner (Czech), nauczyciel gimnazjalny i Resel (Niemiec), krawiec z Gracu — robią szalony skok przez ławę ministrów do trybuny prezydjalnej! Robi się zamęt, wśród którego my, wszyscy socjaliści, wdzieramy się na trybunę prezydjalną. Abrahamowiczowi wydarto i podarto papiery i przepędzono go. Na jego miejscu staję ja i grożę ciężkim, mosiężnym przyciskiem wiceprezydentowi Izby drowi Kramarzowi, który się zbliża z dołu do trybuny. Dokoła mnie towarzysze obsadzająschodki boczne.

W tej chwili kwestor Lang (Czech) wprowadza do sali dwójkami 80 policjantów z rewolwerami, przy szablach, w pikielhaubach na głowach. Policjanci otaczają ławę ministrów i położoną za tą ławą trybunę prezydjalną i czekają rozkazu komisarza, barona Gorupa. Jesteśmy otoczeni. Teraz rozpoczyna się następująca procedura. Baron Gorup podchodzi do jednego z nas i prosi uprzejmie, aby opuścić trybunę i zająć swoje miejsce. Odmowa. Poczem czterech policjantów wynosi za ręce i nogi danego posła bocznem wyjściem z sali. Posła

Bernera wynosili ku bocznemu wyjściu na prawicy i wtedy niesionego przez policję Czesi zbili kułakami po głowie. Stoję na trybunie i patrzę, jak policjanci jednego po drugim przyjaciół moich wynoszą. Wreszcie kolej na mnie. Czterech policjantów wyniosło mnie jak piórko na korytarz, stamtąd wróciłem na swoje krzesło.

Teraz pod osłoną policji wchodzi na trybunę Abrahamowicz i zaczyna nas wykluczać. Żaden z wykluczonych nie chce opuścić swego miejsca i protestuje, powołując się na regulamin i konstytucję. Nic to nie pomaga. Baron Gorup uprzejmym, cichym głosem prosi o opuszczenie sali, poczem czterech silnych policjantów podnosi opozycjonistę za ręce i nogi i wynosi z sali. Mnie tak niesiono aż do schodów, poczem baron Gorup posłał po dorożkę i odjechałem do domu.

Nazajutrz zebrało się nas jedenastu posłów socjalistycznych, wyrzuconych wbrew regulaminowi i wbrew ustawie konstytucyjnej i próbowaliśmy wejść do parlamentu. Ale służba z nakazu prezydjum zamknęła przed nami drzwi i nie wpuściła do Izby. Gdyśmy tak stali przed cudownym greckim gmachem parlamentu, tysiące ludzi zebrało się przed wysoką rampą. Musiałem przemawiać. Poczem chwycono mnie na ręce i niesiono ku bliskiemu ministerstwu oświaty, gdy nagle szarża konnej policji rozbiła tłumy i znalazłem się otoczony końmi policyjnymi. Oświadczyłem komisarzowi, że idę na śniadanie do Kawiarni Centralnej. Pod silną eskortą zaprowadzono mnie do rzeczonej kawiarni o kilkadziesiąt kroków od pałacu na Herrengasse, gdzie urzędował Badeni.

Szturm socjalistów na trybunę Izby obalił jak piorun gabinet hr. Badeniego. Do trzech dni już Badeni otrzymał dymisję. Z Habsburgami można było spiskować tylko pod warunkiem powodzenia. Badeni dawał znać do Koła Polskiego, że cieszy się poparciem cesarza bardziej niż kiedykolwiek. Ale gdy tłum wiedeńczyków zaczął przeciw szarżującym huzarom wznosić okrzyki wrogie Habsburgom, a kilku arystokratów doniosło o tem Franciszkowi Józefowi, ten dał Badeniemu natychmiast dymisję. A tak mu było pilno, że policjanci rozdawali publiczności drukowane kartki o dymisji dla uspokojenia „kochanych wiedeńczyków".

Ważność naszej walki listopadowej przeciw Badeniemu ocenia członek jego rządu, p. Biliński w swoich pamiętnikach nadzwyczajnie tragicznie. Czytam tam ustęp następujący: „A jeżeli po przegranej wojnie w r. 1918 monarchja rozleciała się za współudziałem młodego, słabego i nieudolnego cesarza Karola jak spróchniałe pudełko, jeżeli na gruzach 700-letniej dynastji habsburskiej zapanowała Rzeczpospolita, to dojrzenie tych przewrotów, na szczęście niekrwawych, wynikło zapewne bezpośrednio z wojny światowej, ale pierwszym ich zarodkiem był niezawodnie dzień 27 listopada 1897: usunięcie rządu cesarskiego przez ulicę".

Nawiasem mówiąc, wygraliśmy w najwyższym Trybunale państwa sprawę naszych dyjet i naszego stanowiska wobec gwałtu Abrahamowicza. Wniosek Falkenhayna uznano za niebyły. Co do Abrahamowicza zaś opowiadano o nader zabawnej audjencji, jaką miał potem u cesarza... Abrahamowicz powołał się na to, że cesarz przecież na wszystko się zgodził. A cesarz obrócił się tyłem i wyszedł do drugiego pokoju. Wdzięczność wobec ludzi nie mających powodzenia nigdy nie była cnotą monarchów...

Badeni wracał do kraju. W Krakowie wstąpił do hr Potockich „Pod Baranami", gdzie po kolacji młodzież arystokratyczna uczyniła mu owację. Zapaliła pochodnie, aby w pochodzie wspaniałym odprowadzić Badeniego na dworzec kolejowy. Doszedł ten pochód do połowy rynku krakowskiego. Tutaj bowiem rzucili się na młodzież robotnicy, wyrwali jej z rąk pochodnie i zaczęli pędzić za uciekającym co siła powozem Badeniego! Na drugi dzień przybyłem do Krakowa i zacząłem organizować akcję wiecową w kraju, bo tymczasem powstał jakiś zabawny ruch panslawistyczny około osoby Badeniego. Do Krakowa zjechali politycy czescy, a wśród różnej zbieraniny politycznej znalazł się i ks. prałat Stojałowski, wołający o pomstę za upadek Badeniego. Stojałowski,

Czesi, różni posłowie z Koła chcieli z Badeniego zrobić jakiegoś świętego „słowiańskiego“, ale sprawa była za dziką, żeby można było światu wmówić coś podobnego. Skończyło się na krzyku, paleniu „Naprzodu“ i „Kurjera Lwowskiego“ publicznie przez arystokratyczną młodzież — no i na śpiewaniu przez ck. ajentów policyjnych szyderczej piosenki o następcy hr. Badeniego, baronie Gautschu. Wzruszającem było słyszeć stały refren: „Do .... z Gautschem!“ wykrzykiwany przez patrjotycznych łapaczy...

Tymczasem zamknięcie sesji parlamentu groziło mi ściganiem przez rząd i utratą mandatu. Z tego powodu wyjechałem do Szwajcarji. Opisałem to na innem miejscu.

Rozwścieczony swoim, dla siebie niezrozumiałym upadkiem pojechał hr. Kazimierz Badeni do Paryża. Tutaj w towarzystwie, w obecności głośnego dziennikarza Blowitza „nagadał“ tyle i takich rzeczy o Habsburgach, a zwłaszcza o suchotniku Franciszku Ferdynandzie (zamordowanym w r. 1914 w Sarajewie), że ten ostatni chciał go za oszczerstwo skarżyć. Oczywiście że karjera Badeniego była zapieczętowana. Siedząc u siebie na wsi, w Busku, spędził jeszcze kilka lat życia już bez żadnej łączności ze sprawami politycznymi i umarł w r. 1909.

Po satrapie galicyjskim przyszedł — po epizodzie z bar. Gautschem — satrapa czeski hr. Leon Thun, który mianował hr. Leona Pinińskiego namiestnikiem Galicji. Profesor uniwersytetu lwowskiego, esteta, był ten namiestnik tak dziwnie kłamliwym, że brutalność Badeniego była czemś moralnie dobroczynnem wobec obłudy i kłamliwości hr. Pinińskiego.

Głównem dziełem rządu na wiosnę 1898 r. było zaprowadzenie stanu wyjątkowego i sądów doraźnych w Zachodniej czysto polskiej Galicji. Dlaczegoż wprowadzono te wyjątkowe pełnomocnictwa dla starostów, policji i t. d.? Na zewnątrz motywowano to rozruchami antysemickimi. W Jaśle kandydował ks. Stanisław Stojałowski i stamtąd poszła heca antysemicka, która doprowadziła do rabunków w Starym i Nowym Sączu.

Hr. Thun i hr. Piniński byli cichymi zwolennikami antysemickiego ruchu. Dziwną więc wydawała się energja ich rządu przeciwko reakcyjnemu antysemityzmowi. Ale rzeczywiste zamiary hr. Pinińskiego niedługo zostały w ukryciu: oto za jednym zamachem zamknięto 29 stowarzyszeń socjalistycznych, „konfinowano“ tj. osadzono na miejscu szereg towarzyszy partyjnych, a „Naprzód“ musiał się przenieść do Lwowa. Antysemitom zaś włos z głowy nie spadł, a trochę zabawy miała polska Galicja z katem wypisanym z Wiednia. Najpierw zakłócił miły podwieczorek u pani starościny sądeckiej, zameldowawszy się służbowo, bo był tam i hrabia namiestnik! Pani domu zemdlała, a namiestnik kazał katu czekać na rozkazy w Tarnowie. Tutaj kacisko zajechał do hotelu księcia Sanguszki i przyszedł sobie na obiad do restauracji hotelowej. Publiczność dała drapaka, z powodu czego znowu ks. Sanguszko zaczął molestować hr. Pinińskiego, ażeby kata wyprawiono z Tarnowa, bo niszczy mu dochody z hotelu...

A teraz opiszę wiernie stuletni obchód Mickiewiczowski w Krakowie za rządów estety, profesora hrabiego Pinińskiego, na dowód jak Polak w Polsce rządził.

Na 29 czerwca 1898 r. zorganizowała partja wspaniały obchód dla uczczenia Mickiewicza z okazji setnej rocznicy jego urodzin. Główną rzeczą był zapowiedziany udział towarzyszy z Królestwa i z G. Śląska. Jak tę uroczystość pojmowaliśmy, niech wskaże odezwa partyjnego Komitetu Wykonawczego, z której przytoczę wyjątki świadczące o naszym sposobie myślenia w sytuacji zatrutej panslawizmem, czy „neoslawizmem“:

„Tuż u stóp tego pomnika — mówi odezwa — spotyka się klasa pracująca z szyderstwem i obelgą wsteczników i klerykałów polskich, z potomkami Targowiczan i owych jezuitów, którzy zatruli przez dwa wieki umysłowość polską. Wszędzie i zawsze, kiedyśmy chcieli wzniecić w ludzie polskim miłość wolności i niepodległości, kiedyśmy narodowość naszą chcieli związać z owem gorącem umiłowaniem ideałów ogólno-ludzkich, jakie świecą ludom w Europie Zachodniej, kiedyśmy w ujarzmionym narodzie chcieli wytworzyć siły zdolne do wyzwolenia go z niewoli, wszędzie tam spotykało nas widmo magnackiej Targowicy i jezuicka stara i nienawistna intryga“.

„Wspólnicy moskalofilskiego warchoła w sutannie, bankietujący w Pradze z oficjalnymi figurami carskiego rządu, ludzie tonący w mglistym panslawizmie, którego jedyną rzeczywistością jest knut i jarzmo niewoli, chcą wziąć w wyłączne posiadanie wielkiego poetę, wielkiego rewolucjonistę, największe serce w Polsce“.

„Inni znów, zamierający w dewocji i dążący do niczem już nieosłoniętego panowania w Polsce ultramontańskiej hierarchji, kierowanej wprawną ręką zakonu Loyoli, chcą z Mickiewicza zrobić „dobrego katolika“, który obok tego pisywał również prześliczne wiersze“.

„Każdą akcję, mającą stępić w narodzie samodzielność, każdy krok prowadzący do ponowienia się starych grzechów szlacheckiej przeszłości dość osłonić patrjotycznym krzykiem, dość zaznaczyć szkalowaniem na „beznarodową“ socjalną demokrację, aby pozyskać kupiectwo i biurokrację i tę garstkę, która do wolnych należy zawodów“.

„A ponieważ w ostatnich czasach rzucono nędzy ludowej, jak psu kości, hasło rozruchów przeciwko Żydom, ponieważ robotnicy będą pierwszymi, na których odwet „porządku“ się zemści, ponieważ klerykalni prowokatorzy usiłują w dniu owych „patrjotycznych“ podnieceń, kierowanych niestety ręką klerykalną, skierować cały zapał „narodowy“ na szyby i bety żydowskie, przeto przestrzegamy i wzywamy Was Towarzysze i Towarzyszki gorąco, abyście w niedzielę i w poniedziałek, podczas klerykalnego obchodu uroczystości Mickiewiczowskiej, nie zakłócili ani jednem słowem porządku publicznego, abyście prowokatorów klerykalnych odepchnęli stanowczo i zachowali godność klasy robotniczej, świadomej dróg i celów swoich“.

Przerażony pogłoskami o mającym nadejść jakimś stanie wyjątkowym, dowiedziawszy się że Piniński siedzi w Wiedniu, pojechałem tam za nim. Wieczorem złapałem go w hotelu i zacząłem mu przekładać, jak wielki skandal będzie w Polsce, gdy do Krakowa pojutrze zjadą delegaci robotników z G. Śląska i z Królestwa, a uroczystość mickiewiczowska będzie podlegała dzikim ograniczeniom stanu wyjątkowego. Hrabia kręcił, deklamował i oświadczył, że wyjeżdża do N. Sącza.

Wróciłem do Krakowa i nie wróżyłem sobie niczego dobrego, bo w Krakowie urzędował dobrze mi znany starosta, hofrat Laskowski, opętany manją władzy. I rzeczywiście

na moje podanie otrzymałem od starosty krakowskiego następującą' odpowiedź: „Do pomnika na Rynku może dotrzeć przed 7 godziną rano jeden człowiek z jednym wozem, napełnionym wieńcami!“ W rozpaczy telegrafowałem do N. Sącza o cofnięcie tego dzikiego zarządzenia. W nocy z 27 na 28 czerwca otrzymałem odpowiedź: „Pozostanie przy zarządzeniach władzy miejscowej. Piniński“. W takiem położeniu bywałem w Galicji nieraz. Więc i teraz nie straciłem ducha, ale kiedym szedł o 11 rano na wielkie, uroczyste zgromadzenie w Ujeżdżalni, widziałem planty krakowskie obsadzone wojskiem, a komendantem miał być — według starych zwyczajów austrjackich — oficer, słynący jako tępy brutal. Żołnierze otrzymali ostre naboje! Zgromadzenie było wspaniałe. W szpalerze trzymano 54 olbrzymie wieńce z trzech zaborów, aby je zanieść na stary rynek krakowski i ozdobić pomnik wieszcza narodowego. Ku końcowi poprosiłem zgromadzenie o 30 minut cierpliwości i poszedłem do dyrektora policji. Temu oświadczyłem, że nie chcę go stawiać w trudne położenie, ale o ile nie umożliwi mi bodaj przewiezienia wieńców przed pomnik, może być pewnym, że za kwadrans krew się poleje obficie na ulicach Krakowa. Nie mogę znieważyć kilku tysięcy ludzi, chcących uczcić w Krakowie pamięć największego Polaka, nie mogę wprost powiedzieć robotnikom, że im nie wolno złożyć hołdu Mickiewiczowi!... W biurze dyrektora policji było kilku komisarzy. Jednego z nich przerażony dyrektor wysłał ze mną dorożką natychmiast i wydał pozwolenie, żeby wieńce przewieziono w dorożkach pod pomnik Mickiewicza. Wpakowałem delegacje do dorożek, tłum zaś poszedł małymi częściami przez kordony i zebrał się na Rynku. Ozdobiliśmy wspaniale pomnik i po licznych przemówieniach poszliśmy ugościć naszych przybyłych zdaleka przyjaciół.

Tak wyglądały rządy Pinińskiego w Galicji przy schyłku wieku XIX! Stan wyjątkowy przeciw socjalistom polskim trwał przeszło pół roku. Nauczył on nas zręczności, która nie imponowała coprawda królewiakom, ale na nasze potrzeby wy-

starczała. „Naprzód“ przeniesiony do Lwowa, rozchodził się stamtąd dobrze, dzięki pomysłowości tow. Emila Haeckera i jego żony p. Franciszki.

Rozpocząłem w parlamencie walkę przeciw rządowi hr. Thuna i jego służki, hr. Pinińskiego. Dnia 7 października 1898 wnieśliśmy wniosek o postawienie w stan oskarżenia ministerstwa hr. Thuna, a 11 tegoż miesiąca zniósł rząd stan wyjątkowy w 10 powiatach, gdzie ks. Stojałowski miał zwolenników, aby tenże mógł spokojnie rozsyłać swoje gazetki. W ten sposób on, który najwięcej zawinił, otrzymał nagrodę, a w 23 dalszych powiatach panować miała pięść policyjna i sąd doraźny.

Uzyskałem 40 podpisów na wniosku o postawienie rządu w stan oskarżenia. Dnia 22 listopada 1898 r. doszedłem w parlamencie do głosu jako wnioskodawca. Nie mam zamiaru przytaczać tutaj obu moich przemówień w debacie trwającej przez trzy posiedzenia. Ale kilka ustępów i kilka przygód tej debaty warto zanotować. Najpierw, oparty na danych rządowych, zwróciłem uwagę na ówczesną nędzę ekonomiczną chłopa w Galicji i na straszliwe bezprawie popełniane w kraju przez administrację. Podam tylko najbardziej charakterystyczne ustępy mego pierwszego przemówienia:

„W środkowej Europie jest Galicja prawie najgęściej zaludnionym krajem. Mieszka tu więcej niż 90 ludzi na jednym kwadratowym kilometrze, podczas gdy w Węgrzech, a więc także w kraju rolniczym, na jeden kilometr kwadratowy przypada tylko 50 ludzi. 78% ludności galicyjskiej oddaje się uprawie roli, podczas gdy w Czechach zajmuje się nią tylko 45% ludności. W r. 1850 przypadało na jedną chłopską rodzinę przeciętnie 10 morgów gruntu, w r. 1890 już tylko 5·14 morga, a w r. 1898 tylko 4·5 morga. To znaczy, że ekonomiczna podstawa bytu galicyjskiego chłopa zmalała w ciągu jednego pokolenia o 50 procent.

Ludność Galicji stanowi 27% ludności całej Austrji, lecz podatków bezpośrednich płaci Galicja tylko 10%; z 123 miljonów bezpośrednich podatków, które rząd w Austrji ściąga, płaci Galicja tylko około 12 miljonów, a więc 10%, jednak koszty egzekucyjne płaci w zupełnie innym stosunku. Koszty egzekucji

wynoszą w Austrji rocznie 970.000 złr., w Galicji 542.000 złr., a więc 56 procent (słuchajcie, słuchajcie!) 56% całej sumy kosztów egzekucyjnych, ściąganych w całej Austrji płaci Galicja.

Dochody z stempla dziennikarskiego w całej Austrji wynosiły 2 miljony złr., podczas gdy w Galicji — nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe — wynosiły tylko 82.000 złr. Cała prasa codzienna galicyjska nie wydaje tylu egzemplarzy, ile pierwszy lepszy wiedeński dziennik.

Porównajmy ilość ugorów w Galicji z innymi krajami, to i w tym względzie otrzymamy ciekawe zestawienie. Znajdziemy, że ugory wynoszą w Saksonji 3½%, w Czechach 4%, na Śląsku 6%, w Morawach 11%, w Galicji jednak 16%, a więc cztery razy więcej niż w Czechach.

Komisja, która przed kilkudziesięciu laty miała wymierzać podatki gruntowe, składała się z 90% szlachciców, a tylko z 10% chłopów.

Powołam się na wcale niepodejrzane źródło, na księcia Franciszka Puzynę. Stwierdza on, że chłop zatrudniony we dworze szlacheckim, otrzymuje jako płacę roczną o 900 funtów chleba mniej, aniżeli potrzebuje na wyżywienie siebie i swych dzieci.

Po sążnistem a nudnem kazaniu o Trójcy św. spytał książę raz galicyjskiego księdza: „Ależ na miłość boską! Poco zawracacie głowę chłopom takimi rzeczami? Dlaczego ich raczej nie pouczycie, jak mają jadło sporządzać, jak gotować, jakie mają przepisy zachować przy jedzeniu?“ i t. d. Na to otrzymał odpowiedź od księdza: „Nie mogę ich pouczać o tem jak mają jeść, bo gdyby się raz tego wyuczyli, pozjadaliby poprostu wszystko, co posiadają“.

Jeżeli z kolei zapytamy, na kogo spada odpowiedzialność za to wszystko, to wskażę panom nagie cyfry statystyczne. Któż to stanowi większość galicyjskiej reprezentacji? W Kole Polskiem szlachcice mają stanowczą większość 52%, w Sejmie, nie licząc głosów wirylnych i biskupów, których nie uważam za posłów (potakiwania ze strony towarzyszy partyjnych), zasiada na 145 posłów 75 szlachciców, t. j. 52%, w Radach powiatowych na 74 prezesów przypada 70 szlachciców, a więc 90% (Słuchajcie! Słuchajcie!). Na kogo więc spada wina? Z kim mamy rachunki załatwiać? Gdzież mamy szukać nieprzyjaciela? Tam, gdzie go nam cyfry wskazują, gdzie go nam każą szukać fakty i historja, w tej kaście wyzyskiwaczy, w napiętnowanej kaście, która ojczyznę w gruzy rozbiła i sprzedała.

Czegóż można się spodziewać po kraju, gdzie na 6065 gmin katastralnych 2500 nie ma szkół? (Słuchajcie! Słuchajcie!) Czyż

można się czego innego spodziewać, jeżeli zestawienie wykazuje, że w Ameryce wypada jedna szkoła na 210 mieszkańców, w Niemczech na 800, w Austrji na 1350, a w Galicji na 2300? A wreszcie, jak musi ta nauka wyglądać ze względu na nauczycieli, nawet w tych gminach, które mają szkoły, jeśli porównamy Galicję np. z Danją. W Danji w szkołach ludowych na jedną klasę przypada przeciętnie 35 uczniów, a w Galicji 120, a właściwie 200, jeśli odciągniemy szkoły miejskie. Jak może uczyć nauczyciel szkoły jednoklasowej, jeśli ma pod sobą 180 do 200 uczniów, i to uczyć w marnej budzie, gdzie się suchot nabawia? Gdybyśmy obliczyli, przez ile minut i sekund światło rozumu nauczycielskiego spływa na biedne dziecko galicyjskie, przekonalibyśmy się, że na jedno dziecko wypada zaledwie jedna minuta. Czyż ta minuta na dzień natchnie dziecko mądrością i rozumem?

Nauczyciele ludowi pukali do drzwi wszystkich klubów, wszędzie prosili o poparcie, a z jaką odpowiedzią ich odprawiono? Powiedziano im — i to ze strony Koła Polskiego — że zbyt przyzwoite mają ubranie, jak na biednych, proszących nauczycieli (Słuchajcie! Słuchajcie! na lewicy. Poseł dr. Milewski: „Kto to powiedział?“) Pan Jaworski to powiedział, i wyście to publicznie w swem piśmie ogłosili.

W roku 1896 na 100 ukaranych zbrodniarzy tylko sześciu było umiejących czytać i pisać, a na 100 rekrutów przypada u nas 52 analfabetów! Ten więc w ciemności i głupocie pogrążony lud łatwo da się sprowadzić na manowce.

Kraj nasz liczy 76% analfabetów, 500 szkół systemizowanych jest zamkniętych, 1160 osób bez prawnych kwalifikacji spełnia funkcje nauczycielskie, a najmniej 2000 chałup na urągowisko wszelkiej cywilizacji szkołami się nazywa. Oto obraz strasznych stosunków szkolnych w Galicji.

Egzekutor podatkowy ma w Galicji 500 do 700 złr. i ubranie, listonosz 450 do 600 złr., budnik kolejowy, a więc najniższy rodzaj służby, ma 300 złr., ubranie, mieszkanie i opał; żandarm ma 400 złr., mieszkanie i ubranie; a nauczyciel ma 300 złr., nędzne mieszkanie i nic więcej! (Słuchajcie! Słuchajcie! na lewicy).

A jak się ma sprawa z pijaństwem?

Za samo idealne prawo propinacyjne wyłudziła szlachta przed dziesięciu laty od kraju 66 miljonów złr., za samo historyczne prawo, bo wszystkie karczmy pozostały w jej ręku. Kiedy zaś w kraju została ustanowiona komisja propinacyjna, dostali faktycznie jako dzierżawcy propinację w swoje ręce. Są to magnaci Potoccy, Badeniowie, Szeptyccy i t. d.

Ale eleganccy panowie nie będą przecież sami chłopom wódki szynkować, ani też nie dadzą robić tego swoim córkom (Wesołość). Od tego jest — a i z tej okoliczności wycisnęli dla siebie zysk — Żyd, brudny wiejski szynkarz, poddzierżawca i ten musi panom płacić nieraz o 50% wyższy czynsz dzierżawny, niż panowie płacą krajowi.

Tak wyglądało tło ostatnich galicyjskich wybryków. Fakty które przytoczyłem, to są agitatorzy, sprawcy ostatnich rozruchów. Jak jednakże może być inaczej, jeżeli wszystko, co ma władzę w kraju, zachęca poprostu ogół do awantur? Panowie, czy sobie nie przypominacie, coście wyrabiali ze Stojałowskim, aż nie ugiął się i nie przypełznął do waszych stóp? (Poseł Stojałowski: „To nieprawda, jakobym do stóp pełzał!“ — Wesołość na lewicy).

Dotąd odbyto u nas 200 rewizji domowych. A ustawa powiada wyraźnie, iż wolno rewizjami dokuczać tylko tym ludziom, przeciwko którym ma się dostateczne powody do wytoczenia śledztwa. A teraz słuchajcie i zdumiejcie się! W tych 200 rewizjach nie wygrzebano nawet tyle obciążającego materjału, by socjalnej demokracji módz bodaj jeden mizerny proces wytoczyć!

Z powodu przestępstwa prasowego, które jest tylko pieniężną karą zagrożone, trzymano jednego z naszych towarzyszy siedm tygodni w śledztwie, a w końcu nałożono na niego 30 złr. kary. Był to niejaki Sadowski z Polnej. Żandarm, który go zadenuncjował i aresztował, awansował zaraz potem na wachmistrza!

Zawieszono 29 stowarzyszeń, a między niemi 24 stowarzyszeń zawodowych, 24 organizacji galicyjskiego ludu, które miały na celu zredukowanie 12-godzinnego dnia roboczego na 10-godzinny, podniesienie zarobku z 40-stu lub 50-ciu centów na 60 i 70 i t. d.

Żandarmerja prześladowała nawet dzieci „podejrzane“... Ona to pewnego razu schwyciła przy niegodnej grabieży pocztowej list, w którym pewien robotnik pisze: „Z syna mego mam prawdziwą pociechę, kompletny anarchista, prawdziwy przewrotowiec w domu“.

Wdrożono u niego natychmiast rewizję domową i okazało się, że ten anarchista, przewrotowiec liczy trzy lata. (Ogólna wesołość). Policja usunęła się ze wstydem i hańbą“.

Po mnie głos zabrał hr. Thun, treść mowy którego była: „W Galicji były rozruchy, a więc zawieszenie stanu wyjątkowego było koniecznem, gdyż najwyższą zasadą jest: „w pań-

stwie musi być spokój". (Serdeczna wesołość u socjalnych demokratów).

Ludowcy, pp. Stapiński i Winkowski poparli dalszymi faktami moje przemówienie. P. Stapiński wykazał, że powodem rozruchów była wódka, a władze nie występowały należycie przeciw bajkom, jakoby cesarz i papież pozwolili na bicie Żydów. Zachowanie się władzy często musiało robić takie wrażenie na lud, jakoby ona popierała rozruchy. W Limanowej opowiadano, że wojsko ma pomódz tym, którzy będą Żydów bili. Do starosty tamtejszego zgłaszali się różni chłopi z prośbą o pozwolenie rabowania reszty sklepów żydowskich. Rząd szanujący prawa ludu byłby się starał zbadać przyczyny rozpaczy i nędzy, u nas tymczasem odebrano tylko prawa konstytucyjne. Nędza zaś jest straszna, grunta włościańskie są ogromnie zadłużone. Położenie robotników a zwłaszcza robotników rolnych jest takie, że tylko dlatego nie popełniają aktów rozpaczy, gdyż nie zastanowili się nad swem położeniem. Robotnik rolny dostaje w zimie od właściciela dóbr 8, 10, 12 do 15 centów dziennej płacy. W wielu wsiach wcale nie ogłoszono stanu wyjątkowego, co najlepiej dowodzi jego zbyteczności. Nie wskutek zawieszenia stanu wyjątkowego ustały rozruchy, bo zawieszono go wtedy, gdy już rozruchów nie było i zawieszono go przeważnie tam, gdzie się rozruchy wcale nie wydarzyły. W Nowym Targu nie było ani jednego wypadku rozruchów, a jednak stan wyjątkowy do dziś dnia tam istnieje. (Ale wybory się tam odbyć mają). Nawet wielu konserwatystów było ogromnie zdziwionych, kiedy z powodu rozruchów w 6 powiatach, zawieszono stan wyjątkowy aż w 33 powiatach! Widać stąd, że nie szło w danym wypadku o przywrócenie spokoju, lecz że jedynym celem stanu wyjątkowego było zgnębienie ruchu ludowego w każdej jego postaci, a więc zgnębienie partji socjalno-demokratycznej i stronnictwa ludowego. Przeszło 1000 ludzi siedzi obecnie po więzieniach i dlatego należy się ludowi polskiemu to zadośćuczynienie, aby hr. Thun za tę niedolę Galicji dostał się na ławę oskarżonych.

Koło polskie wysłało dwóch mówców, p. dra Byka, reprezentanta konserwatywnych Żydów i chrześcijańsko-socjalnego profesora p. dra Milewskiego. Obaj oczywiście pochwalili zaprowadzenie stanu wyjątkowego jako znakomitego leku na chłopów galicyjskich. P. Milewski, który bronił prawa „świętej karczmy", po pseudouczonych wywodach profesorskich, pozwolił sobie na zuchwałą obelgę, która w protokole stenograficznym tak wyglądała:

„Opozycja galicyjska ma jedną wspólną ideę: walkę z Kołem Polskiem. Nie jest to jakaś nowa myśl. Wszystkie gwałty na narodzie polskim, przez Murawiewa, Miliutyna lub Bismarka popełniane, odbywały się pod hasłem: Przeciw szlachcie polskiej, przeciw duchowieństwu. (Żywe oklaski na prawicy).

Poseł Daszyński: Co to ma z nami do czynienia?

Poseł dr. Milewski: Jesteście spadkobiercami tych idei i tych haseł!

Poseł Daszyński: Wstydź się pan! Nas z Murawiewem porównywać! Wstydź się pan, komedjancie, płatny obrońco szlachty!"

Wmieszał się w to i hr. Wojciech Dzieduszycki, wołając: To prawda! Odpowiedziałem mu, że kłamie! Przysłał mi więc sekundantów, dwóch feudałów niemieckich. Odpowiedziałem im, że pojedynku nie uznaję; uważam go dla socjalisty za nonsens, a dla hrabiego katolika za zbrodnię. Wówczas prosili mnie sekundanci, abym prezydentowi Izby powiedział, że kłamstwo przypisuję hrabiemu nie jako prywatnemu człowiekowi, lecz jako politykowi!! Zgodziłem się na to i wśród gwaru debaty wobec zaperzonego hrabiego oświadczyłem prezydentowi, że uważam kłamstwo to za polityczne...

Po kilku dniach otrzymałem od kanoników kapituły biskupiej w Innsbruku list dziękczynny, podkreślający, że w czasach ogólnego pomieszania pojęć w polityce miałem odwagę nie dopuścić, aby hr. Dzieduszycki popełnił zbrodnię.

W mowie końcowej odpowiedziałem należycie p. Milewskiemu, a dalej wskazałem na to, jak lekkomyślnie igra Koło

Polskie z prawami politycznemi ludności polskiej w Galicji. Podczas wrześniowej (a więc przed dwoma miesiącami) narady w Kole mówił ks. Pastor:

„Zapewniam, że stan wyjątkowy w moim powiecie był zbyteczny. Według mego zdania dłuższe trwanie stanu wyjątkowego było nieusprawiedliwione, ale ja myślę sobie tak: jeżeli rząd zaprowadził już ten stan, a na czele tego rządu stoi hr. Piniński, a ja mam pełne zaufanie do hr. Pinińskiego i zapewne hr. Piniński i rząd dobrze wiedzieli co robią, to niechaj stan wyjątkowy dalej pozostanie".

Dr. Piętak zaś, radca dworu, w przedziwny sposób dał wyraz swemu przekonaniu:

„Wątpliwem jest, czy nadeszła już pora do zniesienia stanu wyjątkowego. Trzy miesiące upłynęły, a nie znalazłem ani jednego wypadku rozruchów w kraju. Jeśli tedy stan wyjątkowy dopiął swego celu, to powinien być natychmiast zniesiony, ponieważ dotyka wielkiej liczby niewinnej ludności".

Skończyło się na tem, że Koło Polskie skupiło się koło jedynego punktu oparcia, a tym punktem był „ck. namiestnik"...

Wniosek mój nie uzyskał większości, ale debata parlamentarna poruszyła do głębi Zachodnią Galicję, dotkniętą boleśnie stanem wyjątkowym. Byłem przyzwyczajony do „gorzkiego chleba opozycji" i rozumiałem dokładnie jej konieczność i znaczenie.

Koło Polskie np. na zewnątrz udawało, że triumfuje nademną, ale w ciszy narad mógł poseł ks. Pastor, narzekając na rządy, powiedzieć: „Jeżeli tak się dzieje, to nic dziwnego, że Daszyński wygrywa; jego jeszcze się boją, a nas nikt się nie boi"... W przeciwieństwie do krajów wolnych i więcej kulturalnych, opozycja ludowa nie miała przed ćwierć wiekiem w Galicji żadnych widoków, aby się stać większością i objąć rządy.

W tem straszliwem położeniu socjalnem, politycznem i narodowem, w jakiem znajdowały się masy ludowe, pierwszym obowiązkiem opozycji było organizować je, uczyć, wprawiać do czynności politycznych i społecznych, a nie pchać do kompromisów z rządzącem wrogiem stronnictwem i do objęcia władzy. Opozycja jest równie konieczną, jak i władza większości. Ma ona swoje obowiązki, równie ważne jak i władza. Tylko pozornie przypisuje się opozycji większą łatwość działania, niż stronnictwu rządzącemu. Jest to wielka i trudna sztuka polityczna utrzymać daną liczną klasę w opozycji przez realizowanie jej żądań i ciągłe ustępstwa ze strony rządzącej. Kto zbyt śpiesznie wspina się do objęcia władzy, może zniszczyć swoje własne stronnictwo. Kompromisy w sprawach życia społecznego są wprawdzie koniecznością (nawet po dokonaniu rewolucji), ale rozum kompromisu polega na tem, żeby nigdy nie ofiarować przeciwnikowi głównych życiowych interesów społeczeństwa, przedstawianego przez stronnictwo. Dla zawarcia kompromisu nie jest konieczne wstępowanie do rządu. Tych kilku przepisów politycznych nie rozumieli nieraz wodzowie opozycji mieszczańskiej i chłopskiej. Wystarczy wskazać na ks. Stojałowskiego, zawierającego w roku 1897 kompromis ze szlachtą. Za miskę soczewicy sprzedał się, aby po kilku latach stracić wszelkie znaczenie, a po kilkunastu zniszczyć stronnictwo i wykreślić je z wszelkiej publicznej działalności.

Podobny błąd popełnił potem w innych warunkach p. Jan Stapiński, przez co rozbił swoją partję i gorzko ugody ze szlachtą żałować musiał...

Upadanie moich wniosków w parlamencie, a później w Radzie miasta Krakowa, nie przygnębiało mnie zbytnio. Chwilowa reakcja była czasem bolesna, ale potem rozważałem zawsze, czy np. przekonałem szersze masy o słuszności moich wystąpień, czy zbliżyłem sprawę do rozstrzygnięcia, czy dałem hasło do dalszej walki?

To też przez ćwierć wieku uchroniłem moją partję od rozbicia i mogłem patrzeć na jej wzrost nieustanny od najskromniejszych pierwocin aż do wyżyny stronnictwa, zdolnego do wielkiej pracy i do najcięższej walki. Komplementów pod tym względem nawet przeciwnicy nie mogli odmówić. A z początku ogłaszano mnie z całą swobodą za rodzaj bandyty społecznego, odmawiano mi dobrej woli i zdolności, sądząc, że albo jestem „jednodniówką" polityczną, albo się kiedyś sprzedam...

W chwili zniesienia stanu wyjątkowego partja nie straciła ani jednego stowarzyszenia. Wszystko było ku temu starannie przygotowane.

Hr. Leona Pinińskiego zwalczałem zajadle za te jego próbki rządzenia. Zwalczałem go jako reakcjonistę, jako wroga chłopów i robotników.

Epizodem końcowym tej walki była moja interpelacja parlamentarna o sprawkach Pinińskiego. Żył w Skorykach, wiosce nad granicą rosyjską, obszarnik Tuczyński, znany koniarz, osobistość mętna i podejrzana. Dość powiedzieć, że był szpiegiem austrjackim, działającym podczas swoich podróży do Rosji w celu zakupna koni. Otóż ten Tuczyński był przyjacielem domu Pinińskich. Po jego śmierci z opieczętowanej masy spadkowej z sądu powiatowego w Nowem Siole zginęły obrazy Grottgera i inne i znalazły się w domu hr. Leona Pinińskiego!... Interpelacja wnosiła zapytanie, jakiem prawem coś podobnego stać się mogło bez postępowania spadkowego?

Ze względu na Koło Polskie odpowiedział na nią prezydent ministrów dr. Koerber bardzo dwuznacznie, ale upadek Pinińskiego po wniesieniu takiej interpelacji był rzeczą pewną. Jakoż wkrótce potem musiał odejść, poświęcając się już niepodzielnie estetyce i intrygom.

Dnia 31 marca 1903 roku wniosłem interpelację, a 8 maja już był mianowany namiestnikiem hr. Andrzej Potocki. Napróżno organ Pinińskiego, „Gazeta Narodowa" pisała, że p. Daszyński nie doczeka się tego, żeby obalał namiestników...

Jeszcze raz w r. 1914 spotkałem się z podolskim hrabią i z jego pomocnikiem prof. Strońskim w Krakowie przy tworzeniu Legjonów i musiałem obu ostro zwalczać za ich zaufanie do austrjackich jenerałów, pod czem oczywiście kryła się ich nienawiść do Piłsudskiego.

ROZDZIAŁ VIII.

Moje zgromadzenia.

Nie wiem, czy jest kto z moich rodaków, któryby tak używał trybuny mówcy w życiu politycznem, jak ja to czynić musiałem przez lat z górą trzydzieści. Mogę bez przesady powiedzieć, że przez długie lata byłem osobiście środkiem uświadomienia społecznego i politycznego kroci tysięcy chłopów i robotników polskich. Przemawiałem do nich w całej Galicji, w Królestwie, w Wiedniu, Budapeszcie, Berlinie, Sztutgarcie, Bremie, Paryżu, Londynie, w Szwajcarji, w trzydziestu kilku miastach Północnej Ameryki, wszędzie dokąd mogłem tylko dotrzeć. Mówiłem na placach publicznych do dziesiątków tysięcy i nie cofałem się przed zgromadzeniem w chałupie wiejskiej, gdzie mogło się zmieścić z biedą kilkunastu nędzarzy. Ponieważ mów moich nie pisałem, przeto muszę stwierdzić, że wśród tysięcy przemówień nie było dwóch jednakowych.

Czy używałem w mowach moich — jak mi to zarzucali przeciwnicy — demagogji? O ile mogę stwierdzić, nie czyniłem tego świadomie nigdy. Dla przykładu podam takie zdarzenie:

W r. 1911 kandydowałem w okręgu wiejskim Kraków—Podgórze—Wieliczka. Była śliczna wiosna, ale cóż, kiedy w wielickim powiecie panowała posucha! Oczywiście że biedni chłopi narzekali, a księża z ambon publicznie głosili, że to Bóg zsyła karę na powiat za to, że ja kandyduję... Wybrałem się na zgromadzenie wyborców do wielkiej wsi Wiśniowej na południu powiatu. Jadąc przez cały prawie powiat, czuję że ma się na deszcz. Nawet mnie po drodze trochę skropił. Przybywam do Wiśniowej w dzień targowy. Zbierają się chłopi. Gospodarz otwiera na oścież drzwi ogromnej stodoły, gospodyni zaściela stolik czystym rańtuchem i nawet przynosi karafkę z wodą. — Cóż kiedy chłopi nie śmią wejść do stodoły, lecz

nieufnie stoją u samych wrót. Zaczynam mówić, oddzielony od moich trwożliwych słuchaczy o kilkanaście kroków, sam jeden wśród pustej stodoły.

— Jeszcze mnie tu w Wiśniowej nie było, a już księża z ambon rozgłaszali, że dlatego deszcz nie pada, bo ja kandyduję w powiecie. A ja wam mówię, że przywiozłem wam deszcz i radzę — wejdźcie co rychlej do stodoły, bo wnet padać zacznie!

I rzeczywiście deszcz wiosenny zaczynał już pięknie kropić, a chłopi weszli jak jeden mąż do owej zdradzieckiej stodoły... Wówczas dopiero zacząłem szeroko rozwodzić się, jak głupim środkiem jest agitacja księży, która deszcz czy suszę wiązać chce z przekonaniami politycznemi kandydata. A potem już poszło zgromadzenie szeroko. Omówiliśmy wszystkie najważniejsze sprawy publiczne i Wiśniowa głosowała za mną. Czy to była z mej strony demagogja?

Nigdy nie mówiłem do zgromadzonych, że oni sami gwałtownym czynem mają tego dokonać, czego ich przywódcy nie potrafią zrobić na ich czele. Nigdy nie łudziłem ludzi „żywiołowością“ ich rozpaczy, lecz zawsze starałem się wziąć odpowiedzialność za moje słowa. Jako najcięższy zarzut jednemu z młodych prawników postawiłem to, że po jego mowie podburzającej zgromadzeni dopuścili się krwawych rozruchów, mając możność ich uniknięcia, gdyby mówca był czyny ich przewidział i mówił inaczej.

Nie dałem się unosić okrzykom złym czy życzliwym, płynącym ku mnie z pośród zgromadzonych i nie wahałem się sprzeciwić choćby większości. A jednak nie da się zaprzeczyć, że porywałem za sobą bardzo wiele zgromadzeń, choćby złożonych z ludzi wytrawnych, zebranych na kongresach czy na konferencjach. Wynikało to z poszanowania słowa przezemnie samego. Nigdy bowiem nie mogłem się nakłonić do „retoryki“. Nigdy nie studjowałem żadnej pozy, a sama myśl, że ktoś może przyjść na moje zgromadzenie aby zachwycać się formą mowy a nie zajmować stanowiska wobec jej treści, napełniała mnie wstrętem.

Najwyraźniej uprzytomniłem sobie ten wstręt do retoryki raz w Zurychu, na międzynarodowym kongresie socjalistycznym. Przemawiał tam wspaniale pastor holenderski Domela Niewenhuys, zdaje mi się za strajkiem w razie wojny. Otóż któryś z sąsiadów szepnął mi, że na galerji znajduje się jego kochanka i że to dla niej tak pięknie przemawia... Domela N. stracił odtąd dla mnie wszelki urok. Możem go skrzywdził w duszy, ale nie mogłem inaczej wobec niego reagować.

W czasie szalonej — co do nierówności sił — walki mojej z klasą rządzącą w Galicji, byłem niemiłym przeciwnikiem dla wielu z tych, co reprezentowali system obrzydliwy rządów, polegających na jawnem oszustwie i gwałcie. Kiedy w parlamencie wiedeńskim przerywano mi z ław Koła Polskiego, nie szczędziłem dorywczych odpowiedzi bardzo ostrych.

Wogóle ton mój zależał w znacznej mierze od przeciwników, którzy w pierwszych latach nie krępowali się wobec mnie niczem, sądząc, że mają do czynienia z warchołem, który zniknie wkrótce i zamilknie. A już prasa nie liczyła się wobec mnie nawet z względami jawnej śmieszności! Nie podawano w polskiej prasie treści moich mów parlamentarnych, lub przekręcano je nielitościwie, świadomie, po bandycku. Sądząc zaś z sprawozdań tej prasy, zgromadzenia moje polityczne składały się z kilkunastu żydków i żydóweczek oraz tłumu niedorostków... To był tak stały szablon, żeśmy potem serdecznie się śmiali, czytając te relacje.

Pod wpływem nadużycia słowa przez całe zgraje niesumiennych mówców wytworzyło się u nas nawet wśród ludzi rozumnych przekonanie, że mowy publiczne nie mają żadnej wartości wogóle, że należy „działać“ a nie mówić, że „czyn“ jest stokroć mocniejszy niż słowo.

Te wszystkie wstręty mają głęboką rację wobec lichego słowa. Ale są słowa tej samej wagi i mocy co czyny. Bez słowa, jako wyrazu duszy, nie zrodzi się publiczny czyn świadomy. Słowo bowiem jest wyrazem ducha więcej niż czyn. Czynowi daje dopiero słowo to, co się nazywa ideologją i co jest czynu motywem, oświetleniem i celem. Zabić może warjat

i święty. Dopiero ideologja świętego nada czynowi wartość wewnętrzną, uświęci go.

Całym trudem niezmiernym mojej działalności publicznej było tworzyć właśnie ideologję ruchu robotniczego.

Jakaż masa ludzka wytrzymałaby np. głód i niedostatek podczas długiego strajku, gdyby nie poczucie, że strajk jest słusznym i koniecznym? Któż oddawałby partji swoje siły, czas, pieniądze, gdyby nie przekonanie, że partja taka jest konieczną i pożyteczną organizacją? Ale niechaj tylko wytworzy się kilka niemądrych partji, a wnet znajdą się tacy, którzy krzykną, że każda jest szkodliwą i że partji wcale nie trzeba!

Za słowa moje znajdowałem się wielokrotnie przed szablami policyjnymi, pod kopytami koni policyjnych, przed karabinami szeregów żołnierskich i przed kratkami sądowymi. Ponosiłem pełną odpowiedzialność.

Oczywiście, że ta działalność nic wspólnego nie miała ze spiskowością, z konspiracją, która była wtedy, niestety, jedyną formą życia partyjnego w Królestwie. I tutaj znowu znalazło się dość żywiołów, które gotowe były lekceważyć ruch jawny, napozór nic z bohaterstwem wspólnego nie mający, a chwalić i czcić tylko ruch konspiracyjny, grożący długiem więzieniem lub Sybirem.

W zaborze rosyjskim konspiracja socjalistyczna była aż do wojny światowej jedyną rzeczywistą walką z niewolą, a niestety niemal jedyną klasową walką wyzwoleńczą robotników. Wyrastała ta klasa robotnicza w tak strasznych warunkach, że tylko bohaterskie typy ludzkie, o poświęceniu bezgranicznem mogły ostać się i wywierać wpływ potężny. Stąd rozwój cnót i właściwości nieznanych niemal w świecie cywilizowanym i wolnym od niewoli. Stąd cecha ruchu całego, pełnego zdumiewających i uwielbienia godnych czynów bohaterskich.

Ale trudno zaprzeczyć, że konspiracja była dzieckiem niewoli, że działanie jej nie mogło objąć masy ludzkiej, że nie sprzyjała ona wyrobieniu nowoczesnych pojęć w ludziach, że zacieśniała się do wąskich zadań, które w jako tako wolnym kraju można było bez ofiar rozwiązywać. Obok bohaterów, rozwijała nieodpowiedzialność bardzo wielu ludzi i prowadziła do rozłamów na tle osobistem. Browning czy sztylet niezawsze może być narzędziem rozwoju. A jeżeli dodamy zmorę prowokacji, zrozumiemy dopiero, w jak strasznych warunkach działać musieli nasi konspiratorzy...

Ale byłbym — z przeproszeniem — durniem, gdybym był w Galicji wprowadzał konspiracyjność zamiast jawnego ruchu „legalnego“, który mógł obejmować krocie tysięcy robotników zamiast kilku tysięcy. Kiedym tłumy ludzkie zgromadzał w salach lub na placach, a koło mnie siedziało dwóch komisarzy policyjnych w mundurach, jako reprezentantów rządu, wielu ludzi obdarzonych większą fantazją niż rozumem drwiło ze mnie, nazywając mnie ck. socjalistą i tęskniąc do jakichś nocnych zebrań kilkudziesięciu wtajemniczonych choćby gdzieś w polu, czy w lesie... A jednak ci sami austrjaccy komisarze policyjni, którzy nieraz wili się i stali pod pręgierzem wśród moich przemówień, woleliby tysiąc razy mieć do czynienia z garstką konspiratorów, niż z trybuną tysiącznego zgromadzenia, na której przemawiał socjalista! Co więcej, policja nieraz fabrykowała konspiracje, byle tylko zabić masowy ruch jawny klasy robotniczej. Spisek bowiem w warunkach wolnościowych może i musi być chorobliwą formą życia tak licznej warstwy jak klasa robotnicza, mającej takie cele i takie środki działania jak ona. Spisek jako system i główna forma ruchu jest odpowiednikiem niewoli, a zwalczać ją może tylko w najsłabszy sposób. Dla małej garstki ludzi jest on wygodną formą działania we wszystkich warunkach i zawsze spisek będzie istniał jako zmowa garstki. Ale ja miałem całkiem inne cele i zdobyłem dla tych celów środki im odpowiadające, t. j. ruch masowy. A ten bez tysięcy mówców był nie do pomyślenia.

Opowiem tu jeden wypadek pomieszania pojęć u konspiratorów wobec ruchu masowego.

Jednym z najciekawszych i najwspanialszych typów konspiracyjnych i ludzkich wogóle był śp. Mieczysław Mańkowski. Proletarjatczyk, skazany na katorgę jeszcze w latach ośmdziesiątych, przebył blisko 20 lat na Syberji. W czasach rewolucji 1905 r. wrócił do kraju i tu działał konspiracyjnie. Był to typ wzniosły, moralnie wysoko stojący, o chrystusowej postaci. Gdy wrócił do swego rodzinnego Krakowa, zebrało się małe grono przyjaciół, aby go powitać. Pytałem go o wrażenia krakowskie. Wówczas zaczął snuć smutne swoje uwagi: „Widzicie, moi drodzy — kiedym tu był przed dziesiątkami lat, wówczas konspiracja tu kwitła. Zbieraliśmy się tajnie, policja niczego o nas nie wiedziała. A oto wczoraj widziałem wasze publiczne zgromadzenie, a potem pochód. I przyznam się, że smutne zrobił na mnie wrażenie... Bo proszę was, na trybunie dwóch komisarzy policyjnych, a w pochodzie całe oddziały policyjne maszerujące wraz z robotnikami, to chyba nie dodaje otuchy rewolucyjności“... Smutne te refleksje były jedyną reakcją Mańkowskiego wobec tysięcy robotników, idących ze sztandarami, śpiewających „Czerwony Sztandar“ i wyrażających swoją solidarność z rewolucją w Królestwie, walczącą i o te swobody, które ci robotnicy już sobie zdobyli.

Ciekawą rzeczą było obserwować głupotę średniej klasy w Galicji. Stańczycy, czy szlachta podolska, mieli zaufanie dworu, mieli całą maszynę rządową od namiestnika do ostatniego żandarma, mieli wreszcie kler, który spełniał służbę „moralnych żandarmów“ wobec ruchu ludowego. Mieli, jako klasa, licząca wszystkiego dwa tysiące rodzin, wszelką władzę, mieli pieniądze płacone im przez społeczeństwo na mocy najbezwstydniejszych przywilejów (opłata za pańszczyznę, gorzelnie, wyszynk wódki w karczmach i t. d.). Ci ludzie nie potrzebowali zaiste zgromadzeń, a porozumiewali się znakomicie na polowaniach, zabawach i w swoich kasynach szlacheckich. Spokrewnieni ze sobą wyzyskiwali znakomicie konjunkturę „łaski“ cesarskiej przez całe pokolenia. Ale mieszczaństwo, urzędnicy wyżsi, lub t. zw. „inteligencja“, będąca przed wojną światową częścią klasy średniej, nie rozumieli ze strachu i z powodu ciemnoty politycznej zupełnie znaczenia zgromadzeń publicznych. Można śmiało twierdzić, że robotnicy nauczyli w ciągu lat całe społeczeństwo, jak należy w życiu publicznem posługiwać się zgromadzeniami publicznemi.

Zgromadzenia były w owych warunkach wielką szkołą życia publicznego, a klasa średnia zachowywała troskliwie swój analfabetyzm polityczny. Nie rozwijała mówców publicznych, zasklepiała się w swoich kółkach i konwentyklach i nie wywierała najmniejszego wpływu na lud pracujący wsi i miasta.

W kraju ciemnym, z przeważającą większością analfabetów, w kraju tak odciętym od szerszego życia jak ówczesna Galicja, nie można było żądać, aby na zgromadzeniach mówili sami wartościowi ludzie. Demostenesy i Cicerony wiejskie i miejskie plotły też sporo bredni i kłamstw pospolitych. Dużo, aż nadto dużo było demagogji, w której niedoścignionym na szczęście mistrzem był ks. Stojałowski. Dużo było awantur i bójek na zgromadzeniach, gdzie spotykali się przeciwnicy. Ale gdy chodziło o wielkie żądania mas, zgromadzenia bywały potężną manifestacją woli szerokich warstw ludowych. Stare przysłowie warstw panujących mówi: „Kto lud zgromadza, ten go podburza“ i ma ono głębokie znaczenie, bo zgromadzenia dla chwalenia istniejących porządków będą zawsze należały do rzadkości... Raczej rozpacz, bieda, klęska, potrzeba obrony, konieczność zmiany na lepsze pozostaną na długo motywami gromadzenia się tłumów ludzkich. Stąd też charakter zgromadzeń ludowych naszych, stąd krytyka nieustająca, stąd tysiączne żądania masy ujawniały się na tych wiecach naszych.

Pierwotnie oczywiście nie dopuszczano nas do sal porządnych, pięknych i czystych. Te stały pustką, podczas kiedy my gromadziliśmy się w szynkach, często najobskurniejszych. Pamiętam w Krakowie taki szynk „Pod Plewną“, gdzie w sobotę wieczorem schodziły się szumowiny na pijatykę i tańce. Zato w niedzielę rano mogliśmy spokojnie odbywać nasze zgromadzenia. Tu miały miejsce w r. 1893 i 1894 homeryckie zaiste turnieje słowa, bo dla zwalczania nas zjawiał się tu ks. prałat

dr. Chotkowski, poseł chłopski, profesor uniwersytetu i złotousty zaiste mówca. Zachodził tu i ks. jezuita hr. Jan Badeni o twarzy białoróżowej pazia lub dziewczęcia. Ci polemizowali ze mną wspaniale. Pamiętam raz klęskę, którą poniósł ks. hr. Badeni przez usta biednej szewcowej, pani Kotapkowej. Ks. Badeni zalecał robotnikom jałmużnę i dobroczynność chrześcijańską na niedole życia. Wymownie wskazywał na „Towarzystwo Dobroczynności św. Wincentego à Paulo“ jako na organizację pomocy i ratunku w nędzy. Wówczas wysunęła się nieśmiało biedna jakaś kobiecina w czarnej chustce i zaczęła prosić o głos. Udzielono jej głosu i usłyszano z jej ust wśród płaczu zwykłą historję: Mąż jej, szewc Kotapka został za kolportaż gazety socjalistycznej uwięziony. Wtedy biedna żona zwróciła się do Towarzystwa Dobroczynności o pomoc. Ale pobożne panie odmówiły jej krup i mąki, dopóki mąż nie wyrzecze się swoich przekonań. Ks. Badeni stał jak pod pręgierzem i został pokonany w oczach zgromadzenia.

Zabił się ks. hr. Jan Badeni w oczach robotników krakowskich przez drobnostkę. Uplanował był sobie wraz z niejakim księdzem Stysińskim, że uniemożliwią obchód 1 maja w Krakowie. Zwołali więc obaj na 30 kwietnia 1893 r. swoje własne zgromadzenie do sali Rady miejskiej. Przyszli oczywiście prawie sami socjaliści... Ksiądz Stysiński przewodniczył, ks. Badeni referował. Mówił tak niespokojnie, że mu całe zgromadzenie ciągle przerywało. Biegał więc różowiutki abuś po trybunie, jak szczurek w klatce, aż nie wytrzymał i pokazał publiczności różowy języczek!... To było też końcem zgromadzenia. Obaj księża musieli zaniechać tej gry. Pierwszy maj się powiódł, ks. Stysiński wkrótce potem uciekł z ładną dziewczyną do Ameryki, a ks. Badeni wyjechał do Lwowa.

I to wszystko z powodu języka.

Warto również zaznaczyć, że zgromadzenia nasze były do pewnego stopnia szkołą dla towarzyszy z Królestwa i z zaboru pruskiego. Górnośląscy robotnicy nieraz się zgromadzali na terytorjum Galicji nad granicą, aby uniknąć kontroli pruskich policjantów. A nawet bogata Warszawa, jadąc się bawić czy

leczyć do Krynicy, Szczawnicy, Zakopanego, często też zachodziła do krakowskiej ujeżdżalni, aby słyszeć socjalistycznych mówców.

A ta ujeżdżalnia „pod Kapucynami“, o parę kroków od arystokratycznego kościółka OO. Kapucynów, to była ogromna, stara buda, niebardzo jasna, mogąca pomieścić do 5000 ludzi, stojących w miękkim piasku po kostki. Tu przez lat kilka aż do jej zburzenia w r. 1904 odbywały się moje zgromadzenia. Potem przenieśliśmy się do nowej, wspaniałej ujeżdżalni przy ul. Rajskiej, a potem do sal miejskich, do Sokoła, a nawet do cudownej sali koncertowej w Starym Teatrze. Ale już wtedy minęły ciężkie czasy nędzy, prześladowań i jednolitej nagonki społecznej. To już był niemal luksus.

O ile zgromadzenia miejskie były ożywione, a nieraz burzliwe, o tyle wiejskie przypominały swoją ciszą, skupieniem i cierpliwością zaprawdę jakieś biblijne czasy. Chłopi małorolni, a tacy byli i są w Zachodniej Galicji przeważającą większością ludności wiejskiej — byli gruntem tak „nowinnym“, ludem tak biednym i przygnębionym, że uważałem się tutaj za „apostoła“, w najpierwotniejszem słowa znaczeniu. Szalone były jednak trudności przemawiania na takich zgromadzeniach. Ludzie ci nie mieli najlżejszego pojęcia o sprawach narodu czy państwa, o tych wszystkich dalszych, a jednak strasznych ciężarach, o pośrednich podatkach, o polityce zagranicznej. Musiałem więc tłómaczyć wszystko od podstawowych elementów, musiałem śledzić równocześnie czy mnie rozumieją, musiałem szukać porównań z rzeczami im znanymi i mimo tego wszystkiego truchlałem, że w rezultacie fałszywie mnie zrozumieją. To też zgromadzenia chłopskie bywały długie. Ta długość była nieraz niezwykłą. Naprzykład ośmiogodzinne chłopskie zgromadzenie nie należało do rzeczy niebywałych. Byli też wśród nas mówcy, którzy umieli mówić po trzy lub cztery godziny, powtarzając się przerażająco dla uszu miejskich, ale bardzo lubiani przez zgromadzenia wiejskie. Dwóch z nich robiło wprost rekordy w długości mów. Byli to Adam Matejko, późniejszy profesor gimnazjalny i Kazimierz Kaczanowski, znany

działacz wśród kolejarzy. Nie zapomnę przerażenia mojego, kiedym raz wybrał się na wieś z młodym towarzyszem B., człowiekiem miłym i szlachetnym, ale tak „krasomówczym“, że wprost zdrętwiałem, kiedy zaczął mówić zalecając moją kandydaturę. Mówił o zajadłej mojej walce z wszechniemcami Wolfem i Schönererem w parlamencie wiedeńskim.

— A czy wiecie, czego chcą wszechniemcy? — huknął mój B., stojąc na ławie, na której pod nim siedziałem.

— Oto wiedzcie, że chcą wykonać testament Barbarossy!...

Obserwowałem przerażone miny słuchaczy podgórskiej wioski i siedziałem jak na szpilkach.

— Oto mieczem gwałtu i kropidłem ciemnoty chcą na nas uderzyć — grzmiał dalej mój poczciwy B., ale ja już zacząłem ściągać go z ławy, aby przejść do języka bardziej zrozumiałego dla słuchaczy.

Czasami trudno się było zorjentować w opinji słuchaczy wiejskich. Pamiętam takie zabawne zgromadzenie we wsi Rącznej. Przemawiałem jako kandydat i zdawało mi się, żem szturmem zdobył serca słuchaczy. Kiedy pod koniec zgromadzenia przewodniczący wezwał zgromadzonych, aby ci, co na mnie chcą głosować, podnieśli ręce do góry, okazało się, że nie podniósł ręki żaden!... Przemówiłem jeszcze krótko, wypowiadając zdanie, że pewno za mało mnie jeszcze znają i pożegnawszy się, wyszedłem do mojego wozu na błotnistej ulicy. Cały tłum ruszył za mną i odprowadził mnie aż za granice wioski. Dopiero po drodze opowiedzieli mi chłopi, że nie podnosili rąk, bo pod oknami stali ksiądz i wójt na czatach... Ale wszyscy będą na mnie głosowali. Za wsią wyciągnęły się do mnie twarde chłopskie dłonie na pożegnanie. Rączna dotrzymała słowa przy wyborach.

ROZDZIAŁ IX.

Pracowity rok.

Strajk górników. — Wybory lwowskie. — „Naprzód“ dziennikiem. — Wybory krakowskie z przeszkodami. — Walka z militaryzmem.

Rok 1900 był szalonym zaiste rokiem pracy. Zaczął się od konferencji w Morawskiej Ostrawie, gdzie z trudem niezmiernym udało się nam 1 stycznia odwieść górników od strajkowania. Zadowolony z tych wyników konferencji wyjechałem do Krakowa, gdzie nad ranem zastała mnie depesza, że cały rewir ostrawsko-karwiński strajkuje! Zrozumiałem namacalnie, że ruchu niepodobna było zatrzymać i wróciłem do rewiru. Strajk objął wkrótce całe niemal kopalnictwo węglowe, t. j. około 70.000 górników. Z rodzinami, z drobnymi handlarzami żyjącymi z górniczych zarobków i t. d. wynosiło to około pół miljona głów. Polskich górników strajkowało prawie 30.000. Był to największy strajk, z jakim miałem bezpośrednio do czynienia. Trwał do drugiej połowy marca. Głównem żądaniem strajkujących była ośmiogodzinna szychta. Dotychczas bowiem górnik pracował 11 godzin, a mieszkając daleko od szybu, tracił oprócz tego dwie do trzech godzin na drogę. Górnicy uginali się pod zbyt długim czasem pracy. Wszystkie złe następstwa tego, jak pijaństwo, ciemnota, brak organizacji, czyniły z górnika nieszczęśliwą istotę ludzką. Rząd zareagował, jak umiał, t. j. posłał kilka pułków wojska i chmarę policji do górniczego rewiru. Socjaliści zorganizowali powszechne składki na strajkujących, zamienili tygodniki w rewirze na dzienniki, obsadzili mężami zaufania cały rewir i odbywali niezliczone zgromadzenia, aby podtrzymać ducha solidarności w masach. W parlamencie zaś postawili wniosek o ośmio-

godzinną szychtę i starali się go przeprowadzić. Imieniem ministerstwa zjechał do M. Ostrawy stary minister sprawiedliwości, niegdyś morawski namiestnik, br. Spens-Boden. Mieszkaliśmy w jednym hotelu, schodziliśmy się często rano i omawialiśmy, co dalej począć? Po dwunastu tygodniach strajku, gdy rząd obiecał solennie, że zgadza się na dziewięciogodzinną szychtę (z wjazdem i wyjazdem), trzeba było strajk zakończyć. Ale ustawy jeszcze parlament nie uchwalił i nie mieliśmy z czem stanąć przed robotnikami. W Wiedniu sądzono, że czescy górnicy są kulturalniejsi niż polscy, więc zdecydowano, że dr. Karpeles i tow. Merta pojadą do M. Ostrawy, a ja do polskiej Orłowej, aby skłonić górników do podjęcia pracy. Stało się inaczej niż przewidywano. W M. Ostrawie poturbowano niedelikatnie zwiastunów pokoju, a Orłowa uchwaliła na kilkunastotysięcznym wiecu podjąć pracę. Ks. Stojałowskiego, który próbował w mętnej wodzie łowić ryby, górnicy pobili. Strajk ten, na który zebraliśmy około pół miljona koron, stał się punktem wyjścia nie tylko krótszej pracy dziennej, lecz także wielkiego rozwoju organizacji zawodowej, politycznej, a zwłaszcza spółdzielczej. Domy robotnicze i „konsumy“ zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu. Kultura górnika zaczęła się dźwigać, ciemnota i pijaństwo pierzchać.

W środku pracy strajkowej musiałem jeździć dość daleko, do Lwowa, gdzie grono ludzi postawiło moją kandydaturę do Sejmu.

Śmierć słynnego wodza demokracji z r. 1848, Franciszka Smolki opróżniła jeden z lwowskich mandatów sejmowych i na mnie spadał zaszczyt wielki, że wezwano mnie do kandydowania po Smolce a przeciw dr. Piętakowi, ministrowi-rodakowi. Oczywiście że nie mogłem liczyć na łatwe zwycięstwo. Głosowanie było jawne, wyborcami byli kupcy, właściciele domów i urzędnicy, nacisk rządowy ogromny. Decydowali Żydzi. To też klerykalny namiestnik, hr. Piniński zwrócił się do rabina Schmelkesa z prośbami o ostre wystąpienie przeciwko mnie, a rabinowi Caro powiedział przejrzyście: „Ich kann auch dankbar sein“ („Potrafię być wdzięcznym“).

Pomimo nacisku z góry zgromadzenia moje były bardzo liczne i ożywione, tak że entuzjaści przepowiadali pewne zwycięstwo.

Ale gdy przyszło do oddawania głosów jawnie, pod kontrolą przełożonych urzędniczych, inspektorów podatkowych (na kupców!) i ludzi rozporządzających kredytami i innymi wpływami, entuzjazm zmalał. Podam zabawny tego przykład. Urzędnik państwowy, podawszy swe nazwisko, głosuje: Ignacy... W tej chwili spostrzega przy stoliku komisyjnym swego przełożonego i kończy: Piętak.

Przekładają mu, że p. Piętak nazywa się Leonard, ale urzędniczek obstaje już przy Ignacym Piętaku i głos staje się nieważny.

Rezultatem było około 1900 głosów po mojej, a 2800 po stronie rządowej, no i głębokie przekonanie, że socjalista nie zdoła dostać się do Sejmu galicyjskiego. Później powtórzyłem to samo doświadczenie i w Krakowie. Dopóki istniała sławetna Galicja i Lodomerja, nie można było marzyć o zdobyciu Sejmu. Pozostał on dla szerokiej masy robotniczej ciałem zupełnie obcem i świadczył o nierozumie większości sejmowej, która wolała, żebyśmy zwalczali ją w Wiedniu, a nie mogli wewnątrz kraju przedkładać naszych żądań i potrzeb.

Zaraz po chlubnym upadku we Lwowie musiałem dokończyć zabiegów o założenie dziennika w Krakowie. Przystąpiłem do tej pracy z rzadkiem zuchwalstwem. Miałem zebranych ze składek około 10.000 koron. Pierwszą i największą sumę, bo 1750 koron przysłał z Dalmacji tow. Andrzej Moraczewski, wówczas inżynier kolejowy. Z takim to „kapitałem zakładowym“ ośmieliłem się wydawać „Naprzód“ codziennie. To też przez lat dwadzieścia nie miałem odtąd ani jednej chwili wolnej od trosk i kłopotów pieniężnych. Zwykły człowiek nie ma wyobrażenia o tej męce. Wszak słońce na niebie może się nie pojawić, ale dziennik wyjść musi! A przytem miałem śmiertelnego wroga w prokuratorze krakowskim, p. dr. Romanie Dolińskim. Konfiskował nas tak zajadle i tak wytrwale, że widać było jego zamiar doprowadzenia „Naprzodu“ do bankructwa. Po pięćdziesiątej konfiskacie (na

200 numerów) napisałem do ministra sprawiedliwości „List otwarty“, gdzie znajduję następujące ustępy:

„Żadne pismo codzienne w Austrji, ani najbardziej irredentystyczne, ani anarchistyczne, ani nie wiedzieć jak bezbożne lub przeciwrządowe nie jest tak często i niesprawiedliwie konfiskowane, jak krakowski „Naprzód“, chociaż pisze on daleko umiarkowaniej, niż nawet pisma klerykalne w Galicji.

Doliński stawia każdego urzędnika, nawet nadużywającego bezwstydnie swej władzy, pod ochronę § 300 u. k., każdą partję burżuazyjną, czy stańczyków, czy liberałów, pod ochronę § 302 u. k., każdego klerykała, handlującego oszukańczo świętościami pod § 303 u. k., a każdego kaprala, który ośmieli się nazwać w restauracji Polaka „polską świnią“, pod ochronę ustawy z 17 grudnia 1862, jako „armję“, albo „samoistny oddział!!“

„Nie wolno pisać o intrygach na dworze w Petersburgu; każdy kacyk jest pod ochroną Dolińskiego, jeżeli tylko pisze o nim „Naprzód“. Doliński konfiskuje jak bezrozumne stworzenie nawet to, co dosłownie sam trzy razy z rzędu bez konfiskaty zostawił; konfiskuje nie jak urzędnik państwa, ale jak zacietrzewiony i nienawistny wróg osobisty.

Przedstawiamy Ekscelencji fakty: 50 konfiskat na 200 numerów, 12 procesów wytoczonych w kilku tygodniach, 20 rewizji urządzonych po całem mieście, straty materjalne pisma i abonentów, jednem słowem działalność Dolińskiego jako cenzora i prokuratora wobec robotniczego pisma.

Cenzura jest zabytkiem despotyzmu i jako taka potępienia godną; cenzura jednak uprawiana przez Dolińskiego jest prowokacją zdrowego sensu i krzyczącą niesprawiedliwością, przeciw której każdy dotknięty bronić się musi i bronić się będzie wszelkimi środkami“.

Mając przed sobą takiego urzędnika, zacząłem unicestwiać jego działalność za pomocą wnoszenia nietykalnych interpelacji parlamentarnych, gdzie umieszczałem konfiskowane artykuły i potem drukowałem te interpelacje w „Naprzodzie“. Nazywało się to „immunizowaniem“, słowem wziętem z medycyny, gdzie oznacza obronę np. przeciw wściekliźnie, cholerze i t. p. Pan Doliński trwał na swoim posterunku lat zdaje mi się ośmnaście. Psuliśmy sobie krew tak samo długo, ale „Naprzodu“ nie zdołał uśmiercić. Za pomocą „immunizowania“ uratowałem od cenzury słynne „Legendy“ p. Andrzeja Niemojewskiego i niejedną nowelkę p. Jehanny Wielopolskiej. Ba, razu pewnego „zimmunizowałem“ bluźnierstwo jego Ekscelencji, hrabiego Stanisława Tarnowskiego, prezesa Akademji Umiejętności!

W klerykalnym „Przeglądzie Polskim“ z kwietnia 1901 r. napisał hr. Tarnowski następujące zdanie:

„Ekspiacja nie jest nowem odkryciem, wynalazkiem Ibsena, na niej opiera się stary przesąd, który się nazywa Męką Chrystusa Pana i Odkupiciela Świata“. Oczywiście że Doliński to skonfiskował, a ja ogłosiłem swobodnie. Na wołowej skórze nie spisałbym epizodów tej walki z cenzorem. Jako jej końcowa przygoda utkwiło mi w pamięci zdarzenie, że na początku wojny Austrji z Rosją w r. 1914 Doliński skonfiskował antyrosyjski artykuł w „Naprzodzie“ za obrazę „zaprzyjaźnionego mocarstwa“. Tak długo tę obronę Rosji praktykował, że nie zapanował nad sobą i podczas wojny!

Ale te ukłucia szpilkami były drobnostką wobec dwóch procesów, które mi wytoczono w jesieni r. 1900, gdy rząd rozpisał wybory do parlamentu na dzień 13 grudnia. Tym razem powiedziano sobie w rządzie, prokuratorji i sądzie, że nie dostanę mandatu, choćbym nie wiedzieć co poczynał. W październiku odbyła się najpierw rozprawa o sławetnych „Kusicieli ludu“, wystawionych przed czterema laty w teatrzyku krakowskim. Nie myślę podawać przebiegu walki w sali sądowej, która się zakończyła dla mnie czterema tygodniami kozy. Dodam tylko, że dyrektor przed rozprawą umknął z Galicji. Ale jeden proces nie wystarczał. Podwójny sznur trzyma lepiej i dlatego wytoczono mi w listopadzie proces o obrazę agenta policyjnego. Zajście polegało na dziwnych praktykach konfiskacyjnych. Oto komisarz policyjny obliczywszy mniej więcej, kiedy „Naprzód“ będzie w drukarni gotów, biegł tam pędem z pisemnym (wedle ustawy) nakazem konfiskaty. Tymczasem zaś wysyłał agenta do ekspedycji pisma aby tam pilnował, kiedy się nakład pojawi. Ale agent nie miał nakazu pisemnego i liczył tylko na swoją legitymację, że go nie wyrzucą za drzwi. Tymczasem uczyniłem to natychmiast, gdy mi

nie umiał powiedzieć poco stoi w ekspedycji wymawiając się, że „czeka na pana komisarza"... Za to wyrzucenie go za drzwi dostałem się przed sąd i dostałem trzy tygodnie więzienia w wyższej instancji. A zatem jedna sprawa (cztery tygodnie) była już prawie zakończona, a druga niedaleko końca. Wszystko zależało od form i środków prawnych. Mój obrońca, znany później w szerokich kołach adwokat dr. H e s k i, skierował drugą sprawę z zażaleniem do Wiednia w obronie ustawy, a pierwsza mogła być rozstrzygniętą również w Wiedniu ale dopiero po 13 grudnia.

Tymczasem tego dnia zostałem wybrany posłem 15.000 głosów, podczas kiedy moi kontrkandydaci, p. Ptak z Bieńczyc i p. prof. Szkaradek-Krotoski, otrzymali razem 9.000 głosów.

Mój program wyborczy był bardzo „zwięzły": 1. Kandyduję jako s o c j a l i s t a. 2. do Koła Polskiego n i e w s t ą p i ę. 3. Będę jak dotąd walczył w o b r o n i e k l a s y p r a c u j ą c e j. 4. Będę dążył do odbudowania w o l n e j n i e p o d l e g ł e j P o l s k i i 5. nikomu nie obiecuję nic ponadto com powiedział. Po ustaleniu takiego programu pozyskałem większość wyborców. Po Bożem Narodzeniu poszedłem do kozy za dramat prokuratorski i siedziałem do 20 stycznia 1901 r. Tymczasem sprawa o agenta wisiała ciągle. Wtedy to gorliwy sędzia p. F e r e n s zapytał w ministerstwie sprawiedliwości, czyby mnie nie można przy okazji tak długo w kozie zatrzymać, aż i drugi wyrok będzie prawomocny? Odpowiedziano mu, że niestety nie można i dlatego w trzy dni po opuszczeniu gościnnego św. Michała byłem już w parlamencie.

Walka z militaryzmem.

Wojskowość austro-węgierska była szczególnym tworem historycznym. Dopóki żołnierz był bezmyślnym niewolnikiem bitym kijami, przykuwanym do słupka, długo służącem a wytresowanem zwierzęciem ludzkiem, dopóki sztuka wojowania polegała na utrzymywaniu zwartych kolumn, manewrujących na placu bitwy, dopóty można było mówić o równorzędnej innym armji austrjackiej. Im bardziej jednak zaczęto pod wpływem rewolucji francuskiej i jej spadkobiercy Napoleona

wymagać od żołnierza zapału dla obrony narodu, czy państwa, tem zabawniej wyglądała armja austrjacka. Armja ta była b e z n a r o d o w a z pokostem niemieckim. Wobec dziesięciu narodów zamieszkujących Austro-Węgry inaczej być nie mogło.

Niezrozumiałem dla nas zjawiskiem było np. po wojnie światowej zachowanie się jenerałów austrjackich w Polsce, którzy na meldunkowej kartce pisali pod rubryką „narodowość" odpowiedź „Militär" (wojskowy). Taki człowiek nigdy nie miał żadnej narodowości, ba, mieć jej nie śmiał!

Komenda była niemiecka, mowa oficerów przymusowo niemiecka, ale ducha niemieckiego w armji nie było i być nie mogło. Żołnierz nie niemiecki stawał się w swoim narodzie zabawną karykaturą. Z wyjątkiem Niemców żaden naród nie uważał armji za swoją; tolerowano ją dość niechętnie. Dwór i arystokracja zajmowały w niej najwybitniejsze i najwygodniejsze stanowiska, zostawiając niemieckiemu mieszczaństwu placówki wymagające ciężkiej pracy. Korpus oficerski, mający wyłącznie ideę dynastyczną „Najwyższego Pana wojny" (Allerhöchster Kriegsherr) patrzył z pogardą i nienawiścią na jakiekolwiek objawy narodowego patrjotyzmu. „Polskie psy" i „polskie świnie" to był codzienny komplement niemieckiego czy czeskiego oficera wobec żołnierzy, a awantury z rąbaniem szablami były wobec polskiej publiczności na porządku dziennym. Samobójstwa żołnierzy były w armji austrjackiej najczęstsze z całego świata. Żołnierzy bito straszliwie; wielu z nich miało popękane bębenki uszne od bicia, wielu dochodziło do obłędu. Tresura musiała zastąpić wszelkie narodowe uczucia i 300.000 ludzi jęczało pod tem jarzmem dynastyczno-państwowej instytucji.

W końcu XIX stulecia wdarła się do wojska kwestja narodowa w ordynarnej postaci prześladowań rezerwistów za słówko „jestem" albo „zde", wypowiedziane przy meldowaniu się żołnierza zamiast niemieckiego „hier"... Że socjalistów poddawano tutaj często dzikim torturom za ich przekonania, to należało do systemu „wychowania" dynastycznego.

Pomimo zasadniczego systemu terytorjalnego uzupełnień i służby przenoszono znaczne części pułków w obce strony i w razie potrzeby rzucano na ludność miejscową, Czechów na Niemców, Rusinów na Polaków i odwrotnie. W ten sposób żołnierz był podwójnie obcym i wrogim ludności. Arystokratyczne, śmieszne maniery oficerskie nie pozwalały zwykłemu człowiekowi zbliżyć się do członków korpusu oficerskiego, którego odosobnienie było zupełne. Młody oficer żył w kasynie wojskowem i w restauracji czy w domu publicznym... W zamkniętym szczelnie korpusie oficerskim panowała nieraz najnikczemniejsza intryga i karjerowiczostwo.

Wojskowa procedura karna była archaiczną, bo jeszcze z czasów Marji Teresy i nie dawała żadnej poręki wymiaru rzeczywistej sprawiedliwości. Była ona tajną i audytor był właściwie wszystkiem w procesie. To też okropne wyroki tu wydawano.

W mojej walce parlamentarnej zacząłem ostro krytykować stosunki w armji. Pod ręką miałem wspaniały okaz jenerała komendanta korpusu przemyskiego, feldmarszałka porucznika Galgoczego. Srogi ten człowiek, cygańskiego pono pochodzenia, znęcał się nad ludnością w sposób azjatycki. Kazał suchotniczych Żydów brać do wojska, aby mu w szpitalach wojskowych umierali, a nadto zaczął się bawić w politykę zwalczania socjalizmu. Ale trafił na ludzi, którzy mężnie podjęli walkę z jenerałem ekscelencją, a tymi ludźmi byli dr. Lieberman, późniejszy znany poseł i młodziutki suchotnik Witold Reger, brat Tadeusza Regera, późniejszego posła do parlamentu. W walce tej, trwającej lata, stałem jako poseł i jako redaktor „Naprzodu" po stronie obu towarzyszy, co oczywiście ściągnęło na pismo procesy i konfiskaty.

Galgoczy w swej manji wielkości przegrywał procesy nietylko w Krakowie i Lwowie, ale i w samym Przemyślu. Kiedy mu raz sąd przesłał wyrok napisany po polsku, odrzucił go, bo nie uznawał języka polskiego. Gdy raz prokurator na jego żądanie wniósł oskarżenie o przekroczenie, Galgoczy napisał na akcie: „Nie przekroczenie lecz zbrodnia!" Dwóch rotmistrzów

huzarskich, węgierskich arystokratów wyzwało mnie za krytykę korpusu oficerskiego na pojedynek. Wytłómaczyłem im, że za moje słowa w parlamencie odpowiadam tylko przed własnem sumieniem i przed prezydentem Izby. Kupiłem sobie grubą laskę i oczekiwałem ataku, ale jakoś moi rotmistrze się rozmyślili. Nie brakło i pokornych podziękowań ze strony niektórych oficerów za ujęcie się za nimi. Zgłaszali się nawet tacy oficerowie, którzy ofiarowali mi wydanie całej twierdzy krakowskiej w razie potrzeby...

Żaden z tych epizodów walki z armją nie był tak głośnym na cały świat, jak ujęcie się za porucznikiem dragonów, p. Gezą Matachichem, kochankiem księżnej Ludwiki Koburskiej, córki króla Belgów, Leopolda II. Dwór austrjacki kazał księżnę zamknąć w jakiemś sanatorjum w Saksonji, a kochanka wpakować do kozy na długie lata pod pozorem zwykłej zbrodni, fałszowania weksli księżnej Stefanji, wdowy po następcy tronu Rudolfie. Matachich udał się do mnie z więzienia o ratunek. Przy pomocy zdolnego bardzo dziennikarza, tow. Austerlitza podjąłem w prasie i w parlamencie tak ostrą walkę o Matachicha, że cesarz go ułaskawił. Potem M. wykradł swoją księżnę z sanatorjum i uciekł z nią do Paryża. Gdy przyszedł dziękować mi uniżenie za ratunek, zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie, usprawiedliwione wieściami, które o tej parze do mnie zdala dochodziły.

Przed parlamentem stał w owych latach minister obrony krajowej bar. Welsersheimb (minister wojny jako „wspólny" stawał tylko przed delegacjami austro-węgierskimi) jako reprezentant urzędowy armji. Był to człowiek stary już, ale bardzo postępowy i kulturalny. Był przez lata jako attaché wojskowy we Francji i tam nauczył się szanowania parlamentu. Odpowiedzi jego były roztropne i nieraz przyznające mi słuszność, ale oczywiście system wojskowy przez to w Austrji się nie poprawił, a armja nie cieszyła się uznaniem. Pamiętam że razu pewnego, kiedy huzarzy zastrzelili na ulicach Lwowa w lecie 1902 r. kilku bezbronnych murarzy strajkujących, wniosłem gwałtowny wniosek w Izbie i w mowie swojej po-

wiedziałem: „Armja austrjacka dała liczne dowody, że na różnych polach bitew umiała uciekać przed nieprzyjacielem, ale zato tem skwapliwiej strzela do bezbronnych tłumów“... Prezydent Izby wezwał mnie wprawdzie za te słowa do porządku, ale zresztą niewiele zwrócono na to uwagi. W Galicji natomiast cieszono się z tych słów szczerze, zwłaszcza, że nadużycia armji w kraju stały się tak nieznośne, iż nawet demokrata p. Rotter, członek Koła w szerokiej mowie zaprotestował przeciw temu bezrządowi wojskowemu.

ROZDZIAŁ X.

Dalsza praca parlamentarna.

Po drugim moim wyborze na posła zostałem już zupełnie osamotniony w Izbie. Byłem tutaj jedynym polskim socjalistą, a i Związek zmniejszył się do 10 członków! Wprawdzie weszły tu tak znakomite siły jak Pernerstorfer, Schuhmajer i Seitz (dzisiejszy burmistrz Wiednia), ale mała liczba nasza krępowała nas nadzwyczajnie. Musiałem prowadzić dalej życie potępieńca. Przebywałem w wagonie kolejowym ogromną ilość czasu, prowadziłem olbrzymią korespondencję, odbywałem dużo zgromadzeń na najdalszej nawet prowincji, przemawiałem w parlamencie i w Radzie miasta Krakowa, gdzie wszedłem w maju 1902 r. Oprócz tego pisałem dużo do „Naprzodu“ i do innych pism socjalistycznych, a nawet miałem czas na pisanie broszur politycznych. Tylko żelazne zdrowie i silne nerwy mogły tym wymaganiom podołać. Dawałem tej pracy siebie całego bez żadnych zastrzeżeń, bez urlopów, bez uwzględniania życia prywatnego. Zajmowałem się każdą niemal sprawą publiczną dotyczącą polityki narodowej, klasy robotniczej, szpitalnictwa, kas chorych, kolei żelaznej i t. d. Mowy i interpelacje moje to cały las spraw poruszanych przezemnie bez ustanku, bez wytchnienia. Wszystko zaś zmierzało do obrony robotników i narodu polskiego od krzywd i ucisku. Ten cały okres od r. 1901 do 1905 tj. do wybuchu ruchu rewolucyjnego w Królestwie i Rosji, a w Galicji do wszczęcia ostatniej walki o powszechne głosowanie. wypełniony jest w mojem życiu samymi epizodami, które wskazują na zastój myśli przewodniej, na brak sprawy koncentrującej w sobie całą energję, wobec której wszelkie inne schodzą na plan drugi.

O takich więc „epizodach“ pomówię.

Rok 1901 zaznaczył się w Poznańskiem ohydną sprawą bicia polskich dzieci w szkole za to, że nie chciały się modlić po niemiecku! Nacjonalistyczne i szowinistyczne prusactwo doszło w szkółce we Wrześni do niemożliwej potworności. Postanowiłem odrazu wnieść interpelację do rządu i zwróciłem się do członków Koła Polskiego o podpisanie jej wspólnie ze mną. Odmówiono z szyderstwem, a „Gazeta Narodowa" miała odwagę napisać, że interpelacja jest słuszna i dobra, ale Kołu nie wolno jej razem ze mną ani na dwadzieścia cztery godzin podpisać! Wniosłem więc interpelację sam, a Koło wniosło podobną po dwóch dniach. Przemówiłem ostro w parlamencie na temat zbrodni „sprzymierzeńca" Austrji, przemawiał i hr. Wojciech Dzieduszycki, który dla przypodobania się Austrji użył charakterystycznych słów:

„Chcemy udowodnić, że Polacy niezawsze są zdrajcami stanu i konspiratorami, ale że umieją także utrzymać i ochronić tron i państwo, w którem znaleźli sprawiedliwość"...

Na tę służalczość nie było lekarstwa; ci ludzie musieli wymrzeć, aby ustąpić miejsca innej polityce.

Ale już inna sprawa zmusiła mnie do interwencji. Była to głupia i niedorzeczna rola policji jako intruza w dziedzinie nauki i sztuki, zwłaszcza teatralnej. Fakty śmiesznej i aroganckiej samowoli policyjnej w tej dziedzinie zaczęły się mnożyć. W N. Sączu zabronił starosta Jarosz odczytu o systemie Kopernika, a w Buczaczu o krążeniu wody w przyrodzie; w Brodach starosta hr. Rusocki zakazał mówić publicznie o gwiazdach, w Borysławiu zaś starosta zabronił odczytu p. t. „Słońce jako źródło życia". Ale jeszcze ładniej spisywały się władze administracyjne w teatrze. W Krakowie sławny dramat Wyspiańskiego „Wesele" został przez cenzurę teatralną nielitościwie skastrowany. Gdzie się znalazło słowo „rosyjski", musiał artysta zmilczeć. Słowa „kosa" nie wolno było artyście wypowiedzieć i nie wolno nosić na scenie sutanny, tylko krótki niemiecki spencerek. P. Kozłowski napisał dramat „Diana", który się rozgrywał w XVIII stuleciu podczas wielkiej wojny polskiej. Szambelan dworski Potocki flirtował tam z pięknością wiejską. Marszałek krajowy hr. Potocki zażądał, aby całą tę scenę wykreślono. Stało się to w ostatniej chwili, tak że artystka, której rolę skreślono, była jeszcze umieszczoną na afiszu teatralnym i pewien recenzent znalazł jej grę bardzo zajmującą. W „Księdzu Marku" Słowackiego znajduje się hetman polny Branicki, który był pradziadem p. Tarnowskiej. Hr. Tarnowski, prezes krakowskiej Akademji Umiejętności zażądał, aby marszałek Branicki nie występował jako Branicki, tylko poprostu jako hetman polny. Całe przedstawienie zostało przez to zepsute. Krakowska cenzura zezwoliła na wystawienie dramatu Szekspira „Juljusz Cezar", ale tylko pod warunkiem, aby rzymscy żołnierze nie wystąpili w uniformach austrjackich!

Konfiskowano i zniszczono utwory Kasprowicza („Chrystus"), Żeromskiego („Poganin", przedruk w „Naprzodzie"), Przybyszewskiego („Requiem aeternam" w „Krytyce").

„Rozum staje dęba" kiedy się rozważa te potworne idjotyzmy „inteligentnej" administracji, uprawiane na scenie polskiej w Krakowie i Lwowie. Czyż nie miałem słuszności smagając to bractwo bez litości?

Najważniejszym wypadkiem tego okresu był wielki strajk rolny chłopów Wschodniej Galicji, najżyźniejszego czarnoziemu w Europie. Strajkowało około 120.000 chłopów przy żniwach. Żądanie strajkowe streszczało się w podwyżce płacy. Ponieważ ze strony rządu działy się na całem galicyjskiem Podolu niesłychane gwałty i nadużycia, przeto postawiłem w Izbie wniosek o wybranie komisji z 25 członków celem zbadania nadużyć. Dnia 28 października 1902 r. motywowałem wniosek, nad którym Izba debatowała przez cztery posiedzenia, aby go w końcu odrzucić. Była to jedna z wielkich „debat galicyjskich" w której poddałem ostrej krytyce system rządzenia krajem na wyłączną korzyść szlachty.

Ujmowałem się za najbiedniejszymi z biednych bo za małorolnymi i parobkami, o których cytowany już przezemnie książę Puzyna (oczywiście nie biskup) pisał w ugodowo-

konserwatywnym „Kraju“ petersburskim: „mieszkania dla tych ludzi niedostatecznie żywionych, szczególniej we dworach średniej zamożności, zostawiają pod względem hygieny o wiele więcej do życzenia, niż pomieszczenie inwentarza dochodowego“...

„Tej części ludności — woła p. Puzyna — dzieje się straszna krzywda i trzeba się zgodzić, że w pewnej swej części inteligentne społeczeństwo galicyjskie zatraca poczucie wstydu i sprawiedliwości“...

Płace robocze wynosiły w tym żyznym „Egipcie“ galicyjskim od 12 centów dziennie za pracę całodzienną młodego robotnika lub dziewczyny, aż do 45 centów dla dorosłego robotnika. Oczywiście bez wiktu! A fornal dostawał rocznie od 15 do 35 guldenów i 10 korcy ordynarji często nader lichej. Te głodowe zaiste płace płacili magnaci jak książę Sapieha, hrabiowie Gołuchowski, Wodzicki, Borkowski, Lanckoroński, Baworowski i inni...

Kiedy strajk wybuchł, stanęli księża obu obrządków do walki przeciw chłopom. Przytoczę typowe dwa kazania z tych dni. Pierwszy kazał ksiądz Domaradzki w Dunajewie:

„W Piśmie świętem są słowa Chrystusa o tem, jak to pewien właściciel winnicy godził robotników do swej winnicy; jedni z tych robotników przyszli prędzej, drudzy później, ale gospodarz wszystkim jednakowo zapłacił po groszu. Grosz znaczył tyle, co dzisiaj 25 centów (!). Więc widzicie ludzie, że sam Chrystus Pan ustanowił płacę robotnikowi na 25 centów (!). Kto więc żąda więcej, ten grzeszy przeciw Chrystusowi Panu i będzie za to wiecznie w piekielnej smole gorzał. Strajk wymyślił wróg Chrystusa szatan, by was od Boga odwieść i do piekła zaprowadzić, a działa przez Żydów (!), którzy was do strajków namawiają“...

W Toporowie zaś, w powiecie brodzkim, pop Tymoczko, w niedzielę 10 sierpnia na kazaniu powiedział, co następuje:

„Dla Boga, ludzie cóż robicie? Jakżeż możecie słuchać ruskich radykałów! To wszystko, co oni mówią, to wręcz fałszywe i kłamliwe. Rusini tylko kłamstwa wam opowiedzieli, niema ustawy o strajku; Rusini sobie tylko wymyślili taką ustawę, aby zniszczyć polskich dobrodziejów, wielkich właścicieli“.

Czyż mamy się dziwić temu gorliwemu popowi, jeżeli starostowie powszechnie przeczyli, jakoby w Austrji było prawo strajku, czyli wolnej koalicji, chociaż obowiązywało ono od 1869 r. Ale i starostów nie można zbyt surowo oceniać skoro sądy, jak np. w Nowem Siole, uznawały chłopów winnymi, że utworzyli komitet strajkowy!

W długiej debacie Koło trzymało się dotychczasowej taktyki t. j. ogłaszało mnie za „beznarodowca“ i narzekało na to, że „piorę brudy galicyjskie“ w Wiedniu. W końcu mej mowy odpowiedziałem na oba te punkty widzenia:

„Pytam, kto szkodzi krajowi? Czy my, broniący słabych, pragnący dla ludu swobody, chleba, wiedzy, czy też ci, co chorują w prasie na manję wielkości, a łaszą się tu u dworu?

W prasie galicyjskiej jesteście strasznie patrjotyczni, ale w Wiedniu jesteście czarnożółtymi aż do szpiku kości, a pan, panie Gniewosz, całą swoją siłę i sławę widzisz w tem, że często chodzisz do cesarza. (Poseł Gniewosz: Tak! ja jestem czarnożółtym!) A widzisz Pan!

Gdy wy, panowie denuncjujecie chłopów i cały naród jako anarchistów, wtedy nie uwłaczacie czci tego narodu. Ale gdy my przytaczamy cyfry i daty, wówczas mamy być szkodnikami?!...

Chciałem przecież raz spróbować i dałem do poznania szlachcicom, że kandyduję do Sejmu; kandydowałem dwa razy, we Lwowie i w Krakowie przy jawnem głosowaniu w uprzywilejowanej kurji; oba razy użyliście przeciwko mnie wszystkich oszukańczych sztuczek wyborczych, ażebym tylko nie mógł wstrząsnąć sumieniem mego narodu z trybuny sejmowej!

Użyliście wszystkich środków, posłaliście nawet administratora podatków na komisarza wyborczego dla mieszczan, dla żydowskich i chrześcijańskich kupców, ażeby tylko mnie nie wybrano. I odciąwszy mi wszystkie drogi powiadacie teraz: „Musisz milczeć i tutaj!“

Ale ja muszę mówić i będę mówił, choćbyście w swych gazetach mowę moją przekręcali i przemilczali, jak to od wielu lat macie w zwyczaju. Nie tracę bowiem nadziei, że polski lud dowie się com tutaj mówił“.

ROZDZIAŁ XI.

Radca miasta Krakowa. — Drogi wodne. — Strajk w Borysławiu.

W pięknym miesiącu maju 1902 r. zostałem wybrany radcą miejskim w Krakowie, którego obywatelstwo później uzyskałem. Radcostwa mego nie zawdzięczałem powszechnemu głosowaniu, ani też głosom robotniczym już dlatego, że robotnicy byli w gminie zupełnie pozbawieni praw wyborczych. Na 19.000 mężczyzn, uprawnionych w Krakowie do głosowania na posła w V kurji, tylko 6.000 miało prawo wyborcze do gminy i to w licznych kurjach, które dla humoru historycznego przytoczę, jak np. „kurja inteligencji“ (!), kurja „dużych domów“, „małych domów“, „wielkiego handlu“ i „małego handlu“, oraz podkurja rzemieślnicza. Szalone dysproporcje liczbowe kryły całą tę sumę nierozumu i niesprawiedliwości społecznej. Najgorsze prawo miała oczywiście „inteligencja“, najlepsze „duże domy“ i „wielki handel“... Żadnego prawa nie mieli robotnicy, biedni rzemieślnicy i kobiety, z wyjątkiem tych, które miały dyplom, dom, kapitały, ale i te nie głosowały same, a tylko przez pełnomocników. Temi pełnomocnictwami kobiecemi miały podczas wyborów hjeny wyborcze wypchane kieszenie. Kandydowałem za inicjatywą p. dra Adolfa G r o s s a w „małym handlu“, gdzie otrzymałem $^2/_3$ oddanych głosów. Moi wyborcy byli to drobni handlarze żydowscy, będący pod wpływem dra Grossa; nie mieli do mnie żadnych pretensji, co sobie wyraźnie zastrzegłem, chcąc mieć wolną rękę w sprawach robotniczych. „Mały handel“ wybierał mnie jeszcze dwukrotnie, tak że radcą byłem przez lat kilkanaście, aż mnie losy rzuciły zdala od życia codziennego Rady krakowskiej.

Rozmiary tej pracy nie pozwalają mi na opisywanie szczegółowsze mojej działalności jako radcy. Byłem tutaj, tak samo

jak w parlamencie, jedynym socjalistą wśród konserwatystów i konserwatywnych demokratów. Nie mogę jednak narzekać na zbytnią nietolerancję ze strony moich kolegów. W dość nudną atmosferę posiedzeń wnosiłem wielkie ożywienie, słuchano mnie chętnie, czasem nawet uchwalano moje wnioski. Najczęściej je odrzucano, często przyjmując ich zamiary. Praca moja dotyczyła obrony służby miejskiej, wprowadzenia odpowiednich mieszkań dla dozorców domowych, obrony praw społecznych robotników pracujących w instytucjach miejskich, jak akcyza, elektrownia, teatr, gazownia, tramwaj; prowadziłem nadto walkę przeciw drożyźnie, akcyzie, niesprawiedliwym podatkom mieszkaniowym. Zasadniczem mojem żądaniem było wprowadzenie r e f o r m y w y b o r c z e j. Doprowadziłem tę sprawę niemal do końca dość pomyślnego (powszechne głosowanie), gdy wybuch wojny wszystko to uczynił bezprzedmiotowem. Gmina miała wielki wpływ na szkolnictwo powszechne, dlatego mogłem nieraz poprzeć sprawę zmodernizowania nauki szkolnej i poprawy bytu nauczycieli. Dążyłem do wybudowania Domu Ludowego i popierałem sprawę subwencji dla Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza. W sprawach teatru i zachowania nieśmiertelnego piękna starego Krakowa częste wnioski moje uchwalano. Prezydentem był najpierw p. Friedlein, księgarz i protestant, który zwyciężył hr. Andrzeja Potockiego, właściciela pałacu „Pod Baranami“, no i nienagannego katolika. Staruszek Friedlein miał dla mnie wiele sentymentu i żyliśmy w wielkiej zgodzie. Zmieniło się to, gdy po nim nastał p. dr. Juljusz L e o, stańczyk, który pewnej nocy przedzierzgnął się w konserwatywnego demokratę. P. Leo był człowiekiem zdolnym i nadawał się znakomicie na burmistrza Krakowa, ale samolubstwo i nadmierna ambicja czyniły go niesprawiedliwym i niesympatycznym. Wojował ze mną ze stolca prezydjalnego, ale kiedy zrozumiał — nauczony gorzkiem doświadczeniem — że socjalizm w Krakowie to nie przemijająca fala, lecz ważne zjawisko społeczne i polityczne, wówczas starał się dojść ze mną do porozumienia i do znośnych stosunków. Poplecznikiem moim w Radzie

miejskiej był dr. Gross, człowiek oryginalny i pierwszorzędny znawca spraw podatkowych. Głosował ze mną często staruszek p. Uderski architekt, radykał z dawnych czasów, a także inni, zwłaszcza niektórzy konserwatyści, po zmianie frontu p. dra Lea. Pewien kolega został wybrany specjalnie, aby mnie zwalczać, a potem asystował mi wiernie w walce z p. Leem...

Oprócz reformy statutu dwie wielkie sprawy zaprzątały przez czas długi uwagę Rady: „Wielki Kraków“ i ochrona miasta przed powodzią.

„Wielki Kraków“, czyli sprawa przyłączenia do miasta kilkunastu sąsiednich gmin i miasta Podgórza, była to myśl dra Lea. Godziłem się na nią ochoczo, ale żądałem wraz z drem Grossem, aby gmina wykupiła najpierw najważniejsze grunty w gminach sąsiednich i zapobiegła lichwie gruntowej, która się rozszalała po stworzeniu większego Krakowa. Żądałem też zniesienia akcyzy i planu racjonalnej rozbudowy ulic miasta na nowych terenach. Tymczasem narazie tylko lichwiarze gruntów porobili świetne interesy... Kiedy inżynier p. Ossowski (późniejszy polski minister handlu) wraz ze znakomitym profesorem zurychskim Gabrjelem Narutowiczem (zamordowanym Prezydentem) opracowali projekt przebicia tunelem kolana Dunajca i utworzenia elektrowni, pracowałem nad tem, żeby Kraków przystąpił do spółki i otrzymał bajecznie tanio wielką ilość prądu elektrycznego, ale przedstawiciele kopalń węgla z p. drem Leem na czele obalili ten wspaniały projekt. Z braku funduszów spoczywa on do dziś dnia w aktach...

Nadzwyczajne trudności miał Kraków z ochroną przed powodzią. W r. 1903 nawiedziła miasto powódź największa od stu lat blisko. Wody rozszalałej Wisły zalały całe połacie miasta i dochodziły do progów uniwersytetu na plantach (Collegium novum). Szkody miljonowe i strach ludności zmusiły Radę do działania. Regulacja Wisły miała wtedy być organicznie związana z budową dróg wodnych, uchwaloną jeszcze w r. 1901. Losy tej ustawy powinny być w historji parlamentów poważną przestrogą, jak nie należy zawierać

tajnych umów w sprawie rozbieżnych interesów różnych grup narodowych. Rząd austrjacki chciał wybudować szereg alpejskich kolei, będących drugiem połączeniem Trjestu z Wiedniem, a także z Monachjum i Hamburgiem. Planował na ten cel wydatku około pół miljarda koron. Aby pozyskać zgodę Czechów i Polaków, zaproponował budowę kanałów spławnych, łączących Dunaj z Odrą, Wełtawą, Wisłą i Dniestrem. Plan olbrzymi, mający połączyć środek kontynentu z morzem Północnem, Bałtyckiem i Czarnem, wymagał wedle obliczeń także około pół miljarda wydatków. Ponieważ potrzebne były najpierw szczegółowe plany dróg wodnych, przeto ustawa z r. 1901 przepisywała zaczęcie właściwych robót w r. 1904. Byłem tej ustawy najgorliwszym współpracownikiem i popierałem wciągnięcie Rady miasta Krakowa do akcji. Rusini galicyjscy byli tej ustawy zaprzysiężonymi wrogami, dotąd nie wiem dlaczego właściwie. Słabo też popierała je szlachta polska, bojąca się od wieków uprzemysłowienia kraju jak ognia. Drogi wodne miały od najstarszej starożytności ogromne znaczenie gospodarcze. W nowszych czasach Ameryka, Francja i Niemcy budują je z ogromną korzyścią dla swego rozwoju. Dla przewozu węgla, rudy, kamienia, piasku, łupków smołowych, gliny, drzewa i wszystkich masowych dóbr ciężkich a także żelaza, maszyn i t. d. jest droga wodna tak tanią, że cena transportu wynosi najwyżej ¹/₃ ceny kolejowej. Konkurencji szkodliwej kolejom drogi wodne nie wyrządzają; przeciwnie, rozwijając przemysł potęgują ruch kolejowy, a w pewnych sezonach są jedyną ulgą dla transportów kolejowych. Rolnictwo zaś przybrzeżne odnosi ogromne korzyści z owych żył wodnych. Dla Polski są drogi wodne głównym warunkiem uprzemysłowienia. Z powodu ogromnego kapitału potrzebnego do budowy i słabego oprocentowania, czyli długiego okresu amortyzacji, może je budować tylko państwo, albo wielka grupa kapitalistów. Ustawa zatem z r. 1901 była dla Galicji niezmiernie pożyteczną. Ale Koło Polskie pokazało co umie, nawet w takiej sprawie. Rok 1904 minął bez jakiejkolwiek pracy nad drogami wodnymi. Koleje alpejskie tymczasem

budowano zawzięcie i to tak kosztownie, że zamiast pół miljarda wydano na nie przeszło 900 miljonów koron. Oprócz tego sławetne delegacje obu parlamentów uchwaliły właśnie w r. 1904 ogromne kredyty na nowe armaty i inne zbrojenia. Przypomniałem więc rządowi jego obowiązek wykonania ustawy o budowie dróg wodnych i postawiłem w kwietniu 1905 r. wniosek nagły w tym kierunku. Rząd wprawdzie uznał istnienie ustawy i oświadczył, że „zobowiązań jej nie ignoruje“, ale cóż, kiedy hr. Dzieduszycki wyraził imieniem Koła na ślepo zaufanie rządowi i zapowiedział, że Koło będzie głosowało przeciw memu wnioskowi. Drogi wodne zostały pogrzebane, a w smutnym tym dla kraju fakcie nie mogły już nic znaczyć śmieszne historje, urządzone później przez prezesa Koła p. Bilińskiego, z uroczystem kopaniem kanału Kraków-Zator, bo rząd austrjacki środków na budowę dróg wodnych nie dał i wraz z Kołem Polskiem je pogrzebał. Pozostały z wielkich zamierzeń drobne roboty regulacyjne, jak obwałowanie Wisły w Krakowie i gorzkie rozczarowanie tych, co chcieli widzieć drogi wodne w Galicji. Sławne „iunctim“ (łączność) między kolejami alpejskimi dla Niemców a drogami wodnymi dla Czechów i Polaków skończyło się kpinami z tych ostatnich. Tylko tak nędznie zorganizowany i tak słabo uświadomiony kraj jak Galicja mógł pozwolić na ten skandal prawodawczy za swoje pieniądze podatkowe!

Wracam do robotników, tym razem naftowych w Borysławiu, którzy w początku lipca 1904 r. zastrajkowali i wezwali mnie do przybycia. Strajk objął całe kopalnictwo naftowe w Borysławiu i okolicy, przerzucił się do Krosna, Równego, Potoku i t. d. i liczył w Borysławiu 8.000 strajkujących. Z powodu wielkiej wagi zagłębia naftowego dla całego życia państwa, namiestnik hr. Andrzej Potocki przerwał kurację w Karlsbadzie i przybył wraz ze mną do Borysławia. Dla „bezpieczeństwa“ odkomenderowano oczywiście zaraz kilka bataljonów piechoty. Przy sposobności tego strajku spostrzegłem, jak mało trzeba mieć rozumu, aby „rządzić“. Przedsiębiorcy naftowi zarzucili z brzega, że robotniczy komitet strajkowy jest „nielegalnie“ wybrany i dlatego oni nie mogą z nim pertraktować. Zarzut ten był bez żadnego znaczenia i miał służyć do odrzucenia rokowań z robotnikami. Hr. Potocki wezwał mnie do siebie i z całą powagą zsolidaryzował się z kapitalistami, mówiąc, że „komitet jest nielegalny“.

— Panie hrabio — odpowiedziałem — jak pan sobie wyobraża legalność wyboru?

— Powinni wybierać na szybach.

— Na 156 szybach chce pan rozproszyć 8.000 rozgoryczonych, dwa dni już strajkujących ludzi? A czy pan wie, że wystarczy zepsuć manometr maszyny, lub zapuścić iskrę ognia, aby potem wybuchła nieobliczalna katastrofa? Dla złośliwości kapitalistów mam rozrzucać ludzi, zamiast ich razem trzymać? Roztropny człowiek tego nie zrobi...

— Cóż więc mam uczynić? — zapytał widocznie skonfundowany namiestnik.

— Dać mi lokal i spokój, abym mógł przeprowadzić nowe wybory komitetu, skoro już przedsiębiorcy na to nastają.

— Dobrze, zrobię wszystko, co będzie potrzebne.

Dodać muszę, że rozmowa ta odbywała się „stojąco“, bo hrabia nie ofiarował mi krzesła i sam stać musiał. Wybraliśmy oczywiście komitet bez żadnej zmiany na oficjalnem zgromadzeniu za zgodą namiestnika. Dalsze zaś rozmowy prowadziliśmy już siedząc wygodnie w krzesłach, bo hrabia zrozumiał nareszcie, że mi pierwszym razem nie zaimponował rozumem....

Strajk toczył się o 8 godzin pracy, o lepsze mieszkania, o wodociąg i o filję Kasy Chorych na miejscu. Głównym wodzem kapitalistów naftowych był p. Wacław Wolski, niegdyś wspólnik Szczepanowskiego, powtarzający jego „mesjanistyczne“ frazesy, potem zaś przy pomocy jadowitego „Słowa Polskiego“, szczujący przeciw robotnikom bardzo pospolity wyzyskiwacz. Po stronie robotników rej wodził tow. Maciej Wolfeld, stojący na czele komitetu strajkowego. Przeciw naszym robotnikom mazurom stały potężne firmy Mac Garveya, Perkinsa, Hanowerczyków, Anglobanku, które powstały na miejscu dawnych Gartenbergów, Liebermanów, Gold-

hamerów i t. d. Wolski był ich najzjadliwszym adwokatem, oczywiście w imię „40-letniej uczciwej pracy“ nafciarzy borysławskich. Z początku zapowiadała się walka niebezpieczna, zwłaszcza z powodu bataljonów wojska, ale po kilku dniach zrozumiałem, że kapitaliści nie zwyciężą. Dyscyplina bowiem wśród robotników była wprost idealna. W porównaniu ze stosunkami z przed lat zaledwie dziesięciu, był to inny świat ludzki. Dawni nędzarze rusińscy zostali tylko w kopalniach wosku, przy nafcie pracowali mazurzy, którzy się wreszcie zorganizowali. Olbrzymie zgromadzenia strajkowe odbywaliśmy w cudownym lesie tustanowickim; była to istna sielanka wśród walki. W toku strajku doszły nas wieści, że wojsko choruje masowo z powodu naftowej wody. Sprzyjało to strajkowi, bo dowódcy chcieli opuścić jak najprędzej przeklętą dziurę prowincjonalną.

Hrabia Potocki zapragnął tedy znowu widzieć się ze mną. W rozmowie oświadczył, że byłby nawet skłonny do wycofania wojska, byleby tylko strajk się skończył. Odpowiedziałem, że wojsko nam wcale nie przeszkadza i że nie widzę żadnego związku kończenia strajku wzamian za wycofanie żołnierzy...

Rząd przyjął wiele żądań strajkujących, a wysiłki tow. Diamanda w parlamencie doprowadziły do osiągnięcia ośmiogodzinnej szychty w nafcie. Ale po strajku wytoczono kilku robotnikom proces karny o podpalenie (z zagrożeniem kary śmierci!). Proces ten toczył się przed ławą przysięgłych w Samborze, Stryju i we Lwowie, a zakończył się wreszcie całkowitem uwolnieniem podsądnych. Przyczynili się do tego znani adwokaci tow. dr. Marek i dr. Lieberman, późniejsi wybitni posłowie socjalistyczni.

Strajk był punktem wyjścia wspaniałego rozwoju organizacji zawodowej i partyjnej w tym Borysławiu, gdzie przed laty rządził zbrodniczy terror chciwych zysku, dzikich i nieokrzesanych wyzyskiwaczy.

ROZDZIAŁ XII.

Stosunki międzynarodowe.

Trzy zabory usiłowały rozdzielić społeczeństwo polskie na trzy odrębne społeczeństwa. Sto lat różnych warunków ekonomicznych, prawnych i oświatowych działało z potężną siłą. W Królestwie powstawał wielki przemysł, w Poznańskiem kwitło rolnictwo, a biedna Galicja nie miała ani przemysłu, ani rozwiniętego rolnictwa. Szkolnictwo wszędzie źle stało i wszędzie było narzędziem antypolskiem państw zaborczych. Centrem ekonomicznego ciążenia stawały się dla Galicji zachodniej przemysłowe kraje austrjackie, dla Królestwa wschodnie rynki zbytu, a dla Poznańskiego przemysł zachodnich Niemiec jak np. Westfalja. Życie publiczne było wszędzie na niskim poziomie. Źródła polskiej myśli zasypano obcym żwirem... W tych warunkach dla nas, „marzycieli“ i „fanatyków“, potężnem źródłem ożywczem myśli i uczuć była tradycja 1863 roku. Pomordowani powstańcy ożyli w naszych sercach, byli dla nas jednością polską i zapowiedzią niepodległości. Kult Królestwa, jako głównego niegdyś zbiornika sił powstańczych, płonął w naszych duszach. „Emigrant“ z Królestwa, powstaniec, który się schronił do Galicji, stawał się dla nas przedmiotem czci głębokiej, był w naszych oczach całkiem innym, wyższym człowiekiem niż zwykły mieszkaniec „Galilei“... Poniżaliśmy siebie aby wywyższyć królewiaków. Oczywiście rdzenni „galicjanie“ protestowali przeciw temu poniżeniu. Zawsze istniał pewien prąd prowincjonalnej niechęci do królewiaków. Ale przechodziliśmy nad tem do porządku dziennego. Wychowany w takich poglądach, stosowałem je od młodości. Łatwą też było dla mnie rzeczą odrazu przy pierwszej sposobności zbliżyć się serdecznie do królewiaków, skąd powstało mnóstwo

przyjacielskich stosunków z nimi jeszcze przed uniwersytetem i potem podczas studjów.

Politycznie zbliżyliśmy się po raz pierwszy niestety dopiero zagranicą. Podczas II Kongresu międzynarodowego w Brukseli w r. 1891 zostałem wybrany przewodniczącym delegacji polskiej. Delegacja składała się z grup, które dalekimi jeszcze były od partyjnej organizacji nowoczesnej. Pod pewnymi względami delegaci byli „improwizowani“, a nie wybrani przez zwarte partyjne zgromadzenie. P. P. S. jeszcze się nie była utworzyła. W kraju były przeróżne „Związki“ i „Zjednoczenia“ ale bardzo rychło znikające. Nie było jeszcze komu poważnie nawiązać stosunków z innemi stronnictwami robotniczemi...

Najpierw zadzierżgnęliśmy je z partjami najbardziej w danem państwie rozwiniętymi. W Austrji zbliżenie się do partji niemiecko-austrjackiej dokonało się drogą osobistej przyjaźni, którą zawarłem w r. 1890 z drem Wiktorem Adlerem, jej przywódcą. Był wprawdzie na austrjackim kongresie w Hainfeld (1889) rzekomym reprezentantem socjalistów polskich p. Naftali Telz drukarz, ale był to zupełnie fikcyjny przedstawiciel, mianowany w Wiedniu raczej niż w Polsce.

Dr. Adler przedstawił mi warunki wstąpienia naszej partji do austrjackiej „Międzynarodówki“. Było to właściwie uznanie programu uchwalonego w Hainfeld, który w niczem nie różnił się od wszystkich programów socjalistycznych ówczesnej doby. O ile chodziło o Polskę, której proletarjat dążył do zjednoczenia i niepodległości ojczyzny, złożyła delegacja polska na kongresie w Wiedniu deklarację, w myśl której zastrzegliśmy sobie możność jednolitej organizacji z socjalistami polskimi trzech zaborów i ubolewaliśmy, że do ścisłej austrjackiej organizacji wejść nie możemy.

Imieniem delegacji motywowałem tę deklarację. Obecny gość z Berlina, tow. Auer, wystąpił ostro przeciwko mnie, ale Adler oświadczył wyraźnie, że deklaracja musi być przyjętą do wiadomości. Odtąd byliśmy w związku — dość luźnym — z wszystkimi socjalistycznymi partjami w Austrji. Było to dla

nas wielką zdobyczą wobec szaleństw galicyjskiej reakcji, która traktowała socjalizm i socjalistów jako zdrajców, bandytów, anarchistów i piętnowała nas modnym wówczas wyrazem „nihilistów“... Taki Badeni jako namiestnik, który sejmowi szlacheckiemu cisnął raz w oczy, że będzie rządził bez ustaw sejmowych, nie krępował się wobec nas ani prawem, ani uczciwością, lecz gwałcił najskromniejsze prawa ludowe bez skrupułu. Otóż pomoc takich ludzi jak Adler i jego przyjaciel Pernerstorfer, a przedtem jeszcze niezapomniany demokrata z r. 1848, dr. Kronawetter, była dla nas — wobec zbrodniczych nadużyć (innego wyrazu trudno użyć) policji, kleru, prokuratorów i obszarników galicyjskich — niesłychanie cenną. Niejeden atak na naszą biedną prasę, na młode organizacje polityczne i zawodowe został w ten sposób w parlamencie wiedeńskim (przed r. 1897) odparty przy pomocy pisma Adlera, „Arbeiter Zeitung“ i posłów Kronawettera i Pernerstorfera. Pamiętam memorjał mój, który przedłożyłem Pernerstorferowi w parlamencie. Zestawiłem w nim kilkadziesiąt procesów wytoczonych naszym przyjaciołom. Na siedm z górą lat aresztu śledczego wypadał jeden wyrok sądowy opiewający na 14 dni aresztu! Tak bezpodstawnie — nawet w oczach sądów galicyjskich — więziła prokuratorja socjalistów polskich.

Reakcja polska odrazu spostrzegła się, że ta pomoc socjalistów wiedeńskich psuje jej robotę i wyruszyła przeciw nam z hasłem: „Prać brudną bieliznę w domu!“ albo: „Zły to ptak, co własne gniazdo kala...“, chcąc nas zmusić do pokornego znoszenia jej szaleństw i nie dać nam się rozwinąć. Ci sami ludzie, którzy wszelką władzę w kraju brali z rąk cesarskich, ci sami politycy, którzy wyrzekli się niepodległości polskiej dla służebniczego hasła „Przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy“, korząc się do stóp cesarza Franciszka Józefa, ci ludzie, którzy podczas ruchu rewolucyjnego w Królestwie ostrzegali, żeby nie brać udziału w buncie „sąsiedniej dzielnicy“ (manifest Koła Polskiego), śmieli nam zarzucać, żeśmy zwracali się po pomoc do robotników socja-

listów wiedeńskich, którzy zresztą ani razu nie stawili żadnych przeszkód w naszym wewnętrznym rozwoju, a przeciwnie, często czynnie pomagali pracom rewolucyjnym w Polsce. Wesoło mi się robi w duszy nieraz, gdy sobie przypomnę, jak dr. Adler pomagał w Wiedniu do wydobycia z kozy np. pana Stanisława Grabskiego, dzisiejszego wodza endeków, ongiś zażartego socjalisty...

Nigdy nie dopuściliśmy do najmniejszego wmieszania się politycznego Wiednia czy Czech do życia naszego w kraju.

Oczywiście, że nie zadawalnialiśmy się pozycją „petentów“ wobec Wiednia. Umieliśmy być także pożytecznymi naszym towarzyszom z Zachodniej Austrji!

Okazało się to w r. 1905 i 1906 podczas olbrzymich walk o powszechne głosowanie, gdy nasza agitacja w Galicji zmusiła Koło Polskie do zgodzenia się na reformę wyborczą.

Dzięki rozumowi i genjalnemu nieraz ujęciu spraw politycznych przez dra Wiktora Adlera, stosunek nasz do niemieckiej partji w Austrji był bardzo dobrym, a nieraz serdecznym. Adler był tym, który na międzynarodowych kongresach w Zurychu (1893), w Londynie (1896) i w Paryżu (1900) wytrwale zwalczał wszelkie nienawistne, pełne jadu i wcale niekobiecej złości ataki przeciw nam Róży Luksemburg, która negowała niepodległość Polski i występowała raz w imieniu centralizmu niemieckiego, drugi raz narzucając się Rosjanom jako nasz wróg zajadły, szykanując nas „socjalpatrjotami“ i prawie „socjalzdrajcami“ (wedle miłej terminologji dzisiejszych komunistów). Obdarzony niesłychanym dowcipem i niebezpieczny w każdej debacie, a przytem cieszący się głębokim szacunkiem i serdecznem przywiązaniem w świecie socjalistycznym, był Adler wobec Róży Luksemburg nieraz istnym pogromcą... Inaczej też być nie mogło, bo Adler był przedewszystkiem człowiekiem niewyczerpanej dobroci i głębokiej intuicji, a Róża Luksemburg była umysłem nienawistnym, złośliwym i pojmowała socjalizm jak doktrynę, z której obszarem nie dawała sobie rady, zastępując wiedzę obelgą lub ordynarną nieraz nieprzyzwoitością.

Ciekawym szczegółem z rodzinnego życia Adlera jest fakt, że ojciec jego brał udział w powstaniu polskiem w r. 1863...

Blisko trzy dziesiątki lat żyłem w niezmąconej przyjaźni ze znakomitym wodzem proletarjatu niemieckiego w Austrji, podziwiając nieraz jego genjusz polityczny zarówno jak i wielkość duszy. Syn jego Fryderyk zabił podczas wojny prezydenta ministrów hr. Stuergkha i dopiero rewolucyjne dni końca wojny uwolniły go z więzienia. Hr. Stuergkh był to typ ograniczonego despoty, który wraz z równie ograniczonym starym cesarzem Franciszkiem Józefem „rządził“ tj. kneblował życie publiczne, wywołując szalone odruchy gniewu „rządzonych“. Podziwiałem w tej strasznej sytuacji męstwo ojca, który (wraz z żoną, panią Emą) był dla mnie wzorem jakiejś starorzymskiej cnoty. W listopadowych dniach 1918 r., kiedy przez tydzień byłem prezydentem ministrów w Warszawie, doszła mnie smutna wieść o śmierci Wiktora Adlera, wówczas ministra spraw zagranicznych republiki austrjackiej. Wdzięczna pamięć o nim nigdy w mojem sercu nie zaginie, a i niejeden proletarjusz polski mile wspomni tego zawsze uczynnego, zawsze życzliwego wodza proletarjackiego i dobrego wielkiego człowieka.

Obok Adlera stało przy pracy partyjnej wiele świetnych i zdolnych postaci politycznych. W pierwszym rzędzie poseł Pernerstorfer, idealista niezmiernie sympatyczny, patrjota niemiecki a wróg zajadły nacjonalizmu, przyjaciel wszystkich uciskanych narodów, mój osobisty druh aż do śmierci. Obok wielce zdolnego dziennikarza Austerlitza, który zrobił z „Arbeiterki“ wielkie pismo o znaczeniu europejskiem, stał poseł Seitz b. nauczyciel ludowy, niesamowicie zręczny parlamentarzysta, wyrocznia i doradca każdego prezydenta Izby, dzisiaj wielki burmistrz wiedeński. Dwaj teoretycy: Otto Bauer i Karol Renner dodawali polotu i blasku ruchowi partyjnemu. A potęgą ulicy wiedeńskiej był trybun i poseł Franc. Schuhmeier, postać tak oryginalna, tak z życia ludu wiedeńskiego wyrosła, że był wcieleniem i uosobieniem dobrych i złych właściwości kroci tysięcy wiedeńczyków. Cała

plejada robotniczych i inteligenckich pracowników działała niezmordowanie wśród proletarjatu wiedeńskiego i nic dziwnego, że dzisiaj Wiedeń ma najwspanialszą organizację socjalistyczną wśród stolic świata.

Inaczej układały się nasze stosunki z niemieckimi socjalistami w Rzeszy niemieckiej. Podczas stanu wyjątkowego, którym Bismark chciał „zgnieść“ socjalizm, zbliżyli się w Szwajcarji w osiemdziesiątych latach socjaliści polscy do niemieckich. Zwłaszcza „czerwony poczmistrz“ Motteler był wśród Polaków popularną postacią, bo przemycał masowo z niemiecką gruntownością literaturę socjalistyczną do Niemiec bismarkowskich, a przytem pomagał w przemycaniu i polskim socjalistom. Ja osobiście nawiązałem z niemieckimi socjalistami stosunki już po zniesieniu stanu wyjątkowego (który zbankrutował wraz z polityką Bismarka), w r. 1891, kiedy objąłem redakcję „Gazety Robotniczej“ w Berlinie. Tygodnik ten wydawała partja niemiecka i drukowała go w partyjnej drukarni wraz z centralnym organem „Vorwärts“ („Naprzód“), redagowanym wówczas przez starego rewolucjonistę z r. 1848, przyjaciela Polaków Wilhelma Liebknechta. Liebknecht był konsekwentnym wyznawcą niepodległości Polski i wielokrotnie bronił jej przeciw szalonym atakom Róży Luksemburg — ostatnim razem na zjeździe hamburskim w r. 1897 (umarł w r. 1900). Ale wodzem wszechwładnym partji był August Bebel, a organizację partyjną trzymał w żelaznem ręku Auer. Singer zajmował się sprawami Berlina, lecz oddziaływał również na tok spraw partyjnych. Liebknecht, Bebel, Auer, Singer byli to prawdziwi paladynowie niemieckiego socjalizmu. Znakomici taktycy i politycy doprowadzili niemiecką socjaldemokrację do niebywałej potęgi. Bebel był tym, który protestował w „Północno niemieckim parlamencie“ przeciw zaborowi Alzacji i Lotaryngji, on to stawił czoło Bismarkowi a po nim Wilhelmowi II i jego kanclerzom. Z robotnika tokarskiego, dzięki własnej pracy i zdolnościom został najwybitniejszym politykiem Niemiec współczesnych po roku 1871. Mowy jego w parlamencie niemieckim były nieraz wypadkami politycznymi. Książka Bebla „Kobieta a socjalizm“ została przetłómaczoną na wszystkie języki cywilizowanego świata. Postać piękna, o białej brodzie, pełna idealizmu, działała sympatycznie. Stary Liebknecht, rewolucjonista z r. 1848, idealista niepoprawny, godnie stawał obok Bebla. Niezmordowany w pracy organizacyjnej Auer, niegdyś czeladnik siodlarski, był nazywany człowiekiem z wodą w żyłach, tak był zimny i spokojny. Obok nich Paweł Singer w złotych okularach i z grubym brzuszkiem wyglądał jak bankier raczej a nie socjalista. Ale ten zacięty stary kawaler oddawał partji ogromne usługi.

Z nimi to miałem stale do czynienia jako redaktor „Gazety Robotniczej“. Spędziłem na tem stanowisku pięć miesięcy, aż mię 2 lutego 1892 r. zaaresztowała łaskawie policja w Krakowie i odstąpiła prokuratorji na 3 blisko miesiące w więzieniu św. Michała. To przerwało moją działalność w Berlinie na zawsze.

Niemieccy towarzysze nie wtrącali się wcale do mej pracy redakcyjnej a technicznie starali się dopomagać w rozszerzaniu pisma. Wedle nich „Gazeta“ miała być obliczona na działanie w Poznańskiem. Ale już po pierwszych miesiącach spostrzegłem, że w drobnomieszczańskiem, pozbawionem przemysłu Poznańskiem nie mogło pismo socjalistyczne liczyć na powodzenie i dlatego żądałem, aby posłano polskich robotników na Górny Śląsk, gdzie „Gazeta“ mogłaby działać wśród dziesiątków tysięcy górników całkiem inaczej i stać się ośrodkiem wspaniałego ruchu robotniczego. Ale żadne moje argumenty nie pomogły. Ani Auer ani Bebel nie poszli za moimi planami. Znacznie później dopiero tow. Biniszkiewicz zdołał przenieść „Gazetę Robotniczą“ do Katowic, ale rozwinąć ją mógł tylko kosztem zaciętej walki z niemieckimi socjalistami, z których najbardziej nienawistnym był niejaki dr. Winter.

Ciekawą dla niejednego rzeczą będzie wskazanie na fakt, że z początku skorzystał z polskich głosów socjalistycznych na Górnym Śląsku radykał wówczas prawie czerwony, p. Wojciech Korfanty. Otrzymał on w r. 1903 przy ściślejszych

wyborach około 10.000 głosów, które przedtem przy głównym wyborze padły na tow. Morawskiego. Socjaliści polscy stworzyli niegdyś pierwszy szczebel do karjery p. Korfantego. Polityka jest sztuką zapominania...

Po mojem aresztowaniu redagował „Gazetę Robotniczą“ p. Stanisław Grabski, a po nim Stanisław Przybyszewski, znany pisarz polski.

Najważniejszym dla nas momentem w stosunku do niemieckich socjalistów była ich polityka wroga caratowi rosyjskiemu. Rozumieli dobrze, że carat jest stosem pacierzowym reakcji europejskiej, a pruskiej w szczególności. Najstarsi wodzowie ruchu socjalistycznego niemieckiego pamiętali jeszcze tradycyjne sympatje rewolucji niemieckiej dla bohaterskich wojsk polskich, które po wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831 opuszczać musiały kraj rodzinny, a pochód ich przez Niemcy był jednem wielkiem świętem entuzjazmu i zapału Niemców wobec polskich żołnierzy. Pamiętali ci wodzowie z własnego przeżycia walkę zbrojną r. 1848 i 1849 w Berlinie i w południowych Niemczech pod wodzą polskich rewolucjonistów. Carat i najwierniejszy jego sojusznik, Prusy Hohenzollernów, to były potężne zapory ruchu socjalistycznego w Europie i socjalna demokracja niemiecka otwarcie wypowiedziała walkę obu tym złowrogim potęgom. Na tym gruncie mogli polscy socjaliści łatwo porozumieć się z niemieckimi. Kiedy powstała myśl strajku robotniczego w razie wojny, Niemcy i Polacy zwalczali ją w r. 1891 (Bruksela) i 1893 (Zurych), wskazując na to, że w Rosji strajk taki nie rozwinie się, a Europa środkowa i zachodnia mogłyby wobec caratu być przez strajk militarnie ubezwładnione. Potęga partji niemieckiej, jej olbrzymie organizacje polityczne, wpływ jej organizacji zawodowych, wszystko to przyczyniało się do tego, że Niemców podziwiano i naśladowano. Przez dwa dziesiątki lat byli oni faktycznymi wodzami Międzynarodówki, poczuwając się z reguły do polityki godnej wodzów, spełniając obowiązki wobec wszystkich bratnich partji często w sposób godny podziwu i uznania.

Ale kiedy minęły bismarkowskie prześladowania, kiedy szalony wprost rozwój przemysłu i handlu niemieckiego, na tle potęgi państwowej i militarnej Rzeszy, wprowadził do partji miljony zupełnie surowych, do żadnej historji ruchu nie przywiązanych ludzi, kiedy duma państwowa zaczęła brać przewagę nad dawną walką przeciw dynastom, — wówczas poczuli tę potęgę w sposób złowrogi robotnicy polscy, którzy w strasznych policyjnych warunkach zaczęli pracę nad zorganizowaniem Polskiej Partji Socjalistycznej w Niemczech, t. j. na Górnym Śląsku i na emigracji w Westfalji. Polacy znaleźli się już nie tylko wobec prześladowań rządu, ale i wobec niechętnej, często wrogiej postawy robotników niemieckich. Nadto polski socjalizm w okropnych warunkach życia w Królestwie rozbił się na dwie wrogie partje: P. P. S. i „Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy“ (S. D. K. P. i L.). Przywódczyni tej socjaldemokracji, Róża Luksemburg mieszkała w Berlinie i szczuła przeciw jakiejkolwiek bądź organizacji P. P. S. w Niemczech. Po latach trafiła wśród Niemców na grunt podatniejszy. Partja niemiecka wystąpiła przeciw Polakom, odmawiając im prawa tworzenia własnej organizacji zawodowej i krępując ich organizację polityczną.

Szematem takich wystąpień była rezolucja na zjeździe niemieckim w Monachjum z września 1902 r. Tam p. Luksemburg postawiła rezolucję, ktorą w najważniejszej części warto przytoczyć:

„Zjazd oświadcza: ponieważ ekonomiczne i polityczne interesy polskiego i niemieckiego proletarjatu w państwie niemieckiem są te same, ponieważ dalej socjalna demokracja uważa za swój obowiązek bronić polskiej klasy pracującej przed uciskiem jej narodowości i czyniła wedle sił zawsze zadosyć temu obowiązkowi, ponieważ wreszcie socjalna demokracja uważa i traktuje niemieckich i polskich członków partji jako zupełnie równouprawnionych i popiera agitację wśród proletarjatu polskiego materjalnie i moralnie w najwydatniejszy sposób, musi oddzielenie się pewnej grupy polskiej partji socjalistycznej od ogólnej partji być uważane za zupełnie nieuzasadnione, wywołane tendencjami separatystycznymi, nie mającymi nic wspólnego z zadaniami socjalnej demokracji. Zjazd potępia ostro podwójne

kandydatury na Górnym Śląsku, sprowokowane przez grupę polskiej partji socjalistycznej i wzywa...“ i t. d.

Bebel zbliżył się potem do Róży Luksemburg i wystosował życzliwe pismo do SDKP i L w Królestwie, solidaryzując się z jej polityką „organicznego wcielenia Królestwa do Rosji!“ Poznańskie zaś i Górny Śląsk, zdaniem towarzyszy niemieckich, miało nieodłącznie należeć do Niemiec. Kraj zboża, kartofli i bydła zarówno jak kraj węgla i rud metalowych potrzebne były Niemcom, a że były zamieszkałe w większości przez Polaków, to nie odgrywało w oczach socjalistow niemieckich decydującej roli. Chlubnym wyjątkiem był poseł Ledebour, który lata całe bronił samodzielności polskiej na zjazdach i w prasie niemieckiej. Nienawidził on szczerze p. Róży Luksemburg. — „Wolność języka macierzystego“ i swoboda wyznań religijnych miały być tem maksimum ustępstw, poza które nikt z socjalistów niemieckich iść nie zamierzał. Coprawda wielu socjalistów czerpało argumenty swoje z obozu ugodowców polskich, którzy nigdy więcej nie żądali w Sejmie pruskim lub w parlamencie Rzeszy... Stosunki między Krakowem a Berlinem straciły tedy cechę najcenniejszą: zaufanie wzajemne. Były one na polu międzynarodowem poprawne, ale my staliśmy twardo po stronie naszych najbliższych braci na Górnym Śląsku, a Berlin popierał konsekwentnie mniejszość niemiecką. Olbrzymie cyfry głosów, które padły na polskich kandydatów socjalistycznych przy wyborach, po rozdziale zupełnym PPS od Niemców pokazały, że tę walkę wygramy pomimo olbrzymiej potęgi partji niemieckiej!

Oczywiście, że Bebel niedługo mógł wytrzymać w życzliwym stosunku z oschłą, zjadliwą i mechanicznie socjalizm pojmującą Różą Luksemburg i nieraz traktował ją w prasie i na kongresach w sposob ostry i bardzo niedelikatny, ale była to jedyna nasza niewinna zresztą pociecha za to, że się był przychylił do jej poglądów w sprawie polskiej...

O wiele więcej sympatji znajdowaliśmy u v. Volmara przywódcy bawarskich socjalistów, który Różę Luksemburg zwalczał do końca życia i stale stał po naszej stronie. Volmar był niezwykle pięknym typem ludzkim. Olbrzymiego wzrostu, z kulą w nodze jeszcze z r. 1871, opierający się na kulach, obdarzony wytwornym talentem towarzyskim, odbijał od północnoniemieckich typów, surowych i mniej sympatycznych.

Wszyscy ci wielcy wodzowie należą już do wieczności i do historji, która ich nazwiska, jako twórców wielkiego ruchu wyzwoleńczego mas robotniczych, zapisze złotymi głoskami.

Krocie tysięcy a potem miljony członków licząca partja niemiecka odgrywała w Europie w czasach, o których piszę, nadzwyczaj wybitną rolę. Olbrzymia literatura z takimi ludźmi na czele jak Karol Kautsky, Mehring, Edward Bernstein i inni, bezpośredni wpływ tradycji i dzieł Lassalla, Marksa i Engelsa, pisanych w języku niemieckim, wielka prasa codzienna, liczna frakcja parlamentarna, tocząca boje z cezaryzmem Wilhelma II, to wszystko rzeźbiło poglądy socjalistów całego świata. Ale wzrost partji pociągał za sobą liczne rzesze nieuświadomione, ogrom jej doprowadzał do rozłamów, a po śmierci wielkich wodzów oblicze partji stawało się mniej interesujące, myśli niedalekosiężne, polot niewysoki. Spory osobiste, uprawiane najpierw przez p. Luxemburg, zatruwały nieraz życie partyjne. Wszystko to zmniejszyło powagę międzynarodową niemieckiej socjalnej demokracji w świecie. Ale centralne położenie geograficzne Niemiec, olbrzymia liczba proletarjatu, światowe znaczenie przemysłu i handlu niemieckiego, będą zawsze czynnikiem, podnoszącym międzynarodowe wpływy i wagę niemieckiego socjalizmu.

Jeszcze na jeden punkt muszę zwrócić uwagę, ponieważ żyję w Polsce, gdzie istnieje narodowa demokracja i jej szkoła dziennikarska. Mam tu na myśli owe „pruskie marki“, które polscy socjaliści mieli jako pomoc dostawać od niemieckich. Twierdzono, że socjaliści polscy byli „kupieni“ i to już nie na rzecz Bebla czy Liebknechta, ale pruskiego rządu. Otóż muszę stwierdzić, że nie otrzymaliśmy ani grosza zapomogi od niemieckich socjalistów. Raz pożyczyliśmy od nich 2000 marek, które oddaliśmy za potwierdzeniem osobistem tow. Gerischa. Ani też pensja moja, czy p. Stanisława Grabskiego lub Przybyszew-

skiego, jako redaktorów „Gazety Robotniczej“, nie była wcale wysoką, bo wynosiła sto pięćdziesiąt marek miesięcznie. Nie przeszkodziło to jednak nigdy oszczercom do rozpowszechniania przez lat dziesiątki bajki, że otrzymywaliśmy „pruskie marki“ w dowolnej ilości! „Guarda e passa! *)“ — mówił na takie rzeczy poeta włoski...

We wschodniej Galicji zorganizował się socjalizm polski znacznie wcześniej niż ukraiński, pomimo, że wśród pierwszych socjalistów w latach jeszcze siedmdziesiątych widzimy tu dwie wybitne postacie: Iwana Frankę i Michała Pawlika. Zupełnie rolniczy charakter ludu ukraińskiego uniemożliwiał przez długi czas rozwój jakiejkolwiek nowoczesnej socjalistycznej organizacji robotniczej. Socjaliści ukraińscy pracowali jako jednostki w polskiej partji, która zresztą głosiła od początku konieczność utworzenia samodzielnej ukraińskiej socjalnej demokracji. Do takich towarzyszy, którzy zbliżyli się do nas i z nami pracowali, należeli Mikołaj Hankiewicz, Semen Wityk, Mełeń i dr. Jarosiewicz.

Z pośród starszego pokolenia wyróżniał się potęgą myśli i wielkim talentem poetyckim Iwan Franko. Prześladowany przez rząd i przez polskich i ukraińskich reakcjonistów, talent ten ogromny nie mógł się rozwinąć w okropnych, zaściankowych ówczesnych stosunkach Galicji. Dopiero bardzo późno — niemal za późno, dano znakomitemu pisarzowi ukraińskiemu katedrę literatury. Ale wkrótce potem potężny duch Franki zamroczyły ponure ciemności; choroba zniszczyła mózg wspaniały i przyniosła ze sobą śmierć. Franko nie odgrywał roli politycznej, ale pod jego wpływem rosło całe pokolenie bliskie socjalizmowi.

Michał Pawlik był przez całe swoje biedne, pełne prześladowań życie uosobieniem jęku uciśnionego chłopa biedaka. Uczuciowo niezmiernie wrażliwy i rozwinięty, działał na serca młodego pokolenia.

Do twórców ukraińskiej organizacji socjalistycznej należeli

*) Spluń i przejdź mimo.

młodsi, jak Mikołaj Hankiewicz (herbu Habdank), Wityk, syn robotnika, student Mełeń i lekarz dr. Jarosiewicz, przez cztery lata (1897—1900) poseł do parlamentu wiedeńskiego. Hankiewicz był wybitną inteligencją. Mełeń zginął potem na wojnie, Wityk przepadł w świecie, dr. Jarosiewicz zapracowuje się w praktyce lekarskiej.

Byli oni tak samo — choć często gorzej — prześladowani jak i my, polscy socjaliści, tylko że ich praca nie mogła dawać tak znacznych rezultatów jak nasza, odbywająca się w bardziej rozwiniętem społeczeństwie. Niepodległa Ukraina była ich ideałem, przez nas również głoszonym. Mikołaj Hankiewicz systematycznie przeprowadzał w życiu polskiego i ukraińskiego socjalizmu hasło: niepodległość Polski i niepodległość Ukrainy. Nacjonaliści ukraińscy zarówno jak i polscy ostro go za to zwalczali. Zrozumienie wzajemne ułatwiało stosunki między nami. Straszliwa wojna światowa przerwała je niemal w zupełności. A jednak wierzę mocno, że należy tego rodzaju stosunki podjąć na nowo i dążyć do koniecznego porozumienia na gruncie prawa każdego narodu do niepodległości.

Z socjalistami czeskimi stykaliśmy się bezpośrednio tylko w kilku powiatach Śląska Cieszyńskiego. Myśmy tam byli znacznie młodszym ruchem robotniczym, musieliśmy zatem nieraz ciężko walczyć o każdą piędź ziemi... Nie mogę też powiedzieć, żeby czescy towarzysze byli łatwymi sąsiadami. Przytem ich ówczesna prowincjonalna polityka i wieczny ton walki sąsiedzkiej, czyniły niejednokrotnie życie na Śląsku niebardzo przyjemnem. Nie mogliśmy sympatyzować z ich moskalofilstwem, które robiło wrażenie zachowania się ubogiego krewnego wobec bogatego opiekuna... Ale i my i oni staraliśmy się uczciwie przezwyciężać trudności i nieraz bywaliśmy gośćmi w Pradze, a oni u nas w Krakowie i Lwowie — przyjmowani serdecznie i życzliwie. Wiekowa ich walka z Niemcami, zwycięskimi od r. 1620 (bitwa pod Białą Górą), wytworzyła z nich „Słowian“, wrogich przedewszystkiem Niemcom, Słowian, akcentujących tę „słowiańskość“, jako podstawową

nutę życia publicznego. Myśmy od „Słowian“ rosyjskich najstraszniej ucierpieli i dlatego nigdy nie mogliśmy stanąć na jakiejś specjalnej podstawie „Słowiańszczyzny“, lecz akcentowaliśmy naszą polskość i międzynarodową solidarność nietylko ze Słowianami, ale ze wszystkimi partjami socjalistycznymi.

Czesi odznaczali się zajadłością narodową; nie ustępowali nawet tam, gdzie powinni byli zrozumieć konieczność jednolitej w państwie organizacji zawodowej robotników. Szczególnie Czesi, których emigracja zarobkowa do Wiednia i Dolnej Austrji była potężną, Czesi, zaludniający fabryki obok niemieckich towarzyszy, powinni się byli liczyć z jednolitością organizacji zawodowej. Walka niemiecko-czeska rozbiła wszelkie związki i odosobniła Czechów w małej Międzynarodówce austrjackiej. Powstała — przy pomocy Wiednia — nawet czeska partja „centralistów“, zmąciło się ciężko życie robotnicze w krajach czeskich, aż wreszcie doczekali się czescy socjaliści zagłady cesarstwa austrjackiego i weszli w nową fazę rozwoju.

Probierzem umiejętności dobrego pożycia jest i będzie zawsze stosunek do najbliższych sąsiadów. Z dalekimi narodami żyje się idealnie. Ich błędy nas nie bolą, a przynajmniej nie codzień, ich cnoty nas zachwycają z daleka... Jeżeli nam pożyczyli pieniędzy, płacimy z wdzięcznością procenty; gdy biorą nasze towary, uznajemy ich życzliwość, gdy my u nich kupujemy, czynimy to, ponieważ leży to w naszym interesie. O ile nas urażą złem słowem, protestujemy, ale łatwo zapominamy. Sąsiad jednak, z którym codzienna nędza życiowa nas łączy i dzieli, sąsiad mający pretensje, sąsiad mogący bezpośrednio pomódz ale i zaszkodzić, to dopiero próba żywotności uczuć międzynarodowych, ogólno-ludzkiej solidarności!...

Otóż w młodych latach naszej partji liczono się z temi uczuciami bardzo poważnie i nigdy nie pozwolono sobie na wybryki nienawistnego słowa z powodu różnic, które wybuchały między nami a sąsiadami. Uważano tę wstrzemięźliwość za objaw dodatni, umożliwiający w wielkich wspólnych sprawach rozwinięcie szczerości i ofiarnego zapału.

Każdy naród ma swoje cechy dodatnie i ujemne, każdy jest wytworem tysiącoleci oddziaływania warunków historycznych na dane zbiorowisko ludzkie, stające się narodem. Ludzkość jest jak harfa wielostrunna. Nie należy jej pozbawiać żadnej struny, lecz wszystkie dostroić, aby kiedyś wygrała hymn najwspanialszy... Międzynarodowość socjalistyczna jest dzisiaj jeszcze w kolebce. Ubóstwo robotników, nieznajomość obcych języków, przytwierdzenie miljonów do gleby ojczystej, ograniczenie się do spraw, odbywających się tylko w obrębie jednego narodu i zupełna prawie nieznajomość obcych stosunków, wreszcie szał nacjonalistyczny inteligencji, sączący truciznę nienawiści między narody, — to wszystko są przeszkody we wzajemnem zrozumieniu się i porozumieniu. Zaborcze zamierzenia różnych klas rządzących w danych narodach, imperjalizm wielkokapitalistyczny, chcący zawładnąć jak największą częścią kuli ziemskiej dla swoich wyłącznie interesów — to wszystko grozi jeszcze światu wybuchami nienawiści, sporami i wreszcie wojną.

Analizując czynniki mogące tej nienawiści przeciwdziałać, zwracamy najpierw uwagę na religje pozytywne. Lecz historja poucza nas, że np. kościół katolicki nie zdołał w ogromnej większości wypadków zapobiedz krwawym wojnom nawet między katolickimi narodami — Anglją, Francją, Niemcami, Hiszpanją i t. d. Kler katolicki błogosławił każdą broń, choćby przeciw katolikom skierowaną. O ile zaś o innowierców chodzi, umiał kościół katolicki podburzać wieki całe jedne narody przeciwko drugim. Podżegał np. stale przeciw muzułmanom i protestantom, zalecając wojnę jako czyn chwalebny, jak np. wojny krzyżowe. Dziś oczywiście kościół katolicki, protestancki, czy wreszcie muzułmański straciły wiele ze swego znaczenia w rzeczach świeckich; błogosławienie oręża każdego narodu przeciw innemu narodowi stało się dziś pustym ceremonjałem, urągającym w skandaliczny sposób przykazaniom boskim...

Ani czarna, ani biała, czy złota „Międzynarodówka“ nie zabezpieczają narodów od wojen. Czy zabezpieczy je Robot-

nicza Międzynarodówka Socjalistyczna? Jest to problem przyszłości. Na problem ten składa się pół wieku usiłowań zrealizowania solidarności międzynarodowej wśród robotników socjalistycznie zorganizowanych, ale także niezmierna trudność pokonania konkurencji gorzej płatnego, dłużej pracującego, o mniejszych wymaganiach robotnika — wobec wyższej, zdobytej już stopy życiowej innego robotnika. Są dalej przesądy, uprzedzenia, odrazy szczepowe czy rasowe, są tysiączne wpływy obce, szczujące robotników przeciw robotnikom. Ale międzynarodowo działający 8-godzinny dzień pracy i ciągła, nieustająca walka klasy robotniczej o wyższą stopę życiową, ciągle żywa wśród socjalistów myśl o zbliżeniu się do braci innych narodów, wreszcie centralizujący wpływ nowoczesnego „największego“ kapitału na ogromnych połaciach ziemi, — to wszystko będzie działało na świat pracy w kierunku pokoju.

Najlepszym hamulcem przeciw wojnie jest i pozostanie strach przed grożącą po przegranej wojnie rewolucją. Gdyby ten strach uczynić stale aktualnym, w umysłach obecnym, możeby prędzej urzeczywistniło się hasło międzynarodowego pokoju. Usiłowania ludów i rządów, których jesteśmy świadkami, mogą być uwieńczone powodzeniem tylko wtedy, jeżeli masy pracujące, stanowiące podstawę państw, szczerze i świadomie zapragną pokoju.

Czy uda się wytworzyć taką potęgę, żeby stanąć u progu racjonalnej światowej gospodarki zorganizowanej pracy, to kwestja przyszłości.

Osobiście wierzę w to głęboko.

Z innymi narodami nie mieliśmy szerszych płaszczyzn zetknięcia. Spotykaliśmy się z nimi na kongresach i na konferencjach ściślejszych, ale dalekimi byliśmy w naszej zapadłej Galicji od częstszych stosunków z Francuzami, Anglikami lub Skandynawami. Osobiście znałem Hyndmana, Keir Hardy'ego, Mac Donalda, Jaurèsa, Guesda, Plechanowa, Vandervelde'go, Anseele'go, Huysmansa, Troelstrę, Van Kol'a, Brantinga, Iglesiasa, Turatiego i wielu innych znakomitych działaczy i wodzów socjalistycznych świata. Dzielnego starca, Fryderyka Engelsa poznałem na zuryskim kongresie (1893 r.) na krótko przed śmiercią. Całe to pokolenie olbrzymów ducha i trudu było prawdziwem pokoleniem pionierów socjalizmu w drugiej połowie XIX i początku XX wieku, czasu wykuwania ram organizacji socjalistycznej robotników. Kiedy wspominam te świetne zastępy przodowników w pracy i walce socjalistycznej, jasny blask olśniewa mą duszę i zdaje mi się, żem dożył wielkiego szczęścia, mogąc współcześnie z takimi ludźmi pracować na naszej biednej, dławionej niewolą ziemi...

ROZDZIAŁ XIII.

Wojna rosyjsko-japońska.

Miesiąc luty 1904 r. był dla nas, polskich socjalistów, początkiem nowej ery dziejowej. Wojna Japonji z Rosją była początkiem tych potężnych wstrząśnień, które miały w niedalekiej przyszłości rozwalić straszliwy gmach niewoli, carat rosyjski, budowany krwią i żelazem, gwałtem i oszustwem przez lat prawie pół tysiąca. Potęga Rosji carskiej ciążyła nad Europą środkową i zachodnią; wszędzie tutaj był carat ostoją reakcji. Długotrwała przyjaźń caratu z Prusami odbierała Polsce wszelką nadzieję uzyskania niepodległości i wytwarzała ucisk jednostajny z tej i tamtej strony kordonu. Austrja, jako państwo napół słowiańskie, lękała się wprawdzie oddawna panslawistycznego caratu, ale była pod wpływem Berlina i dopóki mogła się uchronić przed bezpośredniem starciem z Rosją, ulegała jej, zwłaszcza za czasów niedołężnego ministra Gołuchowskiego, który zawarł w r. 1903 z hr. Lambsdorfem, rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, umowę w Mürzsteg, mocą której Austrja objęła na Bałkanach rolę żandarma pilnującego spokoju. Było to krycie tyłów Rosji, gotującej się do wojny z Japonją.

Pod wpływem zwycięstw japońskich cały olbrzymi Wschód bliski i daleki poczynał drgać życiem, a fale wstrząsu wojennego, spotęgowane potem stokrotnie przez wojnę światową, do dziś dnia obejmują coraz to więcej miljonów ludzi w Europie i Azji. Polacy podzielili się pod wpływem wojny — jak zawsze — na dwa djametralnie sprzeczne ze sobą obozy. Podczas kiedy socjaliści polscy życzyli Rosji upadku, narodowi demokraci zaczynają od tej pory liczyć na Rosję, zbliżają się do niej, wchodzą do Dumy i obejmują służbę kontrrewolucji na rzecz utrzymania caratu, wzamian za mgliste obietnice auto-

nomji ze strony urzędników carskich. Zgodnie z kupioną „wielką“ prasą europejską — jak „Neue freie Presse“, dzienniki francuskie i berlińskie — pisze prasa narodowo-demokratyczna podczas wojny na korzyść Rosji, a w wewnętrznej polityce wszczyna istne piekło przeciw ruchowi rewolucyjnemu, nie wahając się denuncjować rządu austrjackiego, że sprzyja rewolucji w Rosji a zwłaszcza w Polsce i daje jej broń potajemnie!...

W naszych zaś oczach byli Japończycy podziwu godnymi bohaterami; przyjmowaliśmy ich triumfy wojenne z entuzjazmem; kraj „wschodzącego słońca“ był dla nas legendarnym krajem dzielnych ludzi.

Interesującą rzeczą jest nasze stanowisko wobec wojny już z samego jej początku.

Na wielkiem zgromadzeniu ludowem w Krakowie w dniu 28 lutego 1904 r. przemawiałem na temat wojny. Poddawszy ostrej krytyce zachowanie się narodowych demokratów, jeszcze do niedawna głoszących konieczność walki z Rosją, scharakteryzowawszy tych ekssocjalistów, co, jak p. Stanisław Grabski, radzili kiedyś przemycać do Królestwa armaty, aby umożliwić zwycięstwo powstania przeciw carowi (p. Stanisław Grabski pod pseudonimem „Mazur“ pisywał takie artykuły w „Przedświcie“), a teraz wołają, żeby „siedzieć cicho“ i iść do wojska rosyjskiego — usiłowałem zaznaczyć moje stanowisko. Wprawdzie Komitet Wykonawczy II Międzynarodówki w Brukseli uchwalił wezwać wszystkich socjalistów, aby nie pozwolili na wciągnięcie jakiegokolwiek państwa do wojny, wprawdzie rozumiałem straszliwe następstwa wojny dla klasy pracującej, ale chodziło o Rosję, o naszego śmiertelnego wroga! Chodziło o przygotowanie masy robotniczej na ten wypadek, gdyby „Europa“ wystąpiła przeciw Rosji i gdyby wybuchła wojna już nie w Azji, a w naszym kraju... „Nie wyrzekamy się — mówiłem — ani jednej korzyści ruchu zbrojnego. Wiemy że wojna wszelka jest klęską dla ludności, że cały jej ciężar spada na barki proletarjatu — a jednak obiecujemy, że z każdego położenia dogodnego dla nas bez wahania skorzystamy.

Uświadamiajmy lud, aby wiedział, że miejsce jego nie jest po stronie Rosji, lecz po stronie najzaciętszych wrogów caratu! Nie trzeba nigdy rezygnować. Rezygnacja byłaby naszą śmiercią".

W rezolucji przezemnie zaproponowanej były takie ustępy:

„Zorganizowany proletarjat nie zwycięży w Europie tak długo, jak długo carat będzie oparciem dla wszelkiego bezprawia i strażą interesów kapitalizmu, ucisku i wyzysku.

Dlatego każda klęska tego caratu jest zdobyczą międzynarodowego proletarjatu, a upadek caratu i wyzwolenie narodów i ludów przezeń dziś gnębionych, będzie krokiem naprzód do zdobycia ustroju socjalistycznego wśród cywilizowanych narodów.

Braciom naszym, gnębionym przez knut carski, życzymy, aby rychło upadł gmach ich niewoli, aby carat znalazł się nad brzegiem przepaści, dokąd go powinna wtrącić siła ludowa.

Niech żyje socjalistyczna Europa!

Precz z caratem!"

We Lwowie policja zakazała zgromadzenia na ten sam temat.

Ale wojna, tocząca się w odległości 10.000 kilometrów od nas, nie mogła bezpośrednio wywierać wpływu na stosunki codziennego życia. Stanowisko nasze wobec niej było przedewszystkiem wrogiem Rosji i tem się odznaczało, że po raz pierwszy stanęło przed nami, coprawda dość niejasne pytanie, co też poczniemy — gdybyśmy mogli działać przeciwko caratowi? I już w owym czasie uważaliśmy wojnę z Rosją za czyn wyzwoleńczy, dający się porównać z rewolucją w celu uzyskania wolności narodu. W dziesięć lat później stanęła przed nami już całkiem wyraźnie sytuacja, w której mogliśmy walczyć z Rosją. To też poszliśmy do tej walki z uczuciem, że jest ona koniecznością narodową.

Na tle wojny rosyjsko-japońskiej wyrasta w Polsce postać Józefa Piłsudskiego ponad miarę partyjną. Miałem to szczęście poznać go bliżej od r. 1901, gdy uciekłszy z petersburskiego więzienia-szpitala dla obłąkanych, osiedlił się w Krakowie. Żyliśmy z sobą blisko. Stosunek jego do naszej partji był życzliwy i lojalny. Nasz ścisły sojusz z PPS umożliwiał trwanie

tego stosunku sympatycznego bez żadnych zamąceń. Dwie cechy charakteru Piłsudskiego jednały mu miłość wśród nas: dobroć i przedmiotowość. Niewyczerpanie cierpliwy, przebaczający ciężkie osobiste urazy, skupiający około siebie węzłami serdecznej przyjaźni dziesiątki rozwydrzonych często ludzi, zacięty w pracy wówczas niemal beznadziejnej, surowy dla siebie, żyjący latami całemi w biedzie, w dwóch pokoikach z wypożyczonymi meblami, był Piłsudski wówczas może najpiękniejszym typem „polskiego świętego", który spodziewał się zwycięstwa „wbrew nadziei"... Jego jazdy za kordon mogły go zaprowadzić każdej chwili na szubienicę, a jednak jeździ i wiąże nici konspiracji rewolucyjnej, szarpane ustawicznie przez żandarmów. Pogarda śmierci dawała mu siłę. Obserwowałem go podczas jego walki z esdekami (późniejszymi komunistami, jak np. Horwitz-Walecki, usunięty obecnie przez „oko" Moskwy z polskiej partji komunistycznej) którzy w PPS obniżali program niepodległościowy na rzecz jakiejś autonomji terytorjalnej dla Królestwa. Na Kongresie PPS w styczniu 1906 r. we Lwowie stał przed zorganizowaną zawczasu i nienawidzącą go zajadle grupą, która zdobyła chwilowo większość w partji. Przemawiał przez kilka godzin spokojnie i rzeczowo, jakgdyby chodziło o wykład naukowy, chociaż widział, że jego ukochana PPS rozbije się od tych sprzeczności nie do pogodzenia. A gdy tegoż roku w jesieni PPS na kongresie w Wiedniu rozłamała się i na lata przestała być tą siłą, o której marzył, przygnębienie duchowe Piłsudskiego trwało długie czasy. Na moją prośbę wydrukował w feljetonach „Naprzodu" pracę o prześladowaniu literatury socjalistycznej przez rząd rosyjski, p. t. „Bibuła", którą się czyta jak wykład rzeczowy, a nie utwór rewolucyjny.

W zimie 1905 r. udał się Piłsudski przez Amerykę do Japonji, aby ustalić, jakie prace przeciwko caratowi mogą wykonać zesłańcy polityczni na Syberji. A narodowa demokracja wysłała tam swego wodza p. Romana Dmowskiego, którego misję tak określił „Przegląd Wszechpolski" w artykule p. t. „Polityczna konieczność": „Poszukano drogi do

japońskich sfer rządowych, by wyrozumieć ich zamiary i upewnić się, że z tamtej strony nie zechcą wywoływać u nas wypadków, któreby nas mogły politycznie wykoleić"...

Równocześnie i Koło Polskie w Wiedniu wydało odezwę do Polaków w Galicji, aby broń Boże nie brali udziału w rozruchach rewolucyjnych „sąsiedniej dzielnicy", jak wstydliwie nazywano zrewolucjonizowane Królestwo Polskie. Nie mogąc pojechać do Tokio, hr. Wojciech Dzieduszycki zaprosił do siebie, do Jezupola, posła japońskiego i tam wśród zjazdu szlachty i notablów błagano i zaklinano biednego Japończyka, aby też rząd jego nie „robił" rewolucji w „nieszczęśliwej" Polsce...

Wyjazd Piłsudskiego do Japonji nastraszył konserwatywne i ugodowe sfery polskie nie na żarty.

Wojna wykazała — jako straszliwa próba — całą zgniliznę wewnętrzną Rosji, jej militarną słabość i zwróciła przeciw carowi nienawiść rewolucjonistów. W miarę porażek i klęsk rosyjskich Austrja „przychodziła do siebie" i nie prześladowała rewolucjonistów rosyjskich, jak to czyniła dotychczas. W 1904 r. zwróciłem się do prezydenta ministrów dra Koerbera z żądaniem szanowania „prawa asilum" (prawo wolnego schronienia) naszych towarzyszy z Królestwa. Dr. Koerber zgodził się na to i za swoich rządów wypełniał wcale lojalnie prawo azylu wobec naszych towarzyszy. Ale kłopoty największe sprawiali Rosjanie ze swymi manierami dzikich ludzi. Nie zapomnę, jak pewnego dnia przyszedł do mnie w parlamencie minister sprawiedliwości, znakomity uczony dr. Klein, który mnie prosił, abym w jakikolwiek sposób dał znać rewolucjonistom rosyjskim, że rząd austrjacki nie jest ciekaw ich czynów bohaterskich... Chodziło o to, że w Czerniowcach policja skazała jakiegoś rewolucjonistę na 5 guldenów kary za fałszywe meldowanie się w hotelu, a ów rewolucjonista rozgoryczony zaczął na policji głośno wykrzykiwać, że zabił takiego to kapitana żandarmów i jeszcze kogoś. Policja przerażona aresztowała go, a rządowi niebardzo wypadało potem wypuszczać na wolność owego zabójcę pod okiem „zaprzyjaźnionego państwa"!... Oczywiście, że nasi „Pepeesy" takich dzieciństtw nigdy nie robili.

Za to poszanowanie prawa schronienia dla rewolucjonistów polskich narodowa demokracja z p. Stanisławem Grabskim na czele napadała na rząd austrjacki i na nas, jako jego wspólników.

Było w tem wiele obłudy, bo tenże sam p. St. Grabski schronił się do Galicji i za pomocą stańczykowskiej protekcji dostał obywatelstwo austrjackie, a za rządów namiestnika Bobrzyńskiego został nawet mianowany profesorem uniwersytetu. W typowo perfidnym, pełnym kłamstw artykule „Słowa Polskiego" z dnia 22 września 1906 r. p. t. „Groźne objawy", autor narodowo-demokratyczny denuncjuje strażników, żandarmów i urzędników w niesłychany na owe czasy sposób. Wystarczy przytoczyć kilka ustępów:

> „W stosunku do ruchu rewolucyjnego w państwie rosyjskiem biurokracja austrjacka odegrała bardzo dwuznaczną rolę.
>
> Przez Podwołoczyska przeszedł nawet transport karabinów maszynowych. Fabryki rządowe sprzedawały broń i dostarczały nabojów w ilościach wskazujących, że to nie mogą być zamówienia prywatne.
>
> W ostatnich dopiero czasach władze galicyjskie przeciw temu zareagowały i wydały rozmaite zarządzenia spóźnione. Bo dzisiaj rewolucjoniści rewolwerów i karabinów już nie sprowadzają, raczej sprowadzają je ci, którzy chcą z anarchją walczyć (!).
>
> We Lwowie odbywa się zjazd rewolucjonistów polskich i rosyjskich, przy współudziale stu kilkudziesięciu osób. Obrady trwają cały tydzień, bodaj nawet dłużej i odbywają się w lokalu publicznym. O zjeździe rozprawiają głośno plotkarze polityczni po kawiarniach, bodaj nawet wróble na dachach świergocą, tylko policja nic o tem nie wie i dowiaduje się podobno dopiero w kilka tygodni później.
>
> Gdy się ten brak ciekawości zestawi z faktem asygnowania na owym kongresie 10.000 koron na „zjednanie" (!) urzędników i agentów policyjnych, budzą się mimowoli różne podejrzenia. Stwierdzają zaś je notorycznie znane fakty, że przy transportowaniu broni pomagali czynnie rewolucjonistom nawet żan-

darmi i zwłaszcza strażnicy skarbowi, ci ostatni, należący formalnie do organizacji socjalistycznej.

Przytaczamy te fakty dla wykazania, że władze galicyjskie okazałyby się zapewnie równie jak rosyjskie w Królestwie nieudolnemi do obrony porządku i bezpieczeństwa publicznego przeciw zamachom anarchji i bandytyzmu".

„Słowo Polskie" pisało zresztą podobnie od roku, od czasów sławnej niedzieli 13 listopada 1904 r., kiedy to P. P. S. urządziła zapowiedzianą odezwami demonstrację na Grzybowie przeciwko mobilizacji polskich rekrutów do armji mandżurskiej. Wtedy zapowiedziało „Słowo Polskie" (nr. 541) że „ludność — odwoła się do obrony policji", oczywiście rosyjskiej, przeciw P. P. S. zwalczającej mobilizację w Polsce! W Galicji artykuł ten wywołał burzę wśród patrjotycznej młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie, w której imieniu na wiecu „polskiej młodzieży postępowej" w dniu 29 listopada 1904 r. tow. Kukiel (dzisiejszy jenerał W. P.) przedłożył niezmiernie ostrą rezolucję, potępiającą podsuwanie w „Słowie Polskiem" i „Górnoślązaku" społeczeństwu myśli „udawania się pod opiekę carskich żandarmów przeciw polskim rewolucjonistom" i „znieważania bohaterów i męczenników z Placu Grzybowskiego imieniem łotrów płatnych przez Japonję i Anglję..."

Mobilizacja w Polsce powiodła się w zupełności. Kilkadziesiąt tysięcy trupów polskich żołnierzy zasłało pola Mandżurji, ale carat ponosił coraz to straszniejsze ciosy z rąk japońskich, a bitwa morska pod Cuszimą oznaczała kres sił rosyjskich. Rosja upokorzona musiała się zgodzić na pokój w Portsmouths.

Obok upadku moralnego państwowości rosyjskiej, który musiał ożywczo podziałać na jej wrogów t. j. socjalistów, jeszcze jedno następstwo wojny japońskiej zasługuje na uwagę. Oto przypomniała się Europie znowu wojna jako sposób załatwiania porachunków między państwami. Od r. 1871 i 1877 Europa zapomniała szczęśliwie o wojnie i jej okropnościach. Ekspansja kapitalistyczna obywać się mogła bez niej z wyjątkiem oczywiście nieustannych wojen kolonjalnych, prowadzonych na małą skalę gdzieś „za światem". Wojna rosyjsko-japońska poczyniła pewne wojskowe doświadczenia nadzwyczaj ważne. Okopywanie się żołnierza, tworzenie sztucznych twierdz w polu, działanie nowej broni palnej odegrają potem wielką rolę podczas wojny światowej. U nas wojna japońska była dla mas popularną nauką o rzeczach wojskowych, a dla jednostek takich jak np. Piłsudski, była głębokiem studjum, które zbliżyło tego socjalistę do idei tworzenia wojska polskiego w sposób fachowy i nowożytny. Społeczeństwo polskie było po r. 1863 tak nastraszone na myśl o użyciu broni choćby w celach największych i najświętszych, tak się gruntownie i wszechstronnie samo „rozbroiło" wobec zaborców, tak dalece stało się „cywilnem", że wszelką walkę zbrojną za Polskę szaleństwem lub bandytyzmem nazwać było skłonne. Wojsko była to funkcja obcego państwa, któremu lojalni Polacy mieli dostarczać rekruta. O wyższych dowódcach Polakach nie marzono, a nieliczne polskie jednostki jeneralskie w Rosji musiały się wyrzec najpierw katolicyzmu i polskości, aby módz „służyć". W Austrji nieliczni generałowie Polacy nie mieli żadnego znaczenia, a w Prusach nie było ich wcale. Polacy oddawali krew swojej młodzieży dla celów obcego państwa, a sami wyrzekali się gwałtownie nawet pośredniego prawa szafowania tym skarbem swego narodu. Rozum stanu klas bogatszych w Polsce polegał na tym ohydnym pomyśle, godnym narodu całkowicie rozbrojonego moralnie, narodu który zapomniał i zapomnieć chciał o wolności. Bohaterowie japońscy, idący na pewną śmierć na „branderach" w Porcie Artura, tysiące, które padły przy dziesięciomiesięcznem oblężeniu tej twierdzy, ludzie idący na śmierć bez drżenia w obronie ojczyzny, oddziałali jednak potężnie na nasze pokolenie, zrywające się do pracy i walki o niepodległość. Ale ugodowcy narodowo-demokratyczni tępili te uczucia jak zarazę, jak ciężką zbrodnię! Nic dziwnego, że w Polsce żyły obok siebie dwa wrogie sobie światy, że nawet bez przelewu „krwi bratniej" sroga, okrutna nienawiść szarpała pod wpływem tej wojny polski świat polityczny. Im bliżej ugodowcy cisnęli się do rządu rosyjskiego, tem gwałtowniej atakowali tak ich jako też i rząd rewolucjoniści polscy. Powstały dwie sprzeczne

z sobą ideje przewodnie: jedna aby zniszczyć wroga wszelkimi środkami, nie wyłączając walki zbrojnej w *rewolucyjnem powstaniu*, druga aby z tym wrogiem się pogodzić, dostać od niego przez to cząstkowe choćby prawo do okaleczałego bytu narodowego, *utrzymując państwo zaborcze* swoim trudem, swoją krwią i swoimi pieniędzmi. Wojna wyjaskrawiła i zaostrzyła te sprzeczności, bo zrodziła *rewolucję*. Przecięły się też tutaj dwa poglądy socjalistyczne na wojnę. Bezwzględny pacyfizm np. Anglików z Mac Donaldem na czele nie mógł pogodzić się z naszemi dążeniami do rozbicia Rosji, aby dojść do niepodległości Polski. Podczas gdy zachód Europy załatwił sprawę państw narodowych z małemi tylko odchyleniami od zasady, że naród ma prawo do swej własnej państwowości, środkowa i wschodnia Europa szarpała się dopiero w walce o urzeczywistnienie tego ideału. Prusy, Austrja i Rosja były jego okrutnem zaprzeczeniem, to też w samym socjalizmie międzynarodowym były ciężkie spory i bolesne rozdźwięki pod tym względem. Polscy socjaliści nie mogli wyrzec się wojny jako jedynego może środka do rozbicia Rosji, nie mogli mieć kultu dla istniejących granic państwowych, dzielących zabójczo terytorjum polskie, inni zaś uważali naruszanie tych granic za zbrodnię międzynarodową. Łamały się te poglądy ze sobą, nie mogąc doprowadzić do trwałego wyrównania. To też całkiem inaczej podziałała wojna japońska na umysłowość naszą, a inaczej na socjalistów zachodnio europejskich. Ten rozdźwięk wzbudzał nieufność między nami a nimi. Musieliśmy stać się najpierw wolnymi państwowo, aby módz prowadzić politykę wolnych. Dopóki nie mieliśmy wolności, słuchaliśmy nieraz z goryczą trosk naszych towarzyszy, którzy nie rozumieli naszej głównej troski... Nie można było stworzyć normalnych stosunków między wolnymi a niewolnikami, nie można było marzyć o wspólnej pracy, gdy się wzajemnie nie rozumiano. Piękne uchwały kongresów, wyrażające sympatje niewolnikom walczącym o wolność, mijały prędko bez echa czynów wyzwoleńczych, a my niczego bardziej nie pragnęliśmy, jak przestać raz być „narodem interesującym“, jakimś „Chrystusem narodów“ i t. d. bo wiedzieliśmy lepiej niż kto inny, *jak niewola upadla, jak gnębi i niweczy siły rozwojowe*.

Dlatego w głębi duszy modliliśmy się wraz z Mickiewiczem: „O wojnę ludów prosimy Cię Panie!“ Bluźniliśmy wobec idei pokoju, ale — naszem zdaniem — zbliżaliśmy *pokój trwały* świata, którego nie można oprzeć na bagnie ucisku narodowego czy klasowego. Oklaskiwaliśmy na kongresie w Amsterdamie w r. 1904 scenę, gdy tow. *Katajama* na estradzie podał rękę tow. *Plechanowowi*, ale wiedzieliśmy dobrze, że pięknymi gestami nie obali się zaborcy ani napastnika. Ten nasz punkt widzenia utrzymał się aż do wojny światowej, chociaż w partji nie brakło głosów solidaryzujących się z „zasadniczymi“ poglądami socjalistów zachodnio-europejskich. Głosy takie były albo niewinnym wyrazem pewnych zasad ogólno ludzkich, albo echem *moskalofilów socjalistycznych*, licznych zwłaszcza wśród towarzyszy żydowskich. Byłoby rzeczą niesłychanie interesującą zbadać tę zagadkę psychologiczną, jak mogli Żydzi świeżo po okropnych pogromach urządzanych przez *Plehwego* (r. 1903), po wszystkich ohydach „linji osiedlenia“ i t. d. być mimo wszystko prawie *patrjotami rosyjskimi*? Jest to mojem zdaniem sprawa niesłychanie skomplikowana i mająca swe głębokie historyczne motywy. *Z kultem Rosji* i to rzeczywistej Rosji, z wszystkiemi jej odpychającemi Żydów właściwościami (cóż może być straszniejszego od pogromu?), występowała w parze *niechęć do Polski*, nawet do Polski rwącej się do walki za ideały *socjalistyczne*, za równość i braterstwo! Niepodległość Polski była dla przywódców żydowskich nietylko niezrozumiałą, ale i niepożądaną. Zupełnie jak dla arystokracji polskiej, obwieszonej orderami zaborców. Nieraz też w tonie żartobliwym porównywałem politykę szlachecką w Królestwie z jej „chadatajami“ w Petersburgu, z łapówkami dla czerni urzędniczej i t. d. do czysto żydowskiej polityki, polegającej na schlebianiu rządzącym...

Sprzeczność ideałów socjalistów polskich, dążących do niepodległości, z ideałami mającymi utworzyć jakąś olbrzymią republikę od Łodzi do Kamczatki, była główną sprzecznością szarpiącą obóz socjalistyczny w Polsce. Około tego sporu namiętnego, nieubłaganego obracało się tutaj wszystko. Aby dokładnie spór ten wyjaśnić, należałoby napisać wielkie dzieło, zwłaszcza, że nawet dzisiaj, gdy już istnieje niepodległa Polska, walka ugodowców wszelkich odcieni z niepodległościowcami nie skończona...

ROZDZIAŁ XIV.

Rewolucja w Królestwie.

Hasłem dla rozpoczęcia ruchu rewolucyjnego w Polsce była zbrojna manifestacja P. P. S., urządzona dnia 13 listopada przed kościołem Wszystkich Świętych na Grzybowie. Warszawa robotnicza protestowała przeciw mobilizacji. Podobnej demon stracji nie widziano w Warszawie od dnia 8 kwietnia 1861 r., kiedy żołdacy strzelali do modlących się tłumów. Teraz padło wprawdzie 20 ludzi, ale demonstranci zabili sporo żołdaków carskich. Grzybów miał być początkiem zbrojnej walki. Ale fale ruchu rewolucyjnego podniosły się wysoko dopiero po słynnej demonstracji 22 stycznia 1905 r. (starego stylu) popa Gapona, prowadzącego stutysięczny korny tłum rosyjski do bram pałacu carskiego w Petersburgu. Demonstrantów niosących potret cara, pobożne sztandary i ikony świętych, przywitało żołdactwo kulami i sprawiło rzeź ohydną wśród klęczących tłumów. Na placu przed pałacem Zimowym padło 150 ludzi. Kule carskich żołnierzy przestrzeliły portret carski!... Postać Gapona zasługuje na uwagę rządów, które posługują się prowokacją przeciw ruchowi rewolucyjnemu. Gapon był prowokatorem ze szkoły osławionego Zubatowa, który tworzył — za pieniądze policji — organizacje „żółte“, gdzie starannie wychowywano zdrajców sprawy robotniczej. Gapon brał pieniądze od rządu i mimo to wywoływał pokorne wprawdzie demonstracje, ale przykładał przez to lont do beczki z prochem... 22 stycznia (st. st.) był takim lontem, który wywołał wybuch powszechnej rewolucji. Królestwo spłonęło jasnym ogniem. Ruch rewolucyjny mógł się stać dla Polski początkiem wyzwolenia narodowego, gdyby ówczesna P. P. S. miała kierownictwo samodzielnie myślące, liczące się z koniecznościami historycz-

nymi i z osłabieniem rządu rosyjskiego. Ale ruch ten miał przed sobą społeczeństwo przeżarte strachem ugodowym i jawną ugodową polityką klas wyższych i średnich, prowadzonych przez narodową demokrację. P. Dmowski posunął się do tego stopnia, że publicznie chwalił się z „przelania krwi bratniej“ przez poszczucie robotników na robotników...

Na czele P. P. S. stali ludzie, którzy ślepo chcieli naśladować ruch rosyjski. Strajk generalny był właściwie główną ich bronią taktyczną. Frazes o żywiołowości ruchu, nie wymagającej jakoby samodzielnego wysiłku kierowniczego, zaczął powoli stawać się hasłem praktycznem. Strajk generalny, ta „rewolucja założonych rąk“, miał zrobić cuda. Tego rodzaju taktyka nie mogłaby odnieść zwycięstwa nawet w najbardziej rozwiniętych i zróżniczkowanych społeczeństwach, a cóż dopiero w kraju o bardzo jeszcze prymitywnej strukturze społecznej, bez znacznej liczby wielkich miast, bez trudności aprowizacyjnych i t. d. Nad krajem panował obcy rząd, który nie dbał o społeczeństwo, z jego biedami się nie liczył, a zabezpieczywszy sobie możność komunikacji dla urzędów i dla wojska, mógł czekać dogodnej chwili do zadania ciosu stanowczego ruchowi rewolucyjnemu. Kończyło się tem, że setki tysięcy robotników, strajkujących tygodniami całymi, przymierało głodem i dawało się brać do więzień bez krwawego — wówczas możebnego i koniecznego protestu. Jakże potwornym nonsensem było zdanie — słyszane przezemnie osobiście — jednego z „wodzów“ p. S., który uspokajał kongres PPS tem, że rząd rosyjski nie ma dość więzień, aby zdusić ruch rewolucyjny!... Napróżno Piłsudski zabijał strach przed Moskwą w szeregach robotniczych, napróżno starał się stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie „organizacji bojowej“, napróżno zorganizował „krwawą środę“ w r. 1906 i szeregi terrorystycznych zamachów na najokrutniejszych gnębicieli rosyjskich, — rewolucja nie stała się ruchem zbrojnym masy polskiej przeciw rządowi rosyjskiemu. Nie wywalczyła też większych zdobyczy społecznych dla klasy robotniczej, a tylko wydźwignęła ją z poniżenia i dodała otuchy na przyszłość. Ugodowość klas posiadających i ich stronnictwa, narodowej demokracji, uniemożliwiła zdobycie skromnej bodaj autonomji, o której ugodowcy marzyli. Kule rewolucjonistów paraliżował służalczy ukłon ugodowców.

Ale z początku ruchu rewolucyjnego kwitły nadzieje na wywalczenie lepszej przyszłości. PPS była istną dyktatorką kraju, urządzano masowe wiece („masówki“), na których obok mówców rozumnych plótł ten i ów jak „Piekarski na mękach“; tworzono legalne „republiki“ jak ostrowiecka lub zagłębiowska, opodatkowywano „burżujów“ (uzyskując z tego grosze), dokonywano ekspropriacji rządowych pieniędzy w wagonach pocztowych i w „monopolach“ wódczanych i — czekano na rezultaty rewolucji w Rosji. Ofiar pochłonęła rewolucja w Polsce stosunkowo najwięcej, poświęceń bohaterskich (Okrzeja, Baron, Szulman, Kopiś, Mirecki — Montwiłł i setki innych) wydał ze siebie ruch rewolucyjny olbrzymią ilość, ale cały ten ogrom walki skończył się triumfem reakcji w Polsce. Obok szubienicy rosyjskiej pracowała też usilnie prowokacja. Gady w rodzaju Sukiennika, Tarantowicza (Albin) i dziesiątki pomniejszych spełniały judaszową służbę w szeregach rewolucji. Pomimo prowokacji utrzymywała jednak P. P. S. swoje kadry w dobrym stanie, nie tak jak np. rosyjscy socjaliści rewolucjoniści z Azefem na czele. Polacy lepiej byli zaprawieni do podziemnej roboty niż Rosjanie. Socjalistyczna Europa nie poparła skutecznie rewolucji ani w Rosji, ani w Polsce. Była za słabą, to też jej pomoc była tak małą, że nie zaważyła na szali bojów.

Na nas w Galicji rewolucja oddziałała potężnie. Tu chronili się towarzysze, którym groziła turma lub szubienica. Tu zbierano składki na czynną pomoc rewolucji, tu pomagano w wykonaniu wielu planów rewolucyjnych. Stąd szły jednostki do pracy w Królestwie. Zorganizowani robotnicy przejmowali się opowieściami o krwawych epizodach bojów rewolucyjnych. Na tem tle odbywają się masowe demonstracje przeciw caratowi.

Jedna z nich, dnia 2 lutego 1905 r. w Krakowie skończyła się spaleniem portretu cara pod pomnikiem Mickiewicza. Policja rzuciła się jak oszalała na tłum demonstrujący. Mnie ściągnęli policjanci za nogi ze stóp pomnika, a na lud urządzili szarżę, podczas której raniono kilkadziesiąt osób. Zaatakowałem rząd w parlamencie i zmusiłem ministra spraw wewnętrznych hr. Bylandt-Reidta do wyparcia się policji. „Mogę Izbę zapewnić — mówił minister — że rząd i jego organy wcale nie myślą ograniczać praw konstytucyjnych, szczególnie wolności zgromadzeń. Zastrzegam się, jakoby rząd chciał w całej prowincji zamykać usta całemu narodowi. To nie leży w zamiarach rządu". Wszystko to bardzo pięknie brzmiało, ale policję miał rząd ustawicznie pod ręką, a nawet sprowadził słynnego zbira policyjnego, Kostrzewskiego napowrót do Krakowa... Na wielkiem zgromadzeniu, dnia 19 lutego 1905 r. w Krakowie zjawił się poseł S t a p i ń s k i, który opowiedział, jak to zakazano przed kilku dniami z g r o m a d z e n i a c h ł o p ó w, chcących oświadczyć sympatję ruchowi rewolucyjnemu w Królestwie. Apelował publicznie do mnie, abym bronił praw chłopskich i pokazał, jak — obok policji — próbowano go odwieść od urządzenia zgromadzenia chłopskiego:

„Zakaz zgromadzenia udzielono nam w środę, ale już we wtorek wiedziałem, że rozmaite ekscelencje i hrabiowie, z którymi od lat zaciętą toczę w sejmie walkę, uciekają się do rozmaitych środków, aby zgromadzenie udaremnić. Gdy ja nie chciałem zgromadzenia odwołać, pisano do mężów zaufania naszego stronnictwa, aby na nich wpłynąć, a gdy i to nie pomogło, wydano zakaz. Panom galicyjskim zależało na tem, aby utrzymać złudzenie, że to tylko socjaliści są za ruchem, żeby my, stronnictwo chłopskie, nie zadokumentowali naszej solidarności i w ten sposób zadali kłam rozmaitym puszczykom. Z ambon głoszono, że zgromadzenia nie będzie, aby tylko chłopi nie przyszli. Wbrew temu oświadczam tutaj, że nie tylko socjaliści, że cały lud polski — a w szczególności polskie stronnictwo ludowe — stoi za tym ruchem".

Była więc w szerokich warstwach szczera sympatja wobec rewolucji, ale wodzowie ruchu w Królestwie nie mieli dla nas żadnego hasła ogólnego, za którem mogłyby pójść masy

w Galicji. Czekanie na rezultaty walki w Rosji nie mogło być dla nas żadną polityką aktualną. Wrzenie szerzyło się po całym kraju. Gdy wywołano s t r a j k s z k o l n y, przejęła się nim młodzież bardzo żywo, a chociaż i tutaj narodowi demokraci starali się bruździć, to jednak strajk szkolny należy uważać za udany i za początek szkolnictwa polskiego w Królestwie.

Gdy pod koniec r. 1905 widocznem się stało, że taktyka zasadnicza przywódców P P. S., mających większość w kierowniczem ciele partji, „Centralnym Komitecie Robotniczym", może tylko zdobyć się na poszczególne epizody walki bez żadnej własnej idei przewodniej, zdecydowałem się na krok dość stanowczy i napisałem głośny potem „List Otwarty" do C. K. R. P. P. S. umieszczony w pierwszych numerach „Naprzodu" w r. 1906. Domagałem się tam rzeczy, która bardzo się niepodobała ówczesnej większości „Centralnego Komitetu Robotniczego..." Wysuwałem „śmiałe i otwarte postawienie niepodległej republiki polskiej, jako celu dla narodu polskiego" w rewolucyjnym ruchu jako konieczność. Przypominałem: „Cały dotychczasowy rozwój... naszej partji dążył... do niepodległości, jako konieczności naszego rozwoju", Rewolucja powinna objąć szersze warstwy ludowe, inteligencję, drobny przemysł i lud wiejski". „Walka musi się w Polsce rozegrać o coś więcej, niż o taką lub inną Dumę w Petersburgu".

P.P.S. powinna była — wedle mego „Listu otwartego" — reprezentować wiarę Polski w siebie i w swoje prawo do niepodległości, a za punkt wyjścia rewolucyjnego ruchu przyjąć bankructwo Rosji.

Mój „List otwarty" wymierzony był w ówczesną modną koncepcję „Republiki Rosyjskiej od Łodzi aż do Kamczatki".

P. P. S. pozbyła się w owym czasie bez żadnej potrzeby swojego głównego punktu programowego na rzecz chimerycznej koncepcji „Republiki Wszechrosji", złożonej ze 150 miljonów ludzi, ujarzmionych przez carat. Oczywiście, że w głębi duszy takich ludzi, jak Horwitz, członek C. K. R., czy Róża Luksemburg, tkwiły poglądy na olbrzymie korzyści ekonomiczne takiego jednolitego terytorjum „od Łodzi do Władywostoku", co miało w zupełności zadecydować o rezygnacji

z niepodległości. Nadto ludzie ci byli olśnieni rzekomą świetnością ruchu rewolucyjnego w Rosji, co znowu prowadziło do ślepego niemal podporządkowania taktyki P. P. S. jakiejś zupełnie nieskoordynowanej taktyce rosyjskiej rewolucji.

W „Liście otwartym“ zwalczam ostro tę taktykę i wskazuję na to, że ani klasy burżuazyjne Rosji nie stworzą przez długi jeszcze czas burżuazyjnego państwa konstytucyjnego, ani masa rosyjska nie stworzy stosunków praworządnych; wobec tego obowiązkiem rewolucji polskiej jest postawić własny cel: niepodległą republikę polską. Dalsze dzieje Rosji od roku 1906 potwierdziły w zupełności te moje twierdzenia. Ani burżuazyjnego państwa konstytucyjnego nie wytworzono, ani nawet zwycięska rewolucja rosyjska nie wprowadziła stosunków praworządnych. To też ci, którzy odrzucili niepodległość Polski, musieli siłą rzeczy wyjść z życia polskiego i ocknęli się w Moskwie. Horwitz, Marchlewski i cały szereg dawnych „esdeków“ i „lewicowców“, zrezygnowali z pracy w Polsce i poszli na służbę w Bolszewji. „Republika Wszechrosji“, nie od Łodzi, lecz od Mińska do Władywostoku, leży dzisiaj przed nami, jak otwarta księga. Treścią państwową tej straszliwej republiki jest szpiegostwo, prowokacja, masowy mord, skrytobójstwo urzędowe, wyzysk, głód, nędza i uwstecznienie, a jako nadzieja wybawienia z tego piekła — koncesje i handel ludźmi i krajami na rzecz obcego, żarłocznego, bo kolonjalnego kapitału europejskiego i amerykańskiego. To, co w r. 1906 było czarodziejskim programem wspaniałej, olbrzymiej, zjednoczonej republiki rosyjskiej, stało się wkrótce przerażeniem świata cywilizowanego!

Wystąpiłem również w moim „Liście otwartym“ przeciw taktyce nadużywania „strajku generalnego“, który stał się jedynym środkiem na wszystkie dolegliwości i na długie lata zdemoralizował politykę polską. Ta ostatnia część listu stała się dla mnie najprzykrzejszą, bo — ku mojemu przerażeniu — reakcyjna prasa polska zaczęła mnie chwalić za mój „List otwarty“. Starzy moskalofile polscy, którzy do dnia dzisiejszego tęsknią do „organicznego zjednoczenia się“ z Rosją (oczywiście nie sowiecką, lecz „odrodzoną“!), chwalili mnie

za to, że wystąpiłem publicznie przeciw ciągłym strajkom generalnym. Była to najsłabsza strona mego listu, bo nie nadawała się do publicznego roztrząsania. To też sprawiło, że list nie mógł wywrzeć rychło takiego wpływu, jakiego spodziewać się było wolno. Wskazywał on jednak tę drogę, na którą P. P. S. wejść musiała, jeżeli chciała odegrać swoją właściwą rolę historyczną.

Niesłychanie charakterystyczną była olbrzymia polemika ze mną z powodu „Listu otwartego“. Kilka broszur ogłosiło mnie za wstecznika i „kontrrewolucjonistę“. Jeden z ówczesnych socjalistów (późniejszy minister Polski niepodległej) pisał, że warto umrzeć za „Konstytuantę“, ale nie rozumie, jak można umrzeć za niepodległą Polskę!... Konstytuanta bowiem pod rządem rosyjskim miała być hasłem — surogatem, zastępującym żądanie niepodległości. Ale najzabawniejszym był chyba pan Andrzej Niemojewski, wspaniały rewolucjonista i jeszcze wspanialszy patrjota polski, gdy w „Kurjerze Lwowskim“ z dnia 26 stycznia 1906 pisał: „Kto wznawia (!) hasło niepodległościowe, jako hasło polityki bieżącej — rzuca zarzewie nieufności między pogodzoną rewolucję polską a rosyjską i proponuje właściwie czwarty rozdział Polski“.

Jeden tylko tow. Bolesław Limanowski, mający już wówczas 70 lat życia za sobą, napisał do mnie z Paryża list z podziękowaniem za to, żem „jasno, wyraźnie, przekonywująco wypowiedział to, co wirowało w myślach moich“ (Limanowskiego).

Miałem moralne prawo do zajmowania się publicznie taktyką i polityką P. P. S., bo byliśmy z nią od r. 1904 w ścisłym sojuszu, zawartym publicznie w Krakowie.

W łonie Polskiej Partji Socjalno Demokratycznej wyrównałem bezpośrednio przed wybuchem rewolucji sprzeczności co do stosunku naszego do P. P. S. Na IX Kongresie P. P. S. D. w Krakowie postawiłem dnia 31 października 1904 r. następującą rezolucję:

„Stosownie do uchwał delegacji polskiej, na kongresach od r. 1891 występującej solidarnie, jako przedstawicielka organizacji

socjalno demokratycznej całego narodu polskiego, mając na uwadze jednakie wielkie cele proletarjatu polskiego, bez względu na wszystkie stosunki przemocy, usiłującej ten proletarjat podzielić i odosobnić części podzielone, związany braterstwem broni z Polską Partją Socjalistyczną w granicach państwa rosyjskiego, pruskiego i na wychodźtwie, oświadcza Kongres:

Polska Partja Soc. Dem. w Austrji pozostaje w ścisłem braterstwie i moralnym sojuszu z P. P. S., w granicach Rosji, Prus i zagranicą działającą.

Równocześnie, w myśl wezwań międzynarodowego kongresu w Amsterdamie i w myśl wspólnych najważniejszych interesów proletarjatu polskiego, odzywamy się do wszystkich innych organizacji robotniczych i socjalistycznych w Polsce, aby nie stawiały tamy zjednoczeniu się w jeden związek partyjny wszystkich organizacji socjalistycznych, opartych na zasadzie walki klasowej i dążących do jednych i tych samych socjalistycznych celów".

Na kongresie była spora grupa towarzyszy, którzy nie chcieli słyszeć o żadnym sojuszu z P. P. S. Przemawiał ich imieniem dr. Anzelm M o s l e r z Buczacza: „Po za Krakowem i Lwowem niema na prowincji towarzyszy, coby wiedzieli o istnieniu P. P. S. (Protesty i wołania: To bardzo smutne!). P. P. S. nie jest objętą programem soc. dem. w Austrji. (wesołość). Coby powiedzieli towarzysze w Niemczech, gdyby partja tamtejsza nawiązała stosunek z jakąś nieznaną partją w Japonji? (śmiech). Robotnicy znają lepiej stosunki partji francuskiej lub innej, aniżeli P. P. S. (protesty). P. P. S. postawiła niepodległość Polski w celach agitacyjnych. Ciągłe powtarzanie tego hasła zjadło program socjalistyczny (protesty). Przed paru miesiącami rozesłała egzekutywa okólnik, wspominający wobec wojny rosyjsko-japońskiej nawet o powstaniu, wzywając do zwoływania zgromadzeń, na które egzekutywa poleciła bardzo patrjotyczną rezolucję. Tow. Haecker zaś w pewnej dyskusji naukowej zakończył mowę tem, że wkrótce może nie będzie czas na naukowe dyskusje, bo trzeba będzie chwycić za broń. Jeżeli się idzie razem z P. P. S., powinno się tak samo iść razem z S. D. K. P. i L., z „Proletarjatem" i t. d." W głosowaniu przyjęto pierwszą część rezolucji 52 głosami przeciw 26 (w tem olbrzymia większość żydowskich głosów), a drugą

jednogłośnie. Druga część uchwały jednak dlatego nie dała żadnych rezultatów, bo zaproszona na konferencję esdecja odpowiedziała listem pełnym obelg. Trzeba więc było cierpliwie czekać, aż się znajdzie wśród komunistów... Żydzi zaś, głosujący przeciw rezolucji, wystąpili na drugi rok z partji i założyli swoją własną, tak że po raz pierwszy w Krakowie odbyli osobne zgromadzenie na 1 maja 1905 r.

Nie ulega wątpliwości, że w ich kołach P. P. S. otoczona była nieufnością za stanowisko antyrosyjskie. Ale kiedy w r. 1906 rząd rosyjski zapragnął we wrześniu urządzić p o g r o m Ż y d ó w w Warszawie (po dokonaniu 8 września w nocy pogromu żołdackiego w Siedlcach), wówczas niektórzy z tych oponentów zrozumieli, że kultura państwowa rosyjska to rzecz wielce dla Żydów niebezpieczna. Wówczas na wezwanie z Warszawy wysłałem szereg depesz do prasy zachodniej Europy o konkretnych czynach żołdactwa, dzielącego Warszawę na rewiry, aby urządzić 15 września pogrom. Rząd rosyjski nastraszył się tego rozgłosu i rzezi nie było.

W rewolucji obowiązuje cel wielki i żelazna konsekwencja w dążeniu do niego. Kierownicze ciało PPS nie pokazało masom takiego celu, bo wszechrosyjska republika dla Polaków nim być nie mogła, a i konsekwencji w działaniu także nie było dlatego, że w partji ścierały się dwie sprzeczne siły. Doprowadziło to do rozbicia P. P. S. na kongresie w Wiedniu, w listopadzie 1906 r. Niepodległościowcy utworzyli „f r a k c j ę r e w o l u c y j n ą", a reszta nazwała się „l e w i c ą P. P. S.". Ciągnęła się odtąd chaotyczna i bardzo nieimponująca walka dwu frakcji, które wraz z S. D. K. P. i L. i jakimiś niedobitkami z „Proletarjatu", progagującymi pod kierunkiem p. Ludwika K u l c z y c k i e g o (dzisiaj urzędnik państwowy) politykę t e r r o r u jako zasadniczej taktyki, doprowadzała ruch robotniczy do piekielnego zamętu. Rany tego porewolucyjnego okresu ropieją jeszcze do dziś dnia w Królestwie, bo jeszcze ciągle działają tutaj wśród klasy pracującej obok socjalistów komuniści, chadecy i NPR-y, uniemożliwiając robotnikom stworzenie jednolitego, zwartego i potężnego obozu społecznego.

Po latach blisko dwudziestu łatwą jest oczywiście krytyka działalności tych czy owych czynników rewolucji. Nie widzi się codziennych wpływów ówczesnych na dusze działaczy, nie ma się ich miar, przystosowywanych do wypadków spółczesnych. Tem niemniej trudno nie doceniać znaczenia dodatniego i ujemnego tych dwu lat wrzenia dla stanu późniejszego kraju, dla układu sił społecznych, dla rozwoju czy upadku stronnictw. P. P. S. podczas rewolucji urosła do olbrzymiego znaczenia w kraju, klasa robotnicza po raz pierwszy wysunęła się na czoło społeczeństwa w wielkiej i długotrwałej akcji. Po raz pierwszy przedostał się ruch rewolucyjny na wieś! Poruszono parobków dworskich, organizowano małorolnych i zaprawiano ich nawet do walki zbrojnej przeciw rządowi rosyjskiemu. Gdyby umiano ruch ten, choćby mocno złagodzony, utrzymać po rewolucji, uproszczonoby i przyśpieszono sprawę wyzwolenia chłopów. Posiew ten wydał potem na jaw radykalizm wiejski, występujący w stronnictwach sejmowych. Wpływ pośredni rewolucji na Galicję był widocznym. Ujawnił się wkrótce w potężnej walce robotników o równe głosowanie do parlamentu. Ale i ugodowe stronnictwo wzrosło w siły. Narodowa demokracja wzięła w ręce ster klas posiadających i oparta na ugodzie stała się najsilniejszem stronnictwem w Polsce. Pośrednie grupy i grupki zostały zmielone między tymi dwoma kamieniami młyńskimi...

Wreszcie po raz pierwszy od r. 1863 zaczęła się tworzyć siła zbrojna w czynnej, bezpośredniej walce z rządem rosyjskim w Polsce. Chociaż niewielka ona była, chociaż „piątek bojowych“ nie liczyła organizacja bojowa zbyt dużo, to jednak czyny tej O. B. były tak niesłychane, otoczone taką cudowną i romantyczną tajemniczością, tak nieraz udatne i tężyzny pełne, że społeczeństwo albo entuzjazmowało się, albo umierało ze strachu, zależnie od sympatji i przekonań politycznych. Bojówka pozyskiwała serce i wyobraźnię mas, co jeszcze dzisiaj można stwierdzić w klasie robotniczej Królestwa. Urządzenie takiej „krwawej środy“ w Królestwie, podczas której padło 57 policjantów i komisarzy, to była rzecz zdecydowanych na wszystko ludzi. Atak na pociąg pod Rogowem, dokonany przez Montwiłła (przy którym był czynny tow. Kwapiński, dzisiejszy poseł sejmowy), wywołał szaloną sensację. Opanowanie przez bojowców pociągu w Bezdanach, rozsrożyło i obraziło cara osobiście. Mścił się też za to na podsądnych: Zakrzewskim, Świrskim i Kozakiewiczównie. Trzeba było bardzo energicznej interwencji mojej u ministra Austro-Węgier hr. Aehrenthala w sprawie obywatela austrjackiego Zakrzewskiego, aby go uchronić od szubienicy. Po rewolucji musiano bojówkę rozwiązać. Nie mogła już wykonywać systematycznej pracy i dlatego groziło jej zwyrodnienie w bandytyzm.

Ale myśl walki zbrojnej z caratem nie umarła. Przechował ją i w życie wcielił Piłsudski, tworząc najpierw „Związek Walki Czynnej“, a potem „Związek Strzelecki“, na którym usiłowały się wzorować wszystkie organizacje zbrojne, które powstawały przed wojną światową w Galicji. Sparaliżowane strachem społeczeństwo polskie zobaczyło nagle na ulicach Lwowa, Krakowa, a nawet na wsi galicyjskiej szary mundur żołnierza polskiego, którego nie widziało od r. 1831. Z początku śmiało się niemądrze, ale potem, podczas wojny, czuło się w swej dumie mile pogłaskane. Pieniędzy na ten ruch nie dało, bo czuwali narodowi demokraci z kubłami oszczerstw, rzucanych na polską krew ofiarną. „Polacy chcieliby mieć wolną ojczyznę, byle to nie kosztowało ani kropli krwi, ani grosza pieniędzy“ — tak mówił często twórca i wskrzesiciel polskiej siły zbrojnej. I miał rację.

Ludzie rewolucji, jak Sosnkowki (organizator warszawski P. P. S.) późniejszy minister wojny, Minkiewicz, dzisiaj jenerał W. P., jenerał Kukiel i wielu innych — przyłączyli się do tego ruchu strzeleckiego, poszli na wielką wojnę i są obecnie wybitnymi wojskowymi w niepodległej Polsce. Przebyli pod Piłsudskim znakomitą, rodzimą szkołę wojenną. W ten sposób ubojowiona niegdyś rewolucja działa do dziś dnia w państwie, chociaż już dziś nie należy do P. P. S. i przestała być rewolucyjną. Wogóle można powiedzieć, że młodzież polska

przeszła w ogromnej liczbie przez szeregi P. P. S. Nie miała innego wyboru, bo do ugodowców przyzwoity młody Polak pójść nie mógł, Poprostu nie mógł. Pokompromitowałbym całe zastępy dzisiejszych ministrów, sędziów wysokich, dygnitarzy głośnych, gdybym chciał im przypominać ich okres pepeesowy, ba, bojówkowy! Nie uczynię tego, bo nie zamierzam nikomu wyrządzać przykrości, a często wierzę, że zmienili przekonania nie dla pieniędzy, czy zaszczytów, lecz w przyzwoity sposób. Zresztą, któż zbada co siedzi w duszach ludzkich? Gdyby tak rewolucja pepeesowa zwyciężyła kiedy, ręczę, że rząd rewolucyjny znalazłby się nagle otoczony wielką liczbą ludzi, którzy mogliby się powołać na swój okres socjalistyczny...

Upadek rewolucji skończył się zwołaniem „Dumy“ państwowej do Petersburga. Ugodowcy triumfowali. Stali się niemal wyłącznym wyrazem „uspokojonego“ kraju w tym pseudoparlamencie. Rewolucjoniści poszli na szubienicę, do więzień, na wygnanie lub na tułaczkę. Najlichsze postacie wysunęły się na czoło narodu w imię ugody z caratem. Nacjonalizm, antysemityzm zaczęły swe orgje, plotka oszczercza jak pleśń obsiadła życie towarzyskie, a ton krajowi nadawała „Warszawka“ geszefciarska, rozbawiona, wolna już od strachu przed szalonymi rewolucjonistami. Urządzano się na długie lata dobrobytu, płynącego z „rynków wschodnich“. Wyrzekano się nawet myśli o wielkiej przyszłości, łażono do dygnitarzy rosyjskich z przeprosinami za „nietakt“ tego lub owego desperata, co zwalił w pysk jakiegoś rządowca. *Taką to ugodową, spokojną Polskę zbudziły ze snu dopiero gromy armat wojny światowej.* Taką też rolę w wojnie światowej odegrała...

ROZDZIAŁ XV.

Reforma prawa wyborczego.

Żądanie *powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego* głosowania do wszystkich ciał prawodawczych było głównem żądaniem robotniczem, odkąd istniała partja robotnicza. Upośledzenie robotników było tak jaskrawe, że wyzywało z konieczności protesty i namiętne dążenie do reformy. Przy układzie dwuizbowym Austrji, w *Izbie posłów* siedziała olbrzymia większość uprzywilejowanych, a *Izba Panów* składała się z mianowanych przez cesarza dygnitarzy i z małej garści dziedzicznych „prawodawców“. Tylko ruch o charakterze *rewolucyjnym* mógł pokonać tak potężne zapory. Sztucznie zaś rewolucyjnego ruchu — pomimo frazesów o potędze agitacji — wywołać nie można. Więc chociaż co roku niemal od lat piętnastu rozpętywaliśmy ruch zgromadzeniowy na rzecz reformy wyborczej, sprawa nie stawała się politycznie „aktualną“, nie ruszała z miejsca i była tylko znakomitym środkiem agitacyjnym uświadomienia robotników o tem, jak nędznie i niesprawiedliwie jest Austrja zbudowana i rządzona.

Rewolucyjny ruch w Królestwie i w Rosji wywołał w sąsiedniej Austrji ożywienie życia klasy robotniczej. Im częściej dochodziły tu wiadomości o potężnych strajkach, o krwawych walkach robotniczych, tem bardziej podniecone stawało się i w Austrji życie — nawet codzienne — masy robotniczej. Kroplą, która przepełniła puhar, stały się wypadki na *Węgrzech*. Nie mogę tu opisywać historji dualizmu austrjacko-węgierskiego, lecz jeden rys jego muszę podkreślić. Pobite w r. 1849 Węgry, poddane rządowi żołdactwa, sądów doraźnych i szubienicy, znajdowały się w najcięższem upokorzeniu i rozbiciu, a dyktator Ludwik *Kossuth* musiał uciekać do Włoch. Wówczas na czele uciskanego kraju stanął patrjota

Deak, który zawarł z dynastją ugodę. Nasi ugodowcy z epoki po r. 1863 powinni byli uczyć się rozumu i godności u tego Węgra, który w ugodzie uzyskał dla swej ojczyzny potężne stanowisko państwowe z własnym rządem, parlamentem, wojskiem. Nie targował się o ochłapy autonomji miejskiej, jak nasi „chadataje“ upokarzani w Petersburgu, lecz walczył o byt wolnego państwa! Ugoda zawarta w r. 1867 miała być odnawiana co lat dziesięć i każdy dziesiąty rok bywał rokiem triumfu Węgrów, którzy utrzymywali rządy parlamentu i dlatego górowali nad Austrją, rządzoną od czasów Badeniego paragrafem czternastym. Ale i na Węgrów przyszedł czas krytyczny. Szlachta i burżuazja madziarska nie chciała zrozumieć ważności i znaczenia mniejszości narodowych. Madziarzy uciskali Serbów, Rumunów. Słowaków i Rusinów w sposób wielce podobny do traktowania naszych mniejszości przez narodowych demokratów. Gdy uroszczenia węgierskich klas posiadających stawały się już niemożliwe do zniesienia w „Burgu“ wiedeńskim, cesarz mianował starego jenerała Fejerwarego prezydentem ministrów, a Kristoffiego (syna ubogiego krawca) ministrem spraw wewnętrznych z tem, żeby rząd wniósł w parlamencie projekt powszechnego głosowania! Miało to być straszliwym ciosem dla panowania madziarskiego. „Mniejszości narodowe“ miały bowiem znaczną liczebną przewagę nad Madziarami! Jenerał Fejervary posłał do parlamentu pułkownika Fabriciusa z dziesięciu żołnierzami i rozpędził posłów. Rozpoczęła się walka z dynastją, której ta się zlękła. We wrześniu 1905 r., kiedy walka wchodziła w fazę pogmatwania, mającego maskować późniejszy odwrót cesarza, rozeszła się wieść, że prezydent ministrów baron Gautsch odradzał cesarzowi nastawanie na reformę wyborczą, bo ta wpłynie demoralizująco na Austrję. Wieść ta podziałała jak grom na nasze szeregi. Gautsch stał się przedmiotem szalonej nienawiści, głoszonej przez nas publicznie. Zwołaliśmy do Wiednia na dzień 22 września konferencję z całego państwa, celem zastanowienia się nad sposobami walki o reformę wyborczą.

Na konferencji zdecydowało moje przemówienie o stanowisku partji. Uderzyłem bezpośrednio w dynastję, wskazując, że tylko drogą zaatakowania dynastji możemy dobić się reformy. Mowa moja, podawana ze względów cenzuralnych w złagodzonej formie (zamiast dynastja pisano „kamarylla“), wzbudziła powszechny entuzjazm na konferencji i odbiła się na demonstracjach, które odtąd w Wiedniu i w całem państwie nie ustawały. Dynastja stała się faktycznie celem gniewu i oburzenia mas ludowych. Taktyka ta okazała się skuteczną i to w nader krótkim czasie!

W parlamencie austrjackim pojawiły się liczne wnioski o powszechne głosowanie. Dr. Kramarz (imieniem Czechów), dr. Sustercicz (Słoweńcy), p. Romańczuk (Rusini) i ja imieniem Związku socjalistycznego motywowaliśmy 5 i 6 października nasze wnioski. Przeciw nim wypowiedział się bardzo stanowczo br. Gautsch, a za nim hr. Dzieduszycki, który oświadczył, że dotychczasowe kurje czyniły dla Polaków ten parlament możliwym, a także wspomniał, że właściwie jest on „parlamentem krajów“. Przypomniał temi słowy czasy, kiedy to sejmy delegowały posłów do parlamentu (skąd pochodziło słowo „delegat“ zamiast poseł). Ale w r. 1873 zgodziły się sejmy na bezpośrednie wybory do parlamentu i groźba Dzieduszyckiego nie miała żadnego znaczenia, zwłaszcza, że sejmy odpychały masę narodu swojem sobkostwem, ciemnotą i nader niesprawiedliwymi ordynacjami wyborczymi. W polemice z dr. Kramarzem twierdził, że ważniejszą od reformy wyborczej jest reforma regulaminu Izby. W obronie przywilejów szlacheckich uderzył hrabia w tony patrjotyczne, żądając dla Polaków i Rusinów tylu posłów co dla Niemców i Czechów, chociaż dotychczasowa ustawa znacznie więcej kraj krzywdziła. Działał oczywiście w ścisłem porozumieniu z centralistami niemieckimi, a nawet z najszaleńszą w Izbie grupą „wszechniemców“ pp. Wolfa i Schönerera! W r. 1905 Koło Polskie sądziło, że uda się powtórzyć dzieje z r. 1893, kiedy to Taaffego obaliła koalicja Polaków, Niemców i feudałów czeskich. Ale historja powtórzyć się nie mogła, bo

tymczasem weszli na widownię socjaliści, którzy wprowadzili w ruch rewolucyjną potęgę zorganizowanego proletarjatu.

Pierwszy atak w parlamencie zdawał się odpartym, dlatego walka przenieść się musiała i przeniosła się na ulicę. Ulica stała się odtąd przez cały rok widownią zajadłej masowej walki robotników z rządem. A w Galicji ostrze tej walki musiało nadto zwrócić się i przeciw szlachcie. Mowa moja w parlamencie była tej walki introdukcją. Przytoczę sąd o niej gazety niemieckiej „N. W. Tagblatt“, wrogiej zresztą ruchowi naszemu:

„Największe wrażenie wywarł poseł Daszyński, ze wszystkich mówców parlamentu największym obdarzony temperamentem. Że był on wymownym i przekonanym orędownikiem w walce o powszechne prawo wyborcze, któż o tem będzie wątpił? Że surowy sąd odbył nad reprezentacją interesów, a także bardzo ostre ciosy zadawał stronnictwom nacjonalistycznym i zakończył mowę wyrazami pełnymi otuchy w zwycięstwo — to wszystko można przeczytać w naszem dokładnem sprawozdaniu. Czego jednak druk oddać nie może — to płomiennej namiętności tonu, podburzającej siły głosu, rozmachu i gestu tego mówcy, który jako mówca i tym razem odniósł wielki sukces“.

Najgłówniejszym warunkiem urzeczywistnienia się reformy wyborczej w parlamencie było wyszukanie przejścia od dotychczasowego „stanu posiadania“ narodów do nowego dla nich wymiaru liczby mandatów. Była to kwestja najtrudniejsza, bo mnożąca obawy o przyszłość i dotykająca honoru narodowego. Dla mnie najważniejszą rzeczą było zdemokratyzowanie prawa wyborczego, a co do liczby mandatów stałem na stanowisku, że nie ma się ona zmniejszyć w stosunku do innych krajów. Ustawa wyborcza, któraby opierała mandat na równej liczbie wyborców w każdym kraju, była wówczas niemożliwością. Rozumiał to bardzo dobrze hr. Dieduszycki i na tem oparł zwalczanie reformy. Żądał dla Galicji $^1/_3$ mandatów, chociaż ludność jej wynosiła 28·45 procent całego państwa, groził zagładą nie tylko narodu polskiego lecz i Austrji z chwilą, gdy Galicja wyśle ciemnych analfabetów, „pastuchów“ i t. d.

Wystąpiłem wtedy z listem otwartym „Do Jego Ekscelencji Tajnego Radcy cesarskiego, hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego, b. prezesa Komitetu dla rozbojów wyborczych, obecnie prezesa Koła Polskiego“. Jako „motto“ listu wybrałem słynny ustęp z Beniowskiego:

. . . Więc już rozumiecie,
Że Dzieduszycki nie miał jednej kreski.
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca
Wszyscy w Ojczyźnie mówili: to zdrajca!

Z długiego pisma mojego zacytuję kilka ustępów:

„Mówiłeś jak krzywdziciel kraju, jak wróg Polaków i Rusinów, jako reprezentant jedynie i wyłącznie szlacheckich przywilejów, jako prawdziwy potomek owego zniesławionego regimentarza Dzieduszyckiego, o którym tak wymownie pisał Słowacki, każąc swojemu księdzu Markowi przybić do stołu tureckim nożem obie zdradzieckie ręce Twego przodka!“

„Dowiodę Ci Ekscelencjo tej infamji cyframi“.

„Przypuśćmy, że w Austrji, w Galicji i w innych krajach nie zmieni się wcale liczba mandatów, przypadających na każdy kraj zosobna, a tylko zniosą kurje i zaprowadzą równe prawa wyborcze. Dzisiaj głosy wszystkich mieszczan, chłopów i robotników w Galicji — Polaków i Rusinów, mieszczą się w trzech kurjach: miejskiej (13 mandatów), wiejskiej (27) i ogólnej (15). Cała ludność Galicji ma do dyspozycji 55 mandatów. Garsteczka zaś obszarników i finansistów ma 20 plus 3 mandaty, razem 23“.

„Ponieważ Galicja liczy 7,300.000 mieszkańców, więc dzisiaj za jednym mandatem miejskim lub wiejskim stoi przeciętnie aż 130 tysięcy mieszkańców“.

„Przy wprowadzeniu równego prawa wyborczego i zniesieniu kurji, lud w Galicji dostałby jeszcze 23 mandaty uprzywilejowane do swojej już dyspozycji, miałby więc razem wszystkie 78. Wtedy na jeden mandat przypadałoby już tylko 94 tysiące mieszkańców. Czyli: samo zniesienie przywilejów szlacheckich dałoby ogółowi Polaków i Rusinów poprawę ich siły wyborczej o jedną trzecią! Ale Tyś obronił Polaków i Galicję od czekającego nas upokorzenia. Wszak za to Ekscelencję wielbią gazety Twoje“.

„I w to jedynie ci uwierzą, którzy chcą się łudzić lub drugich oszukiwać. Najpierw małe wspomnienie istotnego pokrzywdzenia naszego kraju i całej jego ludności z przed 10 laty“.

„Był wtedy „polski rząd“; na czele państwa stał Polak hr. Badeni, na czele polityki zagranicznej Polak hr. Gołuchowski, kanclerzem skarbu był Polak dr. Biliński, a interesów Galicji pilnować miał Polak dr. Rittner. Nigdy nie było tylu Polaków naraz ministrami!“

„Wówczas to hr. Badeni wniósł projekt dra Rittnera utworzenia ogólnej kurji. Ponieważ wszystkie interesy finansowe, cała własność skupiała się już w czterech kurjach, więc kurja ogólna miała być reprezentacją hołyszów, ludzi mających tylko głowę na karku i dziesięć palców. Taka kurja miała chyba jedyne oparcie w liczbie głów ludności, mającej być obdarzoną mandatami. Otóż wtedy to Galicji należało się wedle liczby ludności 22 mandaty. A dano jej tylko 15, czyli, że cały „polski rząd“ i całe Koło Polskie okradli razem swój własny kraj o siedm mandatów — ze strachu przed „swoim“ chłopem i robotnikiem... Patrjoci!“

Ponieważ dr. Kramarz obok liczby wyborców postawił także jako kryterjum prawa wyborczego „siłę podatkową“, zaprotestował przeciw temu Dzieduszycki w imię absolutnej równości każdego obywatela w państwie. Wyliczyłem mu wówczas że jest wrogiem kraju, bo kryterjum Kramarza dałoby Galicji zamiast dotychczasowych 78 mandatów o dziesięć mandatów więcej, bo 87 na 425.

Przypominam mu dalej, jak postąpiło Koło ze Śląskiem Cieszyńskim:

„Zgrozą oburzenia przejąć powinno Polaków to, co Ty Ekscelencjo i Twoi klubowcy zrobiliście wobec 200 tysięcy rodaków naszych na Śląsku austrjackim. Tam w Księstwie Cieszyńskiem 200 tysięcy ludu polskiego ugina kark przed 40 tysiącami Niemców, komenderowanych przez najbutniejszą może burżuazję niemiecką Bielska i prowokatora z Cieszyna, hakatystę dra Demla. Cała ludność polska i jej poseł dr. Michejda muszą być z natury rzeczy za równem prawem wyborczem, bo ta równość prawa zniosłaby tam wprost zależność narodową Polaków. A tam niema analfabetów, ani kraj nie tonie w nędzy, jak Wasz Ekscelencjo folwark: Galicja!“

„I oto przychodzi pora głosowania nad potrzebą równego prawa głosowania. Panowie Dzieduszyccy i ich wytresowani klubowcy głosują solidarnie z Demlem i Mengerem przeciw reformie wyborczej, a biedny reprezentant 200 tysięcy Polaków na Śląsku, p. dr. Michejda musi wyjść za drzwi i w korytarzach czekać pokornie. aż jego klub, Koło Polskie obali najważniejsze życzenia jego wyborców!

To się u Was nazywa Ekscelencjo „solidarnością narodową“. U nas to się nazywa Targowicą“.

Gorące tchnienie walki przejawiło się w olbrzymich demonstracjach robotniczych na ulicy. Dnia 15 października rozgrywały się orgje policyjne na ulicach Krakowa w walce z robotnikami. Komisarz policyjny K. robił wrażenie niepoczytalnego człowieka: prowokował, lżył, wrzeszczał, zamykał ulice, nie pozwalając się rozejść publiczności. Policjanci rąbali bezbronnych robotników, którzy obiecywali przyjść na następną demonstrację z bronią w ręku... Ten komisarz został potem podczas wojny wysokim dygnitarzem policyjnym i zachowywał się tak, że Polacy mieli o nim jedną tylko opinję.

Wiedeń nie pozostał w tyle. Podczas kongresu ogólnoaustrjackiego odbywały się wielkie demonstracje między Burgiem a parlamentem. Przemawiałem na ulicy wśród huraganu oklasków i wojowniczych okrzyków tłumu. Wreszcie urządziliśmy dnia 2 listopada po zgromadzeniu wielki pochód pod Burg cesarski. Policja piesza i konna zagrodziła nam drogę koło Babenbergerstrasse. Rozpoczęła się walka, w której było 41 rannych. Łapy policyjne wyciągnęły mnie z pierwszego szeregu i zaciągnęły do komisarjatu, ale gdym się wylegitymował, puszczono mię na wolność.

Na drugi dzień pojawił się w rządowej „Wiener Abendpost“ artykuł, wyrażający zdziwienie wobec demonstracji, skoro rząd nic nie ma przeciw reformie wyborczej! Osiągnęliśmy pierwszy etap zwycięstwa, ale daleko jeszcze było do ostatecznego triumfu. Dlatego też ogólny kongres dobrze zrobił, gdy na wniosek Adlera zagroził rządowi i klasom posiadającym wybuchem strajku masowego, gdyby parlamentarna walka nie doprowadziła do uchwalenia reformy. Po uroczystej uchwale Pernerstorfer uczcił rewolucjonistów pomordowanych w caracie podczas walki rewolucyjnej, jako tych, którzy „dali inicjatywę do walki i w Austrji“. Kongres oddał cześć poległym przez powstanie z miejsc.

Dnia 5 listopada przemawiałem już na demonstracyjnem zgromadzeniu w Krakowie. Wśród tysiącznych tłumów groziłem niemal gilotyną Habsburgom, zapowiadałem strajk masowy i, powołując się na rewolucję w Królestwie, zapowiadałem walkę zbrojną na wypadek gdyby „u góry“ nie ustąpiono. Przedłożyłem zgromadzeniu następującą rezolucję:

„Zgromadzony lud krakowski przesyła towarzyszom i wszystkim bojownikom za wolność Polski i Rosji pozdrowienie. Padają w oczach naszych kordony, co dzieliły dotąd serca nasze, padną i te, które podła przemoc nakreśliła.

Zgromadzeni uznają, że i w granicach Austrji czeka polski lud rewolucyjne zadanie: walka o równe prawo wyborcze do parlamentu i sejmu.

Zgromadzeni ślubują w walce tej nie cofnąć się przed żadnymi ofiarami i gotować się do strajku masowego, dopóki walka nie skończy się zwycięsko dla ludu“.

Podczas pochodu demonstracyjnego przez miasto, w walce o czerwony sztandar niesiony w tłumie, poraniono dwóch bardzo gorliwych komisarzy policyjnych pp. T. i St., którzy zanadto energicznie szykanowali demonstrantów.

W tym czasie, kiedy car rosyjski ugiąć się musiał przed rewolucją, Sejm galicyjski pozostał niezachwiany! Właśnie pojawiło się sprawozdanie Komisji Wyborczej, przedłożone przez komparsa szlacheckiego p. Garapicha. P. G. rozprawia się z całym światem na temat powszechnego głosowania: „System ten nie odpowiada przyrodzonemu (!) organizmowi państwa, a wynik jego... nie umie uszanować rozumu politycznego, ani rzetelnej wartości, ani dotychczasowej pracy publicznej... Nie pozwala wybitnym indywidualnościom wysuwać się naprzód, jest hamulcem dla wybitnych talentów“ i t. d. (Był to człowiek bez żadnych talentów).

„Najbardziej zgubnie (!) odczuwa ten system nowożytna Francja — jak niegdyś dopomagał on jednostkom do dostania się do władzy i był podstawą ich dyktatury, tak w czasach bliżej nas położonych głównie się przyczynił do obniżenia parlamentaryzmu w tym kraju, przyczynił się do zachwiania równowagi budżetowej nawet tak zamożnego państwa, spowodował niejednokrotnie, że ustawy o znaczeniu osobistem lub partykularnem mogły górować w Izbie paryskiej nad sprawami najwyższego ogólnego znaczenia“.

Przytaczam te sejmowe mądrości dla rozweselenia czytelników.

Sejm był i wtedy wrogiem reformy, gdy nawet w austrjackim parlamencie 155 głosów oświadczyło się przeciw 114 za wnioskami nagłymi o reformę wyborczą! Kopał grób dla autonomji. Z tego Sejmu nie mogło wyjść ani jedno słówko, zbliżające doń masy polskie czy rusińskie. Szlachta zachowywała się jak „morituri“...

Pokazało się to w świetle olbrzymiej demonstracji ludowej, którą urządziliśmy dnia 23 października przed Sejmem. Dziesiątki tysięcy towarzyszyły deputacji socjalistycznej, którą prowadziłem najpierw do hr. Stanisława Badeniego, marszałka Sejmu, a potem do namiestnika hr. Andrzeja Potockiego. Obaj dygnitarze oświadczyli, że są zwolennikami rozszerzenia prawa wyborczego. Rezultatem tych rzekomych sympatji był referat p. Garapicha...

Miłe za to chwile przeżyłem we Lwowie, gdzie dnia 17 listopada zebrali się na zgromadzeniu w „Gwieździe“ posłowie Bojko, Grek, Loewenstein, Stapiński, Michalski, a z Rusinów Oleśnicki, Huryk i Wityk. Tematem obrad była reforma wyborcza do Sejmu. Najbardziej wojowniczą mowę wypowiedział p. Stapiński o Sejmie:

„Jestem członkiem tego Sejmu — mówił Stapiński — o którym poseł Daszyński szeroko opowiadał. I muszę tu powiedzieć, że to, co mówił poseł Daszyński, jest tylko słabem odbiciem strasznych stosunków, panujących w Sejmie skutkiem gospodarki konserwatywnej. Trudno słowami opisać cynizm machérów stańczykowskich. Najgorsze ustawy wrogie ludowi okraszają stańczycy obłudnym uśmiechem: dla miłości ludu. Gdy po demonstracji robotniczej uczuli strach, mówili, że reforma wyborcza będzie załatwioną przed budżetem. Dziś gdy strach minął, odłożono reformę po budżecie. (Oburzenie). Gdy widzę tych judaszy, którzy tam rej wodzą, takie mnie obrzydzenie ogarnia, że chciałbym plunąć na wszystko i uciec. (Poruszenie). Oni są głusi, oni są ślepi; jedynem ich życzeniem jest zniszczenie ludu, wypędzenie go za morze. Ja, po 16 latach pracy publicz-

nej doszedłem do przekonania, że nic nie da się u nas zrobić, jak długo oni nie znikną. Już w latach 40-tych pisał Schumann: Nie będzie lepiej w Polsce, aż bruki Warszawy nie będą czaszkami szlacheckimi zasłane! (Burzliwe oklaski). Dla tych wrogów ludu największa kara nie będzie za surową! (Długotrwałe oklaski)".

Spokojny człowiek jak p. dr. Grek zdobył się na owem zgromadzeniu na następujące słowa:

„Mam w ręku numer „Czasu", w którym jest wymieniony skład deputacji szlacheckiej, która wyjechała do Petersburga, aby żądać autonomji Królestwa. Wzięli w niej udział tacy ludzie, jak Lubomirski, Krasiński, dwaj Zamojscy i inni. A wiecie panowie czego oni żądają? Konstytuanty w Warszawie, wybranej na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego prawa głosowania. (Oklaski). Jest obowiązkiem honoru narodowego, by Sejm galicyjski stanął na tem samem stanowisku. Jeżeli pójdziecie panowie na ulicę, aby demonstrować, nie będziecie odosobnieni. Nawet bardzo umiarkowane żywioły będą musiały się do was przyłączyć dla ratowania honoru narodowego. (Oklaski)".

A ponieważ piszę te wiersze w dniach trzydziestoletniego jubileuszu szanownego wicemarszałka Sejmu polskiego pana Jakóba Bojki, więc przytoczę i jego miłe słowa z owego pamiętnego wieczoru. P. Bojko wspominał: „Przed 26 laty w Gręboszowie pojawił się po raz pierwszy socjalista. Byłem wtedy zwykłym Kubą. Wieś zbiegła się, aby przyjrzeć się temu, jak go organista nazywał, „picyliście". (Wesołość). Wówczas zobaczyłem, że to był człowiek jak inni (wesołość), medyk o rysach szlachetnych. Od tego czasu poznałem bliżej socjalizm i muszę powiedzieć, że gdyby go w naszym kraju nie było, należałoby go stworzyć. (Oklaski). Gdyby nie było socjalistów, spadałyby na ludowców jeszcze większe prześladowania. Stańczycy okrzyczeliby wówczas nawet Potoczkowców za niebezpiecznych ludzi. Mnie, który nie jestem — przyznaję — politykiem, człowieka miękkiego serca okrzyczano za zbrodniarza stanu!" Poseł Bojko oświadcza się dalej, jako bezwzględny zwolennik równego prawa wyborczego: „Gdy gospodarze zarzucają, że w razie równego prawa wyborczego będą głosowali na równi gospodarze i parobcy, odpowiada poseł Bojko, że synowie gospodarzy mogą stać się robotnikami. (Oklaski)".

Cytuję ze współczesnego sprawozdania dziennikarskiego. Oczywiście że p. Bojko miał wtedy ubożuchne trzy morgi własnego gruntu.

Taka to była atmosfera, którą udało się nam wytworzyć w kraju na rzecz powszechnego głosowania. Zwołany na dzień 28 listopada parlament miał usłyszeć urzędowe stanowisko rządu w sprawie reformy. Przygotowaliśmy na ten dzień w całem państwie jednodniowy strajk demonstracyjny, który miał być mobilizacją do dalszej walki w razie, gdyby rząd wystąpił z jakiemś połowicznem rozstrzygnięciem. Setki zgromadzeń ludowych miały zawczasu tę demonstrację przygotować. Poruszono z naszej strony wszystkie sprężyny, aby strajk był powszechnym. Wreszcie w dniu 28 listopada stanął na trybunie prezydent ministrów i zapowiedział, że w lutym 1906 roku rząd wniesie projekt ustawy o reformie wyborczej, oparty na powszechnem, równem, tajnem i bezpośredniem głosowaniu dla dorosłych mężczyzn bez żadnego wyjątku, z jednorocznem zasiedzeniem w gminie i z usunięciem wszelkich przywilejów wyborczych. Zapowiedział dalej utworzenie okręgów wyborczych tak wykrojonych, żeby o ile możności były zamieszkane przez jedną narodowość i uczynił aluzję do przyszłej autonomji narodowej. Napomknął, że ilość mandatów przypadających danemu narodowi nie będzie „mechanicznie równa" liczbie wyborców, bo należy uwzględnić i „siłę podatkową". Prawo wyborcze miało liczyć się z cyfrą ludności, siłą podatkową, interesami ekonomicznymi, jakie kraje i okręgi reprezentują, tudzież wpływem, jaki wywierają pod względem kulturalnym. Nadto kokietował w swem przemówieniu belgijski system pluralny i przyrzekał okręgi jednomandatowe. Reforma zapowiedziana przez rząd wprowadzała zatem między narodami nierówny wymiar prawa. Była to zasadniczo słaba strona projektu, ale dla tej Izby jedyne wyjście celem jego urzeczywistnienia. To też najlepsze prawo wyborcze obliczone w mandatach dostali Włosi, Niemcy i Czesi

(od 40 do 50 tysięcy ludności na posła), Polacy otrzymali od 50 do 100 tysięcy, a Rusini ponad 120 tysięcy na jeden mandat.

Podczas mowy Gautscha defilował przed parlamentem od godziny 11 do 3-ciej olbrzymi pochód strajkujących robotników. Liczbę demonstrantów obliczano na 250.000 ludzi. Był to żywy argument za reformą. W Krakowie demonstrowało 80.000 ludzi na rynku przed pomnikiem Mickiewicza. We Lwowie podawano taką samą liczbę. Sprawozdania z miast prowincjonalnych brzmiały triumfalnie. Kraj cały porwany został tą walką o prawo. Szlachta rozmyślała tymczasem nad tem, coby można z powodzi uratować. Pluralność wieku, posiadania, urzędu, pośrednie wybory dokonywane w dwu stopniach, oto były rozpaczliwe plany, mające Galicję wyodrębnić od reszty Austrji, gdzie nie można było marzyć o urzeczywistnieniu podobnych zakusów. Najcięższą dla szlachty galicyjskiej rzeczą było przeświadczenie, że nie tylko szerokie masy ludowe ale i dynastja życzy sobie reformy. Był to ogień z dwu stron, którego rezultatem musiało być zachwianie się pozycji szlacheckiej. Na tym przykładzie widzimy, jak dalece szlachta zatraciła zmysł państwowy. Stworzywszy ustawowo na swoich „obszarach dworskich“ zaścianek oddzielony od szerszego życia, nie rozumiała konieczności tego życia. Zawarłszy z Habsburgami umowę, mocą której miała rządzić w kraju, ignorowała głosy tego kraju, zasłuchana aż do końca swego politycznego życia (t. j. aż do r. 1918) tylko w to, co mówi dynastja. A kiedy dynastja musiała w swoim własnym interesie, dla uratowania siebie, „zmodernizować“ państwo, szlachta galicyjska zobaczyła się nagle osamotnioną. To też buntowała się po cichu, a nas nazywała c. k. socjalistami, co oczywiście podjęło potem z lubością całe stado głupców. Ale dla nas było zupełnie obojętnem, czy Franciszek Józef I jest również za reformą wyborczą; wiedzieliśmy że za nią być musi. Powszechny ruch ludowy skierowany w Austrji przeciw dynastji był dla niej bardzo groźnym. Zbuntowany Wiedeń a za nim wzburzone „kochane ludy“, jak Czesi, Polacy, Włosi, Słoweńcy—to znaczyło śmierć państwa i koniec dynastji. Zwłaszcza słowiańskie ludy dążyły do reformy wyborczej, która miała być początkiem odrodzenia i wyswobodzenia się z pod przemocy obcej.

Dnia 5 grudnia przyszli w wielkiej debacie do głosu chłop Jan Kubik i hrabia Dzieduszycki. Kubik oświadczył, że „naród polski z niecierpliwością czeka na reformę, przeciw której sprzysięgła się szlachta polska, naród zawsze uciemiężająca. Naród polski nie chce Polski, w którejby szlachta rządziła a specjalnie taki hrabia Piniński, który przelał tyle krwi niewinnej i do kraju sprowadził kata. Gdy powszechne prawo głosowania zostanie wprowadzone, lud wyśle do Izby siły inteligentne, zdolne do wypełnienia swych obowiązków“. Zato Dzieduszycki wypowiedział „wielką“ mowę, w której wskazywał, jak to danie robotnikom francuskim w 1848 roku prawa głosowania spowodowało rzeź czerwcową a potem cezaryzm. W Niemczech dawano robotnikom stopniowo coraz to szersze prawo wyborcze. Wskazał na rewolucję rosyjską, na rzezie Żydów i „barbarzyński komunizm agrarny“, i wołał patetycznie: „W takiej chwili grożą tu usunięciem kurji i zaprowadzeniem jednego sposobu wybierania! Czy niema niebezpieczeństwa, że chaotyczne prądy, które się w Rosji pojawiły, przejdą przez granicę, jeżeli się wywoła niebezpieczne wrażenie, że prawo wyborcze jest czemś wymuszonem, czemś narzuconem“.

Rzucił się na rząd, że ustąpił przed demonstracjami socjalistycznymi, w końcu zaś zapowiedział, że gdyby socjaliści teraz wygrali, to przeprowadzą rozdział kościoła od państwa i zniesienie armji, „czego sami będą żałowali...“ Groził anarchją, rewolucją, zalewem Izby przez analfabetów i t. d. W końcu poddał rozwadze swoje własne dość mętne zresztą projekty. Sejmy miałyby zaprowadzić powszechne głosowanie, poczem wysyłałyby połowę posłów do parlamentu. Albo możnaby utworzyć izby rzemieślnicze, rolnicze, robotnicze i każda wysyłałaby posłów do Izby. Podniósł dalej, że nie wszędzie należy zaprowadzać wybory bezpośrednie i radził nie dawać głosu analfabetom.

Wreszcie i ja doszedłem do głosu. Pochwaliłem rząd za to, że zrozumiał groźne położenie i zawczasu ustąpił wobec żądania robotniczego i wskazałem, że zaiste żaden „radykalizm“ nie skłonił cesarza i bar. Gautscha do zapowiedzi projektu reformy. Uderzyłem na Izbę panów, w której stary nasz wróg hr. Piniński stanął na czele opozycji. Pytano tam, dlaczego rząd bez rozlewu krwi tak łatwo ustąpił? Jeden z tych panów powiedział: „Przecież nas Japończycy nie pobili?“ (Wesołość).

„A ja powiadam: tak jest, zostaliście przez Japończyków pobici! Tam, gdzie rosyjski absolutyzm w Europie pobity został przez Japończyków i obalony, pobite zostały także wszystkie inne absolutystyczne żywioły w Europie zachodniej. (Bardzo słusznie). Te ciosy, które w Azji wschodniej w decydujących zapasach mocarstw spadły na carat, muszą odczuć i odczują wszystkie małe cary w Europie jeszcze panujące“.

Mówcy Izby panów pozwolili sobie na insynuacje, że przy naszych demonstracjach z 28 listopada pomagał rząd. Za przeczyłem tej jadowitej pogłoscę i położyłem ją na karb „fantazji rozpaczy“:

„Rząd urządzał demonstracje! Trafnem to jest pod pewnym względem. Dnia 2 listopada znajdowałem się przed konną policją, niestety, w pierwszym rzędzie i widziałem to urządzanie. Stał potrójny wał policjantów na Burgringu, a za tym wałem oddział konnej policji. I przy tem „uroczystem urządzaniu“ nie mniej jak czterdzieści osób zostało zranionych przez organy rządu. (Poseł tow. Pernerstorfer: Znacznie więcej!), lub jeszcze więcej.

Podobnie było we Lwowie, Krakowie, Pradze, Bernie: wszędzie „uroczyście“ kierowano naszymi demonstracjami“.

Wskazałem dalej na to, że 28 listopada wszędzie wojsko było trzymane w pogotowiu; aby zaś wykazać, jak poważnie traktowali rzecz komendanci korpusów, przytoczyłem na to mały, ale wymowny przykład. Kilku bogatym kupcom żydowskim w Krakowie zachciało się pójść do komendy korpusu i prosić o zbrojną obronę dla swoich sklepów na 28 listopada. Na to odpowiedziano im ze strony komendy korpusu:

„W pierwszych pięciu minutach nie ręczymy panom za nic, ale już w szóstej minucie panowie możecie być całkiem spokojni, zostaniecie ochronieni. Oczywiście nie mogli spokojnie znieść tych pięciu minut, są to przecież współcześni ludzie nerwowi i powiedzieli: Ale cóż nam przyjdzie z szóstej minuty, kiedy już przeminie pierwszych pięć minut! (Żywa wesołość). Pozamykali zatem pięknie wszystkie sklepy; większość naturalnie uczyniła to z sympatji, mała część z trwogi, za co my znowu nie ponosimy żadnej odpowiedzialności“.

Potem zacząłem już sobie używać na Dzieduszyckim (oprócz różnych tytułów miał on i tytuł profesora lwowskiego uniwersytetu!). Przytoczę tylko kilka ustępów z odprawy, jaką dałem hrabiemu.

„Tylko przy pomocy specjalnej historji dla Koła Polskiego można było usłyszeć takie rzeczy, jakie nam wczoraj mówił jego ekscelencja hrabia Dzieduszycki. Zaczął on bardzo mądrze już od francuskiej rewolucji. (Wesołość). Nie chciał nic o tem wiedzieć, że dawny system kurjalny zakończył się historycznem zjawiskiem, wspaniale harmonijnem, a mianowicie zgilotynowaniem króla i królowej. Odwrócił więc swoje oblicze od tego niełądnego widoku i począł nam wykładać nowszą historję Francji. (Żywa wesołość). Naturalnie powiedział o reakcji, że Karol X. został wygnany, a później przyszedł Filip.

Ten Ludwik Filip mógłby był aż do śmierci spokojnie panować, lecz nadeszła rewolucja. (Żywa wesołość). Ale moi panowie, dlaczegóż? Czyż nie wiecie dlaczego nadeszła rewolucja, chociaż Ludwik Filip nie był tyranem, lecz tylko królem mieszczańskim? Gdy deszcz padał, spieszył on natychmiast na ulicę, aby jakiemu obywatelowi pożyczyć parasola (wesołość) — było to przecież swego czasu bardzo znane w podręcznikach szkolnych — był on prostym królem mieszczańskim, a orleaniści powstali nietyle z łaski Boga, ile z łaski rewolucji.

Ale dlaczegoż to nadszedł rok 1848? A byłoby tak pouczającem bliżej tę rzecz rozpatrzeć. Oto dlatego właśnie, że nie chciano dać reformy wyborczej. Przypomnijcie sobie znaną akcję mieszczańskich rewolucjonistów, tak zwane bankiety reformy wyborczej. My, oczywiście, nie jesteśmy w stanie zaprosić 250.000 ludzi na bankiet (wesołość) i jesteśmy tego zdania, że tak sobie przy jedzeniu mówić o polityce, nie jest dobrze. Lecz mieszczaństwo musiało urządzać t. zw. bankiety dla reformy wyborczej. Iluż ludzi miało wówczas prawo wyborcze do francuskiego parlamentu? 300.000 wyborców. I gdy pewnego razu

na czele ministerjum stanął taki mądry człowiek jak nasz Thun, i gdy takiego bankietu zabronił — wtedy wybuchła rewolucja 24 lutego 1848 r., a król i mądry minister, musieli obydwaj z Paryża uciekać. Król ma się rozumieć zabrał ze sobą lepszą część swej potęgi, dobrze nabitą kiesę. Lecz minister uciekł, goniony przekleństwami i hańbą.

Rewolucja wybuchła, i wiecie wielu zjawiło się wyborców we Francji przy powszechnem, równem i bezpośredniem prawie wyborczem? 9,000.000, a za Ludwika Filipa było ich 300.000! Z tych dwóch liczb zrozumiecie, dlaczego rewolucja przyjść musiała.

Lecz oto nadeszły dni czerwcowe, mówi pan hrabia. Dlaczego? Wszak prawo wyborcze było ogłoszone na wiosnę 1848 r., a dni czerwcowe przyszły zaledwie w dwa miesiące potem. Kto się ośmieli powiedzieć coś podobnego, że po dwóch miesiącach, zanim się wogóle działanie powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego objawić mogło, że jako skutek tego prawa przyszło takie zjawisko jak krwawe dni czerwcowe? Nie, moi panowie, tak może jest w podręczniku historji dla Koła Polskiego, lecz w historji dla zwykłych ludzi jest o tem inaczej. Było to niezadowolenie robotników, którzy co mieli najlepszego, oddali walce rewolucyjnej, którzy potrafili umierać na barykadach, a oto widzieli, że burżuazja ich opuszcza i oszukuje, gdy wołają o pracę.

Była to demagogiczna polityka rządu z t. zw. narodowymi warsztatami, a szalę przechylił rząd, gdy chciał pozbyć się nie mieszkających stale — należałoby dla panów socjalno-chrześcijańskich powiedzieć „osiedlonych“ (wesołość) — w Paryżu robotników. To był, moi panowie, ostatni motyw tej strasznej rzezi, na której Cavaignacowie oparli swą polityczną egzystencję.

Tak samo rzecz się przedstawia z jego poglądami na Niemcy. Wypowiedział zdanie nie do uwierzenia, że wyrównanie praw wyborczych musiano osłabić przez wprowadzenie autonomji części. Właśnie wprost przeciwnie było w rzeczywistości. (Głosy: Doskonale!).

Musiano tam obejrzeć się za środkiem wstrzymującym siły rozkładowe, aby je zrobić nieszkodliwymi, a nawet niemożliwymi. Były to samoistne państwa, całkiem odrębne, we wszystkie prawa zwierzchnicze wyposażone, a środkiem, paraliżującym ich rozbieżność, było powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze — i te prawa zwierzchnicze i tradycje — nie nędznych, świeżo upieczonych szlachciców, lecz królów i książąt — musiały ugiąć się przed powszechnem głosowaniem (Głosy: Bardzo słusznie!), i wszystkie intrygi małych dworów i wszelkie knowania przeciw jedności w przeszłości i jeszcze obecnie musiały zamilknąć przed potęgą jednoczącego elementu: powszechnego prawa wyborczego. (Oklaski)“.

Miałem prawie całą Izbę po swej stronie, kiedym roztrząsał bez litości argumenty prezesa Koła Polskiego. Zarzucił był rządowi niekonsekwencję. Odpowiedziałem:

„A czy panowie z Koła Polskiego byli konsekwentni? Jak prędko zmieniło się ich stanowisko wobec ważnych wydarzeń historycznych w przeciągu jednego tylko roku? Dnia 15 lutego przeklęli i znieważyli rewolucję w Polsce; 15 lutego uchwalili panowie z Koła Polskiego prawie jednogłośnie, że każdy popierający ruch rewolucyjny nie w „Polsce“ — boją się wymówić to słowo — a w „sąsiedniej dzielnicy“, niech będzie pogardzony i przeklęty. 15 lutego mówili, że rewolucja w Polsce pracuje pour le roi de Prusse i że jesteśmy pruskimi agentami prowokacyjnymi, jeżeli nie przez Żydów, Japończyków albo Anglików najętymi złoczyńcami. (Wesołość). To było przed 10 miesiącami. A wczoraj nazwał już hr. Dzieduszycki zjawiska tej rewolucji „wejściem na drogę wolności“. (Oklaski).

Droga wolności! Was na tej drodze nie widziano (Oklaski), a jeżeli się kiedyś na tej drodze pokażecie, to tylko pchani, za uszy ciągnięci przez rewolucyjny ruch ludowy w Polsce. (Wesołość i potakiwania).

Ta droga wolności jest usłana trupami polskich robotników (głosy: bardzo słusznie!), a słupami milowymi na tej drodze wolności są szubienice, na których powieszono naszych najbliższych (Oklaski).

Teraz nazywacie to drogą wolności. Widzicie panowie, że i wyście nie pozostali konsekwentnymi. Nie wolno wam zostawać konsekwentnymi, gdyż życie jest silniejsze od was, silniejsze od rządu, silniejsze od tej Izby, silniejsze od całej tradycji starej Austrji, gdyż to jest konieczność prawa nadchodzącego! (Oklaski)“.

Rozprawiłem się też z niejasnymi propozycjami opartymi na organizacjach zawodowych i wskazałem najpierw na to, że właśnie obszarnicy nie dopuszczają w Galicji do żadnych chłopskich organizacji zawodowych ze strachu przed nimi. Wśród wesołości Izby zapytałem:

„Do jakiej organizacji zawodowej należą panowie z Koła Polskiego? (Wesołość). Czy Jokeyklub także zostanie uznany jako organizacja zawodowa? (Wesołość). Ma to i swoje dobre strony! Czyż te fluktuacyjne żywioły wyborców Koła Polskiego, te włóczęgi, które raz w Paryżu, raz w Monte Carlo, a raz znowu w wiedeńskim Jokeyklubie siedzą, aż z pustymi kieszeniami i zepsutym żołądkiem powrócą do swych dworów, czy te ruchome, fluktuacyjne żywioły są wogóle uzdolnione do zorganizowania się zawodowo? Prawda, że w miejsce pana Abrahamowicza np. wolałbym w polityce jakiegoś uczciwego majstra kominiarskiego! Czy państwo jest jednak rzeczywiście wielkiem stowarzyszeniem zawodowem? Czyż nie jest ono organizacją ludową, która ma nie tylko zawodowe, lecz tysiąc razy wyższe i szersze cele reprezentować i urzeczywistniać?“

Hrabia Dzieduszycki pytał się o kulturę wyborców, otóż przytoczyłem uderzające fakty, że w V kurji w r. 1900 było nieważnych głosów tylko 7 na tysiąc, podczas kiedy w kurji wielkiej własności 27 na tysiąc! Do tego w V kurji np. mego okręgu głosowało 58% wyborców, a w kurji szlacheckiej 44%. Któż więc lepiej zdał egzamin z kultury politycznej?

Zakończyłem słowami:

„Nasze demonstracje w ostatnich miesiącach, nie tylko za prawem wyborczem do parlamentu, lecz także za sejmową reformą wyborczą, dowiodły, że miasta galicyjskie maszerują po tej wielkiej linji, na której się znajduje proletarjat całego państwa, że i w miastach galicyjskich pragnie się powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego. Nie zapominajcie, że walka w Rosji jeszcze nie rozstrzygnięta, że każdy dzień, każda godzina donosi o nowych ofiarach, które nasi rodacy, rewolucjoniści składają na ołtarzu wolności. Nie zapominajcie, że Polacy w Galicji także muszą dla rozwoju swego zrobić, co tylko można zrobić po tej stronie kordonu. Dziś albo nigdy możemy wywalczyć nasze prawo i wywalczymy je!“ (Żywe oklaski i brawa).

Ledwiem wypowiedział tę mowę, a już trzeba było jechać do kraju, aby rozkołysać ruch ludowy na wsi i w mieście. Na zgromadzeniach sypałem garściami całymi argumenty za reformą i podburzałem przeciw magnatom i szlachcie na wypadek, gdyby się ośmielili dalej opierać głosowi całego społeczeństwa. W Krakowie, Lwowie, Rzeszowie, na prowincji, w Wiedniu i na Śląsku Cieszyńskim szły zgromadzenia za zgromadzeniami pełne wrzenia, entuzjazmu, polemiki i nadziei. Raz przemawiałem we Lwowie w zimie pod pomnikiem Mickiewicza, gdy z dworca kolejowego nadjechali powozami dwaj ministrowie austrjaccy, nie pamiętam już w jakiej misji urzędowej. Użyłem drastycznego zwrotu, że „wierzby same nachylą konary, gdy trzeba będzie zrobić porządek z wrogami reformy wyborczej“... P. Dawid Abrahamowicz skarżył się gorzko na te moje słowa przed ministrami we Lwowie i w Wiedniu. Szlachta przegrała ostatecznie sprawę z chwilą, gdy do ruchu przystąpili chłopi.

Wielkim aktem przystąpienia chłopów do ruchu o reformę było zgromadzenie w dniu 12 stycznia 1906 roku w Krakowie, zwołane przez p. Stapińskiego. Obecnych było 1200 włościan z 52 powiatów. Ośmiu posłów chłopskich i demokratycznych, p. Karol Lewakowski, p. Andrzej Niemojewski i ja przemawialiśmy po Stapińskim. W uchwalonej rezolucji zgromadzeni: „oświadczają się za bezpośredniem, powszechnem, równem i tajnem prawem głosowania do Rady państwa. Wieści o oporze i intrygach ze strony garści uprzywilejowanych panów polskich i posłów z Koła Polskiego przeciw temu żądaniu, zgodnemu z oświadczeniem prezydenta ministrów z 28 listopada 1905 r., wywołują wśród ludu polskiego oburzenie. Skutki tego oburzenia przypisze sama sobie klika uprzywilejowanych i rząd, gdyby przed nią ustąpił. Wreszcie oświadczamy solennie, że wszystkie siły wytężymy do walki, aż bezpośrednie, powszechne, równe i tajne prawo głosowania do Rady państwa i Sejmu krajowego będzie nam dane“. Przewodniczący p. Jakób Bojko zachęcał do wytrwałości i zaintonował pieśń „O cześć wam panowie magnaci“, którą zgromadzeni z zapałem odśpiewali. Potem zaśpiewano „Czerwony sztandar“.

Równocześnie prawie narodowy demokrata p. dr. Głąbiński zwołał zgromadzenie wyborców we Lwowie, na które socjaliści przybyli tak licznie, że mogli wybrać przewodniczącym tow. Hausnera (dzisiejszego posła sejmowego). Pan

Głąbiński uczuł się tem tak dotkniętym, że nie wygłosił swego referatu, a zgromadzenie nie doszło do skutku. Ogłosił się przeciwnikiem równego prawa głosowania na zgromadzeniu w Rzeszowie, gdzie go też ostro zwalczałem. W Kołomyi i w innych miastach musieli narodowi demokraci odbywać swoje zgromadzenia pod ochroną bagnetów żandarmskich.

Ale pomimo sztuczek narodowo-demokratycznych ruch zataczał coraz szersze kręgi. 600 polskich gmin wniosło do parlamentu petycje z żądaniem powszechnego prawa wyborczego. Ile gmin rusińskich to uczyniło, nie umiem określić. Pod naciskiem ludów całego państwa znajdujący się rząd bar. Gautscha wniósł wreszcie w lutym 1906 r. projekt ustawy, zabezpieczający powszechność, równość, bezpośredniość i tajność głosowania z jednorocznem zasiedzeniem w gminie. Ilość mandatów dla Galicji powiększał o 10, a nadto wykrawał tutaj (za pośrednictwem namiestnika Potockiego) tak dziwne okręgi wyborcze, że np. przedmieścia Krakowa głosowały z wielickimi chłopami! Wogóle dla miast, mających na przedmieściach liczną ludność robotniczą, podsuwał projekt utopienia jej w morzu chłopskiem. Miała to być obrona przed „czerwonym zalewem", którego obawiali się nieświadomi rzeczy dygnitarze. Ta „geometrja" wyborcza była środkiem działającym na krótką metę. Sączyła w spokojną wieś agitację przyłączonych do niej robotników przemysłowych, ale za to w bogatszych centrach kilkunastu miast burżuazja miała pewne mandaty. O to na razie chodziło. Szlachta znów obmyślała inną asekurację na wsi. Ale o tem później.

Na zgromadzeniu w Krakowie, w obecności tow. Diamanda i Józefa Hudeca owacyjnie witanych, zanalizowałem słabe strony projektu i zapowiedziałem dalszą walkę. Na tem zgromadzeniu podniósł przewodniczący tow. Klemensiewicz jedną napozór odrębną sprawę, która nieraz miała się jeszcze w przyszłości wyłonić. Oto księża wszczęli nagle na wsi kwestję rozwodów, posyłając do parlamentu petycje o utrzymanie nierozerwalności małżeństwa! Był to — i jest jeszcze do dnia dzisiejszego — cudowny wprost środek

do zmobilizowania masy wieśniaczek. W zamkniętem życiu wiejskiem jest dla kobiety rozwód z mężem katastrofą ekonomiczną i towarzyską. Nierozerwalność małżeństwa staje się wprawdzie równie często przyczyną cierpień dwojga ludzi, ba, prowadzi na wsi często do okrutnych zbrodni, ale trudno żądać od kobieciny wiejskiej, aby zdała sobie z tych ciężkich rzeczy sprawę i upodobniła się do kobiety miejskiej, widzącej w rozwodzie często jedyną deskę ratunku. Otóż kler politykujący używał wielokrotnie groźby zaprowadzenia rozwodu przeciw niejednej reformie, która nic wspólnego z małżeństwem nie miała. Mobilizacja „wiejskich matek" — tych triarjuszy wiejskich — to pomysł wcale zręczny... I w niepodległej Polsce jużeśmy tę taktykę odczuli, a dopóki kler będzie tak politykował jak dotychczas, odczujemy ją jeszcze nieraz.

Tymczasem intryga wrogów reformy nie spała i pojawiła się w parlamencie w postaci wniosku wszechniemców o wyodrębnienie Galicji. Pomyślane to było głęboko, bo miano zamiar najpierw obalić rząd Gautscha, a następnie zająć słaby parlament olbrzymim trudem nad zmianą konstytucji, odrzucić na drugi plan reformę wyborczą i utopić ją w powszechnej walce krajów i narodów ze sobą. Obok wszechniemców Wolfa i Schönerera, najzaciętszych wrogów reformy wyborczej, zgrupowało się natychmiast Koło Polskie, szlachta niemiecka, t. zw. wiernokonstytucyjna, pod wodzą hr. Stuergkha i feudali z księciem Sylva-Tarouca.

Nasi „wszechpolacy" czyli narodowi demokraci zwietrzyli żer intrygi i wnet „Słowo Polskie" pisało: „Ze Słowianami austrjackimi, a właściwie z Czechami nic nas nie łączy. Ani uczucia, na wspomnieniach przeszłości oparte, ani interesy. „Wzajemność słowiańska" to przecież fantazja filologiczno-literacka, którą można wprawdzie politycznie wyzyskać, ale na której nic trwałego zbudować nie można. Skoro więc Niemcy we własnym interesie sprawę wyodrębnienia Galicji podnoszą, należy z tej sposobności skorzystać skwapliwie, ażeby naszą samodzielność narodową jak najmocniej

obwarować. Niemcy są wrogami zawziętymi naszego narodu, zwłaszcza prusofilscy wszechniemcy. Ale i z dziedzicznymi wrogami przecie zawiera się rozejmy, a nawet traktaty pokojowe“.

To samo „Słowo polskie“ nie wahało się nazwać „chamami“ delegacji chłopów polskich, udającej się do Wiednia celem przedłożenia żądania reformy wyborczej! Ta prasa nie była nigdy w kłopocie, kiedy trzeba było jakąś intrygę ubrać w piękne słowa. Ale Koło Polskie wkrótce zobaczyło włos we wszechniemieckiej zupie... Oto prusofile w stylu Wolfa i Schönerera mieli usta pełne Hohenzollernów, a cesarz nie cierpiał ich z całej duszy. Poparcie „wiernego“ dotąd Koła, udzielone kreaturom tego rodzaju, groziło gniewem i niełaską Habsburgów. Musiano się zatem zadowolnić dość platonicznem poparciem, t. j. głosowaniem w Izbie za Prusakami i nie tworzeniem łączności między owem sławetnem „wyodrębnieniem“ a reformą wyborczą.

Oświadczyłem się w dość wesoły sposób za wyodrębnieniem pod warunkiem, że w Galicji i na Śląsku cieszyńskim pierwej wprowadzi się powszechne głosowanie. Uważałem spółkę konserwatystów z prusofilami, którzy odgrywali rolę nader marną w parlamencie, za wybryk chwilowy intrygantów, nie mogący pociągnąć za sobą poważnych następstw.

Jednego tylko dopięli intryganci, oto obalili *Gautscha*. Ale po nim przyszedł namiestnik Trjestu, „czerwony książę“ *Hohenlohe*, którego nominacja była groźną ze strony cesarza wskazówką, że od reformy nie odstąpi. Odpowiedzią zaś *naszą* na intrygi była olbrzymia demonstracja przed Sejmem lwowskim, domagająca się powszechnego głosowania w kraju. Hrabia Potocki wypuścił na nas policję jak stado dzikich zwierząt. Żołdactwo policyjne rąbało ludzi z dziką pasją. Pogotowie ratunkowe musiało opatrywać dziesiątki pokaleczonych i pokrwawionych. Jakiś starszy inteligentny *amerykanin* patrzący na te barbarzyństwa policyjne głośno żałował, że nie ma przy sobie rewolweru, aby tym nikczemnościom kres położyć. Szabla policyjna tak samo nie obaliła reformy jak

intryga parlamentarna. Przypomniał się również stary „przyjaciel“ prokurator *Doliński*, wytaczając mi proces o zbrodnię za udział w demonstracji, ale parlament *odmówił* wydania mnie i na tem się skończyło.

Na X Zjeździe partyjnym mogłem stanąć przed towarzyszami z połowicznym jeszcze ale już wielkim rezultatem pracy parlamentarnej. Jeszcze potrzebne były dalsze wspólne wysiłki, ale reforma wyborcza była zabezpieczona. Na wypadek konieczności dalszej walki uchwalił kongres przygotować *strajk masowy*...

W parlamencie kłócono się zawzięcie o liczbę mandatów. Między „słowiańskim“ a „germańskim“ blokiem już chodziło tylko o różnicę trzech mandatów! Galicja uzyskała 105 mandatów na 520. Nadto otrzymała specjalny podarunek dla szlachty w postaci tzw. „podwójnych“ mandatów *w okręgach wiejskich*. Stworzono tu szczególny rodzaj „proporcjonalności“, bo jeden mandat miał skupić na sobie 50% + 1 głosów, drugi zaś 25% + 1. Obok więc „większościowego“ mandatu, który dostał np. 70% głosów, tworzył się drugi, który miał tylko czwartą część plus jeden głos. Szlachta motywowała to względami „narodowymi“ w walce z Rusinami na wschodzie, ale wprowadziła tę dziwną „proporcję“ także i przeciw *polskim* chłopom na zachodzie. Była to stała taktyka: obmyślano jakąś brzydką rzecz przeciw „narodowemu wrogowi“, a stosowano to najbezczelniej przeciw swoim. Z ucisku narodowego płynęła trucizna reakcji i gwałtu do własnego narodu. Jak w Niemczech tak i nas ucisk narodowy „na kresach“ paraliżuje życie w *całym* kraju.

Ks. Hohenlohe upadł wkrótce z powodu nacisku Węgrów. Po nim przyszedł p. *Włodzimierz Beck*, mąż zaufania arcyksięcia *Franciszka Ferdynanda*, człowiek nadzwyczaj zręczny, który pewną ręką prowadził dalej pertraktacje. Nie czyniliśmy jednak sprawy naszej zależną od żadnej jednostki i zagroziliśmy, że jeżeli szlachta będzie udaremniała reformę, wywołamy *strajk rolny podczas żniw*, a w wielkich centrach przemysłowych przygotowaliśmy trzydniowy

strajk jako pierwszą próbę. Te zapowiedziane przez nas środki wraz z naciskiem „z góry“ pomogły. A były potrzebne, bo jeszcze w ostatniej chwili próbowano, coprawda bez skutku, przemycić do ustawy paragraf o pluralności głosów, zależnie od wieku i majątku.

Wreszcie 27 października 1906 roku został zawarty powszechny kompromis, umożliwiający uchwalenie ustawy bez trudności. W grudniu została też uchwalona w Izbie posłów i Izbie panów, dokąd cesarz wezwał członków w rodzaju księcia kardynała Puzyny i hr. Andrzeja Potockiego, aby głosowali za reformą. Tylko mały „esteta“, były namiestnik hr. Piniński walczył przeciwko reformie do ostatka.

Rząd pozyskał większość Izby panów przez „numerus clausus“, t. j. ograniczenie na przyszłość prawa cesarza mianowania członków Izby w dowolnej ilości, jak to bywało dotychczas. Oprócz tego można było na przyszłość mianować posłów członkami drugiej Izby. Ale w gruncie rzeczy wola cesarza zdecydowała o stanowisku „panów“ wobec reformy wyborczej.

Ostatnie strzały między mną a Kołem padły przy dodatkowej ustawie o czystości wyborów. P. Dawid Abrahamowicz w wielkiej mowie parlamentarnej w styczniu 1907 r. zarzucił mi, że „ilekroć w Galicji jaki ruch się zaczął, zawsze socjalna demokracja była jego sprawczynią“ i wypominał mi mój głos tenorowy... W odpowiedzi przyjąłem te zarzuty jako zasłużone i wśród szalonej wesołości Izby stwierdziłem, że „rzadko przyroda obdarza dorosłych mężczyzn tak pięknym i delikatnym głosem sopranowym, jak jego ekscelencję p. Dawida Abrahamowicza“... Odpłaciłem pięknem za nadobne.

W końcu stycznia 1907 r. ustawy o reformie wyborczej zostały sankcjonowane i urzędowo ogłoszone. Dnia 2 lutego stałem przed olbrzymiem zgromadzeniem ludowem w Ujeżdżalni krakowskiej, dziękując robotnikom za ich wytrwałość i ofiarność w walce. Tow. Klemensiewicz przypomniał walkę chłopów, którzy wraz z nami rozstrzygnęli o zwycięstwie demokracji. Po licznych triumfalnych mowach wyrażono mi wdzięczność i uznanie. Na drugi dzień przemawiałem już we Lwowie na wielkiem zgromadzeniu, gdzie rzuciłem przyszłościowe hasło „ziemi dla chłopów“, będące wtedy w oczach „społeczeństwa“ czemś w rodzaju okrzyków bojowych rezunów chłopskich... Hasło to pod miłym tytułem „reformy rolnej“ wypłynęło później. Ale już wówczas należało je rzucić jako pierwsze następstwo zdobycia demokracji politycznej w formie równego głosowania. We Lwowie nakreśliłem projekt programu dla zbliżającego się ruchu wyborczego.

Z uchwaleniem powszechnego głosowania zamknął się okres „starej Austrji“ Metternicha, państwa ucisku policyjnego i intrygi dzielącej narody (hasło austrjackie: „divide et impera!“ — dziel i nad podzielonymi panuj!), tworu zawisłego od losów dynastji Habsburgów. Demokracja polityczna stała się środowiskiem wszelkiej działalności społecznej. Nadaniem równego prawa tworzącego Izbę ustawodawczą pastuchowi i arystokracie, zrównaniem udziału w suwerenności państwowej każdego obywatela, tak jak zrównano go już dawno w „ofierze krwi“, t. j. służbie wojskowej i w ponoszeniu państwowych ciężarów finansowych (pośrednie podatki, cła, monopole i t. d.), umożliwiliśmy nowoczesne życie polityczne w Austrji. To co we Francji zrobiła rewolucja r. 1848, a potem pośrednio Komuna paryska, w Niemczech potężny polityk Bismark, „kitujący“ w Rzeszę niemiecką trzydzieści kilka odrębnych państewek za pomocą powszechnego głosowania, co w Anglji genjalny Gladstone uczynił w r. 1882, to myśmy uczynili dla ośmiu narodów w Austrji, zużytkowawszy wielkie wstrząśnienie, wywołane przez wojnę i przez rewolucję w Polsce i w Rosji. Socjalizm spełnił tu właściwie obowiązek postępowej burżuazji, która kiedyś tworzyła demokratyczne ruchy rewolucyjne, ale prędko — ach jakże prędko! — zapomniała o nakazie demokracji i zaczęła się przeciw tej demokracji bronić z chwilą, gdy wystąpili na arenę dziejową robotnicy. Żyjąca w granicach Austrji burżuazja polska zapomniała czasów

rewolucji z r. 1846, zapomniała ówczesnego „manifestu krakowskiego“, który był najcudowniejszem wcieleniem przykazań ruchów demokratycznych z czasów „wielkiej“ emigracji po r. 1831. Przyjętoby nas w ówczesnej Galicji z pełnem niezrozumienia oburzeniem, gdybyśmy chcieli przypomnieć demokratom w stylu p. Romanowicza ich obowiązki wobec demokracji, tak jak dziś „socjalistyczne“ partje burżuazji francuskiej przeczą zuchwale socjalizmowi! A jednak musieliśmy wywalczyć podstawę demokracji politycznej, powszechne głosowanie, aby módz oddychać choć trochę swobodniej i prowadzić na większą skalę socjalistyczną walkę wyzwoleńczą! Opuszczeni przez „społeczeństwo“ ciemne, zniewolone, reakcyjne, walczyliśmy z początku bez echa, bez jednego głosu popierającego z zewnątrz nasze dążenia. Dopiero szalone podniecenie rewolucji Królestwa i Rosji, które wstrząsnęło potęgą samodzierżcy rosyjskiego, dopiero podniesienie uciemiężonej głowy robotnika polskiego w Królestwie wytworzyło i w granicach Austrji ten prąd półrewolucyjny, przed którym zawczasu ugięła się przezorna dynastja habsburska i umożliwiła powstanie politycznej demokracji. Jak to podziałało liczbowo na ruch robotniczy, tego dowodem niech będą cyfry. W r. 1900 było w parlamencie 10 socjalistów, t. j. czterdziesta druga część Izby. W dziesięć lat potem było ich 97 t. j. blisko piąta część parlamentu!

Ruch narodowy zyskał przez reformę wyborczą potężnie na sile i głębokości. W kraju, tak słabo ekonomicznie i społecznie rozwiniętym jak Galicja, nie brakło sił wrogich, nie brakło oszustw, kłamstw masowych, nędzy, niedorozwoju inteligencji i t. d., ale demokracja polityczna zmusiła klasę rządzącą do liczenia się z chłopem i robotnikiem. Powstaje wielka polska partja chłopska w parlamencie, a w r. 1911 sami socjaliści polscy liczą już 10 posłów. W Księstwie Poznańskiem, gdzie tej walki o demokrację nie było, niema też dotąd — w dwadzieścia lat później — ani jednego posła socjalistycznego!

Po wojnie światowej, wśród nieopisanego zaniepokojenia i niepewności życia mas społecznych, stało się modą sarkanie na demokrację jako na formę przeżytą. Bolszewicy rozpędzający zgromadzenie konstytucyjne w r. 1918, faszyści osłabiający parlament w imię walki przerażonego narodu z dzikimi eksperymentami triumfującego chwilowo bolszewizmu włoskiego — oto wzory dla wielu „inteligentów“ polskich, marzących o jakiejś „dyktaturze“, któraby uprościła skomplikowane życie publiczne, wzięła za łeb, uspokoiła i dobrobytem obdarzyła znękane społeczeństwo. Nie widzą ci rzekomo inteligentni ludzie, że dyktatura w jednym i w drugim wypadku opierać się musi na zorganizowanej „mafji“, która obdziera społeczeństwo nietylko z chleba, ale i ze swobody ruchów, bez której nowoczesne społeczeństwo staje się kaleką. Obdziera naród cały z praw, o które będzie musiał się upomnieć w przyszłości, czyli uwstecznia go i zmusza do powtórzenia wielkiej pracy w walce o równość prawa dla wszystkich.

Że chłop rosyjski jest chwilowo bezbronny wobec świetnie zorganizowanej szajki, która doprowadziła do śmierci głodowej kilkunastu miljonów ludzi i za pomocą niesłychanego dotąd szpiegostwa i prowokacji zabezpiecza swoje panowanie, że trzysta tysięcy „czarnych koszul“, to tyleż samo uprzywilejowanych i bezkarnych gwałtowników, bezczeszczących wszelkie prawo im niewygodne, tego nie widzą nasi inteligenci, tak jak Europa nie chciała widzieć okrwawionej maszyny rządzenia carów rosyjskich i wielbiła spokój i dobrobyt ludu rosyjskiego. Wszak i to była „dyktatura“, trwająca lat trzysta!... A rządy „kamorry“ we Włoszech nie są również rzeczą tak dalece nową i nieznaną, ażeby nagle wpadać w nieprzyzwoity zachwyt nad jedynowładztwem p. Mussoliniego opartego na spisku faszystowskim. Tęsknota do bata i bezprawia może stać się programem tych, co chcą bat mieć w ręku i popełniać bezkarnie bezprawia, ale szerokie warstwy narodu, dążące do rzeczywistego rozwoju i dobrobytu nie mogą być podstawą „mafji“, chybaby znajdowały się na po-

ziomie niewolników. To też — pomimo pozorów przeciwnych — nie uważam panowania mafji za trwałe i ufundowane, pomimo że szuka ona i często uzyskuje poparcie kapitału bankowego, dzieląc się z nim zyskami do czasu, dopóki w tej dziedzinie kapitał bankowy nie zostanie oddany pod kontrolę społeczną.

Pewno, że parlamentaryzm nowoczesny wymaga dalszego rozwoju. Nikt nie zaprzeczy, że rozwój prawdziwy i wszechstronny samorządu gmin, powiatów i ziem powinien stać się podstawą parlamentu centralnego. Nie ulega również wątpliwości, że wzrost organizacji społecznych i zawodowych musi z nich uczynić narzędzie do załatwiania całego szeregu spraw bez zaprzątania uwagi codziennej parlamentów. Wogóle odciążenie parlamentów centralnych staje się koniecznością. Ale w najnowszych czasach widzimy w Europie jeszcze jedno zjawisko niezmiernie ciekawe. Oto powstaje w oczach naszych rodzaj „nadparlamentu“ w postaci Ligi Narodów, która wyrasta powoli na rodzaj rozjemcy między państwami i zabiera się do odebrania parlamentom jednego z ogromnie ważnych praw: prawa wypowiadania wojny! Na polu ekonomicznem stawia ten „nadparlament“ znamienne kroki decydujące już dzisiaj o układzie finansowym państw (Austrja, Węgry), wyznacza granice jak np. naszą na Górnym Śląsku, pośredniczy, tworzy sanitarne instytucje międzynarodowe i t. d. Wszyscy czują, że to dopiero początek, że rozwój w tym kierunku pójść może aż do utworzenia jakichś „Stanów Zjednoczonych Europy“... A jest to związek państw parlamentarnie rządzonych, związek demokracji, mniej lub więcej rozwiniętych. Jak w tym związku wyobrazić sobie „dyktatury“ lokalne na czas dłuższy? Jak formalnie utrzymać rozdział na rządzących i rządzonych w sensie zaprzeczenia demokracji? To też sowiety ze zgrozą myślą o Lidze Narodów, a Mussolini nie odgrywa w niej żadnej wybitnej roli. Nie jest też żadnem „uproszczeniem‘ negacja zasady wybieralności i odpowiedzialności organów rządzenia we wszelkim zakresie działalności. Stwarzając czynnik niewybieralny i nieodpowiedzialny (monarcha, dyktator, szajka zorganizowana oraz ich aparaty rządzenia równie nieodpowiedzialne), przeczy się istocie rozwiniętego ustroju kapitalistycznego z olbrzymią masą nowoczesnego proletarjatu, który nie da się cofnąć wstecz, a może pójść i idzie do ustroju socjalistycznego przy pomocy demokracji politycznej. Królowie, którzy jeszcze pozostali w Europie (a jest ich już niewielu), albo zrzec się musieli rzeczywistej nieodpowiedzialności i stali się „dziedzicznymi prezydentami“, z mniejszą często władzą od wybieralnych prezydentów, albo szukają ratunku w „dyktatorach“ (Mussolini, Primo de Rivera), ale mojem zdaniem jest dla królów „dyktatura“ tego rodzaju lekarstwem gorszem od choroby. Przy dyktatorze król jest zerem.

Walka demokracji nie jest jeszcze skończona. Można przewidzieć, że najnowsza forma kapitalizmu kapitał trustowy, panujący w formie zmowy nad olbrzymimi gałęziami produkcji światowej i „regulujący“ światową konsumcję, zechce i w dziedzinie konstytucyjnej panować nad narodami. Ale ludzkość pokona i tę ostatnią przeszkodę u bram ustroju socjalistycznego.

Wróćmy jednak do mojej pracy po wywalczeniu reformy wyborczej. Na dzień 17 maja 1907 r. rozpisano w Galicji wybory do parlamentu. W innych krajach Austrji miano wybierać 14 maja. Hrabia Potocki ulegał w miesiącach przedwyborczych złudzeniu, że socjaliści zabiorą większą część mandatów kraju. Złudzenie to dzieliła z nim szlachta. Zebrano więc ogromny fundusz gadzinowy na wybory. Sam rząd miał wyasygnować 1½ miljona koron. Gdy na czas pieniądze nie nadeszły, Potocki pożyczył rządowi pół miljona. On, który nie chciał przed dziesięciu laty wydać stu tysięcy koron na kandydowanie przeciwko mnie w krakowskiem! Strach namiestnika wyzyskali znakomicie narodowi demokraci. Oni to mieli znowu „zbawić ojczyznę“, oczywiście pod warunkiem, że rząd będzie ich gorąco popierał. W par-

lamencie przywilejów był z pośród nich p. Głąbiński jedynym posłem. Teraz mieli się stać niemal największem stronnictwem w Kole. Na wschodzie rozpętali dziką agitację antyrusińską, rozżarzyli nienawiść między obu narodami do czerwoności, a zaślepiony namiestnik popierał ich szczerze, nie szczędząc gadzinowych pieniędzy i potężnych jeszcze wpływów rządowych. Na zachodzie zaś doprowadzono do skutku unję wszystkich stronnictw (oprócz ludowców) przeciw „beznarodowym“ socjalistom. Razem na „wroga“ szli konserwatyści, klerykali, kahalni Żydzi i demokraci, nawet lewicowi, byle tylko nie dopuścić do „narodowej klęski“ tj. do oczekiwanego zwycięstwa socjalizmu! „Centralny Komitet Wyborczy“, ta stara organizacja reakcji galicyjskiej, dokazywał cudów. Hr. Potocki przygotował swoją śmierć. Bo z szeregów doprowadzonych do rozpaczy Rusinów padł w biurze namiestnictwa śmiercionośny strzał młodego Siczyńskiego. Narodowi demokraci wygrali kampanję wyborczą, a namiestnik potem życiem zapłacił za błąd polityczny, który polegał na strachu i złudzeniu.

W zatrutej atmosferze tak przeciw nam prowadzonej walki wyborczej pracowałem czasami ponad siły. Wybrałem w zaślepieniu najmniejszy okręg wyborczy „na Wesołej“ w Krakowie z trzema zaledwie tysiącami wyborców! Nadto jako „kandydat do liczenia głosów“ postawiłem moją kandydaturę w okręgu wiejskim Białej. Ale pracowałem w okręgach przyjaciół w Stryju (Moraczewski), Przemyślu (Liebermann) i Lwowie (Hudec i Diamand), nadto na wsi krakowskiej i na prowincji zachodniej Galicji. Nie myślę szczegółowo opisywać tych walk i trudów. Zdobyliśmy sześć mandatów. Towarzysze Moraczewski, Liebermann, Hudec, Diamand, Kunicki i Reger weszli do parlamentu. W moim zaś okręgu „na Wesołej“ działy się dziwy. Komisja wyborcza mająca obliczyć dwa tysiące kilkaset głosów, oddanych na mnie i na mojego kontrkandydata p. dr. Petelenza, nie skończyła skrutynjum i o dziesiątej wieczór odłożyła zliczenie ostateczne głosów na drugi dzień! Usłużne „duchy“ urn galicyjskich zrobiły swoje. P. dr. Petelenz został wybrany na drugi dzień, a w Białej doszedłem do ścislejszego głosowania. Tam stojałowczycy użyli przeciw mnie „miłego“ środka wyborczego. Oto na każdym słupie telegraficznym widniała kartka z ogromną gruszką, pod którą widniał napis: Takie gruszki po 10 koron jada kandydat robotników! I tak dalej. Wprawdzie handlarze owoców kiwali na to głowami, ale kartka zrobiła swoje.

Podczas gdy moi przyjaciele, ozdobieni czerwonymi gwoździkami, wchodzili uroczyście na salę parlamentu, ja odsiadywałem już u św. Michała trzy tygodnie kozy za znieważenie majestatu agenta policyjnego jeszcze z r. 1900. Przypomniałem sobie dawne „dobre“ czasy, zabrałem masę książek do kozy i kształciłem się na koszt rządu.

Triumf reakcji nie trwał jednak długo. Tow. Tadeusz Reger wybrany w okręgu frysztackim, złożył mandat a mnie postawiła partja jako kandydata. Dnia 16 grudnia 1907 roku zostałem wybrany 6300 głosami przeciw 2300, które padły na klerykalnego kontrkandydata. W dwa dni potem złożyłem ślubowanie poselskie a w sześć dni już referowałem na wielkiem zgromadzeniu w Krakowie o konieczności zwalczania drożyzny. Radość robotników witających na nowo „swego posła“ była wielka i szczera. Przez cztery następne lata byłem więc posłem górników polskich i czasy te wspominam jako najmilsze w życiu.

Siedmnaście lat istnienia polskiej partji socjalno-demokratycznej — to okres drobiazgowych i wielkich zarazem trudów coraz to zwiększającego się grona towarzyszy, skupionych koło czerwonego sztandaru, zatknlętego w części Polski najbardziej zaniedbanej, choć najpiękniejszej. Setki tych towarzyszy były też setkami moich przyjaciół, często mozolnie pozyskiwanych na to, aby wzięli udział we wspólnej pracy. Nie mogę litanji nazwisk tutaj wymieniać, bo nie wystarczyłoby to dla uczczenia w nich potężnego ducha reformatorskiego, głębokich uczuć dla ludu i narodu polskiego i niezliczonych dni trudów celem urzeczywistnienia ideałów społecznych i narodowych. Rezultaty tej mozolnej, zbiorowej, ofiarnej pracy były skromne, ale cośmy zdobyli, umieliśmy utrzymać i pomnożyć. Małe pi-

semka zamieniały się na dzienniki, setki zorganizowanych rosły w tysiące, zdobyliśmy trybunę parlamentu i licznych rad miejskich, uświadomienie i oświata robotników wzrastały, potęga wyzyskiwaczy i gnębicieli ludu pracującego znalazła granice. Czemże wobec tego wspaniałego procesu społecznego mogło być życie prywatne, choćby najbardziej skomplikowane? Wszak polityka, ta sztuka dążąca do wytkniętych celów klasowych czy narodowych przy pomocy uświadamiania i wzbudzania najsilniejszych namiętności ludzkich, czyniła życie moje bardzo bogatem i pełnem wzruszeń. I mylą się różne „pięknoduchy“ sądząc, że staliśmy zdala od piękna, zatopieni w „brutalnem rzemiośle“ politycznem. Młody ruch robotniczy stawał się coraz bardziej wrażliwym na piękno, ale piękno wielkie i szczere, wyrażające głębie ducha ludzkiego. Burżuazyjna idąca za chlebem sztuka nie interesowała robotników, ale Matejko i Wyspiański byli bliskimi ich duszom. Cała literatura niepodległościowa od Żeromskiego aż do Struga tutaj najlepiej była rozumianą; wszak wielu z tych pisarzy stawiało pierwsze kroki w feljetonach naszej prasy, bo nikt inny nie chciałby ich drukować. W i e l k a p o e z j a w d ł a w i o n e j n i e w o l ą P o l s c e m u s i a ł a b y ć w y z w o l e ń c z ą, t o t e ż z n a l a z ł a o d d ź w i ę k w k l a s i e r w ą c e j s i ę d o w y z w o l e n i a, w p r o l e t a r j a c i e p o l s k i m Sieroszewski i Konopnicka byli tutaj ulubionymi poetami. Podczas gdy nogi robotnika socjalistycznego grzęzły jeszcze w błocie nędzy galicyjskiej, czoło jego opromieniały już myśli wielkie i piękne! Ubóstwo rozpaczliwe, praca zbyt długa, analfabetyzm z powodu braku szkół w przeszłości, mieszkania nędzne — to wszystko trzymało robotnika polskiego na niskim poziomie społecznym, ale pierwszy już odruch jego zbiorowej walki podniósł go wysoko w dziedzinie duchowej. Nędzarz z płonącą w piersi wielką ideą, to podmiot i główny żywioł rewolucji. Myśmy ten żywioł starali się zorganizować i zrobić z niego wielką siłę rozwoju i postępu. Nie naszą będzie winą, jeżeliby normalny rozwój zamienić się miał w rozpętany orkan społeczny...

SPIS RZECZY.



